

WIELKA KSIĘGA

# OPOWIEŚCI O CLARODZIEJACH

TOM I



OPRACOWAŁ

**MIKE ASHLEY**

• MICHAEL MOORCOOK •  
• TOM HOLT • I INNI •



fabryka słów  
www.fabrykaslow.pl

# WIELKA KSIĘGA OPOWIEŚCI O CZARODZIEJACH

## Tom I

Opracował Mike Ashley

*Przełożył: Marcin Mortka*



## **Spis treści**

*Strona tytułowa*

Mike Ashley - Przedmowa - ZACZAROWANY

Steve Rasnic Tem - DZIESIĘĆ RZECZY, KTÓRE WIEM O TYM  
CZARODZIEJU

Richard A. Lupoff - VILLAGGIO

Doug Hornig - GRA MAGICZNEJ ŚMIERCI

Tom Holt - SKAŻENIE NADPRZYRODZONE

Tim Pratt - ROWER WIEDŹMY

Diana Wynne Jones - SAGA O THEARE

John Morressy - ZEGARMISTRZ

Clark Ashton Smith - DRUGI CIEŃ

Michael Kurland - CZEGO POTRZEBA DO RYTUAŁU

Michael Moorcock - WŁADCA CHAOSU

Robert Weinberg - SIEDEM KROPLI KRWI

# Przedmowa

## ZACZAROWANY

Cóż jest takiego w czarodziejach i czarnoksiężnikach, co fascynuje nas od setek lat, od Merlina aż po Gandalfa?

Odpowiedź jest bardzo prosta.

Moc.

Cecha, dzięki której zdobywa się władzę nad czasem, nad pogodą, nad innymi ludźmi. Nad tobą.

To spełnienie najskrytszych marzeń. Ile razy każdy z nas fantazjował, by stać się niewidzialnym, by latać, by stworzyć coś z niczego lub wymazać kogoś z tego świata? Oto pojawia się owo pragnienie, by osiąść władzę nad wszystkim.

Opowiadania zebrane w dwóch tomach *Wielkiej Księgi opowieści o czarodziejach* właśnie o tym mówią. O potędze. O władzy. O źródle osobliwych mocy i świadomości, że tak naprawdę dysponowanie nimi nie jest aż takie fajne. O byciu zaczarowanym!

Nie mieści mi się w głowie, żeby ktoś, kto odkrył jakąś niezwykłą moc, wykorzystał ją do dobrych celów. Być może na początku, jasne. Ale przyznaj sam przed sobą – owo pragnienie, by spróbować czegoś innego, czegoś odrobinę niegrzecznego, może nieco złego, w końcu całkiem by cię pochłonęło. Jestem o tym święcie przekonany. W końcu jesteśmy tylko ludźmi. Poza tym pamiętaj, że gdybyśmy dysponowali magicznymi mocami, może nie bylibyśmy ludźmi, co zresztą stanowi kolejny temat zawarty w kilku poniższych opowiadaniach. Niejedno z nich mówi o konflikcie między ludzką etyką i moralnością a złem, które gotowe jest przejąć kontrolę. Tak to już jest, że gdybyśmy kiedykolwiek zdobyli magiczne moce, każdy z nas toczyłby nieustającą walkę między porządkiem a chaosem. Wystarczy przypomnieć sobie, jak trudno nam było przez ostatnie pięćdziesiąt lat trzymać na uwięzi broń atomową, a

teraz uporać się z terroryzmem. Wyobraź sobie więc, że jakiś naród zdobywa władzę nad magią.

Każde z poniższych opowiadań porusza temat konfliktów i dylematów związanych z posługiwaniem się magią. Nie spodziewaj się cukierkowatych bajeczek o dobrotliwych czarodziejach w spiczastych kapeluszach. Nie znajdziesz tu niczego w tym guście. W wielu z tych opowiadań magia prowadzi do zła i zepsucia. Wątpię, czy któreś z nich jest straszniejsze od czarownicy w *Rowerze więdźmy* Tima Pratta czy magów w *Wieczności* Tima Lebbona.

Są wśród władających magią tacy, którzy próbują wykorzystać ją do dobrych celów, jak choćby dziewczynka w *Ostatniej więdźmie* Jamesa Bibby'ego, Ogion w *Kościach ziemi* Urszuli K. le Guin czy czarodziej dochodzeniowy, który pomaga policji w rozwikłaniu sprawy porwania dziecka w *Co potrzeba do rytuału*, ale nawet oni mają spore trudności w korzystaniu z magii. Doprawdy niełatwo korzystać z niej tak, by jej nie ulec.

Magia może przybierać wiele form. Nie podejmę się próby zdefiniowania czarodzieja. W zebranych tu opowiadaniach znajdziesz czarowników, więdźmy, czarnoksiężników, zaklinaczy, ba, nawet magię komputerową w opowiadaniu Douga Horniga. W opowieści Johna Morressy'ego pojawi się temat władzy nad czasem, u Toma Holta przeczytasz o władzy nad smokami, a w powalającym opowiadaniu końcowym autorstwa Petera Crowthera o ostatecznej władzy nad ludzkim przeznaczeniem. Nie ma jednego świata, w którym te opowiadania są osadzone, nie ma też dla nich jednego czasu.

Jak zwykle przygotowałem mieszankę nowych opowiadań i przedruków. Sześć tekstów zostało napisanych specjalnie na potrzeby tej antologii. Uczynili to James Bibby, Peter Crowther, Tom Holt, Michael Kurland, Tim Lebbon i Richard Lupoff. Znalazłem też kilka perełek, które doprawdy trudno znaleźć gdzie indziej. Chciałem w związku z tym przekazać podziękowania dla Hugona Lamba, Stefana Dziemianowicza, Marka Owingsa i wszystkich członków internetowej grupy dyskusyjnej Horrabin Hall za ich sugestie co do ostatecznego składu opowiadań. Żałuję tylko, że jestem ograniczony miejscem i nie udało się wydrukować wszystkich

propozycji.

Od tego momentu przestań się łudzić, że będziesz w stanie rozumieć rzeczywistość. I uważaj na siebie.

*Mike Ashley*

**Steve Rasnic Tem** (ur. 1950) pisze opowiadania z gatunku horror i fantasy od ponad dwudziestu lat, a jego teksty były publikowane w *Weird Tales*, *The Horror Show*, *Twilight Zone* i dziesiątkach innych magazynów oraz antologii. Opublikował w sumie około 200 opowiadań, z których wiele znalazło się w *City Fishing (2000)*, a sporo innych wyszło na multimedialnym CD *Imagination Box* wraz z krótkimi formami jego żony, *Melanie Tem*. Jego opowiadania nagrodzone zostały zarówno *British Fantasy Award*, jak i *World Fantasy Award*. Otwiera naszą antologię tekstem, który wcale nie jest tak prosty i nieskomplikowany, jakby się z początku mogło wydawać.

## **Steve Rasnic Tem**

### **DZIESIĘĆ RZECZY, KTÓRE WIEM O TYM CZARODZIEJU**

Zobaczył Amandę na targowisku, gdy kradła z wozu, na którym rozłożył towary. Oczarowała go wówczas niezwykle długimi, jedwabistymi czarnymi włosami spływającymi na ramiona, szczupłą twarzą i pełnymi ustami, a przede wszystkim zaś oczyma lśniąco niczym szmaragdy na śniegu. Zapatrzył się w te oczy, podczas gdy powinien był śledzić dłonie. Dopiero gdy kobieta zaczęła się odwracać, zauważył, że wsuwa owoc do kieszeni kiecki.

Przez moment stał jak wryty – sądząc po ubraniu, była bowiem osobą całkiem zamożną – aż wreszcie zeskoczył z wozu i ruszył w pościg. Nie baczył na to, że za jego plecami owoce staczały się na ziemię, skąd skwapliwie podnosili je przechodnie.

Dziewczyna była szybka i Clarence z trudem utrzymywał jej postać w zasięgu wzroku. Wyglądało na to, że doskonale zna system wąskich uliczek, co zaskakiwało u osoby o takim statusie. Clarence musiał wykorzystać całe swe doświadczenie, by się samemu nie zgubić.

W końcu jednak skręciła w niewłaściwą uliczkę i nagle stanął twarzą w twarz z piękną uciekinierką, wspartą o ścianę zaułka. Wtedy też uświadomił sobie, że jej uśmiech jest zbyt kuszący jak na złodzieja przyłapanego na gorącym uczynku.

Przyglądał się jej przez chwilę, a ona równie uważnie jemu swymi szmaragdowymi oczyma. Clarence dobrze wiedział, jak sobie radzić ze zwykłym złodziejem, jako handlarz na targowisku zdobył wiele doświadczenia w tej materii. Nie miał jednak pojęcia, jak rozmawiać z damą, nawet jeśli ona także była złodziejką.

– Ukradłaś mi owoce! – wypalił w końcu.

Zielonooka piękność uśmiechnęła się w odpowiedzi i pokiwała głową.

– Nie zapłaciłaś!

Wybuchła gromkim śmiechem.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego? Bo byłam głodna – odpowiedziała łagodnym, melodyjnym głosem.

Po drugie: Wiem też, że jego córka jest niecodzienną osobą.

Następnych kilka tygodni Clarence spędził w towarzystwie dziewczyny, która przedstawiła się jako Amanda. Był to dla niego okres intelektualnego i emocjonalnego chaosu. Ani przez chwilę nie miał pewności, o czym nieznajoma tak naprawdę myśli lub co chce mu dać do zrozumienia dziwacznymi stwierdzeniami.

– Skąd pochodzisz? – pytał.

– Zza księżycy i spod tawernianej podłogi – odpowiadała.

Dla Clarence'a były to brednie, ale mimo to dziewczyna wydawała mu się fascynująca. Nie potrafił się już kontrolować. Nie potrafił żyć z dala od niej.

Kilkakrotnie musiał ją powstrzymać przed kradzieżami w niewielkich sklepikach. Nie musiała kraść, ale takie wyzwania po prostu sprawiały jej przyjemność – tak mu to przynajmniej tłumaczyła. Pomimo jego interwencji Amanda nie porzuciła więc drogi występku i parę razy musieli oboje salwować się ucieczką. Wielu miejscowych kupców nieźle sobie radziło ze złodziejami bez korzystania z pomocy prawa i na skutek wyczynów Amandy Clarence chodził obolały. Co więcej, cechowały ją



częste zmiany nastrojów. Potrafiła śmiać się z nim do rozpuku, by chwilę później zacząć wrzeszczeć. Clarence nigdy nie był w stanie przewidzieć, w jaki sposób dziewczyna zareaguje na jego słowa i każda wskazówka nadchodzącej zmiany humoru napawała go niepokojem.

Wkrótce nabrał pewności, że Amanda również zaczęła darzyć go uczuciem. Narzekała co prawda, że nie jest wystarczająco stanowczy ani też nie potrafi nawiązać z nią rozmowy, ale sama stwierdziła, że właśnie z nim woli spędzać cały swój czas. A on, pomimo wszelkich jej dziwactw, odwzajemniał to uczucie.

– Ale mój ojciec jest czarodziejem – wyznała. – I to z nim najpierw musisz się rozmówić. Jeśli mamy się pobrać, musisz zrobić na nim odpowiednie wrażenie. To zaś może okazać się trudne, mój drogi Clarence. To dziwny człowiek, ale rzecz jasna jest odpowiedzialny za moje istnienie – roześmiała się.

Clarence nie wiedział, co odpowiedzieć.

Po trzecie: Wiem także, że mieszka w ciemnym, odosobnionym domostwie nad morzem.

Clarence nie miał zielonego pojęcia, jak wzniesiono dom czarodzieja, bowiem materiały, z których się składał, wydawały się zupełnie do siebie nie pasować. Sama budowla wrastała w granitowy klif, a otaczające ją drzewa i inna roślinność były tak gęste i splątane, że na pierwszy rzut oka stanowiły integralną część konstrukcji. W dach wtopił się wielki cyprys, a centralny element jednego z niezliczonych kominów stanowił głaz. Którąś z zewnętrznych ścian wykonano z kolei z gliny, stali i cementu. Clarence widział zwykłe, prostokątne drzwi, ale także drzwi okrągłe czy trójkątne. Winorośl zakrywała niektóre z okien o fantazyjnych kształtach, jednocześnie odsłaniając inne. W nietypowo uformowanych kącikach i zakątkach gnieździły się dziwaczne zwierzęta. Linie perspektywy zdawały się przeczyć sobie nawzajem.

Clarence odniósł wrażenie, że jeden z fragmentów domu jest osobliwie ciemny nawet pomimo porannego słońca, zupełnie jakby ukształtowano go z samej nocy.

Podróż zabrała mu dwa dni, podczas których wciąż się zastanawiał, czy opuszczenie domu było dobrym pomysłem. Amanda bez ustanku

narzekała na swego ojca – mówiła o tym, że próbował kontrolować jej życie, że wygłaszał niezbite twierdzenia na niemal każdy temat i że obrażał się na każdego, kto ośmielił się z nim nie zgodzić.

Lecz gdy Clarence podważył sens podróży, Amanda zaatakowała go z nieoczekiwaną gwałtownością: – Przecież to mój ojciec! – wrzasnęła. – I to ja będę decydować, czy go odwiedzić, czy nie!

A zatem odbyli ową podróż. Wędrowali przez pustkowia i tajemnicze krainy niczym z marzeń sennych, z istnienia których Clarence nie zdawał sobie dotąd sprawy. Miejsce, w którym osiedlił się czarodziej, zasługiwało na miano odludzia, gdyż nigdzie wokół nie dało się dostrzec ani śladu ludzkiej bytności. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego komuś mogłoby zależeć na mieszkaniu w takim miejscu.

– Tu się wychowałeś? – zapytał, gdy przystanęli nieopodal domostwa zrosniętego z klifem.

– Tak – cicho odparła Amanda.

– Nie rozumiem. Kim byli twoi przyjaciele? Z kim się bawiłaś jako dziecko?

Odwróciła się ku niemu z lekką zmarszczką na czole.

– Nie miałam żadnych przyjaciół – odparła bez emocji. – Wszyscy towarzysze zabaw zostali stworzeni przez mego ojca z kurzu i bagiennej wody.

Następnie ruszyła w stronę klifu, prowadząc Clarence'a ku stromym schodom, które wspinały się aż do domu czarodzieja.

Po czwarte: Wiem też, że jest bardzo stary.

Czarodziej zasiadał za ogromnym stołem, na którym piętrzyły się stosy książek. Trudno go było dostrzec zza zakurzonych tomiszczy, od czasu do czasu mignęła jedynie ręka skryta w fioletowym rękawie, biała dłoń lub czubek głowy niemalże całkowicie wyłysiałej i pokrytej gęstą siateczką żył.

– Ojciec... – odezwała się Amanda z napięciem w głosie.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

– Ojciec, przybyłam z wizytą, by ci przedstawić mego przyjaciela.

Clarence usłyszał chrobot odsuwanego krzesła, a potem suchy kaszel i wreszcie ujrzał drobną, sędziwą postać wynurzającą się zza stołu. Odprężył się lekko na jej widok – ojciec Amandy był kruchym, pomarszczonym

staruszkciem, który mierzył ledwie pięć stóp. Któż mógłby się bać takiego człowieka?

Lecz czarodziej niespodziewanie się wyprostował, urósł, jego ramiona spotężniały, a głowa uniosła się wyżej. Naraz miał już sześć stóp wzrostu i wpatrywał się w Clarence'a wielkimi, przekrwionymi oczyma.

Ten cofnął się i przepuścił Amandę, by mogła podejść do ojca.

– Ojczy, oto Clarence. Mój przyjaciel.

Czarodziej zrobił krok i znalazł się w lepszym świetle, dzięki czemu Clarence mógł mu się dokładniej przyjrzeć: skórę miał tak białą, że zdawała się niemalże świecić, zaś łysa głowa przypominała owal światła. Resztką jego siwiuteńkich, mocno przystrzyżonych włosów zakrywała mu uszy, nosił też krótką siwą bródkę. Jego oczy, w przeciwieństwie do całej postaci, były przerażająco ruchliwe, ale zaciśnięte mocno usta uformowały linię prostą. Choć same cechy wyglądu nie wskazywały na sędziwy wiek, Clarence odniósł wrażenie, że ma przed sobą człowieka wiekowego – bez wątplenia najstarszego, jakiego kiedykolwiek spotkał.

Czarodziej nie odezwał się do niego ani słowem.

– Sporo czasu minęło od twej ostatniej wizyty, Amando – rzucił za to do córki.

– Ja... ja byłam daleko – odparła Amanda i po raz pierwszy w życiu Clarence ujrzał, jak ze wstydem odwraca spojrzenie. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że jest w ogóle zdolna do okazywania takich uczuć.

Zapadła niezręczna cisza, Amanda wydawała się przetrząsać pamięć w poszukiwaniu odpowiednich słów. Jej ojciec czekał z niecierpliwością.

– Jak twoje zdrowie? – zapytała w końcu.

– Nie najgorzej. Możesz tu spędzić kilka dni, Amando, ale mam wiele pracy i będę potrzebował ciszy i spokoju.

Odwrócił się i odszedł.

Amanda stała w milczeniu, a Clarence nie ośmielił się podejść bliżej.

Po piąte: No i jest zmiennokształtny.

Dla Clarence'a pierwszy dzień w domu czarodzieja wydawał się nie mieć końca. Przez większość czasu Amanda była ponura i złościła się bez powodu, a czarodziej ignorował ich oboje.

Gdy jednak w końcu Clarence zaczął ją wypytywać o nieobecność ojca,

dziewczyna naskoczyła na niego: – Otwórz wreszcie oczy! On obserwuje nas przez cały czas! Nawet nie próbuje tego ukryć!

Clarence rozejrzał się z niepokojem.

– Ale... ale ja niczego nie widzę!

– Spójrz! Teraz jest tam! – krzyknęła, wskazując róg pokoju.

Clarence powiódł wzrokiem w tym kierunku, lecz dostrzegł jedynie zakurzoną stertę gratów.

– Gdzie? Nie widzę go!

– Mysz! Mysz, ty głupku!

Clarence wybałuszył oczy. Rzeczywiście – w kącie siedziała mysz, drobna, szara myszka, która na ich widok zmarszczyła nosek, a potem dała nura do niewielkiej norki w usypisku.

– To był twój ojciec?

– Owszem.

Po szóste: Ponadto wiem, że w zasadzie nie jest aż tak zły, a tylko arogancki.

Clarence zobaczył jeszcze wiele małych zwierzątek, a raz nawet krasnoludka z wielgachnym czerwonym nosem. Wszystkie one wydawały się śledzić jego poczynania z intensywnością i uwagą odrobinę zbyt wielką jak na zwykłe zwierzęta. Zrodziło się w nim przeświadczenie, że jest obserwowany. Amanda uświadomiła mu, że zwykle w domu nie ma żadnych szkodników ani innych drobnych stworzeń, gdyż ojciec przepędził je specjalnym zaklęciem, stąd też wszystkie ujrzone przez niego zwierzęta są formami samego czarodzieja. W ciągu pierwszych dwóch dni wizyty Clarence natknął się więc na kota, psa, strzyżyka, gąsienicę, pająka, świerszcza oraz łosia (którego z przerażeniem zastał w swojej sypialni któregoś wieczoru). Z tego powodu za każdym razem, gdy przebywał z Amandą, uważał na to, co robi i jak się zachowuje.

To zaś rozwścieczało Amandę do granic i dwukrotnie, gdy przez pokój przemykało któreś ze stworzeń, przyciągała Clarence'a do siebie, by go objąć. Ten parsknął i usiłował ją odepchnąć, obrzucając zwierzę nerwowym spojrzaniem.

– Ty tchórze! – wrzeszczała Amanda i uderzała piąstkami w jego pierś. – Ty idioto bez krzty odwagi!

Na ogół wydawała się jednak odległa, pogrążona w rozmyślaniach – jakby nie przejmowała się zbyt ukochanym i nie chciała mieć z nim wiele wspólnego.

Sam czarodziej nie zrobił nic, co należałoby uznać za złe, a przecież Clarence spodziewał się człowieka o wiele gorszego, jak można by to wydedukować z licznych narzekań Amandy. Czarodziej był po prostu nieustępliwy i arogancki, nieustannie kusilo go, by korzystać z zasobów swej mocy i często ulegał pokusie bez oporów – ale któż mógł go naprawdę za to winić?

– Wielu z nich, podobnie jak mój ojciec, w podeszłym wieku zaczyna wierzyć, że stali się bogami – tłumaczyła mu Amanda. Z tego, co sam widział, czarodziejowi jeszcze sporo do tego brakowało.

Do najbardziej nieprzyjemnych psot czarodzieja należało wywoływanie duchów z przeszłości. Byli to zarówno dawni towarzysze zabaw Amandy, których sam stworzył, jak też postacie z dzieciństwa Clarence'a. Clarence miał więc wrażenie, że nieprzerwanie śni koszmar, w którym spotyka nieżyjących już rodziców, jaszczurki, które kiedyś hodował, trzyletnią siostrzyczkę, również nieżyjącą od dawna, czy przyjaciół, w większości niemalże zapomnianych.

„Duchy” Amandy były bardziej egzotyczne. Do tej grupy należały: ogromny pająk z lśniącymi czerwonymi ślepiami i osiemnastoma odnóżami, potężne, tłuste, galaretowate stworzenie z jedną nogą, dwie pary syjamskich bliźniaków oraz wielki ptak z dzwonem na szyi. Było też kilka innych, bardziej niepokojących istot: ohydna, zdeformowana gadająca głowa, niewielki chowaniec, który krwawił z uszu, i włochaty stwór zawodzący z powodu ogromnego bólu.

Amanda z trudem nad sobą panowała. Spojrzenie miała niespokojne, a ręce suche od nieprzerwanego pocierania. Clarence nie potrafił pojąć, dlaczego czarodziej, którego w prawdziwej postaci widzieli ledwie przez kilka chwil, wyrządza krzywdę własnej córce. Jaki zamysł mu towarzyszył?

Po siódme: Wiem również, że ma duszę, która może oderwać się od ciała.

Po kilku dniach Clarence odkrył, że narasta w nim gniew zarówno na Amandę, jak i na jej ojca. Czarodziej bez przerwy go prześladował, co rusz

wysyłając wszelkiego rodzaju zjawy do jego pokoju. Nie przestawał również nawiedzać go osobiście, przyjmując przeróżne postacie – Clarence nie był już pewien, czy to, co widzi, jest kolejną formą czarodzieja, czy może jednym z wytworów jego magii.

Ku swemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że rozmawia z Amandą z o wiele większą pasją, reagując na każdy, najdrobniejszy nawet docinek z jej strony.

Właściwie spodziewał się, że ta przemiana przypadnie jej do gustu, ale dziewczyna zareagowała zgoła odmiennie.

– Stajesz się dokładnie taki sam jak on! – wrzasnęła. – Masz już swoje zdanie na temat wszystkiego i utrzymujesz, że sam jeden tylko znasz prawdę!

Pewnego razu, zyskawszy pewność, że czarodziej wyszedł do lasu, Clarence i Amanda wślizgnęli się do jego gabinetu. Rzadko się zdarzało, by staruszek opuszczał domostwo. Spędzał w gabinecie całe dni, pracując do późna w nocy, czasami nie zaznając wcale snu. Gabinet okazał się ogromną, przewiewną komnatą pełną ksiąg, manuskryptów, osobliwych statuetek oraz płaskorzeźb, słoików wypełnionych dziwacznymi substancjami, wypchanych zwierząt i mechanicznych instrumentów wszelkiego sortu. Clarence'owi nie spodobało się to miejsce i chciał je opuścić, ale Amanda zaprotestowała.

– Myślę, że chowa tu przed nami jakieś ważne sekrety – powiedziała. – Chcę je poznać.

Zaczęła myszkować po gabinecie, a Clarence stał nieruchomo i rozglądał się w napięciu. Aż podskoczył, gdy nagle rozległo się ptasie świergotanie. W ciemnej komnacie trudno mu było odszukać wzrokiem źródło dźwięku.

– To tylko Janalai – zachichotała Amanda.

Clarence nadal wyglądał na zbitego z tropu, więc dziewczyna chwyciła go za rękę i pociągnęła w kierunku jednego z kątów. Zapaliła niewielką świeczkę, a wtedy żółty blask opromienił wszystkie zakamarki komnaty.

Na szczycie sterty baryłek i opasyłych ksiąg siedział w gnieździe ptak. Jego grzęda wyglądała na niestabilną, ale on wydawał się tym nie przejmować. Miał długą szyję i jaskrawozieloną główkę. Z jego boków sterczały w nieładzie postrzępione, fioletowe pióra, zupełnie jakby

niedawno przytrafiło mu się jakieś nieszczęście.

Amanda podeszła do ptaka, złapała go za szyję i bez pardonu wyrwała z gniazda. W środku znajdowało się srebrne jajko.

– Spójrz – wskazała Clarence’owi drugą ręką. – Janalai strzeże duszy mego ojca.

– Jego duszy?

– Wielu czarodziejów opanowało sztukę oddzielania duszy od ciała – wytłumaczyła. – Później gdzie ją chowają, na przykład w jajku. Jeśli nie odnajdziesz miejsca, w którym czarodziej ukrywa swą duszę, tak naprawdę nie jesteś w stanie go zniszczyć. Ta sztuka czyni czarodziejów niemalże niezniszczalnymi.

– Dlaczego więc pozostawił ją na widoku? Przecież ktoś mógłby tu wejść i ją porwać!

– Co jakiś czas umieszcza ją w innej kryjówce, choć ostatnio nie było takiej potrzeby. Nikt tu już nie przychodzi. Mój ojciec nie jest wystarczająco czynnym czarodziejem, by przyciągnąć wrogów, którzy chcieliby go zabić.

Clarence spojrział raz jeszcze na jajo i aż go dreszcz przeszedł, gdy wyobraził sobie, jak spada i rozbija się o podłogę.

Po ósme: Wiem także, że przez cały czas nad wszystkim panuje.

Piątego dnia Clarence odkrył, że nie może opuścić domostwa ojca Amandy. Chciał jedynie zaczerpnąć świeżego powietrza, a wtedy zauważył, że nie ma żadnych drzwi prowadzących na zewnątrz, zaś okna są pozabijane deskami. Gdy zwrócił na to uwagę Amandzie, ta wzruszyła ramionami.

– A czego się spodziewałeś?

Kiedyś mu opowiedziała, że jako dziecko wierzyła w nieograniczoną moc ojca. Wydawało się, że zawsze wiedział, o czym jego córka myśli, a za każdym razem, gdy zachowała się niegrzecznie, była przekonana, że ją paraliżuje – ze strachu nie mogła bowiem poruszyć choćby palcem.

Ojciec doskonale wiedział, co jest dobre, a co złe, i posiadał władzę nad życiem i śmiercią. Panował nad wszystkim.

Nie było sposobu, żeby przed nim uciec.

Po dziewiąte: No i że ma dla mnie zadanie.

Ostatniego dnia pobytu w domu czarodzieja Clarence obudził się na

podłódze w wielkim, ciemnym korytarzu, gdzie jak do tej pory nigdy nie zabrął. Wstał i ruszył w dół korytarza, gdy nagle ściany zaczęły się poruszać. Przerażony przypadł do ziemi, by uniknąć zmiżdżenia przez kamienie.

Naraz zauważył, że ściany uformowały niewielki pokój, ale nie przestawały powoli na niego napierać. Musiał ruszyć z miejsca ciężki stół, by je zablokować.

Zaraz potem stracił grunt pod nogami. Zdążył zauważyć, że wylądował na stole i już zjeżdżał na nim po ogromnej, kamiennej pochylni ku jamie, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się podłoga. Zeskoczył tuż przed tym, jak stół roztrzaskał się o ścianę na samym dnie pochylni.

A wtedy wszystkie napotkane przez niego stworzenia z przeszłości Amandy zaczęły go ścigać. Robił, co mógł, by je zgubić, ale bez względu na jego wysiłki prześladowcy wciąż następowali mu na pięty.

Wtem znalazł się z powrotem w długim korytarzu, w którym zaczęła się ta przygoda, lecz tym razem na ścianach wisiały obrazy.

W powietrzu pojawiła się kwitująca kula światła, która opadła ku nim i pozwoliła Clarence'owi obejrzeć je dokładnie.

Niektóre przedstawiały Amandę, znajdowało się tam też wyobrażenie samego czarodzieja oraz pewnej kobiety, której Clarence nigdy wcześniej nie widział.

Po dziesiąte: Dowiedziałem się w końcu, że trudno pokochać córkę czarodzieja.

Czarodziej pojawił się niespodziewanie tuż przy nim. Wydawał się niesłychanie wysoki.

– Moja żona... – powiedział, wskazując obraz nieznannej kobiety. – Moja matka – dodał, pokazując inny obraz, który Clarence z początku wziął za wyobrażenie Amandy. W pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale zdołał się opanować.

– Amanda – czarodziej wskazał kolejne obrazy. – Oraz jej siostry.

Jego ramię zatoczyło łuk, ukazując cały korytarz, a kula światła opromieniła rzędy niezliczonych portretów, z których każdy ukazywał dziewczynę niemożliwie podobną do Amandy. Wtedy czarodziej odwrócił się ku Clarence'owi.



– Nigdy nie poznałem swej matki, a mój ojciec był wielkim magiem, który mi ją odebrał. Ale mimo tego Amanda nie musiała nigdzie odchodzić, nie musiała mnie opuszczać. Za każdym razem, gdy mnie porzucała, ktoś podobny do ciebie przyprowadzał ją z powrotem. Wciąż ją odtwarzam, wciąż odtwarzam jej dawnych towarzyszy zabaw, ale nadal mnie porzuca.

Clarence rzucił się do biegu. Biegł korytarzem, otwierał kolejne drzwi, pędził w górę wijących się schodów. Czarodziej nie czynił mu żadnych przeszkód, a on sam nie napotkał nikogo na swej drodze i nie zwalniał, póki nie przypadł do drzwi komnaty dziewczyny. Usłyszał dochodzący ze środka płacz. Powoli otworzył drzwi.

Amanda bawiła się ze swymi towarzyszami: z drobnym, krwawiącym chowańcem, płaczącym futrzakiem i zdeformowaną głową bez ciała, która gadała z ogromnym ożywieniem.

Dziewczyna stawała się coraz mniej wyraźna, podobnie jak jej towarzysze. Clarence odniósł wrażenie, że jest starsza niż dotąd, nawet nim zaczęła znikać, ale nie miał co do tego pewności. Przypomnił sobie słowa, które kiedyś przy nim wypowiedziała: „Rzecz jasna jest odpowiedzialny za moje istnienie”.

A wtedy znikła całkiem. Spod łóżka wybiegła szara myszka, która zerknęła na Clarence’a, marszcząc nosek. Następnie przeobraziła się w srebrnego kota o groźnym spojrzeniu, który z sykiem wybiegł z pokoju.

Clarence wiedział, że niedługo Amanda znów się pojawi – nowa i całkowicie inna Amanda, taką, którą czarodziej będzie mógł pokochać.

Ale nie miał ochoty na nią czekać.

**Richard A. Lupoff** (ur. 1955) nigdy nie zaprzestał eksperymentów. Jego fascynacja dziełami twórcy Tarzana doprowadziła go do wydania opracowania Edgar Rice Burroughs: Master of Adventure (1965). Później pisał głównie beletrystykę w stylu H.G. Wellsa (Nebogipfel at the End of Time, 1979), Juliusza Verne'a (Into the Aether, 1974) czy Arthura Conana Doyle'a (The Case of the Doctor who Had no Business, 1966), a także dzieła, których nie sposób zasufladkować, jak Sacred Locomotive Files (1971) oraz Sword of the Demon (1976), będące przykładem fantasy w stylu japońskim. Najwspanialszą cechą jego twórczości jest to, iż każda jego książka zaskakuje. Niniejsze opowiadanie, napisane specjalnie na potrzeby tejże antologii, uderzyło mnie tym, że, choć zawiera elementy charakterystyczne dla The King in Yellow Roberta W. Chambersa, utrzymane jest w stylu typowym dla Lupoffa. Istnieje spora szansa, że autor rozwinię zaprezentowany tu pomysł do serii opowiadań bądź powieści.

## **Richard A. Lupoff**

### VILLAGGIO

Nazywał się *Signore Azzurro*, a jego pasażerkami było dwoje dziewcząt: Margherita oraz Francesca. Trudno powiedzieć, do której z nich właśnie się zwracał, zaś jemu samemu najprawdopodobniej nie czyniło to różnicy. O ile pasażerowie płacili za podwiezienie i dorzucali jakiś sympatyczny napiwek – a od takich dwóch miłych młódek z pewnością mógł się spodziewać dobrego napiwku – było mu zupełnie obojętnie, kogo wiezie.

Dziewczęta odwróciły się ku sobie, niemalże dotykając się głowami i rozpoczęły naradę, sprawdzając przy tym zawartość sakiewek. W końcu zdecydowały się na rozrzutność.

Woźnica strzelił z bata i cmoknął, popędzając wielkiego gniadosza. Zwierzę ruszyło naprzód radosnym kłusem, sprawiając, że koła *carrozzy*

zaturkotały głośno na nierównej drodze gruntowej. Fale rzeki Fiume przetaczały się z hukiem między przesłami kamiennego mostu, piana i bryzgi niemalże sięgały jadących górą. Zdarzało się, że kilka kropel lodowatej wody wpadało do *carrozzy* – dziewczęta wrzeszczały wówczas, udając przestraszone.

Na drugim brzegu Fiume, nad białymi kamiennymi klifami, wyrastało miasto pełne trzy, a nawet czteropiętrowych kamienic, proporców, ludzi o najróżniejszych odcieniach skóry mówiących najróżniejszymi językami, wozów i dorożek zaprzężonych w konie, pięknych rumaków dosiadanych przez przystojnych kawalerów, a bywało, że i kobiet uwijających się jak w ukropie, poszczekujących psów... Villaggio Sogno – oto stolica cudów i marzeń.

Budowle były wykonane z drewna i bielonego gipsu, dachy natomiast mieniły się miedzią i turkusem. Gdy promienie słońca odbijały się od murów i dachów – jak właśnie tego dnia – człowiek odnosił wrażenie, że miasto wznosi się ku niebu niczym marzenie senne. Stara nauczycielka dziewczynek, Allegra Chiavolini, opowiadała o tych cudach i ostrzegała przed *fascino* – iluzją, magicznym czarem, który mógł nadać obleśnemu staruszkowi wygląd przystojnego, młodego zapaśnika, ruderę zamienić w piękną chatkę, a świnię w cudną sarnę.

– Czasami udaje się przewyciężyć *fascino*, a pomoc może ten fragment – mówiła, po czym gwizdała krótką melodię.

Wszystkie dzieci we wsi potrafiły ją gwizdać, a Margherita również i grać. Powątpiewała w opowieść starej nauczycielki. Podważała w ogóle istnienie takiego zaklęcia, ale czasami, budząc się w środku nocy, gdy wszyscy domownicy już dawno spali, wyobrażała sobie z podnieceniem, że jakaś przerażająca bestia, dzięki magii przypominająca niegroźne zwierzę bądź człowieka, szaleje na wolności. Gwizdała wówczas melodię Allegry i zasypiała, czując się bezpiecznie.

Obie dziewczynki odwiedzały już kiedyś miasto, zabierane przez swe rodziny na rozmaite przysmaki, ale dzisiaj wypadał dzień szczególny: otrzymały zgodę na samodzielny wyjazd do Villaggio Sogno. Choć rodzice się niepokoiли (w szczególności matka Margherity), w wieku dwunastu lat były już całkiem wyrośnięte – albo przynajmniej zaczynały wyrastać.

Niebawem miały pójść do szkoły wyższej, gdzie czekały ich zabawy z chłopakami.

Ponadto dziewczęta mogły zabrać ze sobą sakiewki z oszczędnościami, do których schowały wcześniej zakazany róż do ust oraz śmiały cień do powiek.

– Gdzie mam was wysadzić, panienki? – zapytał *Signore Azzurro* przez ramię.

Dziewczęta znów się naradziły, a potem Margherita powiedziała: – Przed tym sklepem wielobranżowym.

Dobrze wiedziały, że nie jest to *un fascino*. Ich rodzice kupowali tam rozmaite rzeczy, by mogły się nimi nacieszyć.

*Signore Azzurro* zatrzymał wóz przy chodniku i odwrócił się z wyciągniętą dłonią. Otrzymał zapłatę oraz napiwek.

– Kiedy mam was zabrać do domu?

Dziewczęta odbyły kolejną pospieszoną wymianę zdań nawet pomimo tego, że już wcześniej omówiły tę kwestię zarówno ze sobą, jak i ze swymi rodzinami i przypieczętowały to złożeniem solennych obietnic.

– Gdy zegar na Wielkiej Wieży oznajmi koniec pracy, a mechaniczne figurki rozpoczną swe przedstawienie.

– Dobrze, panienko.

Dziewczęta zeszły z wozu.

Woźnica przyglądał im się ze smutnym, zadumany uśmiechem, dopóki nie zniknęły w tłumie. Może sam również był ojcem, a może po prostu miał taką naturę.

Margherita i Francesca stanęły przed wielkim sklepem, który wyrastał na trzy piętra ku niebu, a w poprzek mierzył więcej niż trzy domy razem wzięte. Na samym szczycie umieszczono napis głoszący, że interes ten nosi nazwę *Mercato Monumentale*. Na całej szerokości frontu ciągnęły się wystawy sklepowe, za którymi wystawiano doprawdy wspaniałe ubrania. Dziewczęta widziały je podczas wcześniejszych wizyt w *Villaggio Sogno*, ale rodzice popędzili je wówczas naprzód, przejęci własnymi, nudnymi sprawami dorosłych. Teraz wreszcie mogły napatrzeć się do syta.

Mogły również wykorzystać wypolerowaną szybę jako lustro. Stały przed nią tuż obok siebie, barwiąc usta na czerwono, a powieki na

niebiesko. Nosiły podobne warkocze – Margherita ciemnobrązowe, niemalże czarne, zaś Francesca rude. Francesca oczy miała brązowe, Margherita natomiast niebieskie, choć zarazem tak ciemne, że można je było wziąć za czarne.

Gdy wreszcie zakończyły nakładanie zakazanych mazideł, przyjrzały się sobie z aprobatą, po czym weszły do sklepu.

Wyszły po godzinie, zgięte pod ciężarem zakupów. Margherita miała na głowie zielonożółty kapelusik z żółtym piórkiem, Francesca jaskrawoczerwony beret.

Z Mercato Monumentale ruszyły na poszukiwanie miejsca, gdzie mogłyby coś zjeść. Po drodze mijały ulicznych sprzedawców oraz rzemieślników rozstawiających kramy na chodnikach. Przystanęły, by obejrzeć wyroby mężczyzny, który wykonywał drobiazgi ze srebra. Francesca kupiła niewielką srebrną szpilę w formie książki dla swej przyjaciółki Margherity, a Margherita niewielką srebrną szpilę w kształcie pikolo dla swej przyjaciółki Franceski. Wpięły je sobie nawzajem w bluzeczki i uściśniły się serdecznie, a potem podjęły poszukiwania miejsca, gdzie serwowano lokalne przysmaki.

Zastanawiały się przez chwilę, czy nie wejść do traktierni, z której dolatywały kuszące zapachy, ale zrezygnowały, gdyż w środku gromadzili się nieprzyjemnie wyglądający mężczyźni. Kolejna napotkana jadłodajnia wydawała się trafiać w gusta starych pań w wieku trzydziestu, czterdziestu lat.

W końcu znalazły restauracyjkę o nazwie Honshu Kekko Ryori. Zjadły tam smakowity obiad, który nie przypominał żadnego posiłku w ich życiu. Każdą potrawę ułożono niczym bukiet. W skład obiadu weszło kruche, delikatnie przyprawione mięso, rozmaite rodzaje grzybów, które pierwszy raz widziały na oczy, a także warzywa i makaron w parującym rosolu. Najbardziej pamiętny składnik stanowiła jednak jasnozielona przyprawa, od której dziewczynki najpierw płakały, a potem śmiały się z siebie do rozpuku. Posiłek podała im śliczna kobieta z Honshu, odziana we wspaniałe jedwabne kimono. Margherita i Francesca nie mogły się nadziwić, jaka była piękna, ani też temu, jak wspaniałe zaserwowano im jedzenie. Jadły zaś pałeczkami, a zasiadały na słomianych matach. Obie

miały wrażenie, że znalazły się w zupełnie innym świecie, i postanowiły, że któregoś dnia odwiedzą Honshu i zobaczą, jak żyją tam ludzie.

Po obiedzie stwierdziły, że nadszedł czas, by zrobić to, po co tak naprawdę przybyły do Villaggio Sogno. Zbliżały się urodziny ojca Margherity i dziewczynki planowały kupić mu jakiś prezent. Ojciec Margherity był wielkim mężczyzną, który rzadko się odzywał, a kiedy nie pracował, uwielbiał czytać. Margherita zasięgnęła rady mamy co do prezentu i wraz z Francescą zdecydowały, że najlepszym będzie książka. Margherita sądziła, że najlepiej kupić nową i piękną, ale matka zaskoczyła ją, twierdząc, że ojca najbardziej ucieszy jakaś stara.

– Liczy się przede wszystkim pamięć – powiedziała. – Ojciec będzie szczęśliwy, że o nim pamiętałaś, i wszystko mu się spodoba, obojętnie, co kupisz. Ale tak się składa, że wiem, co on kocha najbardziej – to książki autorstwa starego pisarza o nazwisku Jacopo Mursino. Napisał on epicki poemat opowiadający historię wszechświata od jego początku aż po kres. W tajemnicy przed ojcem – ciągnęła mama – porozmawiałam z naszym wioskowym uczonym w sprawie poematu *Signore Mursino*. Twierdzi on, że z szesnastu tomów ongiś istniejących wiadomo dziś jedynie o piętnastu, choć w każdym z nich znajdują się odniesienia do zaginionej księgi, przedostatniej w cyklu. Znany jest nawet jej tytuł – *Lavori di Hipocrita*. Rzekomo przedstawia ona historię Ostatniej Wielkiej Ery, a w kolejnym tomie opisywany jest koniec świata. Żadna biblioteka nie może się poszczycić posiadaniem piętnastego tomu w swych zbiorach, żaden uczony nie ma jej w swej kolekcji.

Matka zmarszczyła brwi w skupieniu.

Margherita знаła obie pasje ojca. Jedną z nich było spędzanie czasu na łonie rodziny. Wędrowali razem po lasach nieopodal rodzinnego domu i cieszyli się każdym zauważonym ptakiem, zwierzęciem czy kwiatem. Stworzyli również orkiestrę, w której ojciec grał na skrzypcach, mama na niewielkiej harfie, brat Margherity, Ottavio, na puzonie, a sama Margherita na srebrnym flecie. Flet był najstarszym i najcenniejszym przedmiotem w rodzinie. Wykonał go wuj dziadka mamy, najwybitniejszy złotnik w miasteczku. I chociaż upłynęło już mnóstwo czasu i minęło kilka pokoleń, wciąż pamiętano o Alceo Złotniku, a jego imię wymawiano z szacunkiem.

Każdy specjalista od obróbki metali po dziś dzień poczytywał sobie za największy komplement, jeśli ktoś określił go drugim Alceo. O flecie zaś mówiono, że ma nadprzyrodzone moce, ale jedyną, jaką udało się odkryć Marghericie, była moc pięknej muzyki.

Rodzinna orkiestra dawała koncerty wieczorami wyłącznie dla własnej przyjemności, a w wakacje występowała na głównym placu miasteczka dla uciechy całej wspólnoty.

Drugą wielką pasją ojca były książki. Kiedy nie przebywał z rodziną, zamykał się w gabinecie z książką. Otoczony członkami rodziny, potrafił puścić płazem każdy figiel. Był potężnym, barczystym mężczyzną z gęstą brodą. Mógłby objąć jednocześnie mamę, Ottavia oraz Margheritę i podnieść ich z ziemi. Za młodu mama uchodziła za największą piękność miasta i wedle rodzinnej legendy ojciec nieustępliwie rywalizował z innym absztyfikantem o jej względy.

Wraz ze swym rywalem, młodzieńcem o nazwisku Farruccio Farruli, uzgodnili wreszcie, że stoczą pojedynek zapaśniczy o prawo do konkurów. Starcie miało się odbyć na brzegu rzeki Fiume. Po godzinie walki obaj młodzieńcy byli pokryci od stóp do głów błotem, trawą i krwią, i obaj ledwie mogli ustać na nogach. Wtedy to ojciec przypadł do przeciwnika, uniósł go w powietrze i cisnął tak daleko do rzeki, że musiano wezwać łódź, by wyratowała wycieńczonego Farruccio, mógłby bowiem nie dopłynąć do brzegu o własnych siłach.

Gdy ojciec odwrócił się ku miejscowej piękności, ta powiedziała: – Pokonałeś rywala, możesz więc spróbować zdobyć mą miłość. Dobrym pomysłem na początek byłaby kąpiel i jakieś przyzwoite rzeczy.

Ojciec uczynił, jak rzekła, i wykonał plan do końca.

Najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa Margherity dotyczyło pewnej zimowej nocy, kiedy leżała na dywanie przy kominku. Ojciec uniósł ją wówczas bez wysiłku, jakby ważyła niewiele więcej od jego skrzypiec, zaniósł do kołyski i ucałował na dobranoc. Zawsze coś do niej szeptał przed pocałunkiem, ale nigdy nie potrafiła zrozumieć jego słów.

Nawet teraz, gdy już prawie była kobietą (a przynajmniej usiłowała to sobie wmówić), czasami siadała przy ogniu, pochylała głowę i zamykała oczy, a ojciec ujmował ją wówczas, zanosił do łóżka i mruczał coś, nim ją

ucałował na dobranoc. Musiała przecież kiedyś zrozumieć, co takiego mówił. Ojciec nigdy się nie domyślił, że Margherita tylko udaje sen.

Jego drugim ulubionym autorem, zaraz po poecie historyku Jacopie Mursinie, była Carla Zennatello. W porównaniu z największym (i jedynym ocalałym) piętnastotomowym dziełem Mursina, streszczającym historię wszechświata, utwory Zennatello były o wiele krótsze. Każda z jej „książek” składała się z pojedynczej zagadki zapisanej starannym, kaligraficznym pismem, otoczonej stronicami pięknych, kolorowych ilustracji, na których widnieli szlachetni mężowie, cudowne kobiety, rozbawione dzieci, silne konie, rącze sarny, psy, koty i ptaki. Każdy z tych tomów oprawiano w twarde liście pewnej rośliny, która rosła głęboko w lasach – opalano je dopóty, dopóki nie uzyskały wytrzymałości o wiele większej od skóry. Carla Zennatello nigdy nie zabiłaby żadnej czującej istoty ani nie wykorzystwała żadnego z uzyskanych w ten sposób produktów.

Każda z jej książeczek pasowała do rączki małego dziecka, bowiem Carla obmyślała kolejną zagadkę i tworzyła książkę zawsze wtedy, gdy do ich społeczności dołączał nowy członek. Następnie przekazywała ją w darze szczęśliwej matce, która miała przechowywać prezent aż do chwili osiągnięcia przez pociechę wieku odpowiedniego, by powierzyć jej taki skarb.

Carla Zennatello nigdy nie ujawniała rozwiązań łamigłówek. Zawsze mówiła rodzicom, że musi na nie wpaść ich dziecko, aby poznało swe przeznaczenie. Umarła przed dwustu laty, podobnie jak Jacopo Mursino. Wspominano o istnieniu kilku z jej książek, choć nikt już nie pamiętał rozwiązań zagadek.

Dziewczynki wiedziały o sklepie, w którym sprzedawano nowe książki, ale miały nadzieję odnaleźć i taki, gdzie sprzedawano stare, by sprawić przyjemność ojcu Margherity. Wędrowały więc po mieście, aż w pewnej chwili usłyszały, jak nieopodal ktoś wykrzykuje najświeższe wieści. Szły w kierunku głosu, póki nie ujrzały młodego chłopaka – nieco młodszego od nich samych, odzianego w znoszone, ale czyste spodnie oraz koszulę. Trzymał pod pachą plik zadrukowanych arkuszy, a wolną ręką machał jednym z nich nad głową.

Francesca wychyliła głowę, by przyrzeć się gazecie. Nosila tytuł Il



Popolo di Sogno, a na pierwszej stronie widniała ilustracja z próżnym, pyszałkowatym mężczyzną, który pozdrawiał podziwiający go tłum.

Margherita zapytała chłopca, czy wie, gdzie można kupić starą książkę.

Młodzieniec spojrział na dziewczynki zakłopotany.

– Kto chciałby kupować stare książki? – zapytał. – Lepiej kupić nową, a już najlepiej kupić egzemplarz Il Popolo i dostać jeszcze portret naszego wspaniałego przywódcy za darmo! Dowiedcie się wszystko o wczorajszym meczu, o ciałach znalezionych w alejkach, o maszerujących armiach i kłótniach polityków!

I znów zaczął zachwalać gazetę donośnym głosem.

Któryś z przechodniów zatrzymał się i kupił egzemplarz.

Francesca złapała chłopca za ramię, a Margherita powiedziała: – Ale my chcemy kupić starą książkę! Sprzedaje ktoś takie w Villaggio Sogno?

– Idźcie do *Signore Malipiero*! – odburknął chłopak ze złością.

– Jak go znajdziemy?

– Będzie w swoim sklepie.

– A gdzie jest jego sklep? Zupełnie nam nie pomagasz!

– Wy też nie pomagacie mi w pracy! – Chłopiec zatrzymał się, by sprzedać kolejną gazetę.

– Gdzie jest sklep *Signore Malipiero*?

Zirytowany gazeciarsz odwrócił się ku dziewczynkom.

Wskazał palcem kierunek i polecił im iść w stronę rynku, skręcić przy tawernie ze słowem *Ubriacone* w nazwie oraz wizerunkiem ogromnego kufła na szyldzie, a następnie podążać przed siebie, póki nie zobaczą zakładu krawieckiego.

– Nie da się go przeoczyć, chyba że jesteście jeszcze głupsze, niż się wydajecie – ciągnął. – Potem musicie skręcić jeszcze raz – przy tych słowach znów wskazał palcem kierunek – i z pewnością zobaczycie sklep *Signore Malipiero*. W przeciwnym razie wróćcie, a ja zwrócę wam pieniądze. Jak mnie tu nie znajdziecie, to po prostu o mnie zapytajcie. Nazywam się Guglielmo Pipistrello. A teraz żegnam.

I wyciągnął dłoń. Francesca położyła na niej monetę. *Signorino Pipistrello* odwrócił się, by podjąć zachwalanie gazety. Margherita i Francesca podążyły za wskazówkami. Dotarły do rynku, gdzie ujrzały

pomnik. Miedziana, pozieleniała ze starości płyta głosiła, iż przedstawia on Chaos rodzący Porządek, lecz Marghericie przypominał on raczej wielką rybę lub delfina, który wymiotuje kulą ziemską. Na miedzianej płycie umieszczono również nazwisko rzeźbiarza oraz datę wykonania pomnika, który w istocie okazał się bardzo stary. Wokół spacerowali młodzieńcy z pannami, ciesząc się blaskiem słońca, a między nimi biegały dzieci, kopiąc piłkę i zajadając słodycze. Nad rynkiem górowała Wielka Wieża z zegarem i żelaznymi drzwiami, które kryły w sobie przedstawienie odgrywane na koniec dnia.

Tawerna znajdowała się dokładnie tam, gdzie przedstawił to Guglielmo Pipistrello, zakład krawiecki również.

Dziewczynki zatrzymały się przed sklepem. Stało tam drewniane koryto wypełnione starymi książkami, a szklana witryna była do tego stopnia zasnutą kurzem i pajęczynami, że nie dało się dostrzec niczego w środku. Nad korytem wisiała ręcznie sporządzona notka, z której wyczytały, że jedna książka kosztuje drobną monetę, trzy książki dwie monety, a za cały stosik należy zapłacić dużą monetą.

Nad drzwiami znajdował się również szyld, nie wymalowany, lecz wydrążony w drewnie: *ETTORE MALIPIERO, DOSTAWCA WSZYSTKIEGO, CO RZADKIE A CENNE*.

Margherita i Francesca popatrzyły po sobie.

- Chłopiec powiedział, że u *Signore Malipiero* dostaniemy starą książkę.
- Powiedział też, że znajdziemy jego sklep niedaleko krawca.
- I że na zewnątrz stoi koryto pełne tanich książek.

Margherita pochyliła się nad książkami i wybrała taką, która wyglądała obiecująco. Nauczyła się czytać jeszcze jako małe dziecko, w tym samym czasie, gdy poznawała nuty. Jej najwcześniejsze książki stanowiły mieszankę ilustracji, muzyki i opowieści. Uczyła ją mama. Ottavio, brat dziewczynki, potrafił już wtedy czytać, co zmobilizowało ją do współzawodnictwa. Rywalizując z bratem, ćwiczyła czytanie i grę na srebrnym flecie z taką pasją, że wkrótce przyćmiła jego umiejętności.

Książka wyglądała na starą i tak też pachniała. Podniszczona okładka uniemożliwiała odcyfrowanie tytułu, więc Margherita przewróciła ją i przeczytała: *Trzy wyprawy do odległych krain autorstwa Silvia di Filippo*.

Nigdy nie słyszała o tym pisarzu, ale z drugiej strony nie znała ich przecież wielu. Jacopo Mursino oraz Carle Zennatello kojarzyła tylko dlatego, że ojciec o nich opowiadał. Przeczytał wszystkie dostępne tomy monumentalnego poematu Mursina i marzył, by przeczytać ten zaginiony. Jednakże, co sam powtarzał niejednokrotnie podczas rodzinnych posiłków, nie był w tym osamotniony – marzyło o tym wielu fascynatów literatury.

Mówił również, że kiedyś bardzo chciał zdobyć dwie książki Zennatelli, które uznawano za błogosławione. Niestety, o nieliczne z jej dzieł, które przetrwały próbę czasu, zaciekle rywalizowano. Gdyby swego czasu udało mu się je zdobyć, podarowałyby je w prezencie urodzinowym Ottaviowi oraz Marghericie, ale życie potoczyło się inaczej i w kołysce Ottavia złożył cenne skrzypce, a w kołysce Margherity srebrny flet wykonany przez jej przodka, Alceo. Dzięki tym darom dzieci wzrastały z instrumentami, które miały się stać ich pierwszymi rzeczami posiadanymi na własność, a także najwcześniejszymi towarzyszami zabaw.

Obok Trzech wypraw do odległych krain Margherita znalazła egzemplarz książki, którą już znała. Były to *Melodie i rytmy dla maluchów* pióra Claudii Beluzzo. Uwielbiała wprost tę książkę, kochała zamieszczone w niej kolorowe ilustracje małych zwierzątek, ptaków, zółwi i niedźwiedzi. Przy każdej z nich znajdował się krótki wierszyk i prosta lekcja muzyczna. Margherita grała wszystkie te melodie na miniaturowym, dziecięcym flecie – była wówczas zbyt mała, by grać na srebrnym flecie Alceo – a zwierzątka tańczyły do muzyki. Tak się jej przynajmniej wydawało, choć mama utrzymywała, że w istocie tak było.

Niespodziewanie zadumę Margherity przerwał głośny pisk Franceski. Dziewczynka odwróciła się i ujrzała, jak jej przyjaciółka przyciska do piersi jakiś tomik.

– To *Minisculo minisculo*! Uwielbiałam tę książkę! Wciskałam ją pod poduszkę, gdy szłam spać! Czytałam ją, aż się w końcu rozpadła na kawałki! A tu oto w moje ręce wpada kolejny egzemplarz!

Dziewczynki przygotowały się, by wejść do środka. Za ich plecami ciągnęła się wąska uliczka kryta kocimi łbami, w niczym nie przypominająca szerokiego traktu, przy którym zostawił je *Signore Azzurro*. Próżno też było tu szukać kolorów i ożywienia, jakie widziały na

rynku wokół pomnika i u stóp wieży. Sama uliczka tonęła bowiem w półmroku, a biegnące wzdłuż niej budynki wyglądały na bardzo stare. Ich górne piętra zdawały się pochylać ku sobie, zakrywając cieniami bruk i odcinając dopływ ciepłego blasku słońca.

Coś smukłego przemknęło po drugiej stronie uliczki – cień być może zielony, choć raczej szaroczarny, a na dodatek najprawdopodobniej pokryty łuskową lub szorstką skórą. Czyżby w Villaggio Sogno żyły pancerniki? A może to był wąż?

Lecz nie, pomyślała Margherita, miał przecież nogi. Poruszał się jednak zbyt szybko jak na żółwia wodnego. Może mały krokodyl podobny do tych, które zdaniem Cyganów zamieszkują bagna wzdłuż rzeki Nil w ich ojczystej krainie?

Bez względu na to, czym była owa istota, zanurkowała w mroczny, zalany cieniem zaułek między dwoma domami.

Na końcu uliczki pojawiła się stara kobieta w czepcu opadającym na twarz, z dłońmi skrytymi w długich rękawach, i zaraz zniknęła w innej alejce. Przemknął wóz ciągnięty przez wołu wysokiego niczym mężczyzna, a szerokiego jak szopa. Woźnica, człowiek o niesamowicie rozrośniętych barach, miał na sobie kapelusz z szerokim rondem.

Niosąc trzy książki, Margherita i Francesca weszły do sklepu. Ledwie jednakże przekroczyły próg, wpadły na mężczyznę tak wysokiego, iż musiały pochylone cofnąć się na zewnątrz. Nieznajomy był chudy jak szczapa, a wzrostu dodawał mu jeszcze spiczasty kapelusz z fioletowego filcu. Warknąwszy na dziewczynki, odepchnął je łokciem, a potem wypadł na ulicę.

W środku Margherita i Francesca ujrzały najwyżej piętnastoletniego chłopca o włosach koloru zmielonego jęczmienia i oczach w kolorze toni rzeki Fiume. Uszy sterczały mu z czupryny niczym skrzydła kruka, a przez jego lichą koszulę wystawały kości ramion. Jej rękawy były już przykrótkie i wystawały z nich nadgarstki przypominające dwa guzły.

– *Signorine* – zwrócił się do dziewczynek. – Cóż mogę dla was zrobić? Czy chciałbyście zakupić książki?

Wycenił wzrokiem tomy wybrane przez Margheritę i Francescę z koryta.

– Niech no rzucę okiem, jeśli można. – Wyszedł z za drewnianej lady

pociemniałej ze starości i wytartej do połysku przez niezliczone ludzkie dłonie i sterty przesuwanych po niej książg.

Dziewczęta ułożyły książki na ladzie, a chłopak obejrzał je, kiwając z aprobatą głową.

Francesca pisnęła po raz drugi. Margherita postanowiła w myślach, że porozmawia z przyjaciółką na ten temat. Przebywanie z osobą, która każdą drobną niespodziankę kwituje tak, jakby niespodziewanie zstąpił z nieba anioł skrzydlaty otoczony nimbem płomieni, było doprawdy zawstydzające.

– Cóż to... cóż to takiego? – sapnęła Francesca.

Margherita odwróciła się w porę, by ujrzeć ciemny kształt znikający za zasłoną wiszącą w przejściu na tyłach sklepu.

– To tylko... To był taki...

– To był... – Francesca zamachała dłońmi na wysokości twarzy.

Chłopak za ladą pochylił się i przekręcił nieco głowę.

– A, to tylko Nero.

– Kto?

– Nero. Taki wielki pies. Psisko *Signore* Malipiero. Mieszka w sklepie. To wszystko.

– Nie! – Francesca pokręciła głową. – To nie był pies. To coś miało skórę jak jaszczurka.

– Nie – tym razem zaprotestowała Margherita. – To coś miało pióra. Może i było w kształcie psa, ale pokryte było piórami. Może to był... zaraz, jak to się nazywa... Gryf?

– Jaki znowu gryf? – zdziwiła się Francesca. – Słyszałam o gryfach, czytałam o nich i widziałam je na obrazkach. Wiem, że to baśniowe stworzenia.

– Doprawdy? – Margherita wyglądała na rozzłoszczoną. – A więc pewnie był to Rok!

– Miał przecież łuski!

– Pióra!

Chłopiec w koszuli z przykrótkimi rękawami wyszedł zza lady i odwrócił się w kierunku zasłony.

– Nero, chodź tu! Chodź do Peppina!

Zasłona zakołysała się, ukazując nos lub też dziób, aż w końcu wypełznąła z niej cały czworonóg.

W rzeczy samej, przecież to gryfon!, pomyślała Margherita. Gryfon z pazurzastymi łapami i opierzeniem niczym ptak.

Zacisnęła mocno powieki, a potem znów je uniosła. Jej oczom ukazał się zwykły pies z krótką ciemną sierścią i kwadratowym pyskiem, który właśnie wpychał w dłoń chudego chłopaka.

Margherita odwróciła się ku przyjaciółce. Ta stała nieruchomo, zakrywając usta.

– Byłam pewna, że to jaszczurka – powiedziała. – Ale teraz widać, że to tylko pies.

Kucnęła na poskrzypujących deskach i zarzuciła ręce na szyję Nero. Tymczasem chłopak sięgnął za ladę, skąd wyciągnął dwa suchary.

– Dajcie mu po przysmaku, a stanie się waszym przyjacielem po wsze czasy.

Dziewczynki po kolei częstowały psa swoim sucharem, a on zajadał je ze smakiem, machając ogonem z wdzięcznością.

– A zatem masz na imię Peppino – Margherita zwróciła się do chłopca.

– Do usług. – Peppino machnął ręką w parodii ukłonu. – Peppino Campanini. Jestem czeladnikiem księgarza i uczę się o cudach i manuskryptach.

Margherita i Francesca przedstawiły się.

– A zatem chcecie kupić tylko te trzy skarby z naszej skrzyni z okazjami? – Chłopiec wydał z siebie przesadnie głośne westchnienie. – Mój mistrz będzie wielce niezadowolony, jeśli nie uda mi się sprzedać wam niczego lepszego. – Uniósł trzy książki, a jego brew powędrowała wyżej. – Przyznaję jednak, że to dobry wybór – powiedział. – O, znalazłyście *Minisculo minisculo*. To dla tej książki tu przyszłyście? *Signore Malipiero* zawsze dorzuca kilka malutkich skarbów do koryta. Udało wam się wybrać je wszystkie tego dnia, moje drogie panie. *Minisculo, Melodie i rytmy, Tre Viaggi* – poza tymi książkami w korycie nie ma już nic wartościowego. Nie będziecie się chyba upierać, by kupić te trzy skarby zaledwie za jedną monetę?

– Ale tak jest napisane na zewnątrz.

– Oczywiście, oczywiście, ale nie spodziewamy się, by każdy klient był aż tak bystrooki jak wy, pani, i wasza towarzyszka.

– A co jeszcze macie na stanie?

Peppino Campanini zasłonił oczy, jakby chciał powstrzymać wzbierające łzy, a potem opuścił bezsilnie dłonie.

– Jesteście zbyt sprytne! Nie umiem sobie z wami poradzić!

Raz jeszcze wychylił się przez ladę, tym razem bardzo daleko. Margherita miała wrażenie, że chłopiec zaraz straci równowagę i polecą prosto do jej stóp, ale jakoś zdołał się uchronić przed upadkiem.

– *Signore Malipiero! Signore Malipiero!* Klienci!

Siedzący do tej pory Nero nagle powstał i prześlizgnął się na zaplecze. Po chwili wrócił, ciągnąc za mankiet mężczyznę o czerwonej twarzy i siwych włosach. Starzec nosił okrągłe okulary tak brudne, że Margherita zaczęła się zastanawiać, co przez nie widzi i po co w ogóle zawraca sobie głowę ich zakładaniem. Miał na sobie wypłowiałą koszulę w wielkie, czarne kropki i spodnie tak znoszone, że ich koloru nie sposób było się domyślić. Jedną z jego rąk unieruchomił Nero, w drugiej trzymał zaś zniszczoną, wielką księgę. Spomiędzy stron wystawały kawałki papieru. Staruszek trzymał też w środku palce, by nie zapomnieć, gdzie skończył czytać.

Zmrużył oczy, patrząc na chudego chłopaka.

– Peppino, za co ja ci płacę? Dlaczego mnie wołasz za każdym razem, gdy przychodzi klient?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się ku dziewczynkom i ukłonił głęboko. Miał okrągły, pękaty brzusek, przez co sapnął z wysiłku, gdy się prostował.

– Czego sobie panie życzą? Jakiegoś proszku, eliksiru, czegokolwiek, co pomogłoby wam w nauce bez konieczności ślęczenia nad podręcznikami? Czegoś, co by sprawiło, by uganiali się za wami chłopcy, czegoś... – Przerwał i przyjrzał im się uważniej. – Wybaczcie mi, proszę. Dwie takie piękności nie potrzebują żadnej pomocy w tej kwestii. Macie swoich chłopców, prawda? Więc pewnie potrzebujecie czegoś innego? Jakiegoś talentu? Nie, z tego, co widzę, obie macie wielkie talenty. A zatem czego pragniecie?

– Moja przyjaciółka chciałaby kupić prezent urodzinowy dla ojca –

wytłumaczyła Francesca.

– Aha. – Staruszek kiwnął głową.

– On uwielbia książki – dodała Margherita.

– Aha – powtórzył. – Cóż, przybyłyście więc do właściwego miejsca. Nazywam się Ettore Malipiero, a oto mój sklep. I z tego, co widać, sprzedaję tutaj książki.

Wykonał zamaszty ruch ręką, którym ukazał całą zawartość sklepu, a także Nero, Peppina, tajemnicze królestwo za zasłoną, uliczkę na zewnątrz i najprawdopodobniej również całe Villaggio Sogno.

– Jak się nazywacie, młode *Signorine*? I jakiej to książki twój ojciec się spodziewa? Musicie same się o to zapytać: cóż uszczęśliwi mego ukochanego ojca tego dnia?

– On kocha stare książki – powiedziała Francesca.

– Bardzo stare – uzupełniła Margherita. – I inne stare rzeczy też, ale przede wszystkim stare książki.

– Dobrze, dobrze – rzekł staruszek. – Stare książki to przecież najlepsze książki.

Nero obwąchał dłoń Margherity. Najwyraźniej z chęcią schrupałby jeszcze jednego sucharka, ale dziewczynka nie miała już nic do jedzenia. Pochyliła się, by przeprosić psa, a wtedy kątem oka dostrzegła *Signore* Malipiero. Było w nim coś dziwnego, coś, co przeczyło jego uprzejmej, przyjaznej postawie. Wyprostowała się i znów ujrzała tego samego staruszka co poprzednio, uśmiechniętego do obu dziewczynek i psa. Na granicy pola widzenia spostrzegła z kolei Nero – to, co ujrzała, nie było już przyjaznym zwierzakiem; było czymś zupełnie innym, czymś, co natychmiast się zmieniło, gdy spojrzała na to uważniej.

– Ile macie pieniędzy? – zapytał staruszek.

Margherita i Francesca naradziły się. Na początku dnia miały przy sobie wszystkie oszczędności, ale zapłaciły *Signore* Azzurro za podwiezienie do miasta i dorzuciły spory napiwek, by mieć pewność, że po nie wróci wieczorem. Obiad w Honshu Kekko Ryori również kosztował sporo grosza, a potem jeszcze kupiły gazetę od Guglielma Pipistrellego, by nakłonić go do pokazania im drogi do księgarni.

– Niezbyt wiele – powiedziała Francesca. – Niezbyt wiele, co? A zatem



dlaczego przyszłyście do mojego sklepu? Nie wiecie, że w całym Villaggio Sogno nie ma lepszego miejsca, by szukać prawdziwych białych kruków? Być może twój ojciec, *Signorina*, wolałby jakiś proszek? Ile ma lat? Czy nie traci aby swych sił? Może potrzebuje czegoś, co pomaga mężczyznom w pewnym wieku odzyskać siłę i energię? Mogę zaproponować całkiem korzystną cenę, a twój ojciec będzie wdzięczny. Twoja matka zresztą też, zapewniam cię.

– Nie, chcemy książkę.

– Cóż, dobrze. – *Signore* Malipiero podrapał się po głowie.

Margherita była niemalże pewna, że widzi iskry strzelające z jego włosów, nigdy wcześniej nie słyszała też odgłosu, jaki towarzyszył temu drapaniu.

– Być może więc twemu ojcu spodoba się jakaś nowa książka? Nawet dzisiaj można natknąć się na wielu utalentowanych pisarzy, *Signorina*. Czy twój ojciec czytuje Cesare Zampieri? Znakomite pióro, jego dzieła inspirują do mężnych, szlachetnych czynów. Znam nawet pewnego człowieka, który nieszczęśliwie się ożenił i trwał w tym związku od wielu lat. Całe jego życie wypełniły próby zniesienia zrzędlivej żony i wymagającej córki – proszę mi wybaczyć bezpośredniość, *Signorina*, jestem tylko starym człowiekiem, proszę mi wybaczyć – aż przeczytał książkę Zampieriego. Podjął wtedy pewną ważką decyzję. Obudził się w nocy, gdy wszyscy domownicy smacznie spali i...

Przerwał nagle i uśmiechnął się, jakby zawstydzony sobą samym.

– Bardzo mi przykro, ale to chyba zbyt delikatna sprawa, by ją opowiadać dwóm tak wrażliwym damom. Nie, Zampieriego jednak bym nie polecił. Może więc rozważania Oreste Rongi? Tak, sądzę, że Oreste Ronga będzie wspaniałym podarkiem dla ojca tak uroczej młodej damy.

Następnie zwrócił się ku Francesce.

– Jestem przekonany, że ojcu twojej przyjaciółki spodoba się Ronga. Czy ty znasz tego pisarza? Niezmiernie utalentowany. Nie? Nie znasz jego rozważań? Niedaleko stąd znajduje się księgarnia, która sprzedaje współczesne książki. Codziennie wysyłam tam klientów, nazywa się Libri e Libretti. Należy wyjść z mojego sklepu i skręcić... O co chodzi, *Signorine*?

Obie dziewczynki marszczyły brwi.

– Chodzi nam o starą książkę! – prawie krzyknęła Margherita.

– O starą książkę! – powtórzyła Francesca.

Staruszek westchnął.

– Skoro nalegacie... Cóż, chodźcie za mną. Zobaczą, czy uda mi się coś znaleźć, może chociaż jakiś pomarszczony od wody, wypłowiały kodeks bez grzbietu i podpisu autora.

Coś potarło dłoń Margherity. Dziewczynka spojrzała w dół i dostrzegła cofającą się pazurzastą łapę, lecz był to tylko Nero.

– Wydaje mi się, że pies chce jeszcze sucharka – powiedziała do Peppina.

– Już prawie pora obiadu – odparł chłopak. – Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Nero stanął na tylnych łapach. W tej pozycji był dostatecznie wysoki, by sięgnąć lady i na chwilę oprzeć się o nią łapami. Zostawił na niej kilka rzędów równoległych zadrapań. Jak na zwykłego psa, miał niezwykle ostre pazury, przypominające bardziej szpony drapieżnego ptaka.

*Signore* Malipiero mruknął coś cicho do asystenta, a ten aż pobladł. Sięgnął pod ladę po sucharka i rzucił go psu.

– Chodźcie. – Ettore Malipiero stał w progu, tuż obok zasłony przegradzającej sklep. – Chodźcie za mną, drogie panie, a zobaczą, co się da zrobić, by znaleźć odpowiedni prezent na urodziny waszego ojca. Jesteście siostrami?

– Nie, jedynie sąsiadkami i dobrymi przyjaciółkami – odpowiedziała Francesca.

– Aha, dobrze.

Staruszek wprowadził je do drugiego pomieszczenia. Podobnie jak w pierwszym, stało tam wiele, bardzo wiele półek z książkami, ale sam pokój był dziwaczny, z pięcioma ścianami zamiast czterech. Przy dwóch z nich rzędy książek biegły od podłogi ku sufitowi, przy dwóch kolejnych od sufitu do podłogi, a przy ostatniej ciągnęły się w obie strony.

W pomieszczeniu znajdowało się też sporo szafek i komódek, każda z wielką ilością szuflad – a wszystkie drewniane, choć gałki i uchwyty, sądząc po wyglądzie, wykonano z rzadkiej kości słoniowej. Jeśli tak, to zapewne musiano ją sprowadzić aż z dalekiej Abisynii.

Środek pokoju był w zasadzie pusty, zajmowały go jedynie dwa

drewniane krzesła.

Na szafkach i komodach stały kandelabry ze świecami oraz lampy olejne. Kiedy dziewczynki weszły do środka, paliła się tylko jedna, rzucając cienie na ściany. Migotliwy płomień sprawiał, że pokój wydawał się dwakroć ciemniejszy niż w był w rzeczywistości, ale *Signore Malipiero* przytknął słomkę do ogienka, by następnie rozniecić inne lampy i świece.

– Spocznijcie – powiedział. – Przyniosę wam kilka książek. Och, siedzę w tym fachu od wielu, wielu lat, moje młode damy. Kupowałem i sprzedawałem książki i inne rzeczy znacznie dłużej, niż możecie sobie wyobrazić. Doskonale wiem, co mam na stanie. O tak.

Podszedł do jednej ze ścian i stał przy niej przez chwilę, studiując zawartość biblioteczki z dłonią zaciśniętą na podbródku, który najwyraźniej od wielu dni nie zetknął się z brzytwą. Drugą dłoń uniósł na próbę, jakby już chciał ująć książkę, ale ciągle zmieniał zdanie: nie, nie ta, może tamta? W końcu wydał z siebie westchnienie pełne satysfakcji i ściągnął z półki pewien wolumin. Nie zaniósł go jednak dziewczynkom, a miast tego podszedł do drewnianej szafki i położył księgę na płask, tak że blask kandelabru zamigotał na czerwonej okładce.

Margherita zauważyła, że płomyki świec i lamp chwiały się, jakby poruszył nimi wiatr i rzeczywiście, nagle sama odczuła chłodny powiew na policzkach i ramionach. Spojrzała na Francescę i ujrzała, jak kosmyk włosów przyjaciółki unosi się wraz z podmuchem.

*Signore Malipiero* przeszedł przez pokój i uklęknął, by sięgnąć do najniższego rzędu książek. Wyciągnąwszy tom w brązowej oprawie, przyglądał mu się przez moment, a potem wsunął go z powrotem na miejsce. Dziewczynki usłyszały zaś jego pomruk: – Nie, nie... Ten się nie nada. Ten się nie nada dla żadnego ojca, nie nada się na żadne urodziny...

Wyciągnął kolejny tom poznaczony śladami zamierzchłej przeszłości, tym razem oprawiony na żółto.

– A ten? Ten zadowoli człowieka, który mógłby być rodzicem takiej córeczki.

Położył żółtą księgę tuż obok czerwonej.

Raz jeszcze przeszedł przez pokój. Stał przy jednej ze ścian, a wtedy wyrosła przy niej drabina. Margherita nie spuszczała staruszka z oczu,

odkąd przeszli przez zasłonę, a teraz przyglądała się jego wspinaczce. Wyglądało na to, że jest naprawdę stary, zresztą wszystko w tym sklepie wydawało się stare za wyjątkiem czeladnika, Peppina Campaniniego.

Margherita śledziła staruszką wzrokiem do chwili, gdy zniknął w ciemnościach.

Jak wysoki jest ten pokój?, zadała sobie w myślach pytanie. Jak wysoko sięgają półki z książkami? Jak wysoko będzie się wspinał *Signore Malipiero*?

Z góry dobiegło posapywanie oraz odgłosy wytężonego pchania. Drabina zadrżała. Margheritę zdjął nagle lęk, że staruszek straci równowagę, że *Signore Malipiero* spadnie z wysokości i złamie sobie kark. Co by się wtedy stało?

W końcu u góry pojawiły się stopy w znoszonych butach, potem nogi, plecy i wreszcie tył głowy. Stanąwszy na podłodze, staruszek odwrócił się ku dziewczynkom. Cały był w kurzu i sadzy – trudno osądzić, w czym bardziej. W rękach ścisnął ogromną księgę, której czarna okładka szerokością przerastała jego pierś, zaś długością sięgała od kolan aż po ramiona.

*Signore Malipiero* zatoczył się i z trudem przeszedł przez pokój, by położyć wielkie tomiszczę obok dwóch pozostałych.

Pochylił się i wysunął szufladę w szafce, skąd wyciągnął parę starych miechów. Zamknął szufladę, obszedł szafkę i skierował miechy prosto na trzy księgi, a potem dmuchnął na każdą z nich.

Znad woluminów uniosły się obłoki kurzu. Natychmiast porwał je ów podmuch, który wcześniej odczuły dziewczynki. Margherita otworzyła usta i aż westchnęła przestraszona, co nie było najmądrzejszą decyzją, ponieważ połknęła przy tym spory kłęb kurzu. Usłyszała, jak Francesca popełnia ten sam błąd. Tymczasem kurz uformował chmurę, w której wirowały i przeplatały się ze sobą trzy kolory. Ku swemu zaskoczeniu, Margherita ujrzała w niej inne, przerażające miejsce.

Była to największa sala, jaką kiedykolwiek widziała, sala niemająca końca. Kamienną podłogę pokrywała gruba warstwa szarego kurzu. Wyrastały z niej słupy grubsze w obwodzie od najgrubszych drzew i biegingy ku górze, by zniknąć wysoko w ciemnościach. Rzędy owych słupów

ciągnęły się we wszystkich kierunkach i Margherita obróciła się dookoła, niepewna, czy nadal znajduje się w księgarni, czy też może już w owym niezwykłym miejscu. Usiłowała się zorientować w sytuacji, lecz miast tego tylko zakręciło jej się w głowie. Otaczała ją szarość, która dalej przechodziła w czerń. Powietrze było zimne, ale wychwytywała w nim zatechny zapach, zaś w ustach czuła nieprzyjemny, dławiący posmak.

Skierowała wzrok ku górze. Nie widziała szczytów słupów ani wspieranego przez nie sklepienia, wokół niepodzielnie panowała ciemność. Coś zimnego i bardzo jasnego wylądowało na jej twarzy. Starła to natychmiast i ujrzała drobną smużkę na palcu, zupełnie jakby dotknęła płatka śniegu, który składał się nie z zamrożonej wody, lecz z namokniętego kurzu.

Między słupami ciągnęły się rzędy bloków o długości wozu i szerokości łóżka, sięgające jej do pasa. Na szczycie każdego z nich coś leżało, przykryte płachtą przypominającą delikatne płótno.

Wszystko było szare.

Stał tam również Ettore Malipiero, lecz już nie jako dobrotliwy, choć mało delikatny sprzedawca z księgarni – wyglądał teraz jak coś całkowicie odmiennego, coś złego i przerażającego. Przybrał postać owej istoty, którą Margherita dostrzegła kątem oka. Towarzyszył mu Nero. On również uległ przemianie z przyjaznego ogara ze sklepu w to okropne zwierzę, które zdawała się przez moment widzieć.

Chciała pochwycić dłoń Franceski, lecz zimny letarg odebrał jej zdolność ruchu.

Istota będąca Ettorem Malipiero pochyliła się nad Margheritą oraz Francescą, trzymając trzy księgi. Choć sama jakby niknęła za półprzezroczystą warstwą szarości, okładki foliałów miały wyraziste kolory. Księgarz położył czerwony na kolanach Franceski, a żółty na kolanach Margherity. Sam nadal trzymał czarny, lecz nie był już owym kruchym człowieczkiem, który ledwie mógł go udźwignąć. Stał się gigantem większym od brata Margherity, większym nawet od jej ojca. Jego skóra również nie przypominała skóry starego człowieka, zaś w ciele pojawiło się tyle siły, że trzymał przed sobą otwartą księgę równie łatwo, jak dziecko trzyma pierwszą czytanekę.

Twarz nie miała wiele wspólnego z ludzką. Przypominała oblicze jaszczurki, a gdy otworzył usta, oczom dziewczynek ukazały się rzędy połyskujących zębów, spomiędzy których wystrzelił język rozdwojony na końcu niczym u węża. Głos Malipiero brzmiał teraz jak coś pomiędzy ludzką mową a syczeniem.

Księgarz odwrócił się i zaczął wyciągać szuflady szafki. Marghericie przeszło przez myśl pytanie, w jaki sposób komody znalazły się między gigantycznymi kolumnami, ale jej uwagę szybko przykuł widok zakrzywionych szponów, którymi Malipiero łapał za gałki z kości słoniowej. Zacerpnął ze środka jakiegoś proszku i na wpół mówiąc, na wpół sycząc niezrozumiałe słowa, posypał nim świece. Z płomyków wystrzeliły raptem kolorowe snopy światła, czerwone, żółte i czarne na tle panującej wokół szarości.

Następnie Malipiero ujął płytką miskę i napełnił ją proszkiem, po czym podszedł bliżej i dmuchnął w kierunku dziewczynek.

Margherita poczuła dolatujący z jego ust odór zjełczałego oleju. Wstrzymała oddech, nie chcąc wciągać w płuca specyfiku stworzonego przez istotę, która była *Signore* Malipiero, lecz proszek unosił się wokół i w końcu musiała dać za wygraną. Gwałtownie zacerpnęła oddechu i raptem odniosła wrażenie, że się unosi. Nie potrafiła stwierdzić, czy sama dryfuje w zimnym, cuchnącym powietrzu, czy też trzymają ją pokryte łuską ramiona *Signore* Malipiero. Wewnątrz jej głowy wzrastał napór, jakby umysł miał za moment eksplodować. Zaciśnęła powieki i usiłowała myśleć jedynie o mamie, ojcu, Ottaviu, Francesce.

Gdy otworzyła oczy, uświadomiła sobie, że nadal znajduje się w owym obcym, szarym świecie, nadal widzi wielkie kolumny, prostokątne bloki, kamienie pokryte kurzem i odległą ciemność. Jedyna różnica polegała na tym, że mogła dostrzec koniec ogromnej sali. Daleko, daleko od niej rzędy słupów kończyły się, podobnie jak rzędy bloków, a zaczynała ciemność, pośród której migotały gwiazdy. Kilka płatków brudnego śniegu spadało z nieba.

Istota będąca Ettorem Malipiero pochyliła się nad blokiem. Przykrywające go płótno poruszyło się jak pod wpływem wiatru, chociaż Margherita nie odczuła żadnego podmuchu. Podrygiwało, jakby ukryta pod

nią rzecz zaczęła się niemrawo poruszać. *Signore* Malipiero zerwał płachtę i pochylił oblicze ku temu, co znajdowało się pod spodem. Margherita zdołała dostrzec jedynie to, że ów blok leżał na kamieniach – resztę przesłoniła sylwetka *Signore*.

Uniosła wzrok. Płótna na innych blokach również drgały, poruszane przez wiatr lub przez to, co sobą zakrywały. Wokół panowała niemalże całkowita cisza, lecz gdzieś w oddali rozlegał się jakiś głos. Tak, Margherita była tego pewna – jakiś słaby i osobliwie smutny głos.

Kształty wyłaniające się spod szarych płócien przypominały wężowo jaszczurkowatą postać Malipiero. Niektóre były mniejsze i z jakiegoś niezrozumiałego dla siebie powodu Margherita pomyślała, że to z pewnością dziewczynki. Zacisnęła powieki, próbując zrozumieć, co właśnie ujrzała, ale nic to nie dało. Gdy je na powrót uniosła, zobaczyła, jak Malipiero podchodzi do kolejnego bloku, ściąga kolejną płachtę i pochyla się ze smutkiem nad wężowo jaszczurkowatą dziewczynką.

To świat śmierci, pomyślała nagle Margherita. A to są córki stworzenia, które my widzimy jako Ettore Malipiero. Jest potworem, ale mimo to jest również ojcem. Chciał je ocalić, chciał je sprowadzić do mojego świata.

Takie zapewne było zadanie owego proszku, owej mieszaniny żółci, czerwieni i czerni. Dała się nabrać na *un fascino*. Nie istniał żaden *Signore* Malipiero, a w każdym razie nie człowiek o takim imieniu. Istniała jedynie ohydna wężowo jaszczurkowata istota, pochodząca z tego oto świata zmarłych oraz jego dwie wężowo jaszczurkowate córki. Margherita zrozumiała, że ich ojciec zdołał w jakiś sposób przedostać się z tego świata do jej własnego, pięknego świata pełnego życia i radości, ale nie potrafił porzucić córek. Nie był człowiekiem, lecz na swój ohydny sposób przypominał ludzi, przypominał ludzkich ojców.

Niespodziewanie Margherita uświadomiła sobie, że odczuwa ogromne współczucie dla węzo–jaszczurki Malipiero i niemalże bolesną wspólnotę z jego córkami. Były dziewczynkami niepodobnymi do niej i do Franceski, ale mimo to coś je łączyło. Cóż się stało z ich matką? Czy zajmowała kolejny kamienny blok? Czy leżała pod inną szarą płachtą? Margherita tego nie wiedziała. Nie wiedziała też, co się stanie z nią i z Francescą.

Malipiero pochylił się nad nimi, a także nad ciałami córek. Trzymał coś,

co przypominało wielką czarną księgę, oraz miskę, która z pewnością zawierała kolorowe proszki spalone wcześniej w księgarni. O ile to była w ogóle księgarnia! A jeśli cały ten sklep stanowił tylko złudzenie? Jeśli był to zakryty iluzją świat śmierci, który wtargnął do jej własnego świata, świata Margherity?

Nagle rozległ się ledwie słyszalny łopot, przypominający łopot skrzydełek owada w letnią noc i w oddali pojawiła się niewielka plamka. Wychynawszy zza najdalszych słupów, poruszała się wśród odległych ciemności oraz szarego śniegu, zmierzając w kierunku Margherity. Jest potworem, ale mimo to jest również ojcem. Chciał je ocalić, chciał je sprowadzić do mojego świata.

Takie zapewne było zadanie owego proszku, owej mieszaniny żółci, czerwieni i czerni. Dała się nabrać na *un fascino*. Nie istniał żaden *Signore Malipiero*, a w każdym razie nie człowiek o takim imieniu. Istniała jedynie ohydna węzowo–jaszczurkowata istota, pochodząca z tego oto świata zmarłych oraz jego dwie węzowo–jaszczurkowate córki. Margherita zrozumiała, że ich ojciec zdołał w jakiś sposób przedostać się z tego świata do jej własnego, pięknego świata pełnego życia i radości, ale nie potrafił porzucić córek. Nie był człowiekiem, lecz na swój ohydny sposób przypominał ludzi, przypominał ludzkich ojców.

Niespodziewanie Margherita uświadomiła sobie, że odczuwa ogromne współczucie dla węzo–jaszczurki Malipiero i niemalże bolesną wspólnotę z jego córkami. Były dziewczynkami niepodobnymi do niej i do Franceski, ale mimo to coś je łączyło. Cóż się stało z ich matką? Czy zajmowała kolejny kamienny blok? Czy leżała pod inną szarą płachtą? Margherita tego nie wiedziała. Nie wiedziała też, co się stanie z nią i z Francescą.

Malipiero pochylił się nad nimi, a także nad ciałami córek. Trzymał coś, co przypominało wielką czarną księgę, oraz miskę, która z pewnością zawierała kolorowe proszki spalone wcześniej w księgarni. O ile to była w ogóle księgarnia! A jeśli cały ten sklep stanowił tylko złudzenie? Jeśli był to zakryty iluzją świat śmierci, który wtargnął do jej własnego świata, świata Margherity?

Nagle rozległ się ledwie słyszalny łopot, przypominający łopot skrzydełek owada w letnią noc i w oddali pojawiła się niewielka plamka.



Wychynawszy zza najdalszych słupów, poruszała się wśród odległych ciemności oraz szarego śniegu, zmierzając w kierunku Margherity i pozostałych. Rosła z każdą chwilą, aż okazało się, że to człekokształtna istota, idąca w pozycji wyprostowanej niczym człowiek bądź węzojaszczurka. Nie była jednak ani jednym, ani drugim.

Zmieniony Ettore Malipiero wyprostował się i odwrócił ku przybyszowi, a ten przystanął. Wygładził płachtę przykrywającą jedną dziewczęcą postać, a potem drugą, położył dłoń na ramieniu Malipiero i przyciągnął go ku sobie. Margherita pomyślała, że przybysz próbuje pocieszyć Malipiero, lecz ten niespodziewanie pochwycił go w szponiaste łapy i cisnął na najbliższy słup.

Przybysz zderzył się ze słupem i padł na podłogę, wzbijając tumany gryzącego pyłu. Skoczył na równe nogi, lecz Malipiero już przy nim stał, ciął szponami, gryzł ostrymi, błyszczącymi kłami. Toczyli się po podłodze jak dawno temu ojciec Franceski i jego rywal w walce o względy jej matki, ale powodem tego starcia było coś innego niż miłość.

Co miało się stać z Francescą oraz Margheritą, gdy walka dobiegnie końca? Margherita doszła do wniosku, że *Signore* Malipiero znalazł sposób, by sprowadzić ją i jej przyjaciółkę do tego świata. Chciał je tu zostawić na wieczność, na kamiennych blokach, przykryte ciężkimi płachtami i coraz grubszymi warstwami zimnego kurzu. On zaś miał powrócić do świata Villaggio Sogno z własnymi córkami, których miejsce oddał Francesce i Marghericie.

Ettore Malipiero i nieznany przybysz wciąż zmagali się wśród kłębow kurzu.

Margherita złapała Francescę za ramię. Zacisnęła spierzchnięte wargi i spróbowała zagwizdać melodię, której swego czasu stara Allegra Chiavolini uczyła wszystkie dzieci w miasteczku. W zaschniętych ustach czuła smak kurzu i śmierci, nie zdołała wydać z siebie niczego poza nic nieznaczącym świstem. Naraz z rozpaczą zamarzyła o srebrnym flecie, o owym cudownym flecie swego przodka, Alceo, lecz instrument znajdował się w jej pokoju daleko stąd. W nagłym przebłysku intuicji pochwyciła ozdobne pikolo, które wpięła w kaftanik Franceski. Drżącymi palcami wyrwała upominek i przytknęła go do ust.

Czy był to prawdziwy flet, choć malutki? Czy uda jej się wydobyć z niego choćby nutkę? Otwory znajdowały się przerażająco blisko siebie, ale przynajmniej rozmieszczono je we właściwych miejscach. Dmuchnęła raz w ustnik, a potem skupiła się na melodii, której Allegra uczyła dzieci, melodii, która zdaniem starej nauczycielki mogła przegnać wszelkie złudzenia i ukazać ukrytą pod nimi prawdę.

Udało się. Dźwięki były ciche i przenikliwe, ale każda nuta radośnie rozbrzmiewała w zimnym powietrzu.

Martwy świat zniknął.

Masywne słupy, kamienne bloki, nieruchome postacie przykryte całunami, odległa ciemność, gwiazdy i śnieg z kurzu – wszystko to znikło.

Margherita siedziała razem z Francescą w sklepie. Ale czy naprawdę była to księgarnia? Dziewczyna zamrugła i uświadomiła sobie, że nie przebywa w osobliwym pokoju z pięcioma ścianami, należącym do Ettore Malipiero, Dostawcy Wszystkiego, co Rzadkie a Cenne. Znajdowała się w innym sklepie, otoczona manekinami odzianymi w niewykończone szaty, przytrzymywane w miejscu szpilkami. Ściany udekorowane były rysunkami najróżniejszych elementów garderoby. Dwie, nie, aż trzy szwaczki siedziały w kółku i gadały jak najęte, zajmując się przy tym pracą. Starsza kobieta, najpewniej właścicielka warsztatu, rozmawiała z klientem i pokazywała mu próbki wyrobów.

Margherita nie mogła się opanować i skupiła uwagę na zajęciach szwaczek, próbując jednocześnie przysłuchać się rozmowie. Każda z kobiet pracowała nad cudną wprost szatą, z których pierwsza była w kolorze wesołej żółci, druga śmiałej czerwieni, a trzecia ponurej czerni, rozjaśnionej wzorkiem z migotliwych diamentów i onyksów.

Pierwsza szwaczka mówiła:

– Mam nadzieję, że *Signorina A.* będzie zadowolona z tej złotej szaty w czasie podróży poślubnej. Wiem, że ze swym nowym mężem będzie szczęśliwa.

Druga powiedziała:

– Ja z kolei mam nadzieję, że Madonnie B. spodoba się ta karmazynowa suknia na występy w salach koncertowych. Jestem przekonana, że przyciągnie zainteresowanie, o jakim marzy każda diva.

Trzecia, uśmiechnięta, również dorzuciła swoje trzy grosze: – Ja zaś wiem, że La Duchessa C. będzie zadowolona z tej ciemnej sukni. Żeby tak młoda i energiczna kobieta wychodziła za tak wiekowego i chorowitego Il Duca... Osobiście zamówiła tę suknię i przykazała surowo, by Il Duca nie zobaczył ani nawet nie dowiedział się, że La Duchessa przygotowuje się na nieuniknione.

Margherita ścisnęła dłoń przyjaciółki, bezskutecznie próbując stłumić chichot.

Starsza kobieta obejrzała się zaniepokojona.

– A kim wy jesteście, młode damy? Co robicie w moim warsztacie? Nie widziałam, byście wchodziły.

Następnie zwróciła się do szwaczek, wywołując je kolejno po imieniu.

– Czy któraś z was widziała, jak te dziewczęta wchodzi do sklepu? Znać je może?

Szwaczki pokręciły głowami.

– Nie, Madonna, nie.

– Czy przysłał was mój rywal? – zapytała właścicielka ze złością. – Szpiegujecie tu, co? Chcecie zobaczyć moje nowe wzory i skraść mi je?

Dziewczynki zaczęły protestować, ale kobieta nie dała im dojść do słowa.

– Zjeżdżać stąd! Zjeżdżać z mojego sklepu! Nie ma was tu, albo zawołam mego syna Peppino i nakażę mu, by wam spuścił tęgie lanie kijem od miotły! Wracajcie tam, skąd żeście przyszły, i powiedzcie jej, by sama sobie wymyślała wzory, jeśli ma ochotę ze mną konkurować!

Pogonione przez rozwścieczoną właścicielkę zakładu krawieckiego, Margherita i Francesca wybiegły na ulicę. Wryty w drewnie i pomalowany sztyld wiszący nad wejściem głosił: *ELEANORA CAMPANINI: DOSTAWCA PIĘKNYCH SZAT I UŻYTECZNEJ GARDEROBY.*

Dziewczynki uściskały się i ruszyły chodnikiem, chcąc odtworzyć drogę na rynek. Gdy skręciły w pierwszą uliczkę, a potem w następną, natknęły się na księgarnię o nazwie Libri e Libretti. Bez większych nadziei weszły do środka i zapytały o *Lavori di Hipocrita* pióra pana Mursino lub o jedną z książeczek z zagadkami autorstwa Carli Zennatello.

Sprzedawca uśmiechnął się krzywo i odpowiedział: – Nie widziałem ich, odkąd siedzę w tym interesie, młode panie. Nigdy ich nie widziałem.

Kupiły więc nową książkę jako podarunek dla ojca Margherity i opuściły sklep.

Gdy wychodziły na zewnątrz, pewna niezwykle wysoka postać, do tej pory ukryta w ciemnym zaułku, ruszyła ich śladem. W tajemniczy sposób zdołała wyprzedzić dziewczynki i stanąć im na drodze.

Te zatrzymały się i spojrzały w twarz tego samego człowieka, który odepchnął je w drzwiach sklepu Ettore Malipiero. Nieznajomy uśmiechnął się do nich spod spiczastego kapelusza.

– Przypadkowo usłyszałem, o co pytałyście w Libri e Libretti...

– Proszę, *Signore*, idziemy już do domu!

– Oczywiście, oczywiście, *Signorina*, przecież nie chcę wam w niczym przeszkadzać. Ale jeśli szukacie książek *Signore* Mursino lub wielkiej Carli Zennatello, być może jestem w stanie wam pomóc.

Pokłonił się i przedstawił.

– Nazywam się Ragno Distruttore.

Ów wysoki człowiek zdawał się pochylać nad głowami obu dziewczynek, jak gałęzie wierzby pochylają się nad powierzchnią stawu.

– Ma pan te książki? – spytała Francesca.

– Niestety, *Signorina*, nie w tej chwili. Ale od czasu do czasu książki wpadają w me ręce, podobnie jak inne rzadkie i cudowne rzeczy. Gdybyście zechciały kiedyś zajrzeć do mojego sklepiku, pokażę wam drogę do niego choćby i w tej chwili.

Francesca już chciała ruszyć jego śladem, lecz Margherita położyła jej dłoń na ramieniu.

– Spójrz w niebo. Jest już późno. *Signore* Azzurro odjedzie bez nas.

– Tak, racja – przytaknęła Francesca. – Przykro nam, *Signore* Distruttore, ale nie możemy.

– Cóż, czy zatem mogę zaproponować spotkanie w innym czasie? Znajdziecie mój sklepik i dom na Piazza Campo Sereno.

– Nie znam tego miejsca.

– Z pewnością odnajdziecie je bez najmniejszych trudności. Wystarczy spytać kogokolwiek o drogę. Jeśli napotkany człowiek nie będzie znał nazwy tego placu, zorientuje się, o który chodzi, kiedy wspomnicie o pomniku wielkiej sopranistki Lucrezii Spina di Rosy, słynnej śpiewającej

statuy Villaggio Sogno. Gdy już tam dotrzecie, znajdziecie też mój dom, bo podobnie jak ja góruję wzrostem nad ludźmi, tak on nad innymi budowlami. Możecie odwiedzić mnie za dnia lub w nocy, cierpię bowiem, jak widzicie, na chroniczną bezsenność. To brzemię, które muszę znosić. W moim oknie zawsze migoce lampka.

– Chodźmy już, Francesco! Musimy iść! – Margherita ciągnęła przyjaciółkę za rękaw.

– Ależ, Margherito, *Signore* Distruttore...

– Musimy iść!

– Ale...

– *Signore Distruttore, addio* – Margherita odciągnęła przyjaciółkę od patykowatego nieznajomego. Mężczyzna zamachnął się na nią długą chudą ręką. Chciał ją pochwycić szponiastymi palcami, ale Margherita zdążyła zrobić unik. Ragno Distruttore puścił się za dziewczynkami w pogoń. Dzięki długim nogom pokonywał przestrzeń wielkimi susami, ale mimo to został z tyłu, zupełnie jakby szybko tracił siły. Dziewczynki zaś uciekały ile tchu, a potem zatrzymały się na ulicy pośród rozradowanych kobiet i mężczyzn, wreszcie czując się bezpiecznie.

Słońce już niemalże zachodziło. Na uliczkach Villaggio Sogno jak zwykle panował gwar, lecz tym razem w tłumie przeważali robotnicy wracający do domów i ludzie spieszący na wieczorne biesiady. Dziewczynki przystanęły przed salą muzyczną. Ze środka dobiegały odgłosy strojenia instrumentów, a śpiewacy przygotowywali głosy na wieczorny występ.

– Dlaczego odciągnęłaś mnie od *Signore* Distruttore? – zapytała Francesca.

– Nie podobał mi się ten człowiek. Czegoś się w nim przestraszyłam.

– Ale powiedział, że może pomóc nam znaleźć te książki.

– My już mamy książkę. Ojciec będzie musiał się obyć bez Mursino czy Zennatello. Nie wiem, o co chodziło *Signore* Distruttore, ale wiem, że gdybyśmy poszły za nim, pożałowałybyśmy tego gorzko. Jesteś zbyt ufna, Francesca. O wiele zbyt ufna.

– Po tym dniu nie będę się bać niczego – parsknęła Francesca. – Uciekłyśmy przecież potworom, droga Margherito! Czy po tym wszystkim naprawdę mogłabym się przestraszyć jakiegoś chudzielca?

Margherita poczuła, że pora na zmianę tematu.

– Jest mi przykro z powodu *Signore Malipiero*.

– I z powodu jego córek – zgodziła się Francesca. – Zwłaszcza z powodu jego córek. Ciekawe, czy miały imiona. Ciekawe, co się z nimi stało.

Pokręciła głową.

– Z pewnością umarły. Ich świat był światem śmierci. Ich ojciec próbował je ocalić, próbował dokonać wymiany.

– Nas na nie – uzupełniła Margherita. – Tak; nas na nie. Lecz okazało się, że trzeba będzie wymienić je na nas. Stały jeszcze przez chwilę na ulicy. Mężczyźni i kobiety mijali je, zmierzając w różnych kierunkach, pędząc w różne strony w sobie tylko znanych celach.

W drodze powrotnej do Mercato Monumentale Margherita i Francesca zauważyły Guglielmo Pipistrello, który nadal sprzedawał *Il Popolo di Sogno*. Tym razem chłopiec uśmiechnął się do dziewczynek, ale te jedynie zadarły nosy i przeszły obok w milczeniu.

*Signore Azzurro* czekał przed wielkim składem handlowym.

– Gotowe na powrót? – zapytał.

Dziewczynki wdrapały się do *carrozzy*, a woźnica strzelił z bicia nad końskim łbem i zagwizdał. Powóz ruszył, oddalając się od krawężnika, w kierunku wysokiego mostu, rzeki Fiume i domu.

– Bardzo żałuję, że nie udało nam się znaleźć tego brakującego tomu poematu Mursina, o którym marzy ojciec – powiedziała Margherita. – Bądź też którejś z książeczek Zennatello.

Prezent, który nabyły w *Libri e Libretti*, owinięty w kolorowy papier i przewiązany urodzinową wstążką leżał na jej kolanach.

– Sądzisz, że jednak powinniśmy były udać się do sklepu *Signore Distruttore*? – zapytała Francesca.

– Oczywiście, że nie! – Margherita pokręciła zdecydowanie głową.

– Teraz tak mówisz. Teraz. Ale przecież kiedyś wrócimy do Villaggio Sogno, wiesz o tym. Chciałabyś zobaczyć ten pomnik Lucrezii Spina di Rosy. Nie zgodzisz się ze mną?

– Może.

Gdy *carrozza* zjechała z wysokiego mostu na drugi brzeg rzeki Fiume i skręciła ku domowi, dziewczynki obejrzały się w kierunku Villaggio Sogno.

Słońce znikło już za murami i wieżami, a ciemniejące niebo migotało dziesiątkami gwiazd. W oddali widać było światła domów i placów, gdzie rodziny gromadziły się na kolacje, aktorzy wystawiali komedie i tragedie, ukochani wymieniali podarunki i flirtowali przy posiłkach zakrapianych winem, piwem czy miodem. Jednym z owych światełek mogła być latarenka w oknie *Signore Distruttore*.

Któregoś dnia, pomyślała Margherita, opuścę dom rodzinny i wyruszę w podróż, być może do Villaggio Sogno, być może dalej, ku szerokiemu światu. Może ujrzę nawet krainę Honshu, w której żyją ludzie mówiący łagodnymi głosami, noszący wspaniałe ubrania i zachowujący się w osobliwy sposób.

Poczuła, jak ogarnia ją senność. Wiedziała, że *Signore Azzurro* odstawi je bezpiecznie do domów, więc położyła głowę na ramieniu przyjaciółki i zasnęła.

**Doug Hornig** (ur. 1943) jest prawdopodobnie lepiej znany z opowiadań detektywistycznych aniżeli fantastycznych. Bohater większości z nich to weteran z Wietnamu, Loren Swift, a tekst, który zapoczątkował cykl, *Foul Shot (1984)*, został nominowany do *Edgar Award*. Hornig napisał jednak znacznie więcej – w tym trochę poezji, książkę o *World Series* w roku 1975, a nawet piosenkę. Nic z tych rzeczy jednakże nie jest w stanie przygotować cię na opowieść, w której dostąpisz kontaktu z magią komputerową.

## **Doug Hornig**

### **GRA MAGICZNEJ ŚMIERCI**

– Nie chcę sałatki – powiedział Billy Sampson. – Nie lubię sałatek. Poza – tym mam mnóstwo roboty.

Jego rodzice byli tak zacofani, że nie odróżniliby CPU od BMW. Jakikolwiek rozmowy z nimi miały się z celem. W erze elektronicznej znaczyli tyle, co dinozaury.

– Billy – odezwała się jego matka. – Nie obchodzi nas, co za cudaczny program komputerowy masz napisać tej nocy. Jeśli nie zapewnisz ciała odpowiedniej ilości witamin, nie będziesz w stanie napisać własnego imienia. Jedz.

Billy przepychał sałatkę widelcem po talerzu z miejsca na miejsce. To przecież tylko garstka rozmoczonych warzyw! Mimo to nawet nie próbował tłumaczyć rodzicom, że gdy dorwiesz nową grę jako pierwszy dzieciak w okolicy, to po prostu musisz ją wypróbować. Od tego przecież zależała pozycja wśród rówieśników. Nie próbował też wspominać o ekscytacji, jaką wywoływało w nim nieznanne. Należało jednak uciszyć rodziców, więc w jakiś sposób zdołał wcisnąć w siebie większość sałatki, nieomal się przy tym dławiając.

– Czy teraz mogę już wstać od stołu?



– A nie chcesz deseru, Billy?

– Może później.

– W porządku. Ale spróbuj położyć się o przyzwoitej godzinie, dobrze?

Billy szybko podreptał do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Rodzice opanowali przynajmniej tę jedną lekcję – szanowali jego prywatność. Jeśli drzwi były zamknięte, nie przeszkadzali mu, chyba że sam zaprosił ich do środka.

Jego IBM stał na biurku milczący, obojętny, lecz kryjący w sobie moc. Nie był to najlepszy komputer na rynku. Jeśli porównać wydaną kwotę z oferowanymi możliwościami, to tak naprawdę był to jeden z najgorszych modeli. Litery IBM widniejące na obudowie przypominały jednak, że mimo wszystko Billy zostawił konkurencję daleko z tyłu. Pod jego system operacyjny pisano więcej nowych programów i gier niż na jakikolwiek inny. Z tego właśnie względu sprzedał poprzedni komputer i kupił ten, a niektórzy z jego przyjaciół z lokalnej sieci hakerów zrobili to samo. Inni postanowili trzymać się komputerów opartych na systemie CPM czy Apple, dzięki czemu jako grupa nadal byli wszechstronni.

Ostrożnie i z uczuciem Billy wyjął dyskietkę z opakowania. Stał się jej właścicielem całkiem przez przypadek, dzięki czemu miał pewność, że żaden z chłopaków jeszcze jej nie dorwał. Jak co tydzień czytał właśnie Computer World i zerknął na dział z ofertami pracy, co czynił doprawdy rzadko. Dostrzegł niewielką ramkę, najprawdopodobniej umieszczoną tam przez pomyłkę: „Magiczna śmierć – dla IBM PC oraz modeli kompatybilnych, nowość ze studia Personal Computer Odysseys, Homer, AK 99603, cena – 59,95\$”. Billy nigdy wcześniej nie słyszał o mieście Homer na Alasce, a już tym bardziej o Personal Computer Odysseys, lecz nie było w tym niczego zaskakującego. Studia komputerowe pojawiały się i znikaly szybciej, niż ktokolwiek mógłby się w tym połapać. Teraz trafił na kolejne, które właśnie wydało nową grę. Kosztowała co prawda odrobinę za dużo, ale opłacało się wyłożyć trochę grosza, by być pierwszym z bandy. Billy wysłał czek jeszcze tego samego popołudnia.

Gra przyszła pocztą pięć dni później. Kolejna zagadka. Ile czasu potrzeba, by poczta dotarła na Alaskę i wróciła? Z pewnością więcej niż pięć dni. Do dyskietki dołączono kartę z trzema linijkami tekstu:

## *PERSONAL COMPUTER ODYSSEYS*

*NASZA SPECJALNOŚĆ TO SZYBKA OBSŁUGA PERSONALNA DZIĘKUJEMY  
ZA OCZEKIWANE ZAMÓWIENIE*

Wszystko jedno, co to właściwie miało znaczyć.

Billy nie lubił rozpatrywać kwestii, na które nie miał żadnego wpływu. Może i była to jakaś dziwna firma, ale co z tego? W branży funkcjonowało przecież sporo dziwaków. Liczyła się jakość produktu. Wsunął dyskietkę do stacji i uruchomił komputer, a potem załadował gry.

Na ekranie pojawiły się słowa:

*DZIEŃ DOBRY, PANIE SAMPSON. CZY CHCIAŁBY PAN ROZPOCZAĆ GRĘ  
MAGICZNA ŚMIERĆ? JEŚLI TAK, PROSZĘ WCISNĄĆ RETURN.*

Gra zna moje nazwisko?, zdziwił się Billy. Ach, więc o to chodzi z tą obsługą personalną.

Wcisnął return i ujrzał kolejny ekran.

*WYBIERZ POZIOM GRY: POZIOM 1: ŚMIERĆ LOSOWA POZIOM 2: ŚMIERĆ  
WIELOKROTNA POZIOM 3: ŚMIERĆ MIĘDZYLUDZKA POZIOM 4: ŚMIERĆ  
TWÓRCY*

*POZIOM 5: ŚMIERĆ WŁASNA WYJDŹ Z GRY*

Super. Każda przyzwoita gra musi mieć poziomy trudności. Z doświadczenia Billy wiedział, że niższe poziomy będą dla niego zbyt proste. Był doskonałym graczem. Zawsze rozpoczynał grę z wyższego poziomu niż ktokolwiek inny. Był przecież mistrzem. Bez wahania wybrał poziom piąty.

Podaruję sobie zabawę dla dzieci, myślał.

*BRAK DOSTĘPU*

Szlag by to trafił! No dobra.

Spróbował poziom czwarty, potem trzeci i drugi, lecz za każdym razem widział ten sam komunikat. W końcu niechętnie wybrał poziom pierwszy.

## *ŚMIERĆ LOSOWA. TWOIM PRZECIWNIKIEM JEST:*

Nastąpiła dziesięciosekundowa przerwa, po której pojawiło się nazwisko Jeffrey Highport. Potem Billy ujrzał ekran, u góry którego widniał napis: *WYBIERZ TRZY RODZAJE BRONI*, a poniżej dwa tuziny propozycji.

Billy czuł, że spodoba mu się ta gra. W opakowaniu nie było instrukcji obsługi, przez co nie miał pojęcia, jaką broń wybrać i jak będzie uzbrojony jego przeciwnik. Ciekawe. Musi poznać grę i opracować strategię na własnych błędach.

Wybrał nieprzeniknioną osłonę, manewr wymijający oraz laser ciepłoczuły, a zatem jedną broń ofensywną, jedną defensywną oraz taką, której można użyć zarówno w obronie, jak i w ataku. Dobra kombinacja.

*TWÓJ PRZECIWNIK SPOŻYŁ SUBSTANCJĘ CHEMICZNĄ, KTÓRA OBDARZYŁA GO WIELKĄ DETERMINACJĄ, ALE ZMNIJSZYŁA JEGO MOBILNOŚĆ. JEGO POJAZD MKNIE KU TOBIE Z OGROMNĄ PRĘDKOŚCIĄ, ZDERZENIE NASTĄPI ZA X SEKUND. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

Jakże prymitywna strategia, całkiem niegodna kogoś tak doświadczonego jak Billy. Z osłony z pewnością mógł skorzystać tylko raz, gdyż w przeciwnym razie chowałby się za nią bez końca i gra utraciłaby dynamikę. Gdyby zaś aktywował osłonę zbyt szybko, jego przeciwnik prawdopodobnie wykonałby zawczasu unik i ograniczył jego możliwości obrony. Należało więc uruchomić osłonę w chwili, gdy pęd pojazdu będzie zbyt wielki, by uniknąć kraksy. Póki co Billy zdecydował się tylko go spowolnić.

Wpisał:

*LASER CIEPŁOCZUŁY*

*X=30. POJAZD CZĘŚCIOWO UNIERUCHOMIONY, ZDERZENIE ZA X SEKUND. ODPALONO POCISK O PROSTEJ TRAJEKTORII. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

Póki co nie najgorzej. Trzydzieści sekund to mnóstwo czasu, przeciwnik zdołałby wyminąć osłonę. Billy przyłożył mu laserem, a jego koordynacja była osłabiona na skutek spożycia środka chemicznego. Przy założeniu, że

rozpoczęli starcie z podobnym arsenałem, nadchodził czas, by przejąć inicjatywę.

### *NIC NIE ROBIĘ*

*X=35. POCISK PRZESZEDŁ BOKIEM. POJAZD PRZECIWNIKA DOKONUJE SAMONAPRAWY. ZDERZENIE ZA X SEKUND. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

Billy czuł, że zyskał przewagę. Samonaprawa z pewnością należała do broni defensywnych, a zatem jego przeciwnikowi pozostała do dyspozycji tylko jedna. Pora zwabić go bliżej i zniszczyć.

### *MANEWR WYMIJAJĄCY*

*X=10. POJAZD PRZECIWNIKA WŁĄCZYŁ DOPALACZE. ZDERZENIE ZA X SEKUND. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

Kolejne wydarzenia następowały po sobie zbyt szybko, by sprawdzać, czy gra działała w trybie czasu rzeczywistego, więc Billy błyskawicznie wpisał odpowiedź:

### *NIEPRZENIKNIONA OSŁONA*

*X=3. ZDERZENIE. POJAZD PRZECIWNIKA ZNISZCZONY. PRZECIWNIK ZNEUTRALIZOWANY. WYGRAŁEŚ, BILLY SAMPSON.*

Zaraz potem ekran pociemniał. Nie pojawiło się menu początkowe, nie było dalszych instrukcji, nic. Billy próbował wszystkich znanych mu metod, ale nie udało mu się zmusić komputera do jakiegokolwiek reakcji. Wyłączył nawet peceta i włączył go ponownie. Nadal nic.

Co się, do cholery, dzieje?! To nie *fair!* Bez wątpienia miał do czynienia z ciekawą grą, ale nie zapłacił prawie sześćdziesięciu dolców za coś, co wywała kompa na pierwszym poziomie! Nim położył się spać, ułożył w myślach paskudny list do ludzi z Personal Computer Odysseys.

Drugi dysk przyszedł następnego dnia. Czekał na niego, gdy Billy wrócił do domu.

A więc po ukończeniu pierwszego poziomu należało załadować kolejny dysk? Ciekawe. Być może drugi dysk reaktywuje pierwszy, by ktoś inny również mógł w to zagrać. To byłoby ok.

Odłożył jednak grę na bok. Zdecydował, że zagra później – poczeka, aż zniecierpliwienie weźmie nad nim górę.

Po kolacji ojciec zapytał:

– Billy, czy mogę z tobą poważnie porozmawiać?

– Pewnie, tato.

I znowu to samo. Billy wiedział, co zaraz usłyszy: że marnuje czas na ten głupi komputer i że jego oceny w szkole są coraz gorsze. Na szczęście nauczył się już wpuszczać takie gadki jednym uchem, a wypuszczać drugim.

Usiedli w salonie.

– Posłuchaj, synu – zaczął ojciec. – Za kilka miesięcy rozpoczniesz kurs na prawo jazdy. Mam nadzieję, że wiesz, jaka się kryje za tym odpowiedzialność.

– Pewnie, tato – odpowiedział Billy.

Chyba nie będzie aż tak źle.

– Billy, nie jestem pewien, czy ty nie popijasz alkoholu. Pijesz, synu?

– Zdarza się, że obalę sobie piwko. Wiesz, z kolegami.

– Dziękuję ci za szczerość. Nie potępiam tego, rzecz jasna. Ja sam również z chęcią wypijam jakiś koktajl od wielkiego dzwonu, jak pewnie zauważyłeś. Tym niemniej chciałbym, żebyś mi jedno obiecał.

– Co masz na myśli, tato?

– Omówiliśmy tę kwestię z twoją matką. Chcemy oboje, żebyś nam przyrzekł, że gdy już dostaniesz prawo jazdy i wypijesz sobie jedno za dużo, to po nas zadzwonisz. My cię zawieziemy do domu. Obojętnie, która to będzie godzina, przyjedziemy po ciebie. Wystarczy, że zadzwonisz. Wolimy, żebyś nas wyrwał w nocy z łóżka, niż przeżyć kiedyś... Przeżyć kiedyś coś takiego.

Ojciec podał Billy'emu popołudniową gazetę. Na pierwszej stronie znajdowała się fotografia szerokości trzech kolumn tekstu, przedstawiająca wrak trudnego do zidentyfikowania samochodu.

– Zginął taki młody chłopak. Ledwie o rok starszy od ciebie. Przyrzekniesz nam, synu?

– Pewnie, tato. Jasna sprawa – odparł Billy. I tak nigdy nie wypijał dużo.

– Dziękuję. Doceniamy to.

Billy rzucił okiem na krótki artykuł pod zdjęciem:

*Jeffrey Highport, lat siedemnaście, pochodzący z Crozet, zginął wczoraj wieczorem, gdy stracił kontrolę nad pojazdem i uderzył w betonowy wspornik mostu na autostradzie międzystanowej 64. Według raportów policji kierowca wracał z imprezy w Charlottesville, gdzie spożywano alkohol, choć nie była to bezpośrednia...*

Nagle przerwał czytanie i szeroko otwartymi oczyma spojrzął jeszcze raz na nazwisko. Zamarł. Jeffrey Highport.

Bardzo powoli odłożył gazetę na tapczan. W ustach poczuł suchość. Przesunął językiem po wargach.

– Co się stało, synu? – zapytał ojciec.

– Uff, to naprawdę okropna historia, tato. Nie musicie się o mnie martwić. Mnie to nie grozi. Nie, nie mnie.

Wstał, poszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Nie.

Zbieg okoliczności. To musiał być zbieg okoliczności. To przecież niemożliwe, by... Przez ponad godzinę siedział na łóżku i obracał w dłoniach nowy dysk, zastanawiając się, co zrobić. Zbieg okoliczności. Takie rzeczy dzieją się bez przerwy. Jakiś facet idzie sobie na ryby, łapie wielkiego okonia, rozpruwa mu brzuch, a tam obrączka ślubna, którą wrzucił do jeziora dwadzieścia lat temu. Takie rzeczy się zdarzają.

Nie, to nieprawda. Nie zdarzają się, a przynajmniej nie takie. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: Billy Sampson w jakiś sposób spowodował śmierć okolicznego chłopaka, którego nigdy wcześniej nie widział na oczy. Brzmiało to jak szaleństwo, ale nie umiał wyjaśnić tego w inny sposób. Śmierć Jeffreya nie ulegała wątpliwości.

Rozmyślał na ten temat i po jakimś czasie doszedł do wniosku, że się jednak myli. Istniało przecież jeszcze inne wytłumaczenie, a mianowicie takie, że Jeffrey miał tej nocy zginąć. Było mu to pisane. Było mu pisane, że tego właśnie dnia wypije za dużo, a gdy wsiądzie do samochodu, czeka go kraksa. Gra otworzyła jedynie swego rodzaju okno, w którym Billy przelotnie ujrzał drobny wycinek przyszłości.

W tym wypadku nie ponosił żadnej odpowiedzialności. Mógł jedynie

spróbować wykorzystać to, co właśnie odkrył, w jakimś dobrym celu.

Tymczasem należało zrobić jedno, nawet pomimo nieprzyjemnych doświadczeń tego popołudnia. Nikt na całym świecie nie postąpiłby inaczej. Billy włączył peceta i wsunął nową dyskietkę do stacji.

*WITAMY ZNÓW, PANIE SAMPSON. CZY CHCE PAN KONTYNUOWAĆ GRĘ  
MAGICZNA ŚMIERĆ?*

Wcisnął return.

Pojawiło się znajome menu. Billy czuł, że pojął już zasady gry, ale mimo to spróbował wybrać poziom piąty, a potem czwarty, trzeci i pierwszy. Nie dziwił się, gdy na ekranie wyskakiwał komunikat o braku dostępu. Zasady nie uległy zmianie, wybrał więc poziom drugi.

*ŚMIERĆ WIELOKROTNA. TWOIMI PRZECIWNİKAMI SĄ:*

Chwila przerwy...

*ROBERT ARCHER, BELINDA ARCHER, SALLY ARCHER, COOKIE ARCHER.  
WYBIERZ BRONŃ:*

Na tym poziomie menu wyglądało zupełnie inaczej. Billy przyjrzał mu się uważnie, usiłując odnaleźć jakiegokolwiek prawidłowości. Za pierwszym razem wybrał broń dość szybko i zwyciężył starcie, na wyższym poziomie gra mogła być jednak bardziej wymagająca. Tym razem będzie potrzebował czegoś więcej niż tylko odpowiedniego wyczucia czasu. Przyda się coś, z czego można porządnie postrzelać.

Dokonał wyboru.

*TWOI PRZECIWNICY SĄ ZABARYKADOWANI W FORTECY I  
PRZYGOTOWUJĄ TRUJĄCY GAZ. Z CHWILĄ ZAKOŃCZENIA PRODUKCJI  
GAZ STANIE SIĘ ŚMIERTELNĄ BRONIĄ. MASZ 15 MINUT. TWOJA  
ODPOWIEDŹ:*

Teraz to od niego oczekiwano pierwszego posunięcia. Billy zamyślił się i po dziesięciu minutach postanowił, że zadziała tak, by przeciwnicy wzięli jego poczynania za próbę zastawienia pułapki. W pierwszej kolejności skorzystał więc z najlepszej broni.

## *OGNISTA STRZAŁA*

*PRZECIWNICY NIE ZDOŁALI ZAMKNAĆ OSŁON NA CZAS. FORTECA STANEŁA W OGNIU. URUCHOMIONO ZRASZACZE. TWOJA ODPOWIEDŹ: KOŃ*

*PRZECIWNICY ATAKUJĄ PRZY POMOCY KUSZY. ATAK BEZSKUTECZNY. EKSPLOZJA TRUJĄCEGO GAZU PRZED UGASZENIEM OGNIA. FORTECA ZNISZCZONA. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

Wszystko poszło po jego myśli. Gaz eksplodował, a on znajdował się w bezpiecznej odległości. Niebawem będzie po wszystkim. Chyba że o czymś zapomniał.

Oczywiście. Przemknął palcami po klawiaturze.

## *PANCERZ*

Przy założeniu, że gaz sam w sobie broni nie stanowił, jego przeciwnicy wykorzystali trzy z czterech przysługujących im broni. Pozostała jedna, co nie miało znaczenia, jeśli nie było komu jej użyć.

*WŁÓCZNIA OSTATNIEGO Z ARCHERÓW ZNEUTRALIZOWANA PRZEZ PANCERZ. TWOJA ODPOWIEDŹ: SIEKIERA. WSZYSCY PRZECIWNICY ZNEUTRALIZOWANI. WYGRAŁEŚ, BILLY SAMPSON.*

Ekran stał się czarny, ale tym razem Billy nawet nie próbował uruchomić komputera ponownie. Poszedł do łóżka i przez całą noc ciskał się i przewracał na prześcieradle, ścigany przez koszmary za każdym razem, gdy zapadł w sen.

Trzecia dyskietka pojawiła się w sobotę. Przez dwa wcześniejsze dni Billy nie opuszczał pokoju, obawiając się tej chwili. Po tym, jak usłyszał o losie rodziny Archerów, wrócił chory ze szkoły. Archerowie mieszkali w dzielnicy Belmont – Robert, który pracował dla firmy telefonicznej, jego żona Belinda oraz ich dwie córeczki. Tej nocy, gdy Billy kończył poziom drugi, w ich domu pękła rura z gazem. Wkrótce w pomieszczeniach zgromadziło się tyle gazu, że wystarczył płomień w junkersie, by



spowodować eksplozję. Troje członków rodziny spłonęło żywcem. Czwartym była starsza córka Sally, której pokój znajdował się najdalej od centrum wybuchu. Wyskoczyła z pierwszego piętra, nim ogarnęły ją płomienie. Gdy wylądowała, przewróciła się i uderzyła głową o kamień. Od uderzenia pękła jej czaszka.

O siódmej wieczorem do pokoju Billy'ego wszedł ojciec.

– Synu, wiem, jak paskudnie się czujesz, ale co powiesz na to, żebyśmy wyszli z mamą na parę godzin? Dziś jest to cholerne przyjęcie u Davida na High Street. Musimy tam pójść ze względu na interesy. Co powiesz? Dasz sobie radę?

– Jasne, tato.

– Dzięki. Wynagrodzę ci to jakoś.

Nawet dobrze się składało, że wychodzili. Billy nie mógł im przecież powiedzieć, co się stało. Zadzwoniliby natychmiast do kliniki uniwersyteckiej i umówili mu spotkanie z szefem wydziału psychiatrycznego. Poza tym, choć był wprost chory ze strachu, wiedział, że musi przejść poziom trzeci, a to najlepiej zrobić w samotności.

*ZNÓW SIĘ SPOTYKAMY, PANIE SAMPSON. JEST PAN PEWIEN, IŻ ŻYCZY PAN SOBIE KONTYNUOWAĆ GRĘ MAGICZNA ŚMIERĆ?*

Billy zawahał się, ale po chwili zdecydowanie wcisnął return. Następnie zaznaczył poziom trzeci. Tym razem program natychmiast wyświetlił kolejne menu.

*ŚMIERĆ MIĘDZYLUDZKA. BRONISZ: PANA I PANIĄ SAMPSON. WYBIERZ DWA TYPY BRONI.*

Dobry Boże! Zmienili dla niego zasady! Co gorsza, tym razem mógł wybrać jedynie dwa typy broni z dwudziestu czterech.

Na czoło wystąpił mu pot. Czy rozgrywka trwała w czasie rzeczywistym? Czy zegar już tykał? Nie miał bladego pojęcia. Przystudiował menu, nie mogąc się zdecydować, kolejne pomysły błyskawicznie pojawiały się i znikwały.

I nagle znalazł rozwiązanie. To takie proste! Tym razem miał wielką

przewagę – wiedział, gdzie są rodzice! Znając miejsce ich pobytu, od razu mógł wykluczyć wiele możliwości. A może nie? Może przytrafi im się coś innego? Wypadek samochodowy, zatruta kanapka, interwencja boska? Nie. Billy postanowił, że będzie się trzymał pierwotnego pomysłu. Dokonał wyboru broni.

*OSOBY BRONIONE ZOSTAŁY ZATRZYMANE PRZEZ ULICZNY GANG UZBROJONY W NOŻE. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

Bułka z masłem. Gra znowu stawiała go przed koniecznością wykonania pierwszego ruchu, ale przewidział zarówno to, jak i naturę zagrożenia. Potrzebował tylko jednego rodzaju broni. Wpisał słowo bez wahania:

*POLICJA*

*GANG ULICZNY PRZEKNANY PRZEZ SAMOCHÓD PATROLOWY. OSOBOM BRONIONYM NIE STAŁA SIĘ KRZYWDA. WYGRAŁEŚ, BILLY SAMPSON.*

Czarny ekran.

Billy wyrzucił dyskietkę do kosza na śmieci. Złe samopoczucie minęło. Panował już nad sytuacją. Był najlepszy.

Pół godziny później musiał wysłuchać opowieści rodziców o okropnym zdarzeniu. Z rozdziawioną gębą udawał, że słucha w napięciu, a fakt, że wyszli z tego bez szwanku, skwitował z głęboką, choć również udawaną ulgą. Tej nocy spał jak zabity.

Czwarty dysk przybył z następną pocztą. Billy był już gotowy. Gra na powrót stała się wyzwaniem. Pospiesznie zjadł obiad, dokończył nawet sałatkę, a potem pognął do pokoju.

– Oto mój syn, geniusz komputerowy – mruknął ojciec z sarkazmem do matki. – Nie ma czasu dla nas, zwykłych śmiertelników.

W tej samej chwili Billy wpatrywał się w kolejny ekran.

*CZY CHCESZ RZUCIĆ MI WYZWANIE W MAGICZNEJ ŚMIERCI, BILLY SAMPSON?*

Wcisnął return, a potem spędził długą chwilę, oglądając menu poziomą. Poziom czwarty nosił nazwę śmierć twórcy. Cóż to oznaczało? Z pewnością

jego przeciwnikiem nie był Bóg. A zatem kto? Twórca gry? Tak, bez wątpienia. Przecież w menu początkowym przeczytał: „Czy chcesz rzucić mi wyzwanie?”.

Ciekawe, jaki też będzie wynik starcia? Jego życie póki co nie było zagrożone, przecież dopiero poziom piąty nosił nazwę śmierć własna. Jeśli teraz miał stoczyć bój o życie twórcy, co się stanie, jeśli odniesie zwycięstwo? Czy będzie to oznaczać koniec gry?

Zastanawiał się nad zaznaczeniem opcji wyjdź z gry, ale nie miał pewności, co by się wtedy wydarzyło. Być może nie mógłby zagrać ponownie, a mimo wszystko nie chciał jeszcze kończyć gry. Wybrał więc poziom czwarty.

### *ŚMIERĆ TWÓRCY. WYBIERZ SZEŚĆ RODZAJÓW BRONI.*

A więc tak to wyglądało. Żadnej informacji o przeciwniku. Menu miało tę samą długość co zawsze, ale możliwość skorzystania z sześciu rodzajów broni oznaczała, że istnieje szansa na przeprowadzenie skomplikowanych akcji. Billy dokonał wyboru z wielką ostrożnością, mając nadzieję, że zmyli grę co do swoich intencji. Gdy zakończył, komputer wyświetlił komunikat:

#### *TWOJA ODPOWIEDŹ:*

W porządku, na razie wszystko było *fair*. Jeśli twórca naprawdę walczył o życie, zasługiwał na pewną przewagę na starcie. Gra wykonała pierwsze posunięcie, ale zażądała, by Billy określił sposób reakcji, jeszcze zanim się dowie, na czym ów ruch polegał.

Billy przypomniał sobie, że w trakcie dwóch poprzednich starć wykorzystał najlepszą broń na samym początku. Program mógł wyjść z założenia, że jego przeciwnik użyje tej samej taktyki po raz trzeci. Z drugiej strony mógł też dojść do wniosku, że właśnie z tego powodu tym razem Billy zachowa najlepszą broń na czarną godzinę. Wreszcie, na tym poziomie komplikacji, program mógł założyć, że Billy zmieni strategię i rozpocznie starcie tak jak podczas pierwszej rozgrywki, a zatem uruchomi podstawową broń defensywną. Tak więc Billy skorzystał z mniej groźnej broni ofensywnej.

*NALOT. SAMOŁOT ZNISZCZONY PRZEZ POCISKI NAPROWADZANE TERMICZNIE. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

Pomylił się, program precyzyjnie przewidział jego pierwszy ruch i skutecznie go zneutralizował. Wiedział, że teraz przystąpi do natarcia, zakładając, że Billy nie domyśli się tak logicznego posunięcia.

*MINY*

*CZOŁGI UTRACONE NA POLU MINOWYM. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

A zatem szli łeb w łeb i niespodziewanie Billy zrozumiał, że nadszedł decydujący moment. Nie mógł się mylić. Z jakiegoś powodu wiedział, że program wykona teraz manewr o mniejszym znaczeniu, więc nadeszła pora na atak z pełną mocą. Wpisał dwie komendy:

*NIEZNISZCZALNA OSŁONA ATOMOWA BOMBA TERMONUKLEARNA ELEKTROMAGNETYCZNA ZAPORA NIESKUTECZNA WOBEC BOMBY TERMONUKLEARNEJ. KWATERA GŁÓWNA ZNISZCZONA. WYGRAŁEŚ, BILLY SAMPSON. DZIĘKUJĘ ZA GRĘ. DO WIDZENIA I POWODZENIA.*

Ekran znów spowiła ciemność.

Wygrał.

Wiadomość pojawiła się na pierwszych stronach wszystkich popołudniowych gazet. Półwysep Kenai na Alasce nawiedziło trzęsienie ziemi z gatunku tych najgorszych. Szczególnie ucierpiało miasto Homer, które w znacznej części obróciło się w gruzy. Nikt nie potrafił oszacować liczby ofiar ani rozmiaru szkód.

Billy był wstrząśnięty. Nie miał wątpliwości, kto znajdował się wśród ofiar – twórca, z którym grał. Z tego też powodu jeszcze bardziej zaskoczyło go pojawienie się piątej dyskietki. Sądził, że jeśli twórca został pokonany na czwartym poziomie, nie będzie już piątego.

Teraz siedział przed komputerem i wpatrywał się w menu, które pojawiło się bez powitalnego komunikatu. Miał do wyboru poziom piąty lub opcję wyjdź z gry.

*ŚMIERĆ WŁASNA*

Cóż to oznaczało? Jego własna śmierć? Czy może śmierć bliżej nieokreślonej liczby osób? Jak będzie wyglądać ta bitwa? Jeśli wygra, czy zostanie nagrodzony? Z pewnością. Stawka była zbyt wysoka, bez wątpienia istniała jakaś nagroda. Ale co jest na tyle cenne, by ryzykować własnym życiem? Nie mijający dar widzenia przyszłości? Ekran milczał.

Dłoń Billy'ego zawisała nad klawiaturą. Życie czy śmierć? A może życie oraz śmierć? A jeśli tak, to czyje życie i czyja śmierć?

Palec uderzył w cyfrę 5. Natychmiast pojawił się komunikat:

*ŻYCIU LUDZKIEMU NA PLANECIE ZAGRAŻA EPIDEMIA NIEULECZALNEJ CHOROBY. NIE ISTNIEJĄ SPOSOBY NA JEJ ZATRZYMANIE.*

Komunikat zgasł.

*KLAWISZ „A” ALBO „B” MOŻE ZNEUTRALIZOWAĆ ZAGROŻENIE I SZCZĘŚLIWIE ZAKOŃCZYĆ GRĘ.*

Litery znów znikły.

*WCIŚNIJ „A” ALBO „B”, BY ZAKOŃCZYĆ GRĘ. TWOJA ODPOWIEDŹ:*

Pięćdziesiąt procent szans i żadnych podpowiedzi.

Billy Sampson zaczął wrzeszczeć. Wrzeszczał, wrzeszczał i nie mógł przestać. Patrzył na komunikat na ekranie i wydierał się wniebogłosy.

Do pokoju wpadł ojciec Billy ego. Złapał syna za ramiona i zaczął nim potrząsać.

– Synu, co się dzieje? Co się dzieje?!

Billy nie przestawał wrzeszczeć.

Ojciec Billy ego spojrzał na ekran.

– Och, na litość boską – powiedział i wcisnął „a”. W mieście St. Georges na Grenadzie, wyspie zajętej przez wrogie mocarstwa, mała, siedmioletnia dziewczynka zaczęła się ciskać w konwulsjach.

*Przez ostatnią dekadę napisałem już tyle wstępów do opowiadań autorstwa niezawodnego **Toma Holta** (ur. 1961), że nie jestem w stanie wymyślić nic nowego. Zresztą tego człowieka, autora ponad trzydziestu książek, począwszy od *Lucia in Wartime (1985)*, aż po *Barking (2007)* nie trzeba nikomu przedstawiać.*

## **Tom Holt**

### **SKAŻENIE NADPRZYRODZONE**

Tak naprawdę nie ma żadnych zegarów w całym Ap'Escatoy, nie licząc oczywiście tego starego rupiecia z jedną wskazówką na dzwonnicy, który zatrzymał się jakieś dwadzieścia siedem lat temu. Mimo to wzrok otaczających mnie ludzi nie pozwala mi zapomnieć, że się spóźniłem, ani też o tym, że moje przewinienie nie zostało przeoczone.

– Spóźniłeś się – mówi szef. Jest niskim, szczupłym, starzejącym się mężczyzną z włoskami sterczącymi z uszu. Co więcej, nie lubi mnie. Wynajął mnie tylko dlatego, że jestem tani i dobrze wykwalifikowany, a wedle jego umowy z poławiaczami śledzi każda partia towaru musi zostać skontrolowana. Wykwalifikowany czarodziej, zgodnie z przepisem 344/7C kodeksu Gildii, ma sprawdzić ładunek pod kątem ukrytego zepsucia oraz skażenia nadprzyrodzonego.

Niech dzięki będą niebiosom za przepis 344/7C, gdyż bez niego wielu całkiem kompetentnych czarodziejów chodziłoby głodnych po mieście. Ludzie wciąż gadają o tym, jak przepisy i biurokracja zarzną kiedyś gospodarkę, ale jeśli o mnie chodzi, to uważam je za szczyt osiągnięć cywilizacji. Przepisy kodeksu Gildii zapewniają pracę wszystkim, którym w przeciwnym razie groziłoby bezrobocie. Jak na przykład mnie.

Szef mnie nie lubi, ale nie winię go za to. To przenikliwy, trzeźwo myślący człowiek interesu, prawdziwy artysta cięcia kosztów. Moje usługi

zaś składają się na koszt, którego uniknąć nie jest w stanie, tak więc nic dziwnego, że na mój widok zaczynają go swędzieć dłonie. Wywaliłby mnie na zbity pysk całe lata temu, gdyby nie świadomość, że nie znajdzie nikogo innego, kto pracowałby za tak marny grosz.

– Przepraszam – mówię, przyglądając się swoim butom. Trenowano mnie, bym poskramiał wzrokiem bazyliżki i mantikory, ale utrzymywanie kontaktu wzrokowego z szefem stanowi dla mnie spore wyzwanie. – Ruch uliczny. Dwa wozy szepiły się na Tannery Row. Musiałem iść przez rynek rybny.

Tak naprawdę to wcale nie skłamałem. Nie miałem w zwyczaju zmyślać wymówek i szef dobrze o tym wiedział, ale wymówki wciąż się pojawiały, a on nigdy się tym towarem nie interesował.

– Cóż, dobrze, że jesteś – mówi. – Magazyn piętnaście, znajdź nadzorcę. Towar ma się znaleźć na pokładzie *Jednorożca* przed porannym pływem, więc zabieraj się do roboty.

Kiwam głową i biorę nogi za pas. Dobrze wiem, że magazyn piętnaście leży na samym końcu nabrzeża numer siedem. Jest tam ciemno, a do tego śmierdzi rybami, zgniłymi warzywami i mokrą jutą. Zanosilo się na długi dzień.

Nadzorca musi być kimś nowym, bo go nie znam. To żadna niespodzianka, z jakichś powodów szef często ich zmienia. Ten okaz w niczym nie różni się od poprzedników – potężny, silny, muskularny, z łysą czaszką oraz kosmykami jasnych włosów nad uszami. Jak będzie miał szczęście, może przetrwa ze trzy miesiące.

– To pewnie ty jesteś tym czarodziejem – mówi. – Spóźniłeś się.

– Przepraszam – odpowiadam. Gdy mój wzrok przyzwyczaja się do półmroku, dostrzegam rzędy poustawianych na sobie poczernionych beczek z dębu. Jest ich tam zapewne tysiące, a podzielono je na cztery części, przedzielone wąziutkimi przejściami. Do mnie należy sprawdzenie każdej z nich w poszukiwaniu ukrytego zepsucia i w ogóle wszystkiego, co przykre i złe.

– Które są nasze?

– Wszystkie – szczerzy się nadzorca w uśmiechu typowym dla nich wszystkich.

– Co takiego? – Moje zdumienie z pewnością sprawia mu sporo radości, nadzorca z natury cieszy się nieszczęściem innych. – Ale przecież ich tu są tysiące...

– To lepiej bierz się do roboty.

Nie ma co się sprzeczać. Wzdycham i ściągam płaszcz. Mój towarzysz nadal się szczerzy, ale mniejsza o niego. I tak zniknie za góra trzy miesiące, a ja nadal tu będę, dzięki memu aniołowi stróżowi, przepisowi 344/7C.

Na czym właściwie polega moje zadanie? Podstawową rzeczą w rzemiośle czarodzieja jest umiejętność dostrzegania. Wyobraź sobie – to nie mój wymysł, usłyszałem te słowa na zajęciach pierwszego dnia w Seminarium – wyobraź sobie, że przez całe życie byłeś ślepy, aż tu któregoś dnia budzisz się i nagle widzisz. Wyobraź sobie, że mieszkasz w krainie ślepców, gdzie wzrok jest pojęciem tak mglistym i mało sprecyzowanym, że większość ludzi nie wierzy w jego istnienie. A teraz wyobraź sobie, że ty – oraz około tuzina innych co roku z dwumilionowej populacji – budzisz się pewnego pięknego wiosennego poranka i zastajesz świat pełen cudów i koszmarów, w które jeszcze kilka godzin temu byś nie uwierzył. Oto dar, który przypadł w udziale nam nielicznym. Szczęściarze z nas.

A potem idziesz do Seminarium, jak ja. Siedzisz u stóp ludzi wyglądających i mówiących jak najzwyklejsi mężczyźni i kobiety, ale posiadających wiedzę, która nadała ich istnieniu całkowicie nowe znaczenie. Przez pierwszych kilka semestrów wpatrujesz się w nich i myślisz: „Jeszcze trochę i też taki będę”. Zasuwasz ze wszystkich sił, czytasz, biegasz na zajęcia, wkuwasz i z wolna wyciągasz dwa wnioski. Po pierwsze, jedynym naprawdę porządnym zajęciem, jedyną rzeczą, dzięki której owa farsa zwana życiem ma jeszcze trochę sensu, jest prowadzenie badań magicznych. Braćmi Seminarium stają się jednakże ci, którzy potrafią powstać z dna morskiego i wleźć na szczyt góry. Ci ludzie potrafili zerwać okowy krępujące ludzkość i wyrwać sekrety wiedzy z chroniących je skorup, a teraz bronią fortę mądrości przed nieustającymi, dzikimi szturmami sił zła. Stąd też drugi wniosek, który przynajmniej mnie się nasunął, brzmi: nie nadajesz się, by do nich dołączyć. Mógłbyś studiować przez resztę życia, wykuć na pamięć wszystkie książki, tysiące razy słuchać wykładów, lecz nadal jest to zbyt wysoka półka, by kiedykolwiek się na nią



wspiąć. Nie nadajesz się na magicznego badacza i nie ma powodu, by się dłużej nad tym rozwodzić.

Tym z nas, którzy ukończyli Seminarium, ale nie zostali wybrani do kontynuowania studiów, zawsze pozostaje podjęcie pracy. Nie ma na co narzekać. Nie jest to co prawda alchemia czy zwalczanie zła, ale zawsze jakieś użyteczne, uczciwe zajęcie, które i tak ktoś musi przecież wykonać. Możesz przenikać ziemię w poszukiwaniu minerałów dla konsorcjum górniczego, możesz zakładać zakłęcia spajające na mosty i wieże, by uchronić je przed rozpadem, możesz też zajmować się salamandrami w którejś z większych odlewni. Możesz leczyć, co zawsze jest wysoko cenionym zajęciem, możesz wstąpić do Korpusu Sędziowskiego i utrzymywać się z czytania myśli uczestników procesów, możesz wreszcie, bogowie uchowajcie, pracować w szkole.

Lub skończyć w dokach jak ja, przenikając beczki przez dwanaście godzin na dobę w zgodzie z przepisem 344/7C. By podjąć to zajęcie, należało oczywiście zawalić uprzednio wszystko inne. Absolutnie wszystko. Nie jest to łatwe, ale da się zrobić. Spójrz tylko na mnie. Mnie się udało.

Przenikanie to pierwsza rzecz, której uczą w Seminarium. W gruncie rzeczy polega ono na wpatrywaniu się w coś bardzo intensywnie. Najpierw widzi się sam obiekt. W pierwszej klasie, podczas pierwszego dnia zajęć dają ci dwa jajka. Wpatrujesz się w nie i – o ile nie jesteś tak beznadziejny, że w ogóle nie powinieneś był się tam pojawić – w końcu przenikasz wzrokiem biało i docierasz do żółtka, by stwierdzić, które jest dobre, a które zgniłe. Da się przeniknąć ścianę domu, zbocze góry w poszukiwaniu minerałów, da się nawet przeniknąć większość ludzi. Nawet zwykły średniak jest w stanie przeniknąć wzrokiem wszystkie warstwy obserwowanego przedmiotu i dotrzeć do jego esencji. Oczywiście można wykorzystać tę umiejętność do sprawdzania zawartości beczki marynowanych śledzi. Ta sztuka nie należy do najtrudniejszych, nie dostarcza niejasności ani dylematów logicznych, ale samo zajęcie trudno uznać za przyjemne. Powiedziałbym wręcz, że jest cholernie ciężkie, a to dlatego, że już po chwili zaczyna ci się kręcić w głowie i robić słabo, a czaszkę rozsadza ci ból. To właśnie z tego względu większość

wykwalfikowanych czarodziejów preferuje inne ścieżki kariery – oczywiście o ile mają ku takim możliwość.

To, co wolą robić wykwalifikowani czarodzieje, stanowi kolejny etap programu nauczania. Skoro już dostrzegło się problem, trzeba go zlikwidować. Oznacza to, że należy jedne rzeczy przekształcać w inne, przenosić przedmioty siłą woli lub subtelnie przekształcić wzajemne oddziaływanie spornych sił, by uzyskać pożądany efekt. Ja, niestety, nigdy nie byłem mistrzem w tych sprawach. Jakoś dawałem sobie radę, przynajmniej na tyle, by przebrnąć przez egzaminy, ale pozostali studenci na moim roku radzili sobie o niebo lepiej. Nic więc dziwnego, że trafiłem do magazynu piętnaście i do kryjących się w nim beczek.

Wypadałoby w tym miejscu objaśnić kilka terminów technicznych. Ukryte zepsucie oznacza, że to, co znajduje się w beczkach – czyli głównie śledzie – zaczęło gnić. Kupcy w naszych czasach nie życzą sobie wdychać smrodu po odbiciu beczki. W branży śledziowej do ukrytego zepsucia dochodzi dość często. Skażenie z przyczyn nadprzyrodzonych, zwane również wszystkim, co przykre i złe, jest zdarzeniem o wiele rzadszym, ku mojej nieskończonej uldze. Wydaje mi się, że obecnie taki przypadek zachodzi średnio raz na jakieś piętnaście lat na całym półwyspie Armat. Jednakże zbawienny przepis 344/7C wciąż zmusza eksporterów do przenikania towarów, ponieważ jeden przypadek na piętnaście lat to wciąż bardzo poważna sprawa. To trochę tak, jakbyśmy raz na piętnaście lat musieli zaradzić trzęsieniu ziemi z towarzyszącymi mu wybuchami wulkanów i tsunami o potrójnej sile, gotowymi zniszczyć całą cywilizację. Skażenie nadprzyrodzone polega w gruncie rzeczy na tym, że któryś z Nich załapuje się na przejażdżkę w niewinnie wyglądającym kontenerze. A Oni nie dość, że są sprytni – cóż, muszą, skoro przez cały czas następują im na pięty super inteligentni badacze magiczni – to na dodatek są pomysłowi i niezmiernie dobrzy w tym, co robią.

Podam ci przykład. Gdy byłem dzieciakiem, wybraliśmy się z wizytą do mego wujostwa, zamieszkującego wyspę Spatha. Płynący tam prom okrąży Przylądek Szczęścia, co przeciąga się w długi, przerażający rejs, gdyż na samym przylądku nie widać nic prócz czarnych skał i kilku ruin. Niemniej czterdzieści lat temu Ap'Tschun na Przylądku Szczęścia był dwukrotnie

większy od Ap'Escatoy, póki nie przedostał się tam jeden z Nich, ukryty w skrzyni z gwoździami. Znalazł wystarczająco dużo pokarmu, by zrodzić i wysiedzieć To. Przepis 344/7C został wprowadzony przez Gildię niedługo po zniszczeniu Ap'Tschun.

I tak oto wracamy do mnie. Nadzorca odszedł, by wrzeszczeć na swoich ludzi. Mam lampę, choć tak naprawdę jest mi zbędna, i tysiące beczek, do których muszę wejrzeć. Taka moja dola. W wieku trzydziestu dwóch lat mieszkam w pojedynczym pokoju na zapleczu warsztatu kołodzieja w obskurnej dzielnicy. Stołuję się w jadłodajni dla woźniców pod łukiem akweduktu, a po całym miesiącu pracy zostaje mi tyle pieniędzy, bym mógł sobie nakupić nietaniego w końcu czerwonego wina i za jego pomocą wprowadzić w stan totalnej nieświadomości. Uczyłem się przez cztery lata, by to osiągnąć. Jestem czarodziejem.

Trudno mi opisać uczucia, jakie towarzyszą przenikaniu dębowej beczki. Przypomina to nieco przebijanie pięścią cienkiej skorupki lodu lub sięganie dłonią po coś w krzaku jeżyn. Już w środku doznanie się zmienia, zaczyna przypominać trzymanie ciężkiego worka z ziarnem w wyciągniętej ręce. Można się do tego przyzwyczaić. Choć nie, nie będę łgał w żywe oczy – nie sposób się do tego przyzwyczaić, ale z czasem można się wyłączyć. Najlepiej myśleć o czymś przyjemnym: o jedzeniu, seksie, dobrej muzyce, wyścigach psów. Ja głównie myślę o losie porządnego czarodzieja, który dokonuje transmutacji pierwiastków i walczy ze złem. Żałosny ze mnie koleś.

Dzisiaj, gdy przebijam się wzrokiem przez miliony śledzi, próbuję rozwiązać Dziewiąty Paradoks Etzela. Nikomu się to jeszcze nie udało, z wyjątkiem być może samego Etzela, który jednak umarł, nim zdążył opublikować dowód. Mogło być też i tak, że wdowa po nim znalazła jego zapiski w starym kufrze i przed oddaniem ich władzom Seminarium odcięła ten kawałek pergaminu, na którym napisał: „Przecież w tym się coś, kurwa, nie zgadza”. Dziewiąty Paradoks Etzela jest stalową różą wyrastającą ze szczeliny w zboczu lodowca, podczas gdy niebiosy ronią krwawe łzy. Jego podstawowy cel to drażnić i irytować, nie ma co do tego wątpliwości, a jeśli sądzisz, że to zwykłe wariactwo, przyjrzyj się Ósmemu Paradoksowi. Etsel dostał za niego nagrodę.

Moje myśli zajmuje stalowa róża. Tak się składa, że mam przyjaciela kowala. Jednym z testów, który każdy z nich musi przejść, nim mu pozwolą na własny rachunek walić młotkiem po końskich kopytach, jest wykucie stalowej róży. Należy wykonać cieniutkie, zakrzywione płatki i na gorąco wbić je młotkiem w pręt odgrywający rolę łożdgi. Jakoś robią też kolce, ale nie przypominę sobie teraz jak. Mój przyjaciel pokazał mi różę, którą sam wykonał – koronkowa robota, przyznaję. Piekielnie trudno coś takiego zrobić, gdyż podczas zespalandia trzeba cały czas utrzymywać właściwą temperaturę, w przeciwnym razie wszystko się roztopi i zmieni w bezkształtną grudę. Mniejsza zresztą o to – prawdziwe pytanie brzmi, czy to może stanowić klucz do osławionej zagadki Etzela? Gdyby zawarł w niej stalową marchewkę lub miedzianą ostróżkę, należałoby się w tym dopatrywać najróżniejszych znaczeń, ale stalowa róża na pewno nie jest zbiegiem okoliczności. Jeśli stalowa róża wyznacza granicę między aspirowaniem a mistrzostwem – co, żeby uniknąć kłótni, lepiej nazwać mądrością – to w którym miejscu opuszcza lodowiec i dlaczego niebiosa płaczą krwią? Jeśli przyjmiemy x za moment połączenia płatków...

Przerywam rozmyślenia, coś chyba zauważyłem. Czuję, jak narasta we mnie irytacja, gdyż podejrzana baryłka znajduje się w trzeciej warstwie, licząc od dołu i dwa rzędy w głąb. Kazali mi oznaczać każdą podejrzaną beczkę wielkim krzyżykiem przy pomocy czerwonej kredy, a wspinaczka na samą górę naprawdę mi się nie uśmiecha.

Wracam i dokonuję kolejnego przeniknięcia. Nie mam pewności, co właściwie widzę. Coś tam jest. Gdy człowiek zajrzał wewnątrz takiej ilości beczek jak ja, wie, że coś jest nie tak, zanim jeszcze zidentyfikuje problem. To, co widzę, nie przypomina jednak żadnej ze zwykłych form ukrytego zepsucia. Nie jest to czarny szlam zgnilizny ani szary nalot pleśni, nie jest to też cuchnąca wydzielina, zdechły szczur w marynacie ani nic innego, co potrafiłbym dostrzec. Ale coś tam jest. Muszę się zatrzymać, oczyścić głowę ze wszelkich zbędnych myśli i zmusić się do skupienia, po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna.

W beczkach ze śledziami, które nie przeszły badań wymaganych przez przepis 344/7C, można znaleźć sporo ciekawych rzeczy. Dobry przykład to choćby emanacja uszczelniająca, która oznacza, że czarodziej

odpowiedzialny za magiczne pieczętowanie beczek, by towar nie uległ zepsuciu (jakaś podobna do mnie łamaga życiowa), odrobinę przesadził. Emanacja nie powoduje żadnych strat, ale powierzchnia solanki trochę świeci, zdarza się też, że pływają w niej roziskrzane drobiny. Przepis 344/7C nie uznaje emanacji za problem, ale ja i tak dostrzegłem coś innego. Zdarzają się w beczkach pasażerowie na gapę – małe, niegroźne stworzenia nadprzyrodzone, jak nixy czy piaskowe duszki – z czego w sumie należy się cieszyć, gdyż dzięki swej życzliwej naturze mają dobroczynny wpływ na przewożony towar, a niektórzy ludzie nawet twierdzą, że ich obecność nadaje śladom pysznego posmaku wędzonki. Istnieją wreszcie czary iluzyjne, które wywołują wrażenie, że otwarta beczka jest pełna. Uznaje się je za nieetyczne i raczej nielegalne, ale przepis 344/7C nie wspomina o nich słowem, tak więc nimi również nie muszę się przejmować.

Cóż, wykluczyłem ukryte zepsucie, a skażenie nadprzyrodzone to tak niewiarygodnie rzadkie zjawisko, że i ono nie wchodzi w rachubę. Obojętne, co właśnie dostrzegłem, musi to być zatem coś innego. Człowiek rozsądny, który ma przed sobą jeszcze parę tysięcy beczek do przeniknięcia, mruknąłby: „Pies to trącał” i wrócił do pracy. Z drugiej strony, taki człowiek nie marzyłby na jawie o walce ze złem i pewnie nigdy nie wypłynąłby za Przylądek Szczęścia. Wracam, by przyjrzeć się tej feralnej beczce jeszcze raz.

Wciąż nie dostrzegam żadnego ze znanych mi symptomów. Brak emanacji, brak błękitnej, fosforyzującej mgiełki nad solanką, brak nieuzasadnionych dysproporcji wagi czy zawartości beczki. Wiem, że jeśli będę tak stać i obalać kolejne cholerne hipotezy, zastanie mnie tu świt. Lepiej spróbować ustalić, czy jest to coś, czego powinienem szukać, a jeśli nie, przejść do kolejnej beczki. Problem w tym, że poszukiwanie skażenia nadprzyrodzonego to nie nauka ścisła. Nie istnieją żadne charakterystyczne symptomy, nie ma też typowych sygnałów czy zwiastunów... To, co dostrzegłem, jest zauważalne niczym cios młotkiem między oczy. Nigdy wcześniej tego czegoś nie spotkałem, ale rozpoznaję to natychmiast, ponieważ to coś chce zostać dostrzeżone. Zarówno drapieżnik, jak i jego zdobycz się ukrywają, ale drapieżnik nazywa to zasadzką.

To coś tam siedzi. Przez dłuższą chwilę przytrzymuje mnie, zupełnie jakbym wpadł w potrzask. Jediną rzeczą, co do której zgadzają się wszystkie autorytety w tej dziedzinie, jest to, że napotkani Oni są niesamowicie wprost fascynujący. Podobno podczas pierwszego kontaktu nie odczuwa się przerażenia, odrazy czy gniewu. Pierwszym, przemożnym wprost doznaniem jest zdumienie, przeświadczenie, że nigdy wcześniej nie widziało się czegoś podobnego. Kształt owej istoty, który nie przypomina niczego, co do tej pory sobie wyobrażałeś, barwa, która jest tak zdumiewająco odmienna, wydawane przez nią pomruki i trzaski, w których kryje się zdumiewająca wprost witalność, i wreszcie, oczywiście, jej czyste piękno – nic przecież na całym świecie nie wygląda tak pięknie jak Oni. Doskonale zdajesz sobie sprawę, czym Oni są, a mimo to wydaje ci się to całkowicie nieistotne. Książki mówią, że w dawnych czasach Oni byli czczeni jak bogowie przez ludy, które miały przecież swój rozum i mogły się zorientować w sytuacji. Nie trzeba oczywiście dodawać, że taki kult nie trwał zbyt długo.

Tak właśnie mówią książki – i mają rację. Oni są fascynujący i wspaniali, są tak rozwinięci, tak doskonali, tak oszałamiająco skomplikowani, a jednocześnie tak prości. Marzysz tylko o tym, by stać i napawać się tym widokiem, dziwić się, że taka istota zagląda w ogóle do tego nieciekawego, jałowego zaścianka. Jest tak dziwna, że z chwilą, gdy ją dostrzeżesz, czujesz się – i znów witamy w Seminarium podczas pierwszego dnia zajęć – jak gdybyś nagle pozbył się ślepoty, która towarzyszyła ci całe życie. Wystarczy przebywać chwilę w jej obecności, byś zaczął wierzyć, że zrozumiesz wszystkie te rzeczy, które nigdy nie miały sensu. Za każdym razem, gdy zadajesz pytanie: „Dlaczego?”, od razu uzyskujesz odpowiedź. Jest tuż przed tobą.

Oczywiście przed tym także cię ostrzegają. Nie pozwól się oczarować! To trochę tak, jakby powiedzieć człowiekowi, który ma właśnie rzucić się z klifu, by natychmiast przestał, bo w przeciwnym razie nie dostanie obiadu. Nie pozwól, mówią i robią ci wykład o tym, że trzeba wykorzystać wewnętrzne zasoby percepcji i rozumienia, by odeprzeć czar, zignorować oszałamiające piękno i stawić czoła mrocznym zakusom.

Wspaniale, cały problem w tym, że ja nie mam żadnych wewnętrznych

zasobów. Gdybym je miał, nie byłoby mnie tutaj. Przenikałbym wody delty Baec w poszukiwaniu złota i wyciągał piętnaście tysięcy na rok. Jestem całkowicie nieprzygotowany, by poradzić sobie z tą sytuacją, co, o ironio, napawa mnie szalonym optymizmem, który muszę w sobie stłumić. Wiem przecież, że nie jestem przygotowany. Nie, powiedzmy sobie szczerze – wręcz niegodny, by stanąć przed tą Rzeczą w całym jej majestacie. Czuję wstyd, że w ogóle się jej narzucam. Pewnie, uśmiecha się do mnie, woła, ale ja wiem, kim jestem, i wiem, że to z jej strony tylko wyraz uprzejmości. Tak naprawdę chcę odejść i przyprowadzić kogoś bardziej godnego.

Cofam się krok po kroku, aż natrafiam plecami na beczki po drugiej stronie przejścia. Dotyk twardego dębu na karku i plecach wyrывa mnie wreszcie spod oddziaływania Istoty. Upuszczam lampę (ryzykuję pożar, ale co tam) i rzucam się do ucieczki.

Na zewnątrz świeże powietrze uderza we mnie z całą mocą, uginają się pode mną nogi. Opieram się o framugę i osuwam na ziemię niczym kropla deszczu na szybie okiennej. I myślę.

Istnieje pewna procedura. Dzięki bogom, jest procedura. W przypadku natrafienia na skażenie nadprzyrodzone należy natychmiast skontaktować się z Urzędem Naczelnika. Dobrze, zrobię to. Wiem, jak to zrobić, mój udział w tej sprawie szybko się skończy i będę wolny jak ptak i czysty jak łąza.

Uzyskanie kontaktu z Urzędem Naczelnika nie jest trudne. Potrzeba tylko dobrze nastrojonego kamienia wizyjnego, a przepis 344/7C – po trzykroć błogosławiony, nieskończenie cudowny przepis 344/7C – nakazuje, by w odległości nie większej niż sto jardów od głównego wejścia do każdego obiektu, który wykorzystuje się do przechowywania lub przeładowywania hurtowych ilości jakiegokolwiek towaru, znajdował się odpowiednio dostrojony, regularnie sprawdzany kamień wizyjny. Szeff musiał za niego zapłacić z własnej kiesy – nie ma tu co liczyć na jakieś granty czy subsydia, biurokracja wysysa krew z gospodarki.

Moim zadaniem jest raz w miesiącu wyszorować go raczej sfatygowanym rękawem (w czego skuteczność osobiście powątpiewam) i porozmawiać z miłą panią w średnim wieku, która pracuje w budynku po drugiej stronie miasta, lecz której twarz pojawia się na jakąś minutę w

zamglonym, brązowym ekranie umieszczonym w kamieniu. Pytam ją, czy mnie słyszy, a ona odpowiada twierdząco, potem przekazuję jej numer rejestracyjny kamienia, a ona zaznacza go na swojej liście. Tak oto mój przelotny kontakt z elitami rządzącymi światem urywa się na kolejny miesiąc.

A więc w pobliżu stoi kamień, a ja jestem pewien, że działa, i wiem, jak z niego skorzystać. W tej akurat sytuacji oznacza to, że jutro słońce jednak wszędzie, a my będziemy mogli je obejrzeć.

Biegnę. Po drodze niemalże wpadam na szefa, który łapie mnie za rękę i warczy: – A ty gdzie się wybierasz?

– Nie teraz! – mruczę do siebie, a jemu odpowiadam: – Sytuacja alarmowa! Muszę skorzystać z kamienia!

– Z czego?

Boże, jemu się chyba wydaje, że mówię o kiblu!

– Z kamienia wizyjnego! Muszę się skontaktować z biurem Naczelnika! To pilne!

Przez szczelinę w jego zakutym łbie przenika chyba do mózgu jakaś myśl.

– Wolnego – cedzi, mocniej zaciskając dłoń. – O co tutaj, do cholery, chodzi? Co się dzieje z moim towarem?

Mógłbym się zatrzymać i wyjaśnić, ale w przepisach znajdują się słowa takie jak „bezzwłocznie”, „wagi najwyższej” oraz „absolutnie konieczny”, a ja – wybaczcie mi – nabrałem ochoty na odrobinę zabawy.

– Proszę, niech pan mnie puści – mówię. – Spieszę się.

– Najpierw powiedz mi, o co...

Próbuję nie przesadzić z siłą i jedynie odepchnąć go lekko wewnętrzną mocą, ale nigdy nie byłem dobry na zajęciach z modulacji na trzecim roku – moje manewry zawsze okazywały się zbyt silne lub zbyt słabe. Ten okazał się zbyt silny. O wiele za silny. Szef leci do tyłu niczym człowiek kopnięty przez niezwykle silnego konia i uderza w płot. Dookoła strzelają drzazgi (płot był od lat przegnity, a zawsze brakowało pieniędzy na naprawę) i szef pada miękko na ziemię. Zastyga nieruchomo, przywalony kawałkami strzaskanego drewna. Oto moja nagroda za stosowanie się do przepisów.

Biegnę, widzę już kamień ukryty pod grubym, starym płótnem dla



ochrony przed opadającymi liśćmi i ptasimi kupami. Sznurek, którym ściągałem płachtę, spleśniał i węzeł nie chce puścić. Łamię paznokcie, więc wyciągam nóż i przecinam. Takie przewinienia uchodzą na sucho podczas wypełniania obowiązków służbowych.

– Biuro Naczelnika.

Tym razem nie jest to owa kobieta w średnim wieku; to niespełna pięćdziesięcioletni mężczyzna z pociągłą, szczupłą twarzą i gęstymi, siwymi brwiami. Zbieram się w sobie.

– Chcę zgłosić skażenie nadprzyrodzone. Znajduję się w północnych dokach, skażenie odkryłem w beczce w magazynie piętnastym. To szesnasta beczka przy drugim przejściu, licząc od drzwi, trzecia warstwa, drugi rząd. Nie jestem w stanie tego skażenia opisać, bo... Bo nie potrafię.

No, załatwione. Zrobiłem swoje, reszta należy do nich, choć tak naprawdę to ja uratowałem miasto. Oni tu przybędą i poradzą sobie z tą Rzeczą w beczce, ale to przecież oni są ekspertami, oni mają za to płacone. Ja jestem tym, kto zadziałał bezinteresownie w imieniu ludzkości.

– Który poziom?

Mija dłuższa chwila, a ja nie wiem, o czym mój rozmówca mówi. I wreszcie sobie przypominam. Oni grupują te paskudztwa wedle niszczycielskiego potencjału, na poziomach od pierwszego do dwunastego. Z tego, co pamiętam, tego, co rozwalił Ap'Tschun, oceniono na poziom trzeci.

– Nie mam pojęcia. Sprawdźcie to sami, gdy przybędziecie na miejsce.

Mój rozmówca przygląda mi się uważnie.

– Jest pewien problem – mówi.

Ogarnia mnie przerażenie. Właściwie to po raz pierwszy w życiu naprawdę jestem przerażony. Oczywiście czytałem o tym uczuciu wystarczająco dużo, by umieć je rozpoznać. To nie zwykły strach, który znam całkiem dobrze. Strach sprawia, że robi ci się zimno, twoje myśli szaleją i puszczają ci kiszki. Gdy ogarnia cię przerażenie, po prostu nieruchomiejesz i nie odczuwasz już nic.

– Problem? – pytam.

Mężczyzna spoziera na mnie przez przymglone szkło.

– Jak dalece jest rozwinięty? Czy zaczął już hodować szczątkowe

skrzydła?

– Nie mam pojęcia, nie jestem żadnym cholernym uczonym! – parskam z wściekłością. – Przepraszam – dodaję po chwili, bowiem mój rozmówca pracuje w biurze Naczelnika, a przecież można bać się dwóch rzeczy naraz. – Nie wiem. Nie zauważyłem skrzydeł, ale...

– Z początku nie wyglądają na skrzydła – przerywa mi. – Przypominają bardziej purpurowe pączki, a wyrastają między siódmym a ósmym kręgiem grzbietowym.

– Przykro mi, nie widziałem.

Marszczy brwi. Jego zachowanie sugeruje, że nie jest to moją winą, ale mimo to stanowi część problemu.

– A co z błonami nosowymi? – pyta. – Zaczęły już się mienić?

– Nie mam pojęcia. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi z tym problemem? Staruszek na chwilę przymyka oczy, co tylko zwiększa moje przerażenie.

– To nie pierwszy tego typu raport dzisiaj. Otrzymaliśmy ich siedem...

– Siedem?

Kiwa głową.

– To wydarzenie bez precedensu – stwierdza. – Szczerze powiedziawszy, nie mamy pojęcia, co się dzieje. Rzecz jednak w tym, że nie jestem w stanie nikogo przysłać, bo nikogo nie ma. Wszyscy są w terenie. Zostałem sam w biurze.

Fatalne wieści.

– To może pan tu przyjdzie?

– Ja? – pyta, a ja jestem niemalże pewien, że zaraz parskanie śmiechem. – Na wiele by się to nie zdało. Nie jestem wykwalifikowanym czarodziejem, a jedynie urzędnikiem. Nie, to ty jesteś czarodziejem, ty będziesz musiał sobie z tym poradzić.

Zawahał się.

– Jesteś czarodziejem, tak? – pyta. – Znaczy się, jesteś wykwalifikowany i tak dalej?

– Cóż, niby tak, ale...

– A zatem świetnie. Zamelduj, gdy sytuacja się ustabilizuje. Spróbuję kogoś wysłać, gdy tylko będę miał taką możliwość, ale nie chcę nawet zgadywać, kiedy to może nastąpić.

– Poczekaj pan! – skamle. – Jestem wykwalifikowany, ale byłem najgorszy na roku, nie dam sobie rady z czymś takim! Korzystam z magii jedynie w celach zarobkowych, przenikam towary w myśl przepisu 344/7C!

– Ale jesteś wykwalifikowany.

– Tak, ale...

– Zdałeś więc demonologię i pasożytologię.

– Tak, ale tylko cudem! Miałem zaledwie czterdzieści siedem procent z egzaminu z demonologii, i to tylko dlatego, że na dzień przed egzaminem przez przypadek uczyłem się impulsów apostroficznych!

Wiedziałem, że plotę od rzeczy, ale nie umiałem się opanować. Musiałem jakoś przemówić starcowi do rozumu, musiałem go jakoś przekonać.

– Ale mimo to zdałeś. A więc jesteś wykwalifikowany. Wiesz, co robić.

– Proszę mnie posłuchać, jeśli wiedziałem, to dziesięć lat temu! Od tego czasu nawet nie zajrzałem do grymuarów. Po prostu nie jestem kompetentny, nie nadaję się do takich rzeczy! To dopraszanie się o nieszczęście!

Urzędnik wzrusza ramionami.

– Jeśli ty się tym nie zajmiesz, nikt tego nie zrobi. A denerwowanie mnie nic nie da, bo ja ci nie pomogę. Nie umiem i nie jestem w stanie. Gdybym mógł coś dla ciebie zrobić, na pewno bym to zrobił. Nie sądzisz chyba, że cieszę się z tego, że ktoś taki jak ty ma się zająć obroną miasta? Jednakże nie mamy wyboru, ani ty, ani ja, tak więc zbieraj się i załatw sprawę, póki nie jest za późno. Jeśli pozwolisz mi na zrzucenie powłoki z pomocniczych skrzydeł, możemy ucałować całą znaną nam cywilizację na do widzenia.

I tyle. Kilka minut później jestem już w magazynie piętnastym i stoję twarzą w twarz z czymś, z czym nigdy nie miałem się mierzyć, nadal bez bladego pojęcia, jak sobie z tym poradzić, bez wsparcia i bez żadnych asów w rękawie. On wciąż tam jest. Miałem nadzieję, że gdy wrócę, nie ujrzę już nic, że w beczce nie będzie śladu skażenia nadprzyrodzonego, a wszystko to okaże się jedynie wytworem mojej wybujałej wyobraźni. Idąc po nabrzeżu, rozwijałem w myślach drugi dialog z urzędnikiem, w którym nazywa mnie głupkiem marnującym czas i przynoszącym hańbę Bractwu, a potem skreśla mnie z listy czarodziejów i zabrania korzystania z magii.

Tak naprawdę nie miałbym chyba nic przeciwko. Tymczasem wciąż jestem czarodziejem i wciąż stoję w magazynie jako jedyny przedstawiciel mej grupy zawodowej w walce tysiąclecia.

Kiepska sprawa.

– Cześć – mówię. Urósł przez tę chwilę. Nie jestem pewien, skąd to wiem, ponieważ Oni nie zajmują dostrzegalnej przestrzeni w taki sam sposób jak my, ludzie. To jeden z powodów, dla których Oni są tu nieproszonymi gośćmi. Przybywają tutaj tylko i wyłącznie dlatego, że zasady rządzące naszym światem są dla nich o wiele bardziej elastyczne. Przypomina to trochę dziecięcą zabawę w zbójców i żołnierzy – gdy orientujesz się, że przegrywasz, szybko zmieniasz zasady. „Nie możesz mnie zabić!”, oznajmiasz, gdy twój mały kolega wygrywa w walce na drewniane szabelki. „Nie możesz, bo noszę niezniszczalną zbroję!”. Twój kolega na to: „A ja mam niezwyciężony miecz!”, i tak dalej, póki nie staniecie się parą bogów ciskających pioruny. Stajesz się, kim tylko zechcesz i tak właśnie funkcjonują w naszym świecie Oni. Im się to podoba, ale nam nie za bardzo – zwłaszcza gdy musimy bawić się z nimi.

– No, cześć – odpowiada On i ziewa. Słyszę jego głos wewnątrz głowy. – Nie znam cię. Kim jesteś?

Boję się cokolwiek powiedzieć, wstydzę się tego, jaki jestem drobny i pozbawiony znaczenia.

– Jestem...

Jestem kupką strachu, oto kim jestem. Istnieje wiele rzeczy, których nie wolno mi powiedzieć. Przykładowo nie mogę zdradzić Mu swego imienia, bo wtedy zdobędzie nade mną władzę i wejdzie w moje ciało. Nie wolno mi Go okłamać, bo przecież potrafi czytać w myślach. Nie wolno mi wyjawiać, że jestem czarodziejem, bo wtedy natychmiast się zabezpieczy, a jedyna moja nadzieja to atak z zaskoczenia. Właściwie wszystko, co powiem, On może wykorzystać przeciwko mnie. Aha, jeszcze jedno – nie wolno mi się uchylać od odpowiedzi, bo wtedy On odpowie za mnie, a wszystko, co On powie, stanie się prawdą. Czy to dlatego zadał to pytanie?

– Przepraszam, ale chyba nie usłyszałem – mówi On. – Kim jesteś?

– Całkiem nieźle, dziękuję – słyszę własne słowa, które zdają się formować same z siebie, niczym ostatecznie, konwulsyjne drgnienie

martwego ciała. – A ty?

– Ja również nie narzekam, dziękuję. Nie odpowiedziałeś jednak na moje pytanie. Chciałem się dowiedzieć, kim jesteś, a nie jak się miewasz.

Tak naprawdę to nie sądziłem, że uda mi się go zbyć w ten sposób.

– Jestem ludzkim śmiertelnikiem.

– To już zdążyłem odgadnąć. Jesteś czarodziejem?

Nie wolno mi kłamać. Ale z drugiej strony, czy Starszy Nauczyciel nie powiedział pewnego pięknego dnia, że nigdy nie zostanę czarodziejem?

– Cóż to za pytanie? – odpowiadam. – Nie wyglądam na czarodzieja? On zaczyna się śmiać, a ja oczyma wyobraźni widzę go w formie ogromnego, potężnego smoka. Jego skrzydła są dopiero częściowo uformowane, ale wspaniała łuska łśni już niczym ogień odbijający się na powierzchni morza. Każda pojedyncza łuska wydaje się idealnym lustrem. Wiem o tym.

Nagle przeskakuję w pamięci dziesięć zmarnowanych lat życia i znów widzę siebie jako studenta, który cierpliwie, acz z wielkimi trudnościami upycha wiedzę do przeciążonego umysłu – niczym człowiek, który usiłuje spakować mnóstwo rzeczy do niewielkiej walizeczki i w końcu siada na niej, by ją domknąć. Jest ostatnia noc przed egzaminem, a ja, ów beznadziejny, młody dwójarz, powtarzam na głos: „W pierwszej kolejności poddany zostaniesz próbie refleksji. Będzie chciał zdobyć nad tobą kontrolę, pokazując ci siebie samego w chwili, gdy naprawdę byłeś sobą”.

Co by nie mówić, ciekawa sprawa. A zatem tym oto naprawdę jestem? Tym oto zawsze byłem? Studentem, który desperacko próbuje odnaleźć grunt pod nogami, kontynuując karierę, do której nie został stworzony? Tak naprawdę jednak najciekawsze wydaje się coś innego – owo odkrycie nie wywołuje we mnie rozpacz, a raczej spokój. Niczego w swym życiu nie udaję, nie utrzymuję żadnych iluzji, które On mógłby zniszczyć. Na tym etapie On nie może jeszcze mnie skrzywdzić.

– Myślę, że jesteś czarodziejem – mówi. – Ale raczej kiepskim. A wiesz, kim ja jestem?

– Myślę, że jesteś skażeniem nadprzyrodzonym. – Kiwam głową.

– Na niebiosa! Cóż to za słowa! Tak czy inaczej jednak, tylko słowa. Co one oznaczają?

Druga próba to próba definicji.

– Jesteś nieszczęśliwością – mówię. – Niczym drążący wrzód czy wyrwa w murze. Jesteś luką, przez którą ciemność wdziera się do krainy światła. Jesteś tylko nieproszonym gościem.

Śmieje się.

– Czemu nie? Dajże spokój, powiedziałeś mi dokładnie to, co wyczytałeś swego czasu w mądrych książkach. Powiedz, co sam tak naprawdę myślisz! Sądziłeś przecież, że jestem piękny, wspaniały i obcy. Masz zamiar pozwolić im, by podejmowali decyzje za ciebie, czy sam będziesz o sobie decydował?

Znam odpowiedź na to pytanie.

– Nie jestem godzien, by samodzielnie decydować – mówię ze smutkiem.  
– Na szczęście moi przełożeni znają się na rzeczy o wiele lepiej ode mnie i nauczyli mnie, co to prawda.

On nie jest już smokiem. Oczyma wyobraźni widzę jelenia, młodego jelonka pokrytego miękkim puszkim. Spojrzenie jego głębokich, ciemnych oczu napotyka moje i w ten sposób obaj opowiadamy sobie o samotności odrzuconych i ściganych.

– Jestem tu samotny – mówi (to próba współczucia, zawsze trudno było mi się jej nauczyć). – Jestem zagubiony, porzucony i nieco przerażony. Czy ty musisz być moim wrogiem? Nie spytałeś nawet, co tu robię.

Nim zdążę to sobie uświadomić, wyciągam rękę, by dotknąć jego szyi, tam gdzie sierść jest delikatna i głęboka. Cofam ją w porę.

– Jeśli jesteś samotny – odpowiadam – to dlaczego nie wrócisz tam, skąd przybyłeś?

Nagradza moją odpowiedź lekkim ukłonem, w którym kryje się szacunek.

– Rozumiemy się nawzajem – powiada. – To dobrze. A skoro się rozumiemy, to odnaleźliśmy płaszczyznę dalszej współpracy. Widzisz? Rozmawiamy teraz jak dorośli.

Nie wiem, co powiedzieć, zgubiłem się. Nie pamiętam, jaka jest następna próba po współczuciu, nie umiem jej też rozpoznać po Jego słowach. Myśl, myśl, na egzaminie na pewno pamiętałeś, w przeciwnym razie oblałbyś i nie byłoby cię tutaj. Refleksja, definicja, współczucie...

– No i? – przerywa mi On. – Co powiesz? Nie lepiej rozmawiać, niż walczyć?

Mam! Czwarta próba to próba porozumienia. Oczyma wyobraźni widzę wysokiego, szczupłego mężczyznę, który wyciąga dłoń w przyjacielskim geście. Ten gest zdaje się mówić: jeśli usiądziemy i wszystko obgadamy jak cywilizowani ludzie, z pewnością dojdziemy do porozumienia, a dzielące nas różnice znikną. No nie?

– Nie – mówię.

– To twoja decyzja. Ja jednak sędzę, że popełniasz błąd. Dlaczego się nie zastanowisz, dlaczego o tym nie pomyślisz? Wiesz co, wróćmy do tego, co już ustaliliśmy. Oto ja. Nazwałeś mnie włómem w murze, mówiłeś o mej mocy i potędze, która wzbiera, by przedrzeć się do twego świata. Oto ty, wieczny student, na zawsze skrępowany wspomnieniem nocy przed egzaminem. Nie wygląda mi to na równe siły.

Istnieje pięć prób, a piąta – próba prawdy – jest najtrudniejsza. Strzeżcie się próby prawdy.

– Masz rację – mówię. – To nie są równe siły. Mnie w ogóle nie powinno tu być. Wedle regulaminu muszę jedynie powiadomić biuro Naczelnika, żeby przysłali tu specjalny oddział ze sprzętem. Ja jestem tu tylko po to, by przenikać beczki w poszukiwaniu zgniłych ryb.

– Oczywiście. Przecież to nie twoja wina. Trudno, by ktokolwiek oczekiwał, że sprostasz komuś takiemu jak ja. Czarodzieje dziesięć razy potężniejsi od ciebie tarzają się w pyle i umierają, ledwie na nich spojrzę. Czegóż więc się spodziewają po tobie, bez sprzętu, wiedzy i wsparcia? Walka ze mną nie miałaby sensu, byłaby raczej poświęceniem życia w imię niczego. Cóż oni takiego dla ciebie uczynili, że teraz okazujesz tak wielką lojalność?

– Nic. Zawsze traktowali mnie jak śmiecia.

– Otóż to – odpowiada. Oczyma wyobraźni widzę Go jako dobrotliwego, łagodnego starca, który wyciąga dłoń, by mnie pocieszyć. Nikt mnie nie rozumie, jedynie On. To właśnie dlatego nauczyli mnie Go nienawidzić, bo tylko On rozumie, jaki naprawdę jestem. – Otóż to. Twój zwierzchnicy nie stoją po twojej stronie, więc dlaczego ty miałbyś walczyć za nich? Czy to nie pora, by sobie uświadomić, kim naprawdę są twoi prawdziwi przyjaciele?

Trzeba strzec się próby prawdy, ponieważ przed nią nie ma żadnej obrony. Na piątym roku uczyli jednak – nie pamiętam dokładnie, bo przez

cały wykład gapiłem się przez okno na pierwszy śnieg zimy – że najlepszą obroną jest całkowity brak obrony. W piątej próbie zawsze ulegali najsilniejsi czarodzieje. Ginęli niczym rycerze w bagnie, którzy pogrążali się pod ciężarem własnych zbroi. Udawało się przeżyć tylko tym, którzy nie nosili żadnej zbroi.

– W porządku – mówię. – Nie zasługuję na ich przyjaźń ani na ich szacunek. Jestem szmacianym, mizernym czarodziejem, istną zakałą naszego rzemiosła i nadaję się jedynie do przenikania baryłek ze śledziami wedle przepisu 344/7C. Jeśli tu zginę, nic wielkiego się nie stanie. Nikt po mnie płakać nie będzie. Ważne jest tylko to, by cię powstrzymać.

Nigdy nie zapomnę tego, co się później wydarzyło.

Zbliża się do mnie niczym szczęki imadła, naciera i zgniata mnie ze wszystkich stron z każdym obrotem śruby. Czuję jego niewyobrażalną siłę wszędzie dookoła, potęgę, którą lekkomyślnie zdecydowałem się odrzucić, podczas gdy bez trudu mogłem stać się jej częścią. Czuję napór na kościach. Gdybym uważał na lekcjach fizyki, na pewno wyliczyłbym, ile czasu mi zostało, zanim ów napór przewycięży siłę kości, ścięgien i mięśni. Nic nie mogę zrobić, nie mogę stawić oporu we wszystkich kierunkach naraz. Nie ma co do tego dwóch zdań, On jest o wiele potężniejszy ode mnie, nie potrafię wykonać uniku czy odepchnąć Go niczym zapaśnik. Tak naprawdę jedyne, co mi zostało, to cienka, cieniutka nić pamięci, która łączy mnie z owym zziębniętym, wygłodniałym studentem pochylonym nad świeczką i powtarzającym na głos te same słowa, zaś czas do egzaminu kurczy się z każdą chwilą. Ta nitka to nić mojego życia, lecz jest rozpaczliwie wprost delikatna – jeśli szarpnę zbyt mocno, pęknie, a wtedy już po mnie. Muszę nawijać z wyczuciem, jak rybak, który właśnie pochwycił ogromną rybę, do chwili, gdy...

– Jaki to ma sens? – pyta On głosem współczującym niczym anioł, pogardliwym niczym anioł, nieskończonym w swej anielsko-ojcowskiej mądrości i umiejętności wybaczenia. – Jaki to ma sens? Widziałeś mnie, a ja widziałem ciebie. Musisz zrozumieć, że nasze spotkanie może zakończyć się w tylko jeden sposób. Jeśli chcesz, zmiażdżę cię, ale po co? Wystarczy wyciągnąć rękę, a wtedy ją pochwycę i przeciągnę cię na moją stronę!

Uśmiecha się.



– Spodobałoby ci się tutaj, wszystko jest tu takie inne. Zrozum, w swoim świecie jesteś dla mnie jedynie stratą czasu, ale tu...

– Brzmi to niemalże, jakbyś mi współczuł – mówię.

– Kiedy właśnie tak jest – odpowiada. – Współczuję ci ze zrozumieniem, którego nigdy nie będziesz w stanie pojąć. Jak już mówiłem, rozumiemy się nawzajem w tym samym stopniu, w jakim jesteśmy niezrozumiani przez całą resztę. Moglibyśmy zostać...

Ścisnął me serce. Wyobraź sobie, że trzymasz dojrzałą śliwkę i nagle zaciskasz dłoń tak mocno, że pestka zaczyna wbijać się w skórę.

– Przyjaciółmi? – pytam.

– Cóż, może nie przyjaciółmi. Ale moglibyśmy się szanować. Czy po twojej stronie stoi ktoś, kto cię kiedykolwiek szanował?

– Stul pysk – warczę. – Daj już spokój z tym gadaniem i po prostu mnie zabij.

On wydaje się zszokowany.

– Ale ja nie chcę cię zabijać. Nie jesteśmy zabójcami. Przybywamy w pokoju. O wiele wspanialszym pokoju, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Nagle uświadamiam sobie, że powinienem dać za wygraną, zaniechać oporu, a wtedy cierpienie ustanie. Miałoby to sporo sensu. Z ulgą przyznaję, że rzadko zdarzało mi się doświadczać prawdziwego bólu. Nigdy nie byłem poważnie chory ani nic w tym rodzaju, w związku z czym zmaganie się z bólem nie należy do moich mocnych stron. Jeśli zaś chodzi o kapitulowanie... Tak, w tym zawsze byłem dobry.

– Dobra – mówię i nawijam nieco nici wspomnień na dłoń. – Wygrałeś. Poddaję się.

– Nie pożałujesz. – On wydaje się taki miły. – Zapraszam. Wejdz.

– Nie mogę tak po prostu...

– Chodź. Ujmij moją dłoń.

– Mam cię!

Szarpie, ale nic wspomnień trzyma. Jednym ruchem zamykam beczkę, wskakuję na nią i siadam. Czuję, jak On walczy, czuję, jak się wściekle miota i tłucze o ściany, ale ja nie mam zamiaru nawet drgnąć. Doskonale wiem, że dopóki mój tyłek przytrzymuje wieko, dopóty On się nie wydostanie. To prosta sztuczka, wręcz rażąca w swej oczywistości, ale

pomimo całej swojej potęgi Oni są nieskomplikowanymi istotami i dają się nabrać za każdym razem. Uznawszy Jego moc i własną bezsilność, a także ustalwszy, że obaj jesteśmy wyrzutkami we wrogim sobie świecie – co nie należy do rzeczy trudnych – trzeba błyskawicznie odwrócić role. W sekundę później On jest w beczce, a ty siedzisz na niej i pękasz ze śmiechu.

(W Seminarium byłem z tego noga, wszystkie te mądrości wpadały mi jednym uchem i wypadały drugim, ale mimo tego jakoś zdałem. Pożyczyłem od kumpla notatki. To dziwne, ile rzeczy zostaje w pamięci na długie lata).

W końcu pojawia się pięciu mężczyzn z biura Naczelnika, by przejąć sprawę. Po bardzo długim, męczącym dniu nie wydają się już tak dumni i potężni, wyglądają raczej na znużonych, szarych i wycieńczonych. Witam ich szerokim uśmiechem, nadal siedząc na beczce. Na ten widok aż przysiadają z ulgą.

– A zatem dałeś sobie radę? – pytają.

Kiwam głową.

– Nie ma się czym przejmować – dodaję.

Podchodzą i z ogromną uwagą zapieczętowują beczkę (gdyby On wydostał się teraz, po całej tej ciężkiej pracy, jaką włożyłem w jego pochwycenie, wyniknęłoby niezłe zamieszanie). W końcu obwiązują beczkę sznurem, by ją wynieść i przystają na moment.

– Dzięki – mówią.

– Nie ma sprawy.

– To był koszmarne dzień. Pojawiło się dziewięć tych cholernych paskudztw, wszystkie o tej samej porze. To rekord. Poprzedni wynosił pięć osobników, a miało to miejsce pięćset lat temu.

Kręcę głową.

– Kiepska sprawa.

– Co tu dużo mówić. Ale daliśmy radę.

– Otóż to – uśmiecham się.

Wychodzą, a ja zostaję. Nigdzie się nie wybieram, muszę jeszcze przeniknąć trzy tysiące beczek z marynowanym śledziem, zanim pójdę do domu. Mam pracę do wykonania, a szef nie płaci mi za ratowanie świata, ale za zajmowanie się przepisem 344/7C.

Udaje mi się skończyć w ostatniej chwili. Gdy opuszczam magazyn, mija mnie nadzorca z chłopakami od załadunku. Ziewam, witając się.

– Coś długo to trwało – stwierdza. – Skimałeś sobie?

I tak nie zrozumie.

– Mniej więcej – odpowiadam. Nadzorca uśmiecha się szeroko. – Byłbym zapomniał. Szef cię wzywa. Chce z tobą pogadać o rzucaniu nim po całym magazynie.

– A, rzeczywiście. Rzucanie.

Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy, przypomina wręcz pęknięcie w falochronie.

– Coś mi się nie wydaje, bym cię miał tu jeszcze kiedyś zobaczyć – mówi.

– Mnie też się nie wydaje, by było ci to dane. Cóż, magazyn jest twój. Miłej pracy.

Biorę płaszcz i kieruję się prosto do biura szefa, by stawić czoła innemu rodzajowi demonów czystego zła. Wiem, że z tym nie poradzę sobie tak łatwo, ale tym razem przynajmniej znam swoje możliwości.

(A na wypadek, gdyby zaprzętało wam to głowy – odpowiedź na Dziewiąty Paradoks Etezela brzmi: entropia. Odgadnięcie tego jest dziecinnie proste, dopiero próba sformułowania dowodu doprowadza mędrców tego świata do szału).

**Tim Pratt** (ur. 1976) jest poetą, pisarzem i krytykiem pochodzącym z Oakland w Kalifornii. Obecnie pracuje jako redaktor w Locusie, magazynie science-fiction, a także uczestniczy w wydawaniu niewielkiego magazynu Flytrap. Pomimo tego, że w branży jest niemalże nowicjuszem, jego dokonania zostały już zauważone. Tytułowe opowiadanie z jego pierwszego zbioru, *Little Gods* (2003), zostało nominowane do *Nebula Award*, przyznawanej przez Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Fantasy Science Fiction. Został również wymieniony wśród kandydatów do *Nagrody Campbell Award* w kategorii: *najlepszy nowy talent*. Tytuł tego opowiadania (które również znalazło się w zbiorze *Little Gods*) może przywoływać skojarzenia z obrazem wspaniałej Margaret Hamilton w roli Złej Czarownicy z Zachodu z początku Czarnoksiężnika z Oz z roku 1939. Pewnie wydała wam się wówczas straszna i wredna. Cóż, zapewniam, że wiedźma z tej opowieści jest jakieś tysiąc razy wredniejsza.

## **Tim Pratt**

### **ROWER WIEDŹMY**

Rower wydawał się napierać na zapinkę, szarpać ją niczym wygłodzony ogar, już chudy, ale jeszcze wściekły. Był to ciężki model z błotnikami, nowością lat pięćdziesiątych. Rama miała ciemnoczerwony kolor, przypominający barwę rubinów z zaginionego skarbu. Rączki kierownicy zawijały się ku dołowi niczym baranie rogi. Przednia lampka połyskiwała w blasku popołudniowego słońca i rzucała dookoła jasne refleksy. Na siodełku powleczonym czarną skórą widniały dziury i ślady otarcia, a szprychy lśniły chromem. Z pedałów sterczały kolce, dzięki którym stopa się nie ślizgała, a żaden idiota nawet by nie pomyślał, by jeździć tym cudem boso.

Właścicielka roweru wyłoniła się ze sklepu z antykami. Jej włosy oraz

sukienka (tej samej barwy co rama) przypominały odcieniem przywiedle, jedwabne róże. Ubrana była w czarny, skórzany beret w kolorze siodełka, a na jej palcach połyskiwały chromem pierścionki. Zanim założyła okulary przeciwsłoneczne, jej oczy lśniły i migotały niczym lampa roweru. Dźwigała plastikowy worek ściągnięty sznurkiem, wewnątrz którego coś grzechotało i postukiwało. Z pewnością było to coś starego i tajemniczego, gdyż pochodziło ze Staroci i namacajek, istnego Morza Sargassowego handlu antykami, miejsca, w którym kurzem porastały tylko najmniej cenne i docenione przedmioty.

Kobieta zdjęła zapinkę, owinęła ją sobie wokół talii niczym pasek, a potem zapięła, wprowadzając losową sekwencję cyfr. Złożywszy worek w chromowanym koszyku za siodełkiem, wsiadła. Nosila skórzane buciki z chromowanymi sprzączkami. Powiedziała coś pieszczotliwie do roweru, a wtedy ten, można było odnieść takie wrażenie, nagle się wyprostował, zupełnie jakby podtrzymywał go jakiś żyroskopowy mechanizm. Nucila cicho, pedałując wolno chodnikiem, a szmer przesuwającego się płynnie, dobrze naoliwionego łańcucha oraz szelest napompowanych opon zdawały się jej wtórować.

Śpiewała: *What Is This Thing Called Love?*

Za jej plecami zawartość worka ustawicznie zmieniała położenie i podskakiwała z grzechotem, bynajmniej nie w rytm melodii.

Cory siedział na krawężniku za budynkiem liceum i rzucał kamykami do kratki ściekowej, czekając na autobus. Jego szkoła była istnym molochem, więc autobusy kursowały podwójnie. Wyjeżdżały zaraz po dzwonku, wyładowane po brzegi dziećmiakami, i wracały po około czterdziestu minutach, by zabrać pozostałych uczniów, zazwyczaj około tuzina. Z jakiegoś powodu Cory podpadał pod ową drugą kategorię, co skazywało go na bezsensowne czekanie po lekcjach. Nie było wyjścia, w przyszłym roku po prostu musi kupić samochód lub przynajmniej zaprzyjaźnić się z kimś, kto sam dojeżdża. Reszta ludzi, która miała wsiąść do tego samego autobusu co on, w tej chwili najprawdopodobniej paliła zielsko za salą gimnastyczną. Nawet oni nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Co prawda były to zwykłe głupki, ale przynajmniej nie zachowywali się wobec niego agresywnie. Nie tak jak...

– O, spójrzcie, kogo tu mamy – usłyszał miękki, melodyjny głos. Instynktownie się zgarbił. Rok szkolny zaczął się ledwie trzy tygodnie temu, a on już nauczył się nienawidzić tego głosu. Nie znał nawet imienia tego chłopaka, szefującego dwóm równie paskudnym kumplom. Nie chodził z nim na żadne zajęcia, zdarzało się też, że nie widywał go przez cały dzień, co w liceum, do którego uczęszczało dwa tysiące uczniów, nie było niczym zaskakującym. Kłopot w tym, że ten gość – Cory w myślach nazywał go Rocko, ponieważ przypominał mu młodą, zadziorną wersję Edwarda G. Robinsona, choć głos miał zaskakująco łagodny – zazwyczaj zabierał się do domu w drugiej turze i najprawdopodobniej nie miał lepszego pomysłu na spędzenie czterdziestu minut niż szukanie zaczepki.

Jego niewielkie trio – skrzydłowych Rocko Cory nazywał w myślach Curly i Angel, tak jak nazywali się jego poplecznicy w filmie *Koralowa Wyspa* – zwykle kręciło się przy automatach z jedzeniem i prześladowało uczniów pierwszych klas, którzy wychodzili po chipsy czy colę w czasie prób swoich zespołów. Cory też się raz na nich natknął, ale zdołał wyjść z konfrontacji obronną ręką, jeśli nie liczyć kilku szturchańców. Od tego czasu krył się za szkołą lub w jej najrozmaitszych zakamarkach i czytał, chowając się w cień, gdy słyszał kroki. Obawiał się, że spotkanie z Rocko i jego gangiem może mieć o wiele gorszy finał – w wielu szkołach dochodziło do strzelanin i użycia noży, ale jego mama uparcie mu przypominała, że to dobra szkoła w dobrej dzielnicy. To zaś oznaczało, że co najwyżej zbierze łomot od trzech koleśki, a od tego się przecież nie umiera.

Najwidoczniej dzieciaki, które po lekcjach zbierały się na próbach, nabrały czujności i trio Rocko, znudzone oczekiwaniem na ofiarę, wybrało się na poszukiwanie świeżego mięsa. Cory zaś był tak dalece pochłonięty rzucaniem kamyków, że nie usłyszał, jak nadchodzą.

Rocko usiadł przy nim i zarzucił mu rękę na ramię. Cory strząsnął ją, a wtedy Rocko zaśmiał się swym przyjemnym, serdecznym śmiechem.

– Lubisz sobie porzucać kamykami, co? Miałbyś ochotę na małe zawody?

Cory chciał wstać, ale poczuł, jak Rocko chwyta go za rękaw kurtki i pociąga w dół. Na próżno usiłował uwolnić rękę – jego prześladowca nie popuszczał, nie podnosząc się z krawężnika nawet o centymetr.

– Takie kumplowskie zawody, no.

Zerknął na koleśki Rocko. Angel i Curly, oparci nonszalancko o ścianę budynku wydziału nauk ścisłych, przyglądali mu się z kpiarskimi uśmiechami. Angel był Afroamerykaninem, a Curly Latynosem. Czego by nie mówić o Rocko, rasizmem na pewno nie grzeszył. W jego gangu każdy mógł znaleźć dla siebie miejsce, o ile tylko miał naturę usłużnego zwyrodnialca.

– Nie, dzięki – powiedział Cory. – Nie lubię współzawodnictwa.

Rocko zignorował jego słowa.

– Z tego, co wiem, rzucanie kamyczkami do kratki to raczej nic trudnego. Wyzwaniem tego nie da się nazwać, wiesz? Gdybyśmy tak porzucali sobie w kogoś, a ten ktoś próbowałby uciec... O tak, to byłoby wyzwanie. No nie?

Cory nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Ale przydałyby się jakieś konkretniejsze kłamoty – dodał Rocko w zadumie.

Cory szarpnął ręką raz jeszcze i tym razem zdołał ją uwolnić.

– Gotów? – zapytał Rocko.

– Skąd się to w tobie bierze? – zapytał Cory, zmrużonymi oczami wpatrując się w żabią, uśmiechniętą twarz rówieśnika. – Dlaczego to robisz?

– Bo wyglądasz jak psie gówno. Co robisz, jak masz but powalany gównem? Zeskrobujesz, no nie? A ja patrzę na ciebie i widzę psie gówno. Problem w tym, że ciebie nie da się zeskrobać, bo... bo snujesz się jak smród po gaciach i ciągle włączysz pod nogi. A skoro nie da się ciebie zeskrobać, to chociaż ci przypomnę, że jesteś kawałkiem gówna. To ma sens, nie? Przypomnę ci tak, żebyś nie zapomniał za szybko.

Cory nie spuszczał wzroku z Rocko. Miał już do czynienia z drobnymi atakami szkolnych chamów, lecz tamci byli jedynie durniami, którzy popisywali się przed kumplami. Rocko zaś brzmiał... brzmiał zaskakująco rozsądnie.

– Ty po prostu masz coś takiego w sobie – ciągnął Rocko. – Wystarczy popatrzeć, jak łazisz przygarbiony, jakbyś zawsze węszył coś obrzydliwego. Wystarczy, że cię zobaczą na korytarzu, a od razu chce mi się rzygać.

Wzruszył ramionami.

– No i pewnie dlatego to robię. Poza tym mój psychiatra mówi, że jestem

na etapie eksplorowania, że badam swoje granice i usiłuję siebie zdefiniować.

Cory zrobił krok w tył. Dokąd mógłby teraz uciec? Szkoła nie była w końcu zbyt wielka, a przecież i tak musiał tu wrócić i wsiąść do autobusu. Gdyby rzucili się za nim w pościg, na pewno nie zdołałby im umknąć.

– Tak czy owak – ciągnął Rocko – zanim się tu przeprowadziłem, chodziłem do innej budy. Tam wszędzie łazili ochroniarze, wszędzie były wykrywacze metalu, a kilka razy nawet zamykano sale, bo na korytarzach doszło do porządnych bijatyk. Potem przyszedłem tutaj i co widzę? Żadnych gliniarzy, nic! Własnym oczom nie mogłem uwierzyć. Tak więc, cóż, właśnie badam swoje granice.

Wstał. Angel i Curly wyprostowali się natychmiast niczym dobrze wytresowane psy.

– Nie mam przecież zamiaru cię zabić czy co – powiedział Rocko. – Choć z drugiej strony... rok się dopiero zaczął. Kto tam wie, co się jeszcze wydarzy.

Zerknął na Angela. – Ile mamy czasu do autobusu? – Piętnaście minut – odpowiedział chłopak. Nie miał oratorskiego tonu jak Rocko, brzmiał raczej jak człowiek, który stoczył się w dół klatki schodowej.

– Kurwa, muszę sobie sprawić brykę. – Rocko pokręcił głową. – Przecież to śmieszne. Jeszcze rok do szesnastki, dasz wiarę?

– Przecież możesz sobie kupić rower – powiedział Cory. Nie wiedział, dlaczego, to zrobił, odpowiedź wyrwała mu się sama.

– Czy ja wyglądam, jakbym miał dziesięć lat?

– Skończmy już to pieprzenie i skopmy mu lepiej dupę – zaproponował Curly.

– To nie pieprzenie, ale rozmowa – poprawił go Rocko. – Ale to prawda, każda rozmowa ma swój koniec. Macie dziesięć minut, chłopaki. Dobrej zabawy.

– My jesteśmy inni, wiesz? – oznajmił Curly. – Nie testujemy żadnych granic ani nic takiego.

– Gdzie tam – zgodził się Angel.

Rocko znów usiadł na krawężniku, najwyraźniej obojętny na akt przemocy, który właśnie miał się rozegrać na jego oczach. Podnosił



kamienie i oglądał je uważnie.

Cory'emu pozostała jedynie ucieczka. W pobliżu sekretariatu przypuszczalnie kręciło się jeszcze kilku nauczycieli, a w ostateczności mógł wpaść do sali, gdzie odbywała się próba i przeczekać tam do przyjazdu autobusu. Wszyscy pomyśleliby wówczas, że jest zwykłym mięczakiem, ale wolał, żeby się z niego śmiano, niż żeby go bito. Cofał się, próbując wyczuć najlepszy moment, by wziąć nogi za pas. Mógł popędzić w stronę ciemnego przejścia między salą gimnastyczną a budynkami wydziału nauk ścisłych, który wszyscy zwali Tunelem, a potem skręcić na podwórze i wbiec do głównego budynku. Może by go nie dorwali.

– Co wy wyprawiacie, chłopaki? – od strony Tunelu dobiegł dziewczęcy głos. Angel, Curly i Cory spojrzeli w tamtym kierunku.

Dziewczyna była wysoką brunetką o włosach niedbale związanych w koński ogon. Miała na sobie pasiasty strój do hokeja na trawie, do jej kolan kleiły się jeszcze zielone źdźbła. Ścisła kij oparty o ramię i przez moment Cory pomyślał, że ta postać to tak naprawdę wyjątkowo atletyczne wcielenie Śmierci, uzbrojone w ćwiczebną kosę z drewna.

– Czekacie sobie na autobus? – zapytała dziewczyna niewinnie.

– Skądże, na ciebie czekamy, kochanie. – Curly uśmiechnął się szeroko, ruszając w jej kierunku.

Cory'ego zalała ulga – wreszcie przestał się znajdować w centrum uwagi. Stan rozluźnienia minął jednak chwilę później, zastąpiony przez wstyd. Te chamy zamierzały skopać tyłek dziewczynie, a skoro nie mógł jej pomóc, dlaczego miałby czuć się lepiej jej kosztem?

– Gadają, że wszystkie hokeistki to lesbijki. – Uśmiech nie schodził z twarzy Curly'ego. – Pokażesz mi, że się mylę?

Dziewczyna odrzuciła kucyk na plecy.

– Ech... – westchnęła znudzonym głosem. – Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteście skończonymi dupkami. W przeciwnym razie nie zawracałabym sobie wami głowy.

Angel parsknął śmiechem. Dziewczyna przeniosła na niego wzrok.

– Mówiłam też o tobie.

– Słuchaj no, suko – warknął Curly. – Wiem...

– Spokojnie. – Rocko wstał z chodnika. – Tylko spokojnie. Nie tak się

rozmawia z damami.

– To po co się tak do mnie odezwała? Nikomu nie wolno tak się do mnie odzywać!

– Po gnatach kijem fajnie się bije – zrymował Rocko. – A pewnie zauważyłeś, że ona ma kij, a ty gnaty.

– O kurwa! – parsknął Curly. – I niby co takiego z nim robi?

Dziewczyna rozciągnęła usta w uśmiechu. Nosiała aparat nazębny, ale Cory i tak odniósł wrażenie, że to piękny uśmiech, choć odrobinę paskudny i złośliwy. Nie biła kijem w otwartą dłoń, nawet nim nie machnęła. Stała nieruchomo, rozpromieniona.

– Kurwa – powtórzył Curly i przygarbiony odszedł na bok. – Brzydkie cipy nie są warte zachodu.

Angel zerknął na Rocko, a potem ruszył w ślad za Curlym. Dziewczyna zerknęła na Cory'ego.

– Coś mało mówisz – stwierdziła. – To ty strzelasz z bata w tym cyrku?

– Nie – powiedział Rocko. – To moje zadanie. Chciałbym jednak, byś nie oceniała mnie po moim towarzystwie. Ciężko znaleźć porządnych pomocników.

– A więc co tu robisz? – zapytała Cory ego, ignorując Rocko.

– Ja... ja tylko czekam na autobus.

Pokiwała głową.

– Ja też. Pierwszy raz muszę się zabrać autobusem. Zwykle jeździłam z przyjaciółką, ale zaczęły się te próby i... – Wzruszyła ramionami.

Cory milczał. Nigdy nie był dobry w rozmawianiu z innymi ludźmi – zwłaszcza z dziewczynami, a już w szczególności w obliczu Rocko.

– Do niego to nie warto gęby otwierać – powiedział Rocko. – Zadaje tylko pełno głupich...

– Twoi kołesie chyba na ciebie czekają – przerwała mu. – Może powinieneś pójść za nimi i sprawdzić, czy się nie pogubią czy co.

Rocko zmarszczył brwi, a potem przygładził ciemne włosy.

– Którym autobusem jedziesz?

– Nie twój zasrany interes.

Zwęził oczy.

– Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jedziemy tym samym.

Dziewczyna nie odezwała się, wbiła w niego tylko ciężkie spojrzenie.

– Dobra, dobra – odparł Rocko. – Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy. Bo z tobą to zobaczę się na pewno – rzucił do Cory’ego i odszedł spacerowym krokiem.

– Mały dupek, no nie? – mruknęła dziewczyna, odprowadzając go spojrzeniem. Potem spojrzała na Cory’ego. – Mam na imię Heather.

– A ja Cory.

– Ci dranie sprawiają ci wiele kłopotów?

Wzruszył ramionami, czując się niewyraźnie.

– Nie, raczej nie. Może czasami.

– Dziewczyny głównie gadają, co też może się stać nie do zniesienia, wierz mi. Ale raczej... raczej nie mają w zwyczaju bić się tak często. Przykro mi.

– To nic takiego. Dam sobie radę.

– Bez wątpienia – odparła Heather. Cory był wyczulony na sarkazm i pogardę w ludzkich głosach, ale u niej nie wyczuł ani jednego, ani drugiego. – Którym autobusem jedziesz?

– Dwa dwa osiem.

– Hej, ja też. A gdzie mieszkasz?

– W małej dzielnicy o nazwie Foxglove.

– Ekstra, właśnie się tam wprowadziliśmy. Mieszkamy w ostatnim domu na ulicy, tuż przy rondzie na wprost lasu. Nie poznałam jeszcze nikogo w sąsiedztwie.

Cory wzruszył ramionami. Spojrzał ku drodze, niepewny, jak zareagować na wieść o tym, że dziewczyna jest jego sąsiadką.

– Bo tam tak naprawdę nie ma nikogo w naszym wieku – wytłumaczył. – Same małe dzieciaki.

– Może pogralibyśmy w kosza czy coś w tym stylu? Mój tata zawiesił kosz za garażem.

– Kiepsko gram w kosza. – Pograsz ze mną, to się nauczysz, no nie? – No, w sumie tak. Wysportowana, silna Heather zmiażdżyłaby go w kosza. To dopiero będzie zabawa! Jak dotąd ani razu z niego nie zakpiła, ale kiedyś zacznie. Wszyscy kiedyś zaczynają.

Wielbiciele trawki wyleźli wreszcie zza sali gimnastycznej, a minutę

później pojawił się autobus.

Tak oto przetrwałem kolejny dzień, pomyślał Cory, zerkając na Heather. Uratowany z opresji przez dziewczynę.

Wskoczył do autobusu i jak zwykle zajął jedno z miejsc mniej więcej pośrodku, przy oknie. Wyjrzał na parking.

– Zajęte?

Chciała siedzieć obok niego? A cóż to miało oznaczać?

– Nie.

– Nie masz nic przeciwko, że się przysiadę? Znaczący, mogłabym gdzie indziej, ale siedzenie samemu jest nudne.

– W porządku, nie ma sprawy.

– Co porabiasz, gdy masz chwilę wolnego? – zapytała. Chwyła kij hokejowy i uderzała nim lekko o zagłówek siedzenia przed nimi.

– Oglądam dużo filmów. – Cory wzruszył ramionami. – Mój tata ma sporą wideołeczkę.

– Odjazd. Widziałam *Płonącą wiedźmę* w zeszłym tygodniu. Oglądałeś ten film?

Pokręcił głową. Z zapowiedzi wynikało, że *Płonąca wiedźma* to horror, w którym główna bohaterka chichocze i podpala wszystko mocą umysłu, a potem zostaje pokonana przez kilku nastolatków. Zapowiadało się na idiotyczną szmirę.

– Nie, nie widziałem. Lubię przede wszystkim stare filmy. Czarno-białe.

– Jak *To wspaniałe życie*. – Heather zmarszczyła brwi.

– Nie... Jak *Wielki sen*, *Tajemnica jeziora* lub *Papierowy człowiek*...

Po jej spojrzeniu widać było, że nie rozpoznaje żadnego z tych tytułów.

– A może *Casablanca*? Albo *Sokół maltański*?

– Aha. – Kiwnęła głową. – No, no. Lubisz takie filmy?

Wciąż nie wydawała się z niego drwić. Miał wrażenie, że jest raczej zaskoczona.

– No, mój tata za nimi przepada, no i czasami oglądamy je razem. Uwielbia Humphreya Bogarta i Lauren Bacall. Kilka tygodni temu widzieliśmy *Koralową Wyspę*. Jest tam taki gość o ksywie Rocko, który przypomina... – urwał.

– Kogo? – Tego koleś spod szkoły – westchnął. – A więc wygląda jak

uśmiechnięta żaba? – No właśnie! Cory roześmiał się, zerkając na Heather. Była fajna. Nie przypominała innych dziewczyn, które zawsze znajdowały w nim coś, co należy wykić – jak choćby buty, włosy, sposób chodzenia czy mówienia. Zawsze coś znajdowały, nawet te, które mu nie dokuczały, a jedynie go ignorowały.

– Nie widziałam zbyt wielu starych filmów. Może obejrzelibyśmy kiedyś coś razem?

Tata nabijałby się z niego do końca życia, gdyby przyprowadził do domu dziewczynę! Oczywiście byłyby to dobroduszne żarty, ale Cory krzywił się na samą myśl o nich. Tym niemniej... skoro Heather twierdziła, że filmy są odjazdowe, może warto znieść kilka docinek?

– Pewnie. Byłoby super. – Wyciągnął rękę i postukał w kij. – Nie trzymacie tego w szkole?

Heather przewróciła oczami.

– Muszę ćwiczyć w domu. Trener twierdzi, że powinnam poprawić „kontrolę” – wytłumaczyła. – Mam własny kij, ale nie przywieźli go jeszcze z Kalifornii. Moi rodzice mają tam mnóstwo rzeczy, zebrały się dwie spore ciężarówki. Ojciec wraca z ostatnią w tym tygodniu.

– Jesteś z Kalifornii?

– Z Monterey. Spędziłam tam całe życie.

– Przeniosłaś się z Kalifornii do Karoliny Północnej? – skrzywił się Cory. – Coś mi się zdaje, że to krok w złym kierunku.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko zależy od ludzi, no nie? Jeśli znajdę tu dobrych przyjaciół, będzie równie fajnie jak w domu.

Uśmiechnęła się, błyskając aparatem nazębnym, a wtedy Cory zrozumiał, że zrobiłby dla niej wszystko.

Rocko patrzył na odjeżdżający autobus numer 228, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Curly i Angel gdzieś się ulotnili, przypuszczalnie po to, by zapalić w toalecie. Wyszedł na zewnątrz i usiadł na krawężniku, a potem chwycił kamień i uniósł go ku światłu. Przyglądał się jego połyskującym fragmentom, rozmyślając o sekcjach zwłok.

Niespodziewanie wyhamował przed nim jakiś rower. Siedziała na nim kobieta o ciemnorudych włosach nakrytych czarnym, skórzanym beretem.

Nie była już nastolatką, ale do średniego wieku również sporo jej brakowało. W długiej sukni i rajstopach przypominała hippiskę, lecz nosiła buty do jazdy na rowerze oraz połyskujące pierścionki. Spojrzała na niego z góry, z wysokości siodełka. Rower zdawał się stanowić jej część, zresztą Rocko zauważył, że jego kolor pasował do koloru jej włosów.

– Cześć, Rocko – powiedziała głosem przypominającym coś pomiędzy zgrzytaniem a mrużeniem kota.

Zmarszczył brwi.

– To nie moje imię, droga pani. – Nagle, gdy tak siedział na krawężniku, a ona spoglądała na niego z góry, poczuł się bezbronny niczym żaba podczas sekcji. Zaczął się podnosić.

– Żaba podczas sekcji. Ciekawa wizja, Rocko. Właśnie zostałeś przytwierdzony do stołu.

Zamarł, ledwie zdążył oderwać tyłek od betonu. Jego nogi zaczęły momentalnie drżeć z wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie ciała w tej pozycji. Czuł, że jego serce bije, ale nie mógł nawet mrugnąć, nie mówiąc o wykonaniu jakiegokolwiek ruchu. Miał wrażenie, że jego kręgosłup został przeбитo stalowym prętem, zupełnie jak u żywej żaby przygotowanej do sekcji, a wszystkie funkcje życiowe, z wyjątkiem najbardziej podstawowych, zostały zawieszono. Nawet jego strach oddzielił się od rzeczywistości, stanowił nie tyle wytwór emocji, co intelektu. W myślach Rocko zadawał sobie chłodne, wyrachowane pytania – do czego zresztą miał wrodzone predyspozycje – czyjego gruczoły nadal pracują i czy adrenalina jest pompowana do krwi. Wydawało mu się, że nie.

– Siadaj – rozkazała kobieta. Uderzył tyłkiem w krawężnik. Pochyliła się tak głęboko, że czerwona zasłona jej włosów niemalże dotknęła jego twarzy. – Nazwałam cię „Rocko”, ponieważ tak nazwałam cię Chłopak.

Rocko usłyszał nacisk położony na słowo „Chłopak” i zdał sobie sprawę, że chodzi o coś więcej niż kategorię ogólną.

– W tym wszystkim chodzi o Chłopaka i o Dziewczynę, więc powiem ci, kim oni są.

Usiłował poruszyć ręką. Chciał się rzucić na kobietę, pchnąć i obalić na ziemię w plątaniu nóg, fałd sukni, chromu i rowerowej zapinki. Pomyślał o psychiatrze i przypomniał sobie pojęcie „testowanie granic”. Nigdy dotąd

nie napotkał granic tak nieprzebytych, a do tego skrytych w jego własnym ciele. – Ale dla ciebie też znajdzie się w tym wszystkim rola, Rocko. Możesz być Rywalem. Podoba ci się, nie? Ta Dziewczyna?

Rocko warknął, a przynajmniej spróbował. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Nieznajoma roześmiała się.

– Dała ci popalić, nie? I to jeszcze przez to psie gówienko, tego Chłopaka, którego nienawidzisz bez powodu.

Bez powodu? Rocko zawsze miał jakiś powód. A jeśli chodzi o tego dzieciaka, Cory ego? Cóż, był pieprzonym kawałkiem gówna z nosem bez przerwy utkwionym w książkach, snującym się jak smród po gaciach, cuchnącym tchórzostwem i uważającym się za lepszego od wszystkich innych. O proszę, i mamy mnóstwo powodów. Całą ciężarówkę powodów.

Jeśli zaś chodzi o tę dziewczynę... Tu sytuacja wyglądała nieco inaczej. Nie ulegało wątpliwości, że puściłaby kijaszek w ruch, gdyby tylko musiała. Była ładniutka, ale nie miała w sobie nic z nadąsanej paniusi. Nie bała się spocić ani zmęczyć, nie bała się zagrać ostro. W przeciwieństwie do Cory ego, który pewnie nie spocił się nigdy w życiu.

– Tak. – Kobieta pokiwała głową. – Nadajesz się na Rywala. Dobrze, oto jesteś Rywalem.

Zakrzywiła palec i Rocko wstał. Odniósł wrażenie, jakby wcześniej obwiązała mu klatkę piersiową liną i teraz za nią szarpnęła.

Przecież to wiedźma, pomyślał z tym samym intelektualnym strachem co poprzednio.

– Chciałbyś zabić Chłopaka i zdobyć Dziewczynę?

Zabić? Zdarzało się, że rozmyślał o zabijaniu, ale sama realizacja pomysłu odstręczała go ze względu na brud, krew i zamieszanie. Podobnie jak spuszczenie komuś łomotu – nie przepadał za tym, choć często zależało mu, by ktoś ten łomot zebrał. Właśnie to tak często stanowiło problem – aby osiągnąć pewien cel, musiał sięgnąć po nieprzyjemne metody. Gdyby tylko przeskoczyć fazę pośrednią i jednym machnięciem posłać kogoś na ziemię bądź nawet odebrać mu życie...

Spojrzał na kobietę (nie miał wyboru, nie mógł przecież nawet mrugnąć, ale teraz przyjrzał się jej naprawdę). Unieruchomiła go jak żabę i podejrzewał, że sam nie musi w ogóle się odzywać, ponieważ potrafiła

czytać mu w myślach. Może nauczyłyby się od niej tych umiejętności? Zdobyłyby wielką moc, a do osiągnięcia swoich celów nie musiałyby więcej korzystać z brudnych, nieeleganckich metod.

– Zabić? – tym razem jego głos zadziałał. Myślom o zabójstwie również nie towarzyszyły żadne emocje. Gdyby tak właśnie się czuł podczas zabijania, mógłby to zrobić bez najmniejszych trudności. – Pewnie. Z ochotą.

Nieznajoma wyszczerzyła zęby. – Chęć odebrania komuś życia to wspaniała rzecz, bo oznacza, że gdy wyczerpią ci się inne wyjścia, zawsze pozostaje to ostateczne. No i zależy ci na Dziewczynie, tak?

Rocko burknął. Nie życzył sobie, by dziewczyna miała go za nic, to pewne, a poza tym ani mu się śniło oglądać ją z takim psim gównem jak Cory.

– A zatem najpierw trzeba upokorzyć Chłopaka i sprawić, by się o tym dowiedziała, może nawet ujrzała to na własne oczy. Zrozumie wtedy, że on jest zwykłym zerem, a ty jesteś sprytny, odważny i o wiele bardziej wart jej uwagi. Nie?

Rocko czuł, jak jej oczy świdrują go zza czarnych okularów.

– No, to dobra myśl.

– Wymyślisz coś ze swoimi małymi kolesiami, co? Coś odpowiedniego?

– Tak, wymyślimy coś odpowiedniego dla takiego psiego gówna – rzekł Rocko, któremu już zaświtał pewien pomysł. Jasne, przecież każdy raz na jakiś czas musi skorzystać z kibelka, prawda? – Zostaw to mnie.

– Dobrze. Upokorzenie jest o wiele lepsze od morderstwa, przynajmniej na razie. Jeśli nigdy dotąd nie zagrzebywałeś trupa, nie masz pojęcia, ile z tym zachodu.

– Cory! – zawołała mama z kuchni. – Masz gościa!

Cory uniósł głowę znad nudnych jak flaki z olejem ćwiczeń z ekologii i zmarszczył brwi. Któż...

Och! Nagle poczuł lekki ścisk w gardle. Czy to mogła być Heather? Tak szybko?

– Idę, mamó!

Zatrzymał się przed lustrem i przeczesał palcami rozwichrzone brązowe włosy, ale szybko machnął na to ręką. Heather widziała go tego popołudnia



w znacznie gorszym stanie, a nic nie wskazywało, by się jej ten widok nie spodobał.

Zbiegł po schodach do pokoju gościnnego.

Ledwie rozpoznał dziewczynę, którą tam zastał. Po południu Heather była spocona, brudna od trawy i ziemi, a policzki miała zaczerwienione, ale teraz... Przecież ona mogła być jedną z największych piękności w szkole! Miała na sobie zwykłą białą koszulkę wsuniętą w spodnie koloru khaki, a we włosy wplecione niebieskie wstążki.

Założyła też czyste trampki, nie te brudne, w których widział ją wcześniej. Niespodziewanie dostrzegł koronkę biustonosza pod koszulką i natychmiast odwrócił wzrok, zarumieniony po uszy.

– Heather powiedziała mi, że spotkaliście się w szkole – powiedziała jego matka.

– Uhm – mruknął Cory. – Właśnie zamieszkała z rodziną w okolicy. – Witamy w mieście, Heather. Będę musiała odwiedzić kiedyś twoich rodziców. – Jasne – odparła dziewczyna. – Mój ojciec jeszcze nie dotarł, jedzie właśnie ciężarówką z resztą rzeczy. W przyszłym tygodniu będzie już na pewno na miejscu.

– Z ochotą się im przedstawię. W kuchni są ciasteczka, jeśli macie ochotę na przekąskę. Zostaniesz na obiad, Heather?

Dziewczyna zerknęła na Cory’ego, który tylko wzruszył ramionami. Przewróciła oczami.

– Pewnie, byłoby świetnie.

– Dobrze. Zostawię was teraz samych. – Mama posłała Cory’emu ledwie zauważalny, sekretny uśmiech, który oznaczał, że później zada mu kilka pytań, a następnie wyszła do kuchni.

– Piecze ciasteczka i gotuje obiad? – zapytała Heather. – Wygrałeś ją na loterii?

– Nigdy nie odmówię ani pizzy, ani chińszczyzny. Mama jest asystentką w biurze prawniczym, zajmuje się zbieraniem materiałów do rozpraw, ale często pracuje w domu. Zazwyczaj robi wtedy coś na obiad.

– A dlaczego nie odbiera cię ze szkoły?

Cory wzruszył ramionami.

– To, że jest w domu, nie oznacza, że nie pracuje. Tak mi mówi.

– Cóż, kiepska sprawa. W takim razie musisz mi dotrzymać towarzystwa w autobusie. – Nagle zawirowała niczym ćwicząca balerina. – Jak wyglądam?

Cory nigdy dotąd nie miał tak bliskiego kontaktu z dziewczyną w swoim wieku. Jak się odpowiada na takie pytania? Że wygląda pięknie? Co sobie pomyśli, kiedy tak powie – że mu się podoba? A podoba mu się?

– Całkiem nieźle – powiedział ostrożnie.

– Prawdziwy z ciebie czaruś! – odrzekła bez cienia uszczypliwości. – Wybierałam się właśnie do ciebie, kiedy złapała mnie matka, która ma fioła na punkcie pierwszego wrażenia. Powiedziała, że nie powinnam przedstawiać się sąsiadom umorusana po uszy. Zaplotła mi włosy i kazała się przebrać. Chciała, żebym ubrała sukienkę. Nawet do kościoła sukienki nie zakładam!

Cory nie miał pojęcia, jak by zareagował na widok Heather w sukience. Pewnie czułby się nieswojo w dzinsach i koszulce, nawet pomimo tego, że przecież był u siebie.

– Chcesz zobaczyć mój pokój? – zapytał.

– Pewnie.

Heather ruszyła za nim po schodach. – Musisz też kiedyś wpaść do mnie – powiedziała. – Wskoczylibyśmy do lasu, który rośnie za moim domem. Fajnie tam.

– Tak naprawdę to znam ten las. Często tam chodzę. Znam tam kilka miłych, cichych miejsc. Ten las jest w ogóle dość spory, większy, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Zgubiłeś się kiedyś?

Jak zwykle zawahał się z obawy, że wyjdzie na głupka.

– Raz mi się zdarzyło. W końcu wyszedłem na autostradę jakiś kilometr za daleko i musiałem wracać do domu pieszo.

– Ja nigdy nie wchodziłam na tyle głęboko, by się zgubić, ale któregoś dnia na pewno mi się to przytrafi. – Słowa Heather zabrzmiały tak, jakby cieszyła ją ta perspektywa, jakby dla niej była to bardziej przygoda aniżeli powód do wstydu. Może ona tak to odbierała. Może, gdyby wybrali się w tę wędrowkę we dwoje, on też nauczyłby się patrzeć na ryzyko w taki sposób.

Pokazał jej nowy komputer oraz plakat z Bogartem, który dostał na

Gwiazdkę, ale jej uwagę w pierwszej kolejności przyciągnął mikroskop stojący na zakurzonej półce. Cory przyznał w duchu, że wydawała się nim o wiele bardziej zainteresowana, niż on sam kiedykolwiek był.

– O, porządne książki! – powiedziała, przeglądając jego kolekcję powieści Charlesa de Linta i Orsona Scotta Carda. Stuknęła palcem w grzbiet *Gry Endera*. – Czytałam to w szkole w zeszłym roku.

Ściągnęła z półki jeden z jego egzemplarzy *Sandmana* w miękkiej oprawie.

– Tego nigdy nie czytałam. Fajne?

– Zarąbiste.

– Pożyczyłbyś? Możesz w odwecie splądrować moją biblioteczkę, jeśli chcesz.

– Brzmi nieźle.

I co z tego, że lubiła kiepskie filmy. Przynajmniej miała dobry gust, jeśli chodzi o książki.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali o książkach, a potem grali na komputerze w kilka gier. Zabijanie zombie szło lepiej Heather, ale Cory zakasował ją w prowadzeniu pojazdów przyszłości po ruinach miast.

Ojciec Cory ego dotarł do domu przed obiadem. Zachowywał się w stosunku do Heather niezwykle uprzejmie, co nie mogło dziwić, bo zawsze był dla wszystkich miły. Zresztą podczas obiadu odzywali się przede wszystkim rodzice, wypytując Heather o jej rodzinne strony, pracę rodziców i tak dalej. Cory sporo się w ten sposób dowiedział, a sama Heather zachowywała się swobodnie. Mama przygotowała kurczaka z parmezanem i sałatką oraz chleb z suszonymi pomidorami. Cory miał wrażenie, że gdyby nie nieoczekiwany gość, obiad nie byłby aż tak wystawny.

Po posiłku wyszedł z Heather do ogrodu.

– Przepraszam za moich starych – powiedział. – Wiesz, za to, że cię wciągnęli do gry w dwadzieścia pytań.

– Nic się nie stało. To przecież rodzice, czego się można spodziewać. W każdym razie nie miałam nic przeciwko ich pytaniom. Jeśli sam nie masz nic przeciwko tej grze, zapraszam na obiad do mnie.

Cory poczuł, jak robi mu się gorąco. Po raz pierwszy od rozpoczęcia roku

szkolnego pomyślał, że może ten rok nie będzie jednak taki okropny. Niewykluczone, że Heather pozna innych ludzi, przekona się, że Cory nie stoi na samym szczycie drabiny społecznej i szybko o nim zapomni. Z drugiej strony, może będą trzymać się razem i zostaną przyjaciółmi? Dzięki temu ten rok wiele zyska, nawet jeśli nie będą chodzić razem na zajęcia.

– Masz ochotę wyskoczyć do lasu, zanim się całkiem ściemni? – zapytała Heather. – Znalazłam jedno fajne miejsce przy strumieniu, ledwie pięć minut od domu...

Nieświadomie chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Jej dłoń była ciepła i Cory zrozumiał, że chce ją trzymać przez resztę życia.

Heather mieszkała przy końcu ulicy. Gdy szli w kierunku jej domu, Cory zauważył jakąś kobietę, która jechała ku nim na rowerze. Właściwie słowo „jechała” stanowiło lekkie nadużycie – rowerzystka zakreślała ósemki od jednego krawężnika do drugiego i jeśli przybliżała się ku nim, to tylko przez przypadek. Miała długie, czerwone włosy i ciemne okulary. Nosiła też suknię, choć Cory nie wyobrażał sobie, w jaki sposób pedałowala, by materiał nie wkręcił się w łańcuch i przerzutki. Przybliżając się, obserwowała ich bacznie. Przejechała obok nich tak wolno, jakby rower miał się zaraz przewrócić. Rama była tego samego koloru co jej suknia, a buty sprawiały wrażenie niemalże zrosniętych z pedałami.

Cory szybko sobie uświadomił, że od patrzenia na nią oczy zachodzą mu mgłą. Nie umiał zdefiniować tego uczucia, ale nie potrafił określić, gdzie kończy się ciało kobiety, a zaczyna rower, zupełnie jakby stanowili jedną istotę wykonaną z chromu i tkanek, z włosów i wyprawionej skóry.

Heather mocniej ścisnęła jego dłoń. Stali nieruchomo i patrzyli, jak nieznajoma przejeżdża ledwie kilka stóp dalej. Uśmiechnęła się szeroko – jej zęby chyba błysnęły, jak gdyby też były chromowane. Potem bardziej zdecydowanie napała na pedały. Coś grzechotało w worku leżącym w koszyku za siodełkiem, zupełnie jakby uderzały o siebie kawałki metalu.

Cory i Heather odprowadzili ją wzrokiem.

– Mieszka gdzieś tutaj? – zapytała dziewczyna.

– Nigdy dotąd jej nie widziałem.

– Dziwne – stwierdziła zdecydowanie, a potem ruszyła przed siebie, pociągając go za dłoń.

Tej nocy Cory przebudził się w ciemnym pokoju. Usiadł na łóżku zdezorientowany. Coś go wyrwało ze snu, ale nie był pewien co. Może jakiś hałas na zewnątrz? Podszedł do okna i wyjrzał do ogrodu.

Ktoś jeździł w kółko na rowerze po trawniku, jakaś dziewczyna w koszuli nocnej. Czy to... czy to mogła być Heather? Takie odniósł wrażenie, dostrzegł nawet błękitną wstążkę we włosach. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co ona tam robi i czy powinien do niej zejść. Nie zwracała na nic uwagi, pedałowiała na swym staromodnym rowerze w kierunku przeciwnym do ruchów wskazówek zegara dookoła rosnącego na samym środku derenia.

Cory naciągnął buty, złapał kurtkę i zbiegł cicho po schodach. Twarz nadal miał pochmurną i zaniepokojoną. Czy z Heather wszystko w porządku? Może po prostu przyszła jej ochota na przygodę w środku nocy?

Wyszedł przez tylne drzwi, zamknął je ostrożnie i ruszył po trawie ku dziewczynie.

– Hej! – zawołał półgłosem, nie chcąc obudzić rodziców.

Gdy od rowerzystki dzieliło go zaledwie kilka kroków, uświadomił sobie nagle z całą pewnością, że to nie Heather. Nie mógł pojąć, skąd ta pomyłka – nie miała przecież nawet koszuli nocnej, a co więcej nie była dziewczyną, lecz dorosłą kobietą! To właśnie w tym momencie doszedł do wniosku, że to wszystko może być jedynie snem.

Rowerzystka nacisnęła hamulce i zatrzymała się tuż przed nim. Cofnął się o krok przestraszony – miał przed sobą ową dziwną kobietę, którą widział wraz z Heather za dnia, kobietę, która zdawała się stanowić jedność z rowerem.

– Witaj, kochany Chłopcze – powiedziała, osobliwie akcentując ostatnie słowo.

– Nie powinna tu pani wchodzić – rzekł. – To teren prywatny.

– Jestem tu, żeby ci pomóc. Ale jeśli chcesz, bym sobie poszła... – Wzruszyła ramionami i oparła stopę na pedale.

– O co pani chodzi? – Pomimo kurtki było mu zimno, nocny wiatr przenikał go na wskroś. Czy odczuwałby chłód, gdyby spał?

– W twojej szkole jest pewien chłopak – wyjaśniła, tym razem nie wzmacniając ostatniego słowa. – Nazywasz go Rocko, tak?

Cory pokiwał głową. To jednak musiał być sen, ale nie poczuł się przez to wcale spokojniejszy.

– Planuje zrobić ci coś paskudnego jutro po południu, mój Chłopcze. Nienawidzi cię, ale to nic wielkiego. Ludzie jemu podobni zawsze są pełni nienawiści, choć wydaje mi się, że jest większym potworem niż większość szkolnych chamów. Dzisiaj zaś dodatkowo zaczął być o ciebie zazdrosny – podoba mu się Dziewczyna, której podobasz się ty. Będzie chciał jakoś dać upust tej zazdrości. Zrobi coś, by cię upokorzyć.

– Skąd to wiesz? Skąd wiesz, że nazywam go Rocko?

– Ponieważ jestem dobrą wiedźmą, mój Chłopcze, chcę, byś pokonał Rywala – odparła z uśmiechem, a worek w koszyku za siodełkiem zagrzechotał, zmieniając pozycję.

– Co jest w tym worku? – zapytał Cory.

Zerknęła za siebie, a potem z powrotem na niego.

– Dowiesz się już niebawem. Miej trochę cierpliwości, tak jak ja. Jutro nie będziesz jeszcze potrzebował niczego z tego worka. Przyda ci się natomiast jakaś szczypta magii, jakiś drobny czar... Coś, co odwróci sytuację o sto osiemdziesiąt stopni. Nauczę cię, jak go przygotować. Będzie potrzeba trochę krwi na początek, ale to nie powinno być trudne. Założę się, że jeśli się nie pospieszysz, jutro po południu znajdziesz całkiem sporo krwi, twojej własnej krwi. Mając krew, wystarczy jeden drobny gest, odpowiednie słowo i odpowiedni... hmm... sposób myślenia. Pokażę ci to wszystko.

Cory cofnął się z przestachem, gdy kobieta wyciągnęła rękę w stronę jego twarzy.

– No, bądź że grzecznym Chłopakiem.

Chciał się rzucić do ucieczki pomimo jej zapewnień, że jest „dobrą wiedźmą”. Nic w jej postaci nie napawało go otuchą, nic nie sprawiało, że w istocie wydawała się kimś dobrym. Nie wierzył, by miała jakiegokolwiek ludzkie uczucia, a w każdym razie na pewno nie więcej niż... niż rower.

Nie mógł jednak ani drgnąć, nie mógł poruszyć żadnym mięśniem, a mimo to, co dziwne, nie czuł strachu. Przez umysł przemykały mu co prawda myśli o strachu, ale w sercu go nie czuł. Ozdobione chromowanymi pierścionkami palce wiedźmy dotknęły jego twarzy.

– Nie będziesz niczego pamiętał, mój Chłopcze. Przypomnisz sobie

dopiero jutro, gdy będziesz tego potrzebował.

Następny dzień w szkole nie różnił się niczym od innych. Każda lekcja okazała się łatwa za wyjątkiem biologii, w trakcie której Cory za nic w świecie nie mógł zrozumieć, do czego służą mitochondria i po jakie licho ma to w ogóle wiedzieć. Umówił się z Heather przy sekretariacie po szkole. Ostatnie zajęcia miał z ekologii i perspektywa rychłego spotkania sprawiała, że skupienie uwagi na wywodach nauczyciela o ekologii mikrokosmosu przychodziło mu z największym trudem.

Do chwili, gdy lekcje się skończyły, a on usiadł na ławce przy sekretariacie i zaczął czytać Dobry omen, ani razu nie pomyślał o Rocko. A gdy pomyślał, przyszło mu do głowy, że fajnie byłoby mieć takie moce jak Adam, bohater powieści. W niej również występowali szkolni dranie, ale byli raczej niegroźni – nigdy nie odnosiło się wrażenia, że któremukolwiek z tych dzieciaków grozi prawdziwe pobicie. Sam bał się Rocko, Curly ego i Angela o wiele bardziej. Być może przyczyny należało upatrywać w tym, że akcja powieści rozgrywała się w Anglii – może po drugiej stronie oceanu ludzie nie kryli w sobie takiej agresji?

Cory wsunął książkę do plecaka i ruszył korytarzem w kierunku toalet, by się wysikać przed spotkaniem z Heather.

Ledwie wszedł do środka, dorwały go i przycisnęły do ściany czyjeś silne ręce. Angel i Curly trzymali go mocno za ramiona i nim zdążył pomyśleć o ucieczce, przygnietli mu stopy butami, by nie mógł się wyrwać czy kopać.

– Hejka – rzucił Curly. – Dzisiaj laska z kijem nie przyjdzie ci chyba na pomoc, co?

– A my dalej nie testujemy granic – dodał Angel. – Tak więc o to nie musisz się martwić.

Z jednej z kabin powoli wyszedł Rocko.

– Już myślałem, że nigdy nie przyjdiesz się odlać, młody – powiedział, zapinając spodnie. – Wydawało mi się, że kibel to odpowiednie miejsce, by znaleźć taki kawałek gówna jak ty, a tymczasem trzeba było sporo się naczekać. Człowieku, ja mam tyle spraw na głowie! To nie w porządku, że muszę czekać na ciebie.

Cory pomyślał o starych filmach, o spokoju i opanowaniu, które z taką łatwością przychodziły Bogartowi, o sprawności, z jaką rozbroił bandziora

w Sokole maltańskim. Jednakże nawet Bogart czasami zbierał lanie, zwłaszcza gdy napadło go dwóch, trzech naraz. Co więcej, Cory nie był Bogartem. Zapragnął splunąć Rocko w twarz, ale powstrzymał się. A jeśli chcieli go tylko nastraszyć? Czy splunięcie mu w twarz nie pogorszyłoby sytuacji?

Curly nadepnął silniej na śródstopie ofiary, ale Cory zdusił okrzyk bólu. Przynajmniej tyle mógł zrobić – powstrzymać się od szlochania.

Rocko spojrział na zegarek.

– Umówiłeś się dzisiaj ze swoją laską, psia kupo?

– Zostaw ją w spokoju! – wypalił Cory bez zastanowienia.

Curly i Angel zarechotali, jeden z nich prosto do ucha chłopaka.

– Myślę, że się zakochał – stwierdził Angel. – A ja myślę, że chce ją po prostu zerznąć – mądrze oznajmił Curly. – Mnie się wydawało, że to ty chcesz to zrobić – zaproponował Angel. – Aha, racja – zgodził się Curly. – Czujecie się teraz większymi twardzielami, co? – zapytał Cory. – We trzech na jednego?

– Nie – odparł Angel. – Ale tak jest więcej zabawy, a ja zazwyczaj czuję się wystarczająco twardy. Co, nie nakopałbym ci do dupy w pojedynkę?

Znów przydepnął mu stopę, lecz tym razem Cory nie zdołał powstrzymać okrzyku.

– Cóż, nie mamy zamiaru przeszkadzać ci w randce z panną Ładny Kijek Ładny Tyłek – powiedział Rocko. – Miejmy więc to z głowy, a potem jesteś wolny. Przywalcie mu najpierw parę razy w pęcherz. Zobaczymy, czy w ten sposób popuści w gacie.

Cory zacisnął zęby. Oberwał od Curly'ego tuż ponad kością miedniczną, co wywołało impuls ostrego bólu. Zdołał jednak zapanować nad zwieraczami.

– Facet, jak na mój gust walisz za blisko fiuta – stwierdził Angel.

Curly skrzywił się.

– Dobra, tylko bez kłótni – rzekł Rocko. – To i tak bez znaczenia. Dawajcie go tutaj.

Podszedł do najdalszej kabiny, w której nigdy nie działała spłuczka. Gdy otworzył drzwi, ze środka buchnął ohydny smród.

– We trójkę zrzuciliśmy się na pełny kibel – wytłumaczył Rocko. – Mamy



tutaj trochę gówna, sporo szczyń i jeszcze trochę gówna.

Cory zaczął się wyrywać, usiłując oswobodzić rękę. Posapujący Curly i Angel przytrzymali go jednak i powlekli w kierunku kabiny. Cory zrozumiał, że nie zdoła uciec, otworzył więc szeroko usta, by wrzaskiem ściągnąć pomoc...

...a wtedy Rocko zatkał mu usta grubym zwitkiem papieru toaletowego.

– Zamknij się – powiedział cicho. – Potrafię powstrzymać cię od wrzasku, widzisz? Nikt nie przyjdzie ci z pomocą. Teraz wyciągnę ten papier z twojej gęby, a jeśli tylko spróbujesz mnie ugryźć, zrobię coś o wiele gorszego od tego, co sobie zaplanowałem.

Wyszczrzył zęby.

– A wiesz, po co wyciągnąłem ten knebel? Żebyś posmakował sobie mojego gówna i szczyń. Jeśli jednak będzie trzeba, wepchnę ci go z powrotem, ale najpierw umoczę go w kiblu. To co? Będziesz cicho?

Przerażony i bezradny, Cory skinął głową. Rocko wyciągnął rękę, by wyjąć knebel.

Krew, pomyślał nagle Cory.

Ta myśl pojawiła się bez przyczyny, bez kontekstu, bez żadnych podstaw, ale posłuchał jej natychmiast i ugryzł Rocko w palec. Ten cofnął gwałtownie rękę z głośnym syknięciem, a Cory ujrzał plamki świeżej krwi na skórze.

– Ty mały kurwiarzu! – wrzasnął Rocko. – Niech cię szlag trafi, już ty mi za to zapłacisz!

Widok krwi sprawił, że w Corym coś wezbrało – słowa do wykrzyczenia, gesty do wykonania palcami i dziwne uczucie w głowie. Nie miał pojęcia, skąd pochodziły te impulsy, ale podporządkował im się bez wahania, bo skądś wiedział, że tylko w nich należy szukać ocalenia.

Świat się rozmazał, światło przygasło, a on sam poczuł, że otoczenie przemyka obok niego z ogromną prędkością, jakby leciał w dół szybu windy.

Aha, pomyślał, oto zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Po chwili – nie wiedział, ile czasu tak naprawdę upłynęło – wszystko wróciło do normy. A wtedy uświadomił sobie, że nastąpiło kilka zmian.

Rocko klęczał przed przepełnioną muszlą klozetową i nurzał w niej

głowę, a Cory wbijał mu stopę w kark. Cofnął się przerażony, zatoczył, ale złapał równowagę. Co się wydarzyło? Co takiego zrobił? Przecież chciał jedynie uciec!

Curly i Angel, oszołomieni i zamroczeni, opierali się o ściany toalety, krwawiąc z porozbijanych warg.

– Kurwa mać – wybełkotał Angel. – To jakieś jebane w dupę kung-fu.

Rocko podniósł głowę i odwrócił się ku Cory'emu. Na widok nieczystości rozsmarowanych na jego twarzy, Cory poczuł, jak zawartość żołądka podchodzi mu pod gardło. W niczym nie pomogła świadomość, że to jego twarz miała tak wyglądać.

– Brać go! – warknął Rocko. – Brać go! Zabijcie tego gnoja!

– Pies ci mordę lizał – odburknął Angel. – Widziałeś, do czego ten skurwiel jest zdolny? Nie mam ochoty z nim zadzierać!

Curly pokiwał głową na znak, że się zgadza. Obaj wybiegli z toalety, potykając się.

– Jak tyś to zrobił? – zapytał cicho Rocko, nadal klęcząc na podłodze. – Ty mały gnoju, to nie było kung-fu! To była jakaś pieprzona magia!

– Zostaw mnie w spokoju – wychrypiał Cory. Czuł, że traci nad sobą panowanie, nie był pewien, czy uda mu się powstrzymać płacz. – Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka. Nie chcę mieć z tobą nic do czynienia, zostaw mnie w spokoju!

Wybiegł z toalety i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku sekretariatu. Po drodze zwolnił, oddychając powoli i głęboko. Wiedział, że Rocko nie będzie go gonił, a przynajmniej nie od razu. Musiał najpierw umyć twarz. Co tam się stało? Jak on dokonał tego... tego – czegoś, co tam zaszło?

I wtedy znów pojawiła się myśl, wypowiedziana ochrypłym, kobiecym głosem, myśl, której nadal nie potrafił zrozumieć: Wirówka.

– Cory? Wszystko w porządku?

Heather biegła ku niemu przez korytarz z kijem hokejowym w ręku.

Pokręcił głową.

– Ja... Rocko i jego kolesie próbowali znów ze mną zadrzeć, w toalecie.

Twarz jej stężała.

– Wszystko w porządku?

– Taaa. Udało mi się wyrwać. – Nie chciał wdawać się w szczegóły,

głównie przez to, że ich nie pamiętał. – Wszystko gra.

Położyła mu dłoń na ramieniu, a Cory zdał sobie sprawę, że się trzęsie.

– Tylko spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Chodźmy na autobus.

– Jasne, dobrze. To tylko...

– To adrenalina. Cały jesteś nabuzowany. Zaraz poczujesz się lepiej, chodźmy.

– Schrzaniałeś sprawę, nie?

Rocko uniósł głowę znad zlewu, w którym obmywał twarz po raz dziesiąty. Spojrzał w lustro, ale nikogo nie zobaczył. Odwrócił się i nagle ją ujrzał – tę kobietę, tę wiedźmę z wczoraj. Stała – wraz ze swym rowerem – przy jednej z kabin.

Przez myśl przeszło mu pytanie, czy przypadkiem nie zaczął już wariować. Wiedźmy i ich mroczne rowery zazwyczaj nie pojawiają się w szkolnych toaletach. Co powiedziałaby jego psychiatra na taką opowieść?

– Ten kawałek gówna znał jakąś sztuczkę – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Wygląda na to, że teraz ty jesteś kawałkiem gówna.

Rozwścieczony zrobił ku niej krok, ale zatrzymał się, przypomniawszy sobie wczorajsze uczucie paraliżu.

– Nie jest jeszcze za późno – powiedziała. – Wypróbowałeś już upokorzenie, ale się nie udało. Tak naprawdę to zostało użyte przeciwko tobie, sam zostałeś upokorzony.

– A zatem co masz teraz na myśli? – zapytał, usiłując zachować spokój. – Twoja ostatnia rada nie przydała się na wiele.

– Jak już mówiłam, chęć odebrania życia to wspaniała rzecz. Choć nie powinieneś robić tego tu, w szkole. Nie chcemy chyba, żeby cię wyrzucili, co?

– No to gdzie? – Okazja sama się pojawi. – Wiedźma rozłożyła ręce. – Jak to zwykle bywa. – A niby czym miałbym go zabić? – Tym – powiedziała i sięgnęła do worka leżącego w koszyku roweru. Otworzyła go szerzej, by Rocko mógł zajrzeć do środka.

– To naprawdę dziwna rada – stwierdził po chwili.

– Z drugiej strony na pewno nie jest to broń, którą ktokolwiek skojarzyłby z uczniem dziewiątej klasy, mój drogi Rywalu. Co więcej, nie

masz czegoś takiego, a w sklepie żelaznym tego nie kupisz, więc w ten sposób cię nie wytropią. Oczywiście o ile nie zostawisz na niej żadnych odcisków palców i zakopiesz natychmiast po użyciu.

– A co to ciebie właściwie obchodzi? Jaki ty masz w tym wszystkim interes?

– Jestem dobrą wiedźmą i wierzę w moc miłości. Sądzę, że ty i Dziewczyna bardzo do siebie pasujecie i będziecie razem pięknie wyglądać, oczywiście pod warunkiem, że usuniemy Chłopca.

Rocko nie uwierzył w ani jedno słowo, lecz nie miało to znaczenia. Wcześniej nie zamierzał zabijać Cory ego, teraz jednak, po tym, co tu się stało...

– Czy możesz sprawić, bym czuł się tak jak wczoraj? Żebym w chwili, gdy... gdy będę to robił... nie czuł zupełnie nic?

– Och, mój drogi Rywalu, sądzą, że jest to umiejętność, którą sam zdołasz w sobie wykształcić. Być może nauczysz się nawet czerpać przyjemność z zabijania.

Zastanowił się nad jej słowami. Miała rację. Poza tym bez względu na to, czy morderstwo sprawi mu przyjemność, czy też po prostu nie będzie nic czuć, nadal był w stanie je popełnić.

Wskazał worek.

– Nie dam rady tego stąd wynieść. Rzuca się w oczy.

– A uwierzysz mi, gdy ci powiem, że w chwili potrzeby znajdzie się tuż pod ręką?

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem pokiwał głową.

– Dobra. Wierzę.

Cory i Heather siedzieli obok siebie w drodze powrotnej do domu.

– Masz lekcje z panem Troublestone'em? – zapytała dziewczyna.

– Tak, uczy ekologii.

– Mnie też. Masz do zrobienia to coś z mikroekologii?

– Tak. Pisywałem trudniejsze prace.

– Pewnie, to prościzna, ale nudy! Przyszło mi do głowy, że fajniej byłoby napisać pracę o czymś bardziej prawdziwym.

– Jak na przykład? – Jak na przykład o tym strumyku w lesie za moim domem. Są tam muchy, żaby, trzciny, a nawet małe rybki. – Wzruszyła

ramionami. – Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zbadać ten strumyk. Wiesz, Troublestone ciągle gada o przyrodnikach z dawnych czasów, którzy szkicowali zwierzęta, rośliny i inne takie. Założę się, że gdybyśmy zrobili coś takiego o strumieniu, łyknęlibyśmy niezłe oceny. No i byłoby to ciekawsze od czytania tych wszystkich głupot.

– Niezły pomysł. Zrób to.

– Nie, zrobmy to razem. Założę się, że pozwoliby nam pracować razem, bo to przecież więcej niż tylko zwykła praca na zaliczenie. Zrobilibyśmy szkice, prowadzilibyśmy dziennik obserwacji i tak dalej.

Nagle znów wzruszyła ramionami.

– Oczywiście jeśli chcesz – dodała obojętnym głosem. Boi się, że ją wyśmieję, uświadomił sobie Cory. Boi się, że uznam ją za kujona i będę się z niej nabijać!

Był zszokowany, że mogła podejrzewać o taką reakcję właśnie jego i z miejsca polubił ją jeszcze bardziej.

– Superpomysł – powiedział. – Z wielką ochotą. Heather uśmiechnęła się szeroko.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko ubrudzeniu się mułem.

– Potrafię sobie wyobrazić gorsze rzeczy.

Poszli nad strumień jeszcze tego samego popołudnia i usiedli na brzegu, by wpatrywać się w wodę. Łatwiej byłoby wykonać taki projekt wiosną, gdy w nurcie uwijały się kijanki, ale i tak znaleźli mnóstwo ciekawych rzeczy do opisania. Przez chwilę po prostu siedzieli i rzucali kamyczkami. W swoim towarzystwie czuli się spokojnie i bezpiecznie.

– Miałam dziwny sen zeszłej nocy – odezwała się Heather, leżąc na łokciach i obserwując liście nad głową. – Przyśniła mi się ta kobieta na rowerze, którą widzieliśmy wczoraj. Trzymała miarę krawiecką, chodziła wokół mnie, prosiła, bym wyciągnęła ręce, a potem mnie mierzyła. Stwierdziła, że według niej będzie pasować, a gdy zapytałam, czy ma zamiar uszyć mi sukienkę, roześmiała się tylko i powiedziała, że to ja zrobię ją dla niej. – Zmarszczyła brwi. – Nie, powiedziała: „Będziesz pasować jak rękawiczka”.

Pokręciła głową.

– Dziwne. Trochę mnie to wystraszyło, nie wiem dlaczego. Wystraszyło

mnie to do tego stopnia, że się obudziłam.

Cory nie powiedział ani słowa, ponieważ nagle zaczął sobie przypominać własny sen.

Ale czy to aby na pewno był sen?

– Ja też o niej śniłem. Heather przeniosła na niego wzrok. – Coś ty... Naprawdę? – Tak mi się wydaje. – Skinął głową. – Śniło mi się, że jeździ w kółko na rowerze wokół drzewa w moim ogrodzie. Z tym że z początku nie była sobą. Znaczący się, kobietą.

O mały włos nie użyłby słowa „wiedźma”. Czy ona przypadkiem nie określiła siebie jako wiedźmy? Dobrej wiedźmy? Nie mógł sobie przypomnieć.

– Nie była sobą? To znaczy że kim była?

– Z początku... z początku to byłaś ty. Potem dopiero zmieniła się w siebie.

Gdy to mówił, poczuł, jak przeszywa go zimno, zupełnie jak gdyby zanurzył serce w wodach jesiennego strumienia, który płynął u jego stóp.

Najpierw Heather, a potem wiedźma, cóż za potworny wymysł!

Ale Heather uśmiechnęła się szeroko.

– Miewasz sny o mnie?

Zarumienił się, a potem roześmiał, zapominając o strachu.

– Tak, ale to był koszmar, więc nie pochlebiaj sobie.

– Wiedziałam, że niezły z ciebie czaruś od chwili, gdy cię po raz pierwszy zobaczyłam – stwierdziła. – Muszę lecieć, pora na kolację. Chcesz przyjść tu jutro i rozpocząć pracę nad projektem tak na poważnie?

Następnego dnia wypadała sobota.

– Pewnie. O której mam po ciebie wpaść?

– Obojętne. Moi rodzice zazwyczaj przygotowują w sobotę wielkie śniadanie, ale nie wiem, czy mamie będzie się chciało, skoro tata jeszcze nie wrócił. Przyjdź koło dziesiątej. Tak chyba będzie najbezpieczniej.

Pożegnali się szybko, a Cory ruszył dalej w las, chcąc wrócić do domu malowniczą ścieżką wśród drzew.

Coś się poruszyło wśród krzaków. Zamarł, nasłuchując. Przypuszczalnie był to tylko pies, ale zdarzało mu się trafiać na sarny, a podpatrzenie ich w lesie zawsze sprawiało mu sporo radości. Spojrzał w kierunku źródła

odgłosu, który dobiegał z gąszczu podszycia.

Jakiś kształt przepychał się przez splątane gałęzie i pnącza, coś czerwono–czarnego z dodatkiem chromu.

Rower. Rower więdźmy. Wyglądało na to, że patrzy na niego swą lampą, podzieloną na setki komórek niczym oko muchy.

Nigdzie nie było widać jego właścicielki. Śmiertelnie przerażony Cory odwrócił się i rzucił do panicznej ucieczki w stronę domu, byle z dala od lasów.

Tej nocy, gdy Chłopak, Dziewczyna i Rywał pogrążeni byli w niespokojnym śnie, wiedźma jeździła po okolicy na swym rowerze. Koszmary buchały zeń niczym kłęby pary, a ona nuciła *Love Is a Many Splendoured Thing*. Opony szumiały cicho na chodniku. Na dzień przed przeniesieniem zawsze budziły się w niej romantyczne myśli – w jaki bowiem sposób bez miłości i bez odwiecznego tańca zwanego „Chłopiec spotyka Dziewczynę”, zachowałyaby wieczną młodość?

Przejechała przez ogród Dziewczyny. Rower w ogóle nie podskakiwał, gdy wjechała na trawę, ani nie zwalniał, gdy mijała drzewa, lampa zaś nawet się nie żarzyła. Wiedźma nie potrzebowała światła – zarówno ona, jak i jej rower doskonale widzieli w ciemnościach.

Tej nocy porzuciła czarny beret na rzecz błękitnej wstążki. Oczywiście wyglądała tak jak poprzednio, nawet nie myśląc o tym, by całkowicie upodobnić się do Dziewczyny kosztem wizerunku pasującego do roweru. To mogło poczekać do jutra, gdy jej umysł zostanie w pełni uwolniony.

Rozejrzała się wokół strumienia w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Lokalizacja była doskonała. Po raz pierwszy ta sztuka, jeszcze za jej młodszych czasów, odegrana została w ciemnym borze, przy strumieniu do złudzenia przypominającym ten. Jej ukochany młodzieniec (którego imię już dawno pochłoneła niepamięć – zwykle nazywała go Pierwszym Chłopcem) stawiał tam czoła Rywałowi, a ona przyglądała się, przerażona, ale i zafascynowana. Ukradli szpady pojedynekowe jej ojca i zamierzali stoczyć o nią walkę, zupełnie jak dorośli. Przy którymś skrzyżowaniu broni szpada Rywala pękła w połowie, a Chłopiec wykorzystał sytuację i pchnął rozbrojonego przeciwnika prosto w serce. Gdy Dziewczyna mająca niebawem zostać wiedźmą ujrzała krew, naraz

wszystko zrozumiała. Zabójstwo w walce o względy kobiety nie było odosobnionym wydarzeniem – był to prastary rytuał, przeprowadzany w różnych formach przez wieki. Pojęła, że w powtarzającym od niepamiętnych czasów scenariuszu kryje się moc, którą można obudzić, ukierunkować i okiełznać przez rozlew krwi.

Teraz wiedźma wyjęła i rozwiązała worek. Ze środka wyciągnęła szpadę Chłopca, a następnie wbiła ją ostrzem w ziemię przy którymś z drzew. Była to szpada pojedynkowa, stara, ale dopiero co zaostrzona. Znalezienie dwóch takich, które chociaż odrobinę przypominały właściwe, przysporzyło jej sporo kłopotów. Potem wyciągnęła szpadę Rywala, niemal identyczną z pierwszą, i usiadła na ziemi, układając ją sobie na kolanach. W jej rękę pojawił się ostry pilnik. Nucąc pod nosem, wyryła w połowie długości broni szczerbę. Rower stał w pobliżu, zupełnie jakby czuwał. Prostował się nawet pomimo tego, że jego nóżka nie została opuszczona.

Wiedźma odkryła sekret wiecznej młodości – cóż, w każdym razie jeden z jej sekretów. Przypuszczała, że dla tych, którzy schodzą z jasno oświetlonych ścieżek życia, musi ich istnieć o wiele więcej. Zdołała zachować młodość tak długo, organizując pojedynki, które stanowiły lustrzane odbicie walki stoczonej o jej względy, gdy była jeszcze młodziutką, rozkwitającą dopiero dziewczyną. Nigdy nie pozwoliła, by jej włosy przyprószyła siwizna, a kilka dekad temu zaczęła jeździć na rowerze, by wydawać się młodszą. Jeździła na nim już tyle lat, że na dobre przesiąknął krwią i magią, przez co stał się czymś więcej niż tylko elementem przebrania i środkiem transportu – stał się czymś żywym, niemalże przyjacielem. Ona sama również zaczęła upodabniać się do roweru. Nosila ubrania, które pasowały do niego kolorem i jeszcze bardziej gmatwały kwestię jej tożsamości. Jutro wypije eliksir, który uwolni jej umysł i przetnie nici wiążące duszę z ciałem. Zwiąże włosy błękitną wstążką i ubierze się tak, by przypominać Dziewczynę.

Był to jednakże tylko etap wstępny, zaledwie oczyszczenie drogi. Magia wymagała obecności innych młodych ludzi – oraz krwi. Co kilka dekad wiedźma znajdowała nowego Chłopca, nową Dziewczynę i nowego Rywala i po raz kolejny rozgrywała swe widowisko pasyjne. Najpierw dokładała wszelkich starań, by Chłopiec i Dziewczyna poznali się i polubili, a potem



doprowadzała Rywala do upokorzenia i nakłaniała go do zabójstwa. Następnie Chłopiec stawiał czoła Rywalowi i zabijał go w obecności Dziewczyny. Gdy pojawiała się krew – niezbędna ofiara, która inicjowała czar – wiedźma stawiała się nową Dziewczyną, wślizgując się bez trudu w jej ciało. Innymi słowy, zajmowała jej miejsce w kolejnym dramacie poświęconym miłości i morderstwu. Z tego właśnie powodu musiała upodobnić się do Dziewczyny i dokładnie odtworzyć pierwszy pojedynek – mogła zachować młodość tylko pod warunkiem, że będzie obecna przy pierwszej walce. Jej poprzednie ciało zostanie porzucone w lesie, a jego odnalezienie zapewne wywoła spore poruszenie, ale żadnych konsekwencji.

Odwróciła szpadę i zaczęła piłować po drugiej stronie. Wybrudzi później ostrze ziemią, by ukryć szczyrby. Przejęcie ciała Dziewczyny jak zwykle wiązało się z pewnymi komplikacjami. Nie była w stanie odziedziczyć jej wspomnień czy włamać się do jej umysłu – podejrzewała, że w takich sytuacjach umysł znika, ulatnia się – a to oznaczało problemy z jej rodzicami. W przeszłości musiała niejednokrotnie zabijać rodziców, ale w tych czasach wszystko przychodziło o wiele łatwiej. Wystarczało, że donosiła komuś postawionemu odpowiednio wysoko, że rodzice dotykają jej w intymnych miejscach i zachęcają do tego przyjaciół. Mogła też zgasić papierosa na nowych udach, a potem pokazać poparzenia nauczycielom czy policji. Takie argumenty z reguły odbierały głos niedowiarkom.

Nuciła radośnie, poruszając pilnikiem w rytm melodii. Wreszcie usatysfakcjonowana wsunęła go do worka, a potem zatknęła spiłowaną szpadę w ziemię po drugiej stronie strumienia, tam gdzie częściowo przesłaniał ją krzak. Nagle pomyślała, że pojedynek przy strumieniu będzie wspaniałym widowiskiem. Zastanawiała się też, czy Dziewczyna zemdleje na widok krwi. Tak było w przypadku ostatniej, przez co przejście do jej ciała okazało się o wiele łatwiejsze. Nie stawiała żadnego oporu, wystarczyło ją po prostu wypchnąć.

Wiedźma wsiadła na rower i wyjechała z lasów prosto w mrok. Jutro znów będzie młoda. Za długo czekała, za długo zwlekała, lecz z drugiej strony, czy kiedykolwiek było inaczej?

Rocko obudził się w sobotni poranek ze świadomością, że całą noc

dręczyły go paskudne koszmary. W ostatnim z nich walczył z jakimś chłopakiem przy strumieniu i usiłował go dźgnąć, a walce przyglądała się szeroko otwartymi oczyma jakaś ciemnowłosa, bezradna dziewczyna. W tym śnie czuł się potężny niczym zdobywca, ale potem umierał, a jego krew ściekała do wody.

Obudził się, drżąc.

Starzy jeszcze spali. Dobrze. Wślizgnął się do kuchni i zjadł zimną kanapkę, a potem ubrał się, myśląc o Corym i o odpowiedniej chwili, by zaatakować.

Gdy wyszedł na zewnątrz, ujrzał rower wiedźmy oparty o ścianę domu. Podszedł do niego z nieufnością, ale rower wydawał się niegroźny i pozbawiony życia. Dotknął wykrzywionej kierownicy. Tylko metal. Rozejrzał się w poszukiwaniu wiedźmy, ale nikogo nie dostrzegł.

– Znasz drogę do jego domu? – zapytał.

Rower ani drgnął.

Rocko ujął kierownicę i poprowadził rower na podwórze, a tam wskoczył na siodełko i zaczął pedałowac. Nie miał pojęcia, w którą stronę się udać.

Niespodziewanie trzymana przez niego kierownica zaczęła lekko skręcać w lewo. Rocko poddał się woli rowerowi.

Przesuwa się w moich rękach jak deseczka na tabliczce ouija, pomyślał.

Nie należał do chłopaków, którzy lubią podśpiewywać na głos, ale niespodziewanie przyłapał się na tym, że pedałowac, nuci na poły zapomniane słowa Love me tender. Po jakiejś mili rower zaczął pedałowac sam.

Cory przyszedł do domu Heather z notatnikiem pod pachą, wciąż rozmyślając o śnie z zeszłej nocy. Zastał dziewczynę w ogrodzie przed domem – właśnie waliła kijem hokejowym w piłeczki, wbijając je jedna po drugiej do przenośnej bramki. Ubrana była w dżinsy i niebieską, luźno wiszącą koszulę. Miała zmierzwiłone włosy, a policzki płonęły jej rumieńcem od wysiłku, ale mimo to wyglądała pięknie.

– Masz ochotę na parę strzałów? – zapytała.

– Dzięki, może później.

– Kiedy sobie chcesz. Idziemy nad strumień? – Podniosła szkolną torbę,

leżącą dotychczas przy grządce z kwiatami.

– Jasne.

– Mama obiecała, że przygotuje dla nas lunch. Chce cię poznać.

Słowa Heather sprawiły, że Cory poczuł się uradowany i zdenerwowany zarazem.

– Powiedziałaś jej o mnie?

– Przecież musiałam jej coś powiedzieć, kiedy do ciebie szłam – roześmiała się. – Zmusiła mnie do zaplecenia warkocza, pamiętasz?

– Racja, racja.

Oboje zagłębili się między drzewa. Heather uderzała kijem hokejowym w szyszki.

– Miałaś jakieś...

– ...dziwne sny tej nocy? – dokończyła za niego. – Taaa. Ale bez wiem. Widziałam dwóch chłopaków, których nigdy wcześniej nie spotkałam. Próbowali się nawzajem pozabijać.

– A mnie się z kolei śniło, że kogoś dziabnąłem. I była tam też dziewczyna. I... I podeszła bliżej, wpatrując się w krew tego drugiego ściekającą do wody. W ogóle mnie nie zauważała, choć starałem się zwrócić na siebie jej uwagę.

– Ale to pokręcone. I dziwaczne.

– I widziałem coś wczoraj.

– Co?

– Wydawało mi się... Wydawało mi się, że widzę rower tej kobiety w lesie. Ale bez niej. Rower jechał sam, bez rowerzysty. Ale to chyba jakieś wariactwo, no nie?

– Nie wiem. Mam tylko nadzieję, że to się szybko skończy. Jak tak dalej pójdzie, będę się bać zasypiania.

Niebawem dotarli nad strumień i zaczęli rozmawiać o projekcie, oboje zadowoleni z faktu, że oprócz koszmarów mieli coś jeszcze, na czym mogli skupić uwagę.

Po około półtorej godzinie jazdy Rocko znalazł się na zupełnie obcym osiedlu. Miał nadzieję, że rower zabierze go również z powrotem, ponieważ zupełnie nie pamiętał drogi.

– Lepiej, żeby ta szpada tam była – powiedział, z wolna zmierzając w

kierunku lasów rosnących przy końcu osiedla. – Nie mówiąc o tej psiej kupie Corym.

Rower nie odpowiedział, ale po przejechaniu krótkiego odcinka między drzewami zaczął wytracać prędkość, aż w końcu niemalże się przewrócił. Rocko zeskoczył na ziemię i znieruchomiał, nasłuchując. Słyszał plusk wody i jakieś mało wyraźne głosy. Czyżby Cory miał kumpli? Wydawało mu się to mało prawdopodobne, ale jeśli tak było... Cóż, i tak doprowadzi swój zamysł do końca, gdy nadarzy się kolejna dogodna okazja. Przecież tak bywa z okazjami.

Skradał się przez las w kierunku głosów, aż wreszcie zobaczył Cory'ego i Heather po drugiej stronie strumienia.

Heather, cholera jasna! Nie spodziewał się jej tutaj, lecz z drugiej strony... Może nie było w tym nic złego. Cory z pewnością opowiedział jej o tym, jak to zrobił z niego durnia, przepędził jego przyjaciół i zostawił go z twarzą zanurzoną w gównach. Pewnie mieli z tego niezły ubaw. Tymczasem to z Cory'ego powinna się śmiać, nie z niego!

Ale teraz jej pokaże, no nie? Pokaże jej, że z nim nie można zadzierać w ten sposób, że nie można mu podskakiwać bez konsekwencji. Jeszcze zobaczy.

Rozejrzał się.

I tuż przed sobą ujrzał szpadę wbity ostrzem w ziemię. Wyszarpnął ją i przytrzymał chwilę w górze. Dobrze leżała w dłoni, wręcz naturalnie.

Żadnych uczuć, napomniał się. Po prostu zrób to, co ma być zrobione.

Ruszył w stronę strumienia.

– Słyszałaś? – zapytał Cory.

– Ja nie... – zaczęła Heather.

Kolejne wypadki potoczyły się z prędkością lawiny. Rocko wybiegł z krzaków po drugiej stronie strumienia, trzymając w prawej ręce coś długiego... Miecz? Szpadę? Nie obnażał zębów ze złości, nie przeklinał, nie uśmiechał się, po prostu pędził ku strumieniowi z determinacją malującą się na twarzy. Cory instynktownie zasłonił własnym ciałem Heather.

– Czyś ty oszalał?! – krzyknęła dziewczyna, cofając się. Nie miał pojęcia, do którego z nich kierowała to pytanie. Sam też się cofnął, aż uderzył łokciem o drzewo. Spojrzał instynktownie w tym kierunku i dostrzegł

szpadę wbitą ostrzem w ziemię tuż przy pniu.

Wydawało się oczywiste, co musi teraz zrobić. Przecież dokonał już tego we śnie zeszłej nocy, nieprawdaż?

Wyszarpnął i uniósł broń. Nigdy w życiu nie miał nic wspólnego z szermierką, ale skądś wiedział, jak trzymać szpadę, odniósł wręcz wrażenie, jakby była przedłużeniem jego ręki.

Rocko stał na przeciwległym brzegu.

– To za moje upokorzenie – oznajmił, a potem skinął ku Heather. – I za Dziewczynę.

– Nie zdobędziesz jej – rzekł Cory, choć nie miał pojęcia dlaczego. – Będziesz musiał najpierw mnie pokonać.

– Niech więc tak się stanie!

Rocko przeskoczył strumyk. Cory oczekiwał go tam w pozycji en garde. Umysł miał nadspodziewanie spokojny, oczyszczony ze wszelkich myśli. Towarzyszyło mu przeświadczenie, że rozgrywające się wydarzenia nie mają z nim wiele wspólnego, że stanowią niemalże niezbędną formalność.

Rocko uniósł szpadę, a jego oblicze wreszcie zdradziło jakąś emocję – usta wykrzywiła mu nieskończona, skondensowana wściekłość.

A potem wkroczyła Heather. Dziewczyna rąbnęła Rocko kijem hokejowym, złamała mu szpadę i rzuciła ułamanym ostrzem w jego pierś. Na twarzy chłopaka wykwitł wyraz komicznego zdumienia. Spojrzał na dziewczynę, gdy ta już brała zamach i rąbnęła go płaską częścią kija w potylicę. Zesztywniał, zrobił krok w tył i wpadł do wody, wciąż ściskając ręką szpadę. – Boże – wysapała Heather.

Wtedy z odległych krzaków dobiegł wrzask wiedźmy.

Cóż najlepszego ta Dziewczyna zrobiła?! Przecież miała stać na stronie i przyglądać się rozlewowi krwi, a nie mieszać do walki! Wiedźma już ubrała dzinsy i niebieską koszulę identyczne z rzeczami Dziewczyny, już zawiązała wstążkę we włosach, już przygotowała umysł do skoku! Była gotowa stać się Dziewczyną, czekała tylko, aż Chłopiec rozleje krew Rywala i zainicjuje czar, a tymczasem cały plan spalił na panewce!

Wybiegła z kryjówki z głośnym wrzaskiem: – Suko! Ty wredna dziwko, ty paskudna, wścibska dziwko!

Może nie było jeszcze zbyt późno. Gdyby udało się utoczyć nieco krwi z

Rywala... Może obraz pojedynku nie różniłby się zbyt wiele od oryginału, może czar nie byłby naruszony... Znajdowała się jednak zbyt daleko, nie zdoła go dopaść i zabić na czas, tym bardziej że stała tam Dziewczyna z kijem w garści, rozjuszona niczym Amazonka.

Ale rower... Tak, rower był bliżej.

Zamroczony Rocko ujrzał nadbiegającą, rozwrzeszczaną wiedźmę. Spojrzał na resztki złamanej szpady i nagle zrozumiał, o co w tym całym zamieszaniu chodzi.

Wiedźma go wystawiła. Chciała, żeby tu zginął i dała mu bezużyteczną szpadę. Najprawdopodobniej to ona stała też za niesamowitymi wyczynami Cory'ego w szkolnej toalecie.

To ją trzeba było zabić. Z trudem podźwignął się na nogi. A potem dostrzegł rower pędzący w jego stronę i zamarł, sparaliżowany strachem.

Rower wypadł spomiędzy drzew, z początku turkocząc powoli, lecz z każdą chwilą nabierając prędkości. Pędził prosto na Rocko, a ten wpatrywał się w niego oszołomiony. Heather uniosła kij na wysokość piersi, ale obserwowała wiedźmę, ubraną identycznie jak ona i szczerzącą zęby w potwornym uśmiechu.

Rower gnał tuż obok Cory'ego. Chłopak zdążył rzucić okiem na kierownicę, która do tej pory była z obu stron wygięta w dół na podobieństwo rogów baranich, i dostrzegł, że oba końce rozprostowują się niczym rogi byka. Uzmysłowił sobie, że lada chwila przebiją Rocko, a wtedy jego krew zmiesza się z wodą strumienia.

Nie zastanawiając się ani chwili, płynnym ruchem cisnął szpadą. Ostrze gładko weszło między szprychy tylnego koła i zablokowało się przy ramie. Rower wpadł w dziki slalom, przewrócił się i runął do strumienia, gdzie znieruchomiał u stóp Rocko. Wiedźma znów wrzasnęła.

Rocko spojrział najpierw na rower, a potem na wiedźmę, która rwała włosy z głowy i wywrzaskiwała niezrozumiałe słowa. Uśmiechnął się paskudnie. Sięgnął po szpadę i wyszarpnął ją spomiędzy szprych. Koła zaczęły się obracać, ale wyglądało na to, że rower nie jest w stanie sam się podnieść.

Cory zaklął. Czuł, że Rocko ruszy teraz na niego, a on nie miał żadnej broni. O ucieczce zaś nawet nie myślał, gdyż oznaczałoby to porzucenie

Heather na pastwę losu.

Rocko uniósł szpadę z dzikim okrzykiem. Tym razem jego twarz wyrażała mnóstwo emocji, w tym głównie furję przemieszana z zachwytem.

Nie natarł jednak na Cory ego. Przebiegł obok Heather i popędził prosto na wiedźmę. Kobieta wydawała się w ogóle go nie dostrzegać. Wpatrywała się w Dziewczynę, rwała włosy z głowy i szlochała.

Rocko wbił szpadę w jej brzuch i napał, aż ostrze weszło po jelec. Następnie położył dłoń na piersi kobiety i pociągnął. Zakrwawione ostrze wyslizgnęło się z ciała, a wiedźma upadła na plecy.

Znów uniósł szpadę, ale tym razem zaatakował w gardło.

Potem rozluźnił chwyt i cofnął dłoń. Szpada sterczała z gardła wiedźmy i kołysała się lekko, zupełnie jak wtedy, gdy znalazł ją wbitą w ziemię. Zdyszany, spojrział na Cory ego i Heather szklistymi oczami.

– Nawet się do nas nie zbliżaj – powiedziała Heather, podchodząc do Cory ego. Wciąż ścisnęła swój kij.

– Kurwa – rzucił Rocko ochrypłym głosem. – Waszą dwójkę mam gdzieś. Zająłem się tym, czym musiałem. I skończyłem.

Zmarszczył nagle brwi.

– Prawie skończyłem.

Podszedł bliżej. Heather zrobiła krok do przodu i zasłoniła sobą Cory ego, tak jak on wcześniej zasłonił ją, ale Rocko minął ich i skręcił w stronę strumienia.

– Pozostaje to coś. Nie wiem, jak to możliwe, ale mam wrażenie, że ma własny umysł. Możliwe nawet, że to jej umysł. – Spojrział na Heather. – Chodź no tutaj z tym kijem i rozwal, ile dasz radę. Ja wezmę jakiś kamień.

– On ma rację – zawtórował mu Cory. – Nie wiemy, co się właściwie wydarzyło, ale ten rower jest tego częścią. Musimy go zniszczyć.

– Zostaw nas w spokoju – warknęła Heather. – Zostaw Cory'ego w spokoju.

Rocko wzruszył ramionami.

– Właśnie udowodnił, że jest czegoś wart. Uratował mi życie. – Uśmiechnął się paskudnie w kierunku chłopaka, aż błysnęły mu zęby. – Ale gdyby ta laseczka nie przywalała mi z zaskoczenia, a moja szpada nie była

warta funta kłaków, wyprułbym z ciebie flaki.

– Widzieliśmy, do czego jesteś zdolny – odparła Heather, spoglądając na ciało wiedźmy, a potem odwracając wzrok.

Rocko również zerknął w stronę trupa i pokiwał głową.

– Taaa. Przekroczyłem chyba jakąś granicę, nie? Ciekaw jestem, co powie mój psychiatra, gdy mu oznajmię, że ją zabiłem, bo była wiedźmą.

Cory i Heather nie odezwali się słowem i przystąpili do niszczenia roweru. Dziewczyna tłukła kijem, a chłopcy kamieniami. Najpierw rozwalili lampę, potem grzmocili w koła, aż utraciły dotychczasowy kształt, a Rocko zdołał w końcu wyrwać siodełko. W połowie roboty usłyszeli czyjeś kroki i pokrzykiwania.

– Kto to... – poderwał się zaniepokojony Cory.

– Dorośli – parsknął Rocko. – Ci, co budują granice. Pewnie usłyszeli te jej wrzaski. Zakończmy to, zanim nas tu znajdą.

Zdwoili wysiłki, aż rower zaczął przypominać kawałek złomu połyskujący na dnie strumienia.

– To tyle jeśli chodzi o mikroekologię – stwierdziła Heather. – Woda pewnie została zanieczyszczona na zawsze.

Na polanę wyszła jakaś kobieta, a za nią kolejna w towarzystwie mężczyzny. – Heather! – krzyknęła. – Co tu się... Wtedy dostrzegła ciało wiedźmy. – O mój Boże! – zawołała, zasłaniając usta. – To ja ją zabiłem – oznajmił Rocko. Zerknął przez ramię na Cory ego, obdarzył Heather uśmiechem, a potem odwrócił się ku dorosłym.

– Zabiłem ją, ponieważ była wiedźmą – uzupełnił. Dorośli spojrzeli po sobie.

Heather ścisnęła dłoń Cory ego, a chłopak odwzajemnił gest. Wszystko wskazywało na to, że czeka ich długie popołudnie, a potem długie, długie dni, ale być może kiedyś, gdy cała ta sprawa przycichnie, wciąż będzie mógł trzymać ją za rękę.



*Czasami się zastanawiam, dlaczego to dzieciakom przypadają najlepsze książki. Nie jestem przekonany, czy wielu rodziców na tyle czuje zew przygody, by zaglądać do książek czytanych przez ich pociechy. Być może zmieniają to powieści o Harrym Potterze, ale i tak twierdzę, że dorośli powinni odrobinę częściej zaglądać w księgarniach do części z literaturą dziecięcą. Odkryliby wówczas talent **Diany Wynne Jones**, której książki poruszają dorosłe tematy, a jednocześnie przyciągają czytelników w różnym wieku. Jej pierwsza powieść – Wilkins Tooth – pojawiła się w 1972 roku, a zaraz po niej wyszły oszałamiająco zabawna The Ogre Downstairs (1974), Eight Days of Luke (1975) oraz Cart & Cwiddler (1975), pierwsza z odkrytych przeze mnie powieści, a także pierwsza osadzona w świecie Dalemark. Zaczarowane życie (1977) zapoczątkowało z kolei inną popularną serię, w której pojawia się czarodziej Chrestomanci. Wyobraź sobie, że gdyby magia działała, ktoś musiałby ją nadzorować i regulować, by nie wymknęła się spod kontroli. W wielu krajach oznaczałoby to biurokrację. Na tym zasadza się komizm serii o Chrestomancim, który jest najpotężniejszym ze wszystkich czarodziejów, wyznaczonym przez rząd, by kontrolować używanie magii. Rzeczywistość, rzecz jasna, nigdy nie okazuje się aż tak prosta.*

## **Diana Wynne Jones**

### **SAGA O THEARE**

Istniał niegdyś świat zwany Theare, w którym Niebo było doskonale zorganizowane. Wszystko miało tam precyzyjnie wyznaczone miejsce – bogowie i boginie dokładnie znali swój przydział obowiązków, właściwe modlitwy, odpowiednie pory załatwiania spraw, swój wszechstronnie określony charakter i nieomylnie ustaloną pozycję na drabinie społecznej.

Dotyczyło to wszystkich, od Wielkiego Zonda, Króla Bogów, przez każdego boga, boginię, bóstwo, bożka, pomniejszego bożka, numena, aż po

najmniej istotne nimfy. Nawet dla zamieszkujących rzeki niewidzialnych smoków wytyczono umowne linie demarkacyjne. Wszechświat funkcjonował niczym mechanizm zegara. Oczywiście ludzie nie wykazywali podobnej samokontroli, ale przecież po to byli bogowie, by regulować ich zachowania. Działo to wszystko w taki sposób przez całe wieki.

Porządek świata został poważnie zakłócony, kiedy w połowie dorocznego Festiwalu Wody, na który mogły przybywać wyłącznie bóstwa związane z tym żywiołem, Wielki Zond dostrzegł Imperiona, boga słońca, gnającego przez korytarze Nieba.

– Odejdź! – zawołał przerażony Zond.

Imperion jednakże nadal pędził ku niemu, aż zgromadzone bóstwa wody syczały i parowały. W końcu wyhamował u stóp wielkiego tronu, spowity w fale gorąca i ciepłej wody.

– Ojczy! – krzyknął z niepokojem.

Tak wysoko sytuowany bóg jak Imperion miał prawo zwracać się do Zonda *per* „ojczy”, choć Zond nie potrafił sobie przypomnieć, czy naprawdę był jego ojcem. Kwestii pochodzenia bogów brakowało jasności i uporządkowania tak charakterystycznych dla ich współczesnej egzystencji. Tym niemniej Zond wiedział jedno – Imperion, bez względu na to, czy jego synem był, czy nie, złamał zasady.

– Ukorz się – zagrzmiał surowo.

Imperion zignorował i to przykazanie, co nawet miało sens, ponieważ podłogi Nieba tonęły w parującej wodzie. Nadal wbijał płomienny wzrok w Zonda.

– Ojczy! Narodził się Mędrzec Rozpadu!

Zond zadrżał. Spowity w całun ciepłej, wilgotnej mgły spróbował udąć obojętność.

– Jest napisane – rzekł – iż narodzi się Mędrzec, który zacznie wszystko kwestionować. Jego pytania zniweczą wspaniałą porządek nieba, a wśród bogów zapanuje chaos. Napisane jest również...

I nagle Zond uświadomił sobie, że przez Imperiona sam złamał zasadę – właściwa procedura wymagała wezwania boga proroctw i polecenia mu, by zajrzał do Księgi Niebios. Dopiero po chwili dotarło do niego również, że

to Imperion pełni funkcję boga prorocत्व, co stanowiło jedną z jego precyzyjnie wyznaczonych funkcji. Natarł na niego ze złością: – Co ma oznaczać to nagłe najście?! Po co mi to mówisz? Jesteś bogiem prorocत्व! Idź i zajrzyj do Księgi Niebios!

– Już to zrobiłem, Ojczy – odrzekł Imperion. – I odkryłem, że przepowiedziałem nadejście Mędrca Rozpadu na samym początku istnienia bogów. W Księdze stoi, że Mędrzec się narodzi, a ja nic nie będę o tym wiedział.

– Skoro nic o tym nie wiesz, to jak jest możliwym, byś mi o tym mówił? – zapytał Zond, który zrozumiał, że wygrał starcie w pierwszej rundzie.

– Sam fakt, że tu przychodzę i przerywam Festiwal Wody, wskazuje na to, że Mędrzec przyszedł na świat – oznajmił Imperion. – Nasz Rozpad właśnie się rozpoczął.

Bóstwa wody pluskały i bulgotały dookoła z konsternacją. Stłoczyły się w korytarzu jak najdalej od Imperiona, ale na tyle blisko, by go słyszeć. Zond zaś przywołał na pomoc cały swój intelekt. Parująca z powodu Imperiona woda oraz przerażenie pośród zgromadzonych sprawiały, że atmosfera na korytarzach Nieba od mileniów nie była bliższa chaosowi. Jeszcze trochę, a Mędrzec i jego pytania okażą się zbędne.

– Opuście nas – przykazał Zond wodnym bóstwom. – Festiwal zostaje przerwany ze względu na wydarzenia niezależne ode mnie. Zostaniecie powiadomieni o wszelkich powziętych przeze mnie krokach.

Ku przerażeniu Zonda bóstwa wody zawahały się, co stanowiło kolejny dowód na nadchodzący Rozpad.

– Obiecuję! – dodał.

Bóstwa wreszcie podjęły decyzję i opuściły salę falami, aż został tylko jeden. Był to Ock, bóg wszystkich oceanów, równy statusem Imperionowi i niewrażliwy na gorąco, które od niego emanowało. Pozostał tam, gdzie stał.

Zond nie był z tego powodu zadowolony. Zawsze miał wrażenie, że Ock to jeden z najbardziej krnąbrnych bogów, który nie zna swego miejsca w szeregu, bóg równie niespokojny i nieprzewidywalny jak ludzie. Ale cóż mógł na to poradzić, skoro rozpoczął się Rozpad?

– Masz naszą zgodę, by zostać – powiedział łaskawie do Ocka, a potem zwrócił się do Imperiona: – A zatem jak się dowiedziałeś o narodzinach

Mędrca?

– Zasięgałem właśnie rady Księgi Niebios w innej sprawie, gdy naraz kartki otworzyły się na moim proroctwie w sprawie Mędrca Rozpadu. Skoro zaś wedle proroctwa nie będę znał dnia ani godziny narodzin Mędrca, w zasadzie już musiał się urodzić, bo w przeciwnym razie nie mógłbym się tego dowiedzieć. Reszta proroctwa okazała się należycie precyzyjna: za jakieś dwadzieścia lat Mędrzec zacznie krytykować Niebo. Cóż poczniemy, żeby go powstrzymać?

– Nie wiem, co możemy począć – odparł Zond głosem pozbawionym nadziei. – Proroctwo to proroctwo.

– Ale przecież musimy coś zrobić! – buchnął blaskiem Imperion. – Nalegam! Jestem bogiem porządku jeszcze bardziej niż ty sam! Pomyśl tylko, jakie byłyby konsekwencje, gdyby słońce nie weszło punktualnie! Cała ta sprawa znaczy dla mnie więcej niż dla kogokolwiek innego. Chcę, by Mędrzec Rozpadu został odnaleziony i zabity, zanim zacznie zadawać pytania.

– Przecież nie mogę tego zrobić! – krzyknął głęboko wstrząśnięty Zond. – Jeśli proroctwo głosi, że ma zacząć zadawać pytania, to tak właśnie będzie.

Niespodziewanie zbliżył się Ock.

– Każde proroctwo ma jakąś lukę – podpowiedział.

– Pewnie, że ma! – parsknął Imperion. – Widzę ją równie wyraźnie jak ty! Przykładowo właśnie korzystam z zamieszania wywołanego przez narodziny Mędrca, by prosić Wielkiego Zonda o zabicie go i unieważnienie proroctwa. A tym samym odbudowuję porządek.

– Nie miałem na myśli przerzucania się argumentami logicznymi – mruknął Ock.

Obaj bogowie stanęli naprzeciw siebie. Para buchająca od Ocka spowijała Imperiona i spadała w formie deszczu z powrotem na Ocka w cyklu równie regularnym jak oddech.

– Co zatem miałeś na myśli? – spytał Imperion.

– Proroctwo nie tłumaczy, w którym świecie Mędrzec zada swe pytania – rzekł Ock. – A przecież istnieje wiele innych światów. Ludzie zwą je jeśliświatami, co oznacza, że kiedyś były takie same jak Theare, ale rozdzieliły się i zaczęły oddalać po każdym wątpliwym wydarzeniu w

historii. Każdy z jeśliświatów ma własne Niebo. Musi więc istnieć taki świat, w którym bogowie nie są zorganizowani tak dobrze jak w naszym. Wrzucmy tam Mędrca, niech tam zadaje swe pytania.

– Dobry pomysł! – Zond klasnął w dłonie, co wywołało falę nieoczekiwanych burz w każdym zakątku Theare. – Zgoda, Imperionie?

– Zgoda – rzekł Imperion, samemu promieniejąc ulgą, a potem, jako istota z natury nierozważna, natychmiast przybrał profetyczny ton: – Jednakowoż pragnę was ostrzec, że dziwne rzeczy mają miejsce, gdy się igra z przeznaczeniem.

– Może i dziwne, ale nigdy nie zakłócają one porządku – zripostował Zond. Ponownie wezwał przed swe oblicze bóstwa wody, a wraz z nimi każdego innego boga w Theare. Oznajmił, że właśnie przyszło na świat niemowlę, którego przeznaczeniem było sianie Rozpadu, i przykazał wszystkim surowo, by przetrząsali ziemię aż po jej kres tak długo, aż je odnajdą.

(Wyrażenie: „Aż po kres ziemi” stanowiło termin przenośny. Zond nie wierzył, że Theare jest płaskie, ale sformułowanie to nie uległo zmianie od wieków, podobnie jak reszta Nieba. W przełożeniu na zwykły język oznaczało po prostu: szukać wszędzie).

Wszyscy Niebianie przystąpili do wyteżonych poszukiwań. Nimfy i bożki przetrząsały lasy, góry i jaskinie, bóstwa ogniska domowego zaglądały do kołysek, wodni bogowie uważnie obserwowali plaże oraz brzegi rzek i jezior, bogini miłości zagłębiła się w swych księgach, pragnąc ustalić tożsamość rodziców Mędrca, niewidzialne smoki podływały do barek i łodzi mieszkalnych... Próżno szukać w Theare takiego aspektu życia, który nie miałby swego boga, tak więc niczego nie przeoczono ani nie pominięto. Imperion zaś szukał intensywniej niż cała reszta – opromieniał swym blaskiem każdy zakątek i każdą szczelinę po jednej stronie świata, zmusiwszy uprzednio boginię księżycy, by zajęła się drugą.

Nikt jednak Mędrca nie odnalazł. Przydarzyły się dwa lub trzy fałszywe alarmy – na przykład kiedy pewna bogini ogniska domowego zameldowała, że dziecko w jej objęciu nie przestaje płakać. Płacz doprowadzał ją do furii i chciała wiedzieć, co to takiego, jeśli właśnie nie Rozpad. Doniesiono również o kilku niemowlętach, które urodziły się z

zębami, z sześcioma palcami lub podobnymi dziwactwami, ale Zond w każdym przypadku udowadniał, że nie mają one nic wspólnego z Rozpadem. Po miesiącu poszukiwań jasnym się stało, że malutkiego Mędrca po prostu nie da się odnaleźć.

Imperion pogrążył się w rozpacz, gdyż, jak powiedział Zondowi, porządek znaczył dla niego o wiele więcej niż dla jakiegokolwiek innego boga. Martwił się tak bardzo, że słońce zaczęło tracić ciepło. W końcu bogini miłości poradziła mu, by zrobił sobie przerwę i zrelaksował się u boku jakiejś śmiertelnej kobiety, zanim sam doprowadzi do Rozpadu.

Imperion zrozumiał, że bogini ma rację. Zstąpił na ziemię do pewnej śmiertelniczki, którą kochał od wielu lat. Zakochiwanie się w śmiertelnikach stanowiło wśród bogów tradycję. Niektórzy odwiedzali ukochane pod różnymi wymyślnymi postaciami, inni odwiedzali wiele kochanek jednocześnie, ale Imperion był zarazem uczciwy i wierny. Zawsze przychodził do Nestary pod postacią przystojnego mężczyzny i kochał ją z oddaniem. Trzy lata temu urodziła mu syna, którego pokochał równie mocno jak Nestarę. Przed narodzinami Mędrca próbował nawet nagiąć przepisy Nieba i uczynić swą kruszynkę bogiem.

Dziecko na imię miało Thasper. Gdy Imperion zszedł na ziemię, dostrzegł synka w piasku przed domem Nestary. Był pięknym dzieckiem, jasnowłosym i błękitnookim. Imperion zastanawiał się z czułością, czy potrafi już mówić. Nestara zamartwiała się, że nauka idzie mu zbyt wolno.

Zapłonął tuż obok chłopca.

– Witaj, Thasperze. Co wykopujesz z takim zapalem?

Thasper nie odpowiedział, a zamiast tego uniósł złocistą głowę i krzyknął: – Mamo? Czemu zawsze tak świeci, gdy przyjeżdża ojciec?

Zadowolenie Imperiona natychmiast przygasło. Oczywiście nikt nie mógł zadawać pytań, zanim nie nauczy się mówić, ale Imperion nie zniósłby wieści, że to jego własny syn jest Mędrce Rozpadu.

– A czemu nie? – zapytał w obronie. Thasper skrzywił się. – Ale ja chcę wiedzieć! Dlaczego tak świeci? – Być może dlatego, że cieszysz się na mój widok? – zasugerował Imperion. – Ale ja się nie cieszę! – oznajmił Thasper i wydał dolną wargę, a jego oczy zaszklily się od łez. – Dlaczego tak świeci? Mamo, ja chcę wiedzieć! Nie cieszę się!

Nestara wypadła z domu tak przejęta, że ledwie zauważyła Imperiona.

– Thasper, kochanie, co się dzieje?

– Chcę wiedzieć! – zawodził chłopiec.

– O co tym razem chodzi? Nigdy w życiu nie widziałam kogoś tak dociekliwego – z dumą oznajmiła Nestara, podnosząc Thaspera. – To dlatego tak wolno uczył się mówić – najpierw musiał wykombinować, jak się układa pytania. A jeśli nie udzieli się mu dokładnej, precyzyjnej odpowiedzi, ryczy całymi godzinami.

– Kiedy zaczął zadawać pytania? – dociekał spięty Imperion.

– Jakiś miesiąc temu.

Słowa Nestary wprawiły boga w prawdziwe przygnębienie, ale zdołał je ukryć. Nie miał już wątpliwości, że Thasper to w istocie Mędrzec Rozpadu, w związku z czym musiał go wyrzucić do innego świata. Uśmiechnął się i rzekł: – Moja droga, mam dla ciebie wspaniałe wieści. Moja propozycja, by uznać Thaspera za boga, została zaakceptowana. Sam Wielki Zond przyjmie go do siebie jako pazia.

– Och, tylko nie teraz! – krzyknęła Nestara. – Jest jeszcze taki malutki!

Próbowała wyperswadować Imperionowi ten pomysł na wiele różnych sposobów, lecz ostatecznie pozwoliła mu zabrać Thaspera. W końcu czy mogła marzyć o lepszej przyszłości dla dziecka? Włożyła synka Imperionowi w ramiona i wyrzuciła z siebie litanie nerwowych rad odnośnie tego, co chłopiec jada i kiedy kładzie się spać. Imperion z ciężkim sercem pocałował ją na pożegnanie. Nie był bogiem oszustwa. Wiedział, że nie ośmieli się więcej z nią spotkać z powodu lęku, że mógłby wyznać jej prawdę.

Trzymając Thaspera w ramionach, wzleciał do śródstrefia rozciągającego się pod Niebem, by poszukać tam innego świata.

Thasper spojrział z zainteresowaniem na olbrzymią, błękitną krzywiznę świata.

– Dlaczego... – zaczął.

Imperion pospiesznie rozciągnął wokół niego sferę zapomnienia. Nie mógł pozwolić, by Thasper zadawał pytania w tym miejscu. Te, które szerzyły Rozpad na ziemi, w śródstrefiu odniosłyby jeszcze bardziej miażdżący efekt.

Sfera zapomnienia była srebrną kulą, ni to przejrzystą, ni to matową, w której Thasper zapadł w stan pozornego uśpienia – nie mógł się poruszać ani rosnąć aż do chwili jej otwarcia. Upewniwszy się, że dziecko jest bezpieczne, Imperion zawiesił sobie sferę na ramieniu i wstąpił do najbliższego świata.

Co i rusz opuszczał jeden świat i wchodził do kolejnego. Ku swemu zadowoleniu odkrył, że istnieje ich niemalże nieskończona ilość, przez co jednak wybór właściwego okazał się niezmiernie trudny. W niektórych panował taki chaos, że bóg słońca obawiał się zostawić tam synka. W innych miejscowym bogom nie podobała się wizyta Imperiona i z wrzaskiem przeganiali go precz. W jeszcze innych z niechęcią odnosili się do niego sami ludzie, a jeden, o zgrozo, okazał się tak racjonalny, że bogowie w nim byli martwi. Odnalazł kilka, które wyglądały zachęcająco, ale za każdym razem, gdy uwalniał duchy przepowiedni, dowiadywał się, że Thaspera czeka w nich zguba.

W końcu natrafił jednak na odpowiedni świat. Wydawał się spokojny i elegancki, a nieliczni panujący nad nim bogowie sprawiali wrażenie ucywilizowanych, ale zwyczajnych. Ku swemu zdumieniu Imperion zorientował się, że oddali znaczną część mocy ludziom, lecz ci najwyraźniej nie robili z niej złego użytku. Ponadto duchy przepowiedni podpowiedziały mu, że jeśli pozostawi tam sferę zapomnienia z Thasperem w środku, zostanie ona otwarta przez kogoś, kto będzie go dobrze traktował.

Imperion porzucił ją więc w lesie i z wielką ulgą popędził z powrotem do Theare, gdzie zameldował o wszystkim Wielkiemu Zondowi i radość zapanowała w całym Niebie. Następnie dopilnował, by Nestara wyszła za bardzo bogatego człowieka, który – prócz majątku i szczęścia – obdarował ją również mnóstwem dzieci. Po tym wszystkim, czując w sercu odrobinę smutku, powrócił do uporządkowanej rutyny życia Nieba. Perfekcyjnie zorganizowane Theare istniało nadal, niezagrożone przez Rozpad.

Minęło siedem lat.

Przez cały ten czas Thasper (nadal trzyletni) o niczym nie wiedział. Pewnego dnia sfera zapomnienia rozpadła się na pół i do środka wpadły promienie słońca nieco bledsze od tych, które pamiętał. Zamrugnął szybko.



– Oto przyczyna wszelkich kłopotów – mruknął wysoki mężczyzna.

– Biedactwo – dodała kobieta.

Wszędzie ciągnęły się lasy, a dookoła stali jacyś ludzie i uważnie się w niego wpatrywali. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał Thasper, był moment, gdy wzbijał się z ojcem ku śródstrefiu. Dokończył więc pytanie, które mu wtedy przerwano: – Dlaczego świat jest okrągły? – Ciekawe pytanie – stwierdził wysoki mężczyzna. – Zazwyczaj powiada się, że niegdyś był kwadratowy, ale rogi starły się od nieustannego obrotu. Z drugiej strony być może zaprojektowano go w taki sposób, byśmy kończyli tam, gdzie rozpoczynamy.

– Drogi panie, miesza mu pan w głowie – rzekła inna dama. – To tylko małe dziecko.

– Skąd, jest przecież zainteresowany – zaprotestował inny mężczyzna. – Spójrzcie tylko.

Thasper rzeczywiście był zainteresowany. Przypadł mu do gustu ów wysoki mężczyzna. Wciąż nie miał pewności, dlaczego się tu właściwie znalazł, ale przypuszczał, że wysoki potrafi odpowiedzieć na pytanie lepiej niż Imperion. Potem zastanowił się również, gdzie mógł zniknąć ten ostatni.

– Czemu nie jesteś moim tatą? – zwrócił się do wysokiego.

– Kolejne jakże dociekliwe pytanie. Ponieważ z tego, co się orientujemy, twój tata mieszka w innym świecie. Wyjaw nam, jak masz na imię.

Wysoki coraz bardziej mu się podobał. Thasper nigdy nie odpowiadał na pytania, a jedynie je zadawał – to zaś było polecenie, nie pytanie. Wysoki dobrze rozumiał Thaspera.

– Thasper – odrzekł posłusznie chłopiec.

– Jaki słodki! – zakrzyknęła pierwsza dama. – Chcę go przygarnąć.

Pozostałe kobiety ochoczo przytaknęły.

– Nie ma mowy – odparł łagodnie, lecz stanowczo wysoki. Damy zaczęły więc go błagać, by pozwolił im zajmować się Thasperem przez dzień lub chociaż godzinę.

– Nie – odmówił wciąż łagodnym głosem. – Musi natychmiast wracać do swego świata.

Słyszając to, niewiasty podniosły wrzask, iż być może Thasper jest w

wielkim niebezpieczeństwie tam, skąd przybył. Mężczyzna odpowiedział: – Zajmę się tym, rzecz jasna. No, wstawaj – dodał, wyciągając ku chłopcu rękę.

Gdy tylko Thasper wydostał się ze sfery, obie jej połowy znikły, a któraś z dam ujęła go za drugą rączkę. Odjechali podskakującym powozem, co bardzo mu się spodobało, aż dotarli do wielkiego domu, w którym znajdował się wyjątkowo dziwaczny pokój. Posadzono go tam wewnątrz pięcioramiennej gwiazdy, a wokół zaczęły się pojawiać jakieś projekcje. Stojący naokoło ludzie kręcili głowami.

– Nie, to też nie ten świat – mówili co chwila.

Wysoki rozwiewał wszelkie wątpliwości Thaspera, zaś chłopiec zbyt był pochłonięty rozmową, by się rozzłościć na to, że nie dano mu nic do jedzenia.

– A właściwie to dlaczego? – zapytał.

– Ponieważ sama twoja obecność sprawia, że nasz świat staje na głowie – wyjaśnił dryblas. – Jedzenie to natomiast ciężki element naszego świata i gdybyś coś zjadł, mogłoby cię rozerwać na kawałki.

Wkrótce po tych słowach pojawiła się kolejna projekcja. Wszyscy naraz wydali z siebie westchnienie ulgi.

– Ach, a więc to Theare! – Wysoki spojrział na Thaspera z zaskoczeniem. – Zapewne ktoś cię tam uznał za element wywrotowy.

Raz jeszcze przyjrzał się projekcji, tym raz ze spokojem, wręcz rozleniwieniem.

– Żaden z ciebie wywrotowiec. Nie stanowisz zagrożenia. Chodź ze mną.

Znów chwycił Thaspera za rękę i wprowadził go do projekcji. W tej samej chwili włosy chłopca ściemniały.

– To tylko prosty środek zapobiegawczy – mruknął dryblas nieco przeproszającym tonem, ale Thasper nawet tego nie wychwycił. Nie dość, że nigdy nie wiedział, jakiego koloru ma włosy, to jeszcze zanadto zafascynowało go tempo podróży. Z ogromną prędkością wpadli do jakiegoś miasta i gwałtownie wyhamowali. Stanęli przed schludnym domem na skraju biedniejszej dzielnicy.

– Tu mieszka ktoś, kto się będzie nadawał. – Wysoki zastukał do drzwi.

Otworzyła kobieta o smutnym wyrazie twarzy.

– Proszę o wybaczenie, droga pani – rzekł. – Czy nie zgubiła pani przypadkiem małego chłopca?

– Tak, ale to nie jest... – Kobieta nagle zamruwała. – Ależ tak! Jest! Och, Thasper! Jak mogłeś tak po prostu uciec? Dziękuję panu bardzo, bardzo!

Ale wysoki już zniknął.

Kobieta nazywała się Alina Altun i była do tego stopnia przeświadczona, że to właśnie ona wydała na świat Thaspera, iż wkrótce on sam również w to uwierzył. Rozpoczął się kolejny szczęśliwy okres w jego życiu u boku nowej matki i jej męża, ciężko pracującego, choć niezbyt zamożnego doktora.

Thasper wkrótce zapomniał o wysokim mężczyźnie, Imperionie i Nestarze. Czasami dziwiło go – podobnie zresztą, jak jego matkę – dlaczego zawsze wbrew swej woli przedstawiała go słowami: „Oto Badien, ale mówimy na niego Thasper”. Dzięki wysokiemu nikt z nich nie miał pojęcia, że prawdziwy Badien uciekł tego dnia, kiedy przybył Thasper, a potem utonął w rzece, gdzie na domiar złego zżarł go niewidzialny smok.

Gdyby Thasper zapamiętał wysokiego mężczyznę, pewnie zastanawiałby się, dlaczego jego przybycie zbiegło się w czasie z początkiem prosperity doktora Altuna – ludzie w uboższej dzielnicy jakby nagle odkryli, jakim doskonałym jest lekarzem i jak niewysokie są jego stawki.

Wkrótce Altun zarobił wystarczająco dużo, by posłać Thaspera do bardzo dobrej szkoły, gdzie chłopak nierzadko zbijał nauczycieli z tropu swymi pytaniami. Jego matka często się chwaliła, że nigdy nie widziała kogoś równie dociekliwego. Choć Thasper wyuczył się Dziesięciu Pierwszych Lekcji oraz Dziewięciu Manier Dzieciństwa o wiele szybciej od rówieśników, jego nauczyciele często tracili cierpliwość i z gniewem rzucali: „Och, a idźże zapytać niewidzialnego smoka!” (tak właśnie mawiali ludzie w Theare, gdy ktoś ich zadręczał pytaniami).

Kosztowało go to wiele wysiłku, ale w końcu Thasper wyzbył się nawyku zadawania pytania za pytaniem, choć wciąż wolał pytać, niż odpowiadać. W domu pytał o coś bez ustanku: „Dlaczego bóg kuchni melduje się w Niebie raz do roku? Czy to dlatego, bym mógł kraść ciasteczka? Dlaczego istnieją niewidzialne smoki? Czy istnieje bóg od wszystkiego? Skoro bogowie zsyłają na ludzi choroby, to czemu tata jest w stanie ich wyleczyć?

Czemu muszę mieć małego braciszka lub małą siostrzyczkę?”.

Alina Altun była dobrą matką i pilnie odpowiadała na wszystkie pytania, łącznie z tym ostatnim. Opowiedziała Thasperowi, jak powstają dzieci, a wywód zakończyła słowami: – Tak więc, jeśli bogowie pobłogosławią me łono, przyjdzie na świat dziecko.

Była bowiem bardzo pobożną osobą.

– Nie chcę, by cię pobłogosławiono! – stwierdził Thasper ze wzburzeniem.

Wydawało się jednak, że w tej kwestii nie ma specjalnego wyboru. Nim ukończył dziesięć lat, bogowie uznali za stosowne pobłogosławić łono jego matki czterokrotnie i tak oto dorobił się dwóch braci oraz dwóch sióstr. Zdaniem Thaspera stanowili raczej kiepskie błogosławieństwo – byli po prostu o wiele za mali, by się na cokolwiek przydać.

– Czemu nie mogą być w tym samym wieku, co ja? – pytał wielokrotnie i zaczynał żywić do bogów drobną, ale nieprzejednaną urazę.

Interes doktora Altuna nadal nieźle prosperował, a dochody wzrastały szybciej niż potrzeby rodziny. Alina zatrudniła wkrótce służącą, kucharza oraz dorywczo kilku parobków. To właśnie jeden z nich, gdy Thasper ukończył jedenaście lat, nieśmiało wręczył mu złożoną na pół kartkę papieru. Zdumiony chłopak rozwinął ją, czemu towarzyszyło osobliwe uczucie, zupełnie jakby papier wibrował lekko w jego dłoniach. Sam list zawierał bardzo surowe ostrzeżenie, którego nie miał prawa nikomu powtórzyć: Drogi Thasperze, Znalazłeś się w dziwnej sytuacji. Nie zapomnij natychmiast mnie zawołać, gdy już staniesz twarzą w twarz z sobą samym. Będę cię śledził i zjawię się bezzwłocznie.

Twój Chrestomanci Thasper nie pamiętał dosłownie niczego z poprzedniego życia, więc list wprowadził go w bezbrzeżne zdumienie. Wiedział, że nie powinien nikomu o nim mówić, ale był też pewien, że to ograniczenie nie dotyczy owego parobka. Ściskając list w rękę, pognął do kuchni, gdzie spodziewał się go zastać.

Ledwie znalazł się u szczytu schodów, gdy nagle zamarł – z kuchni dobiegał bowiem ogłuszający łoskot tłuczonej porcelany oraz wściekła tyrada kucharza. Thasper wiedział z własnego doświadczenia, że nie jest to odpowiedni moment na wchodzenie do środka.

Parobek, który nosił osobliwe imię Kot, był właśnie wyrzucany z pracy, jak wielu innych parobków przed nim. Thasper postanowił więc, że wyjdzie z domu i zaczeka na niego przed tylnymi drzwiami. Zerknął na list i niespodziewanie znów poczuł mrowienie w palcach. List zniknął.

– Zniknął! – wykrzyknął z ogromnym zaskoczeniem chłopiec.

Nigdy później nie umiał wyjaśnić tego, co uczynił. Zamiast poczekać na Kota przed domem, popędził do salonu, by mimo ostrzeżenia opowiedzieć o wszystkim mamie.

– Wiesz co? – zagaił pozornie bez znaczenia, by mieć okazję coś opowiedzieć, a na koniec zamienić całą historię w pytanie. – Wiesz co?

Alina uniosła wzrok, a Thasper, choć zamierzał powiedzieć jej o tajemniczym liście, wypalił: – Kucharz właśnie wyrzucił nowego parobka!

– Och, do licha! – westchnęła Alina. – Będę musiała znaleźć nowego!

Rozdrażniony swoją reakcją, Thasper spróbował raz jeszcze: – Wiesz co? Dziwi mnie, że kucharz nie wyrzuci również kuchennego boga!

– Ciszej, kochanie. Nie mówi się tak o bogach! – rzekła pobożna kobieta.

W tym momencie parobek był już daleko i Thasper stracił ochotę, by komukolwiek opowiadać o tajemniczym liście, który od tej pory stanowił jego osobisty, ekscytujący sekret. W myślach nazywał go Listem od Tajemniczego Nieznajomego. Czasem, gdy w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć, szeptał do siebie: „Tajemniczy Nieznajomy”. Nic jednak nigdy się nie wydarzyło, nawet gdy wypowiedział to imię głośno i po jakimś czasie dał sobie z tym spokój. Zainteresowało go bowiem coś innego – Zasady, Prawa i Systemy.

Zasady i Systemy stanowiły ważny element życia mieszkańców Theare, co przy tak dobrze zorganizowanym Niebie było oczywiście logiczne. Ludzie kodyfikowali zachowania i tworzyli ich modele, jak na przykład Siedem Subtelnych Uprzejmości lub Sto Dróg do Bogobojności. Thasper uczył się ich wszystkich, odkąd ukończył trzy lata.

Szybko przyzwyczał się do wysłuchiwanie cyklicznych kłótni Aliny i jej przyjaciół na temat Siedemdziesięciu Dwóch Praw Prowadzenia Gospodarstwa Domowego. Niespodziewanie odkrył, że wszystkie te Zasady tworzą wspaniałą sieć, po której może się wspinać ludzki umysł. Sporządzał listy zasad oraz poprawek do nich, jednocześnie spisując

wszelkie sposoby na to, jak postępować wbrew Zasadom, a przy tym ich nie łamać. Obmyślał nowe kodeksy, wypełniał nimi książki i rysował tabele, tworzył gry oparte na rozbudowanych zasadach i grał w nie z przyjaciółmi.

Dla ludzi z zewnątrz wydawały się one zarazem nieskomplikowane, jak i zagmatwane, ale Thasper i jego przyjaciele wprost stracili dla nich głowy. Najlepszym momentem każdej rozgrywki była chwila, gdy ktoś przerywał, unosił głowę i oznajmiał głośno: – Wymyśliłem nową zasadę!

Obsesja na punkcie zasad trwała do chwili, gdy Thasper ukończył piętnaście lat. Wraciał pewnego dnia ze szkoły, tworząc w myślach listę zasad dla Dwudziestu Modnych Fryzur (dzięki czemu łatwo stwierdzić, że zaczął już dostrzegać dziewczęta, choć jak dotąd żadna nie dostrzegła jego). Kiedy myślał o odpowiednich fryzurach, jego uwagę przyciągnął napis wykonany kredą na ścianie:

*Mędrzec Rozpadu rzecze: jeśli Zasady tworzą sieć, do której może wypełznąć ludzki umysł, to dlaczego równie dobrze nie może z niej wypęłznąć?*

Tego samego dnia Niebo ogarnęła konsternacja. Zond wezwał wszystkich bogów przed swój tron.

– Mędrzec Rozpadu zaczął prawić – oznajmił mrocznym głosem. – Imperionie, wydawało mi się, że się go pozbyłeś?

– Tak też i mnie się wydawało – powiedział Imperion, który był jeszcze bardziej przerażony niż sam Zond. Skoro Mędrzec zaczął prawić, oznaczało to, że całkiem niepotrzebnie pozbył się Thaspera i zrezygnował z Nestary. – Chyba więc popełniłem błąd.

Wtedy odezwał się lekko parujący Ock: – Ojciec Zond! Czy mogę z całym szacunkiem zaproponować, abyś tym razem osobiście uporał się z Mędrce, by po raz kolejny nie doszło do pomyłki?

– Właśnie sam chciałem to zaproponować – rzekł Zond z wdzięcznością. – Czy wszyscy się zgadzają?

Bogowie byli zbyt nawykli do porządku i dyscypliny, by zaprotestować, tak więc zgodzili się wszyscy.

Thasper zaś wpatrywał się w wypisane kredą słowa i drżał aż po podeszwy sandałów. Cóż to oznaczało? Kto wykorzystał jego własne,

głęboko skrywane myśli? Kim był Mędrzec Rozpadu? Naraz ogarnął go wstyd. On, mistrz w zadawaniu pytań, nigdy nie pomyślał o zadaniu właśnie tego! W rzeczy samej, dlaczego umysł nie może po prostu wypełznąć z sieci?

Poszedł do domu i spytał rodziców o Mędrca Rozpadu. Przekonany, że będą coś wiedzieć, z rozdrażnieniem powitał fakt, że nigdy o nim nie słyszeli. Mieli jednak sąsiada, który wysłał Thaspera do innego sąsiada, który z kolei miał przyjaciela. Ten, gdy chłopak odnalazł w końcu jego dom, powiedział, że Mędrzec to właściwie pewien sprytny młody człowiek, który zarabia na życie, przedrzeźniając bogów.

Nazajutrz ktoś zmył wypisane kredą słowa, ale dwa dni później w tym samym miejscu pojawił się kiepsko wydrukowany plakat:

*Mędrzec Rozpadu pyta: Kto, u licha, wymyślił dyscyplinę? Przyjdź do Małej Świątynnej Sali Koncertowej dziś o 6:30.*

O szóstej dwadzieścia Thasper jadł kolację, o szóstej dwadzieścia cztery podjął decyzję i wstał od stołu, a o szóstej trzydzieści dwa przybiegł zdyszany do Małej Świątynnej Sali, która okazała się niewielkim, zapuszczonym budyneczkiem nieopodal jego domu. Nikogo tam nie zastał, a z tego, co udało mu się wyciągnąć od marudnego stróża, spotkanie odbyło się dzień wcześniej. Głęboko rozczarowany, Thasper zawrócił. Marzył, by się dowiedzieć, kto, u licha, wymyślił dyscyplinę. Miał przecucie, że człowiek, który nazywał siebie Mędrcem Rozpadu, musi być geniuszem.

Aby złagodzić efekty rozczarowania, następnego dnia udał się do szkoły nową trasą. Przechodząc obok Małej Świątynnej Sali, ze zdumieniem odkrył, że ta spłonęła w nocy. Z budowli pozostały jedynie szerniałe mury. Gdy tylko dotarł do szkoły, usłyszał pierwsze rozmowy na ten temat. Koledzy powiedzieli mu, że sala stanęła w płomieniach zeszłego dnia około godziny siódmej.

– A wiedzieliście, że wczoraj w nocy był tam Mędrzec Rozpadu?

I wtedy wyszło na jaw, że zagadką Mędrca interesuje się połowa klasy. Co więcej, od tego momentu dziewczyny wreszcie zaczęły dostrzegać Thaspera.

– Wygaduje niesamowite rzeczy o bogach – powiedziała mu jedna z nich.

– Nikt przed nim nie zadawał takich pytań.

Większość dzieciaków, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, wiedziała na temat Mędrca niewiele więcej od samego Thaspera, a trzy czwarte ich opowieści pochodziła z drugiej ręki. Jednakże jeden z chłopców pokazał mu starannie wycięty artykuł z gazety, w którym dobrze znany uczyony omawiał tak zwaną Doktrynę Rozpadu. Artykuł był rozwlekły i przegadany, a chodziło w nim o to, że Mędrzec i wszyscy, którzy mu wierzą, zachowują się niestosownie wobec bogów i przeczą wszelkim zasadom.

Thasper niewiele się w ten sposób dowiedział, ale zawsze coś. Ze smutkiem odkrył, że jego fascynacja zasadami stanowiła błąd, przez który znajdował się daleko w tyle za resztą klasy, jeśli chodzi o poznawanie nowej, wspaniałej Doktryny. Z miejsca stał się Wyznawcą Rozpadu i przyłączył się do kolegów i koleżanek w ich wysiłkach, by dowiedzieć się na temat Mędrca tak wiele, jak to tylko możliwe.

Włóczył się wraz z nimi po ulicach, malując na murach napisy: Rozpad rządzi!

Jeszcze długo jedynym źródłem wiedzy o Mędrca były pytania wypisywane kredą na ścianach i natychmiast zamazywane:

*Po co nam modlitwy?*

*Dlaczego akurat Sto Dróg do Bogobojności, ni mniej, ni więcej?*

*Czy rzeczywiście wspinamy się po Stopniach do Nieba?*

*Czym jest doskonałość: procesem czy stanem?*

*Czy to sprawa dla bogów?*

Thasper obsesyjnie spisywał wszystkie te pytania. Musiał przyznać, że znów ogarnęła go obsesja, ale tym razem obsesja innego rodzaju. Nie przestawał myśleć i rozważać. Z początku próbował formułować sprytne pytania dla Mędrca, a przede wszystkim takie, których nikt wcześniej nie zadał. W międzyczasie jednakże zmienił nieco podejście i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób Mędrzec odpowie na te pytania. Rozważał



kwestie porządku i zasad rządzących Niebem i uświadomił sobie, że pytania Mędrca nie zostały zadane bez powodu. Od myślenia zaczynało mu się kręcić w głowie.

Przyczynę kryjącą się za pytaniami Mędrca odkrył tego poranka, kiedy to po raz pierwszy samodzielnie się ogolił.

Bogowie potrzebują ludzi, by być bogami.

Oszołomiony swym odkryciem, Thasper zapatrzył się w lustro i twarz pokrytą białą pianką. Bez ludzi, którzy w nich wierzyli, bogowie nic nie znaczyli! Porządek Nieba wraz z zasadami i kodeksami na ziemi istniały tylko ze względu na ludzi. Przecież to oczywiste!

Wtedy przypomniał mu się list od Nieznajomego.

– Czy to właśnie teraz stoję twarzą w twarz z sobą samym? – zapytał.

Nie miał pewności, ale wiedział, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, nie będzie musiał się zastanawiać.

Potem przyszło mu do głowy, że ów Nieznajomy Chrestomanci to prawie na pewno Mędrzec. Ogarnęło go podniecenie. Sam Mędrzec potajemnie zainteresował się nastoletnim chłopcem, Thasperem Altunem! Znikający list idealnie pasował do wyobrażenia nieuchwytnego, tajemniczego myśliciela.

Tymczasem Mędrzec pozostawał nieuchwytny i tajemniczy. Kolejna wiarygodna informacja na jego temat pojawiła się w gazetowym artykule o błyskawicy, która uderzyła w Niebiańską Galerię. Dach rzekomo zapadł się ledwie kilka sekund po tym, jak pewien młody człowiek, zwany Mędrcem Rozpadu, wygłosił kolejny wymęczony, pełen sprzeczności wywód, a potem wyszedł wraz z uczniami.

– Nie ma tam żadnych sprzeczności – powiedział Thasper sam do siebie.

– On wie o bogach. Skoro ja wiem, to on wie już na pewno.

Wraz z klasą udali się na pielgrzymkę do ruin galerii. Był to większy budynek niż Mała Świątynna Sala Koncertowa, co oznaczało, że Mędrzec zyskuje popularność.

Wśród uczniów zapanowało ogromne podniecenie. Jedna z dziewcząt znalazła zaproszenie na wykład do Sali Królestwa Splendoru. Popularność Mędrca rosła bezustannie. Thasper i jego przyjaciele ubrali się odświętnie i wyruszyli na miejsce, ale znów okazało się, że godzina została źle

wydrukowana. Wykład właśnie dobiegł końca, a tłumy rozczarowanych ludzi wylewały się na ulicę.

Thasper i jego przyjaciele wciąż tam stali, kiedy budynek wyleciał w powietrze. Mieli szczęście, że nikomu nic się nie stało. Zdaniem policji ktoś podłożył bombę. Wraz z resztą klasy Thasper wziął udział w wyciąganiu rannych z płonącej Sali, co było ekscytujące, ale nijak się miało do mowy Mędrca.

Chłopiec wiedział już, że nie zazna szczęścia, póki nie odnajdzie Mędrca. Obiecał sobie, że dowie się, czy trafnie odgadł powód skryty za jego pytaniami. Nie było to jednak wszystko – Thasper po prostu przeczuwał, że jego przeznaczenie jest związane z Mędrcem.

Jak na złość po szkole i mieście zaczęła krążyć plotka, że Mędrzec miał już dość wykładów i zamachów bombowych, w związku z czym usunął się w cień, by napisać książkę, którą zamierzał zatytułować Pytania o Rozpad. Wedle pogłosek zaszył się gdzieś w okolicy Drogi Czterech Lwów.

Thasper udał się w to miejsce. Wyzbywszy się resztek wstydu i nieśmiałości, zaczął pukać do drzwi i zaczepiać przechodniów. Wielokrotnie kazano mu iść pytać niewidzialnego smoka, ale nie zwracał na to uwagi. Kontynuował, dopóki się nie dowiedział, że pani Tunap mieszkająca pod numerem 403 może coś wiedzieć. Z mocno bijącym sercem Thasper stanął pod jej drzwiami i zastukał.

Pani Tunap okazała się dystyngowaną damą w zielonym turbanie.

– Obawiam się, że nic nie wiem, mój drogi – wyznała. – Mieszkam tu od niedawna.

Nim jednak Thasper stracił resztkę nadziei, dodała: – Niemniej ludzie, którzy mieszkali tu przede mną, mieli lokatora, pewnego bardzo cichego pana. Wyprowadził się tuż przed moim przybyciem.

– Zostawił adres? – zapytał Thasper i wstrzymał oddech.

Pani Tunap przyjrzała się starej kopercie przypiętej do ściany w korytarzu.

– Tu jest napisane, że lokator mieszka teraz na Placu Żłotego Serca, mój drogi.

Pod wskazanym adresem Thasper niczego się nie dowiedział. Powiedziano mu tylko, że pewien młody człowiek, który mógł być

Mędrce, spojrzął na pokój i odszedł. Potem Thasper musiał wracać. Altunowie nie mogli się przyzwyczaić do faktu, że ich syn nie jest już dzieckiem i martwili się, że nagle chce co wieczór wychodzić z domu.

Co ciekawe, mieszkanie pod numerem 403 na Drodze Czterech Lwów spłonęło jeszcze tej nocy.

Thasper wiedział już, że zabójcy ścigają Mędrca równie intensywnie jak on sam, przez co obsesja, by go odnaleźć, przybrała jeszcze na sile. Czuł, że mógłby uratować Mędrca, gdyby go odnalazł przed zabójcami. Nie miał do niego pretensji, że wciąż się przemieszcza.

Mędrzec zaś w istocie nigdzie dłużej nie zabawił. Wedle plotek zamieszkał na ulicy Zakątek Kuropatwy, lecz nim Thasper zdołał go wytropić, przeniósł się na Plac Bujanego Fotela, stamtąd na Bulwar Mocnego Wina, aż wreszcie do uboższego domu na Kolejowej. Potem pojawiło się wiele innych miejsc.

W międzyczasie Thasper wykształcił w sobie coś na kształt szóstego zmysłu, który pomagał mu tropić Mędrca. Wystarczyło kilka słów lub choćby wzmianka o jakimś dyskretnym lokatorze, a już ruszał na poszukiwania, stukał do drzwi, wypytywał, wysłuchiwał rad, by poprosił o pomoc niewidzialne smoki i nieustannie zdumiewał rodziców conocnymi wypadami. Działał szybko, a nawet bardzo szybko, ale nie potrafił dopaść Mędrca. W dodatku w większości przypadków wyprzedzał zabójców ledwie o krok. Domy stawały w płomieniach i wylatywały w powietrze, jeszcze zanim opuścił przeszukiwaną ulicę.

W końcu dotarł do mało wiarygodnych pogłosek, wedle których Mędrzec przebywał na Ulicy Nowego Jednoroźca. Pobiegł tam, żałując, że musiał spędzić cały dzień w szkole. Mędrzec mógł się dowolnie przemieszczać, podczas gdy on był uwięzany aż do popołudnia – nic dziwnego, że nie potrafił go znaleźć. Tym niemniej pokładał wielkie nadzieje w Ulicy Nowego Jednoroźca. Był to ubogi zakątek z rodzaju tych, w których Mędrzec ostatnimi czasy gustował.

Niestety, nadzieje okazały się złudne. Tłusta kobieta, która otworzyła drzwi, roześmiała się szyderczo.

– Nie zawracaj mi głowy, synu! – wrzasnęła. – Idź i spytaj niewidzialnego smoka!

I zatrzasnęła drzwi. Thasper stał na ulicy głęboko upokorzony. Nie miał żadnego pomysłu, gdzie wznowić poszukiwania, a w głębi serca narastało gorzkie przekonanie, że zrobił z siebie idiotę. Czuł, że szuka wiatru w polu, że Mędrzec tak naprawdę nie istnieje. Nie chciał jednak snuć podobnych rozważań, więc pozwolił gniewowi znaleźć ujście.

– Dobra! – wrzasnął do zamkniętych drzwi. – A więc pójdę i zapytam niewidzialnego smoka!

Gnany wzburzeniem popędził w stronę rzeki. Zatrzymał się pośrodku mostu i wychylił przez barierkę.

Wiedział, że zachowuje się jak kompletny pomyleniec – był pewien, że nie istnieje coś takiego jak niewidzialny smok, ale nie uwolnił się jeszcze od swej obsesji i czuł, że musi to zrobić. Gdyby na moście zastał jakiegokolwiek człowieka, zapewne dałby sobie spokój, ale nie było tam nikogo. Czując się jak skończony dureń, wykonał znak modlitewny do Ocka, Władcy Oceanów – ponieważ to on odpowiadał za wszystko związane z wodą – lecz uczynił to w tajemnicy, by nikt tego nie zobaczył. Potem powiedział cicho, niemalże szeptem: – Czy jest tu jakiś niewidzialny smok? Chciałbym zadać kilka pytań.

Wokół niego zawirowały krople wody, coś wilgotnego owiało mu twarz, a potem usłyszał warkot. Odwrócił głowę w tym kierunku i ujrzał trzy mokre plamy na poręczy, każda wielkości dwóch jego dłoni, każda w odległości dwóch stóp od następnej. Nie to było jednak najdziwniejsze – z wysokości dwukrotnie przekraczającej jego wzrost na parapet ściekała woda, która wydawała się brać z powietrza.

Thasper zaśmiał się nerwowo.

– Wyobrażam sobie smoka! – powiedział. – Gdyby to był smok, plamy znajdowałyby się w miejscach, gdzie ciało dotyka barierki. Wodne smoki nie mają stóp. Co więcej, sądząc po odległościach między plamami, wyobrażam sobie takiego, co ma jedenaście stóp długości.

– Czternaście! – dobiegł go głos znikąd, lecz zbyt blisko twarzy, by mógł go przyjąć ze spokojem. Co więcej, poczuł podmuch pary wodnej. Cofnął się. – Mam czternaście stóp. No, pospiesz się, boże dziecię. O co chcesz mnie spytać?

– Ja... ja... – zająknął się Thasper. Ogarnęło go przerażenie, to prawda,

ale nie ono stanowiło przyczynę oszołomienia. Pojawienie się smoka było dlań jak cios między oczy i całkiem zaprzeczało teorii, jakoby bogowie potrzebowali ludzi, by ktoś w nich wierzył. Szybko jednakże odzyskał rezon i odezwał się lekko zachrypniętym głosem: – Szukam Mędrca Rozpadu. Czy wiesz, gdzie on jest?

Smok zaśmiał się. Jego śmiech brzmiał osobliwie – przypominał dźwięki wydawane przez napełniane wodą gliniane piszczalki, naśladujące śpiew ptaków.

– Obawiam się, że nie mogę ci dokładnie powiedzieć, gdzie znajduje się Mędrzec. Musisz go sam odnaleźć. Zastanów się, boże dziecię. Na pewno zauważyłeś, że w tym wszystkim, co ci się przytrafiło, jest jakaś prawidłowość.

– Jasne, istnieje prawidłowość! – zawołał Thasper. – Gdziekolwiek Mędrzec się nie uda, zawsze mi umyka, a w chwilę później wybucha pożar.

– Oczywiście, nie mylisz się – odparł smok. – Ale istnieje również pewna prawidłowość związana, z miejscami, w których się zatrzymuje. Poszukaj jej. Nie mogę ci powiedzieć nic więcej, boże dziecię. Masz jakieś inne pytania?

– Nie, chyba już nie. Bardzo ci dziękuję.

– Do usług. Ludzie bez przerwy przykazują jeden drugiemu, by tu przyszedł i o coś nas zapytał, ale mało kto tak czyni. Do zobaczenia.

Wilgotne powietrze buchnęło w twarz Thaspera. Chłopak wychylił się przez balustradę i ujrzał, jak o powierzchnię wody uderza długi, niewidzialny kształt, a potem ku górze wzbija się chmara srebrnych bąbelków. Na koniec wszystko znikło. Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że trzęsą mu się kolana.

Począł, aż nogi się uspokoją, i wrócił do domu. Gdy tylko wszedł do swego pokoju, zdjął z łóżka statuetkę boga ogniska domowego, którą postawił tam za namową Aliny. Dała o sobie znać przesądność, z istnienia której do tej pory nie zdawał sobie sprawy. Ostrożnie wystawił posążek na korytarz, a następnie wyciągnął mapę miasta oraz kilka kolorowych naklejek i zabrał się za zaznaczanie wszystkich miejsc, w których Mędrzec mu się wymknął.

Wynik eksperymentu sprawił, że Thasper puścił się w dziki tan po

pokoju. Smok się nie mylił, istniała prawidłowość. Mędrzec z początku zatrzymywał się w dobrych kwaterach w lepszej części miasta, a potem stopniowo przemieszczał się ku uboższym dzielnicom, lecz zataczał przy tym łuk, który znów miał go przywieść ku bogatszym. Dom rodziny Altunów znajdował się zaś na samym skraju uboższej dzielnicy. To oznaczało, że Mędrzec zbliża się do jego domu! Ulica Nowego Jednorożca nie była wcale tak daleko! Z następną nocą Mędrzec znajdzie się jeszcze bliżej – Thasper musiał jedynie odszukać płonący dom.

Robiło się już ciemno. Odsunął zasłony i wyjrzał przez okno w kierunku uboższych ulic. Od razu dostrzegł to, czego szukał – na lewo migotały czerwone i pomarańczowe płomienie. Na pierwszy rzut oka była to Ulica Jesiennej Pełni. Thasper roześmiał się głośno. Właściwie czuł wobec podpalaczy wdzięczność!

Zbiegł po schodach i wypadł z domu, urywając niespokojne pytania rodziców i wrzaski rodzeństwa trzaśnięciem drzwiami. Po zaledwie dwóch minutach znalazł się przy pożarze. W blasku ognia przemykały ciemne postacie ludzi, którzy rzucali meble na stertę leżącą na środku ulicy. Kilku pomagało oszołomionej kobiecie w przekrzywionym brązowym turbanie usiąść na fotelu.

– Czy nie miała pani jakiegoś lokatora? – zapytał ją ktoś z niepokojem.

Kobieta usiłowała wyprostować turban, na niczym innym nie mogła się skupić.

– Nie został u mnie – powiedziała. – Myślę, że może być teraz w drodze do „Półksiężycy”.

Thasper nie czekał ani chwili dłużej i pognał w dół ulicy.

Nazwę „Półksiężyc” nosiła tawerna na rogu tej samej ulicy. Większość ludzi, którzy zazwyczaj tam popijali, najpewniej wyległa na ulicę pomagać w wynoszeniu mebli, ale w środku paliło się delikatne, lecz wystarczająco jasne światło, by uczynić widocznym biały napis na oknie: POKOJE.

Thasper wpadł do środka. Karczmarz siedział na taborecie przy oknie i wychylał się, by dojrzeć pożar. Na przybysza nawet nie spojrział.

– Gdzie jest gość? – wysapał Thasper. – Gdzie lokator? Mam dla niego wiadomość! Pilną!

– Na piętrze, pierwsze drzwi po lewej – burknął mężczyzna, nie

odwracając się. – Dach się zajął. Będą musieli dać z siebie wszystko, żeby uratować domy po obu stronach.

Thasper już go nie słuchał, pędził w górę po schodach. Skręcił w lewo, zastukał pospiesznie do drzwi i nie czekając na odpowiedź, rozwarł je szeroko i wpadł do środka.

Pokój był pusty. Zapalone światło ukazało chłopakowi proste łóżko bez pościeli, poplamiony stół z pustym kubkiem i kilkoma kartkami papieru oraz kominek z zawieszonym nad nim lustrem. Za kominkiem znajdowały się drugie drzwi, właśnie zamykane od zewnątrz. Najwidoczniej ktoś dopiero co przez nie przeszedł.

Thasper rzucił się ku drzwiom, ale całkiem nieoczekiwanie coś go zatrzymało. Robiąc krok, zerknął w kierunku lustra, podniszczonego zwierciadła o poplamionej tafli szkła i zbrązowiałej ramie, które niespodziewanie zniekształciło jego oblicze. Nie wiedział, jakiemu przedziwnemu kapryswi należy to przypisać, lecz jego odbicie wyglądało na o wiele starsze, jakby miał ponad dwadzieścia lat.

Przypomniał sobie list od Tajemniczego Nieznajomego. Nadszedł czas. Wiedział, że się nie myli, nadszedł czas. Za moment czekało go spotkanie z Mędrce. Thasper ruszył ku wciąż lekko rozkołysanym drzwiom, ale zawahał się. List nakazywał natychmiast go zawołać. Wiedząc, że Mędrzec znajduje się tuż za drzwiami, pchnął je delikatnie i przytrzymał palcami. Niespodziewanie ogarnęły go wątpliwości.

Czyja naprawdę wierzę, że bogowie potrzebują ludzi?, zaczął się zastanawiać. Jestem tego pewien. I co ja w zasadzie mam temu Mędrce powiedzieć?

Puścił drzwi, które same się zamknęły.

– Chrestomanci – powiedział żalosnym głosem.

Poczuł za sobą silny powiew powietrza, który pchnął go i obrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Wybałuszył oczy. Obok łóżka stał wysoki mężczyzna odziany w niecodzienną, długą czarną szatę z wyszytymi żółtymi symbolami, najprawdopodobniej kometami. Dostrzegł też wewnętrzną stronę szaty wciąż wirującej w powietrzu – była żółta, poznaczona czarnymi kometami. Nieznajomy miał błyszczące czarne oczy i ciemne, gładko przyczesane włosy, a na stopach nosił czerwone pantofle.

– Dzięki niech będą niebiosom – powiedział przybysz. – Przez moment bałem się, że przejdiesz przez drzwi.

Jego głos przywołał ciąg wspomnień w głowie Thaspera.

– To ty przywiodłeś mnie do domu, gdy byłem malutki. Przeszliśmy przez jakąś projekcję! Czy to ty jesteś Chrestomanci?

– Tak – odpowiedział dryblas. – A ty jesteś Thasper. Teraz musimy się stąd ulotnić, zanim budynek stanie w ogniu.

Chwycił chłopaka za ramię i pociągnął go ku drzwiom prowadzącym na schody. Gdy otworzył je jednym pchnięciem, do środka wdarł się gęsty dym. Gdzieś trzaskały płomienie. Nie było wątpliwości – tawerna stała w ogniu. Na ten widok Chrestomanci zatrzasnął drzwi i pociągnął Thaspera na środek pokoju. Obaj kaszleli, wysoki mężczyzna tak bardzo, jakby miał się zaraz udusić. Dym snuł się już spomiędzy desek podłogi, co wywołało kolejną falę kaszlu u Chrestomanciego.

– A dopiero co leżałem chory na grypę – powiedział, kiedy wrócił mu głos. – Takie życie. Ci twoi harmonijni, uporządkowani bogowie nie dają nam wielkiego wyboru.

Przeszedł do drzwi przy kominku i pchnął je.

Po drugiej stronie nie było niczego. Thasper zachłysnął się z przerażenia.

– Otóż to – wycharczał Chrestomanci. – Miałeś spać i zginąć.

– A nie możemy zeskoczyć tędy na ziemię?

Pokręcił głową.

– Nie. Nie po tym, co tu zmajstrowali. Trzeba będzie przenieść walkę do Nieba i złożyć bogom wizytę. Czy byłbyś tak uprzejmy i pożyczył mi turban, zanim wyruszymy?

Thasper znów otworzył szeroko oczy, słysząc tak dziwną prośbę.

– Przyszło mi do głowy, by się nim przepasać – zaskrzeczał Chrestomanci. – W drodze do Nieba może być zimno, a ja mam tylko piżamę pod szlafrokiem.

Bielizna w paski, którą Chrestomanci nosił pod płaszczem, rzeczywiście wyglądała na cienką i Thasper powoli odwiązał turban. Pocięszył się, że lepiej stanąć przed obliczem bogów z odkrytą głową niż w piżamie. Poza tym niespecjalnie wierzył w istnienie jakichkolwiek bogów. Podał



Chrestomanciemu turban, a ten rozsuptał go i owinął wokół pasa. Thasper od razu odniósł wrażenie, że mężczyzna nabrał otuchy.

– Dobrze, a teraz przytrzymaj się mnie – powiedział Chrestomanci. – Trzymaj się mocno, a nic ci się nie stanie.

Znów ujął chłopaka za rękę i ciągnąc go, ruszył w powietrzu ku nocnemu niebu.

Przez chwilę Thasper był zbyt oszołomiony, by odezwać się choćby słowem. Z bezgranicznym zachwytem patrzył, jak wędrują ku gwiazdom, zupełnie jak gdyby stąpali po niewidzialnych schodach. Chrestomanci wyglądał i zachowywał się, jakby było to dla niego coś całkowicie naturalnego. Szedł, pokasywał, czasami drżał, ale nie przestawał trzymać chłopaka. Wkrótce miasto zamieniło się w leżące daleko w dole zbiorowisko miniaturowych domków dla lalek z dwoma czerwonymi plamami pożarów. Pod nimi i nad nimi świeciły gwiazdy.

– Do Nieba jeszcze kawał drogi – zauważył Chrestomanci. – Może jest coś, czego chciałbyś się w międzyczasie dowiedzieć?

– Tak. Czy ty aby nie powiedziałaś, że bogowie chcą mnie zabić?

– Próbują się pozbyć Mędrca Rozpadu. Może nie zdają sobie z tego sprawy, ale w gruncie rzeczy chodzi im o to samo. Bo, widzisz, to ty jesteś Mędrce.

– Ależ skąd! – sprzeciwił się Thasper. – Mędrzec jest o wiele starszy ode mnie i zadaje pytania, na które nigdy bym nie wpadł!

– Tak, jasne – westchnął Chrestomanci. – Obawiam się, że doszło do niesłychanego zapętlenia wydarzeń. To wina tego, kto próbował cię usunąć, gdy byłeś jeszcze dzieckiem. Z tego, co udało mi się ustalić, w wieku trzech lat zostałeś uwięziony w sferze zapomnienia na siedem lat, aż twoja obecność zaczęła wywoływać takie zakłócenia w naszym świecie, iż musieliśmy cię odnaleźć i uwolnić. Ale w tym świecie, zwanym Theare, jakże doskonale zorganizowanym i uporządkowanym, istnieje przepowiednia, wedle której zaczniesz nauczać o Rozpadzie w wieku dwudziestu trzech lat. Kazania musiały się więc rozpocząć w tym roku, a ty sam nie musiałeś się nawet pojawiać. Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z kimś, kto tak naprawdę słuchał kazania Mędrca?

– Nie – odparł Thasper. – Jak się nad tym zastanowić, to nigdy.

– Bo nikt go nigdy nie słuchał – wyjaśnił Chrestomanci. – Ty tak czy owak zacząłeś skromnie. Najpierw napisałeś książkę, na którą nikt nie zwrócił większej uwagi...

– Nie, to nieprawda – sprzeciwił się Thasper. – On... Ja... Eee, no, Mędrzec zabrał się za pisanie książki dopiero po kazaniach!

– Nie rozumiesz, że przybyłeś do Theare o wiele później, niż zakładała przepowiednia, tak więc fakty musiały jakoś za tobą nadążyć. W tym celu rozegrały się w odwrotnej kolejności, byś mógł dotrzeć do miejsca, które było ci pisane – czyli do owego pokoju owej tawerny. To właśnie tam rozpoczęła się twoja kariera. Myślę, że jesteś już wystarczająco dorosły, by to zrozumieć. Ja zaś podejrzewam, że twoi niebiańscy przyjaciele połapali się we wszystkim nieco za późno i postanowili cię wykończyć. Mam zamiar im pokrótce wyłożyć, że nie wyszło im to na dobre.

– Tak, jasne – westchnął Chrestomanci. – Obawiam się, że doszło do niesłychanego zapętlenia wydarzeń. To wina tego, kto próbował cię usunąć, gdy byłeś jeszcze dzieckiem. Z tego, co udało mi się ustalić, w wieku trzech lat zostałeś uwięziony w sferze zapomnienia na siedem lat, aż twoja obecność zaczęła wywoływać takie zakłócenia w naszym świecie, iż musieliśmy cię odnaleźć i uwolnić. Ale w tym świecie, zwanym Theare, jakże doskonale zorganizowanym i uporządkowanym, istnieje przepowiednia, wedle której zaczniesz nauczać o Rozpadzie w wieku dwudziestu trzech lat. Kazania musiały się więc rozpocząć w tym roku, a ty sam nie musiałeś się nawet pojawiać. Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z kimś, kto tak naprawdę słuchał kazania Mędrca?

– Nie – odparł Thasper. – Jak się nad tym zastanowić, to nigdy.

– Bo nikt go nigdy nie słuchał – wyjaśnił Chrestomanci. – Ty tak czy owak zacząłeś skromnie. Najpierw napisałeś książkę, na którą nikt nie zwrócił większej uwagi...

– Nie, to nieprawda – sprzeciwił się Thasper. – On... Ja... Eee, no, Mędrzec zabrał się za pisanie książki dopiero po kazaniach!

– Nie rozumiesz, że przybyłeś do Theare o wiele później, niż zakładała przepowiednia, tak więc fakty musiały jakoś za tobą nadążyć. W tym celu rozegrały się w odwrotnej kolejności, byś mógł dotrzeć do miejsca, które było ci pisane – czyli do owego pokoju owej tawerny. To właśnie tam

rozpoczęła się twoja kariera. Myślę, że jesteś już wystarczająco dorosły, by to zrozumieć. Ja zaś podejrzewam, że twoi niebiańscy przyjaciele połapali się we wszystkim nieco za późno i postanowili cię wykończyć. Mam zamiar im pokrótce wyłożyć, że nie wyszło im to na dobre.

Chrestomanci znów zaczął kaszleć. Na tej wysokości panował już przeraźliwy chłód. Świat stał się ciemną półkulą pod ich stopami, ale Thasper dostrzegł niewyraźny blask słońca, które zaczynało się spoza niej wyłaniać. Wspinali się, a światło zyskiwało na intensywności. W końcu zobaczyli samo słońce, które teraz było już tylko ogromną jasnością gdzieś w oddali. W pamięci Thaspera odżyło kolejne niewyraźne wspomnienie z dzieciństwa. Próbował przekonać sam siebie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, ale jego wysiłki spełzły na niczym.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał bez ogródek.

– Słyszałeś kiedyś o bogu zwanym Ock? – Chrestomanci zakasłał. – Przyszedł ze mną porozmawiać w chwili, gdy powinieneś mieć tyle lat co teraz. Martwił się... – Znów kaszlnął. – Bez obrazy, ale wolałbym oszczędzać płuca przez resztę drogi do Nieba.

Pięli się ku górze wśród gwiazd, a podłoże, na którym stawiali kroki, stopniowo stawało się coraz bardziej materialne. Niebawem przybrało postać ciemnej rampy, która w miarę marszu zaczęła połyskiwać perłowo. Chrestomanci puścił wreszcie chłopaka i z westchnieniem ulgi wydmuchał nos w obszytą złotą nicią chustkę. Perłowa barwa przeszła w srebrną, a srebrna w jaskrawą biel. Nie szli już w górę, lecz przed siebie, przez olśniewające bielą sale i korytarze.

Bogowie zebrali się, by ich powitać. Żaden nie wyglądał na uradowanego.

– Obawiam się, że jesteśmy nieodpowiednio ubrani – mruknął Chrestomanci.

Thasper przyjrzał się bogom, a potem zerknął na towarzysza i aż się zgarbił ze wstydu. Choć szata Chrestomanciego była barwna i szykowna, nie dało się ukryć, że to tylko koszula nocna. Na nogach miał futrzane ranne pantofle, a jego talię opasywała błękitna szarfa, która powinna owijać głowę chłopaka.

Bogowie zaś, ubrani w złociste spodnie i wysadzone klejnotami turbany,

olśniewali przepychem. Z każdym krokiem Thasper zbliżał się do większych bogów, których bogactwo i majestat jeszcze bardziej przytłaczały. Jego spojrzenie przyciągnął bóg ubrany w złotą szatę – z zaskoczeniem zauważył, że ten uśmiecha się do niego przyjaźnie, choć z niepokojem. Naprzeciwko dostrzegł ogromną postać jakby stworzoną z ciecicy, przystrojoną w perły i klejnoty, która z kolei puściła do niego oko. Był to krótki, ledwie zauważalny sygnał, ale z pewnością nie złudzenie. Zbyt oszołomiony Thasper nie zareagował – zrobił to Chrestomanci, który odmrugnął ze spokojem.

Na końcu rzędu sal na ogromnym tronie górowała postać Wielkiego Zonda odzianego w biel i purpurę, z koroną zsuniętą na skronie. Chrestomanci spojrzeli na niego i w zamyśleniu wydmuchał nos. W żadnym razie nie można było tego uznać za oznakę szacunku.

– Z jakiego powodu dwóch śmiertelników przemierza nasze sale? – zagrzemiał lodowato Zond.

Chrestomanci kichnęli. – Z powodu waszej własnej głupoty. Wy, bogowie Theare, żyjecie w rzekomej doskonałości zbyt długo i nie potraficie już dostrzec nic poza rutyną.

– Zniszczę cię za te słowa! – oznajmił Zond.

– Nie zrobisz tego. Chyba że nie zależy wam na przetrwaniu.

Pozostali bogowie zaszemrali przeciągle, wyrażając protest. Zależało im na przetrwaniu i próbowali teraz dociec, o co tak naprawdę Chrestomanciemu chodzi. Zond uznał to za groźbę dla swego autorytetu i doszedł do wniosku, że lepiej zachować rozwagę.

– Kontynuuj – nakazał.

– Jedną z najbardziej niezawodnych rzeczy w rzeczywistości Theare jest to, że wasze prorocтва zawsze się spełniają – oznajmił Chrestomanci. – Czy zatem sądzicie, że jeśli pojawi się taka, która wam nie odpowiada, będziecie mogli ją zmienić? To, moi drodzy bogowie, zakrawa na skrajną głupotę. Poza tym nikt nie może powstrzymać własnego Rozpadu, a już tym bardziej wy, bogowie Theare. Tymczasem zapomnieliście o tym. Zapomnieliście też o tym, że zorganizowawszy ten świat tak doskonale, pozbawiliście zarówno siebie, jak i rodzaj ludzki wolnej woli. Wepchnęliście Thaspera, Mędrca Rozpadu, do mego świata, zapominając,

że tam również istnieje przypadek. I tak oto przypadkiem Thasper został odnaleziony po zaledwie siedmiu latach. Na szczęście dla Theare. Dreszcze mnie biorą na myśl, co by się stało, gdyby Thasper pozostał trzylatkiem przez resztę przeznaczanego mu czasu.

– To moja wina! – zawołał Imperion. – Biorę winę na siebie.

Odwrócił się do Thaspera.

– Wybacz mi – poprosił. – Jesteś moim synem.

Czy to właśnie miała na myśli Alina, mówiąc, że bogowie błogosławili jej łono?, zastanowił się Thasper. Dotychczas sądził, że ten zwrot miał charakter figury retorycznej. Spojrzał na boga, mrużąc oczy od jego blasku. Imperion nie zrobił na nim wielkiego wrażenia. Bez wątpienia był wspaniałym bogiem, a do tego również uczciwym, ale Thasper wyraźnie widział, że ma ograniczone horyzonty.

– Oczywiście, że ci wybaczam – powiedział uprzejmie.

– Mieliście również sporo szczęścia – ciągnął Chrestomanci – że nikomu z was nie udało się zabić Mędrca. Thasper jest synem boga, a to oznacza, że może istnieć tylko jeden taki jak on. Co więcej, przez wzgląd na wasze prorocstwo musi pozostać przy życiu, by wygłaszać kazania o Rozpadzie. Zabijając go, zniszczylibyście wasz świat, a tak tylko go uszkodziliście, sprawiliście, że popękał w niezliczonych miejscach. Theare jest zbyt dobrze zorganizowane i uporządkowane, by rozpaść się na dwa alternatywne światy, jak by się to stało w przypadku mojego. Miast tego miały miejsce wydarzenia, do których w przeciwnym razie nigdy by nie doszło. Theare popękało i uległo wypaczeniu, a wy doprowadziliście do własnego Rozpadu.

– Cóż więc możemy począć? – zapytał ze zgrozą Zond.

– Istnieje tylko jedno wyjście – pozwólcie Thasperowi przeżyć. Pozwólcie mu głosić Rozpad i zarzucicie próby wysadzenia go w powietrze. Dzięki temu w waszym świecie znów pojawi się wolna wola i wolna przyszłość. Theare albo zaleczy swe rany, albo czysto i bezboleśnie rozpadnie się na dwa zdrowe światy.

– A więc czeka nas upadek? – zapytał grobowym głosem Zond.

– Upadek zawsze jest czymś nieuniknionym – odparł Chrestomanci.

Zond westchnął.

– A więc dobrze. Thasperze, synu Imperiona, z ogromną niechęcią udzielam ci błogosławieństwa i pozwalam na powrót, byś mógł głosić Rozpad. Odejdź w pokoju.

Thasper uklonił się, a potem stał przez dłuższą chwilę w milczeniu. Nie patrzył na Imperiona ani Ocka, którzy usiłowali przyciągnąć jego uwagę. W gazecie czytał o Mędrca, który był udręczony i pełen sprzeczności. Teraz już wiedział dlaczego. Spojrzał na Chrestomanciego, który znów wydmuchiwał nos.

– W jaki sposób mam głosić Rozpad? – zapytał. – Jak mogę wątpić w bogów, skoro właśnie ujrzałem ich na własne oczy?

– Oto pytanie, które z całą pewnością powinieneś zadać – zaskrzypiał Chrestomanci. – Zejdź więc na ziemię i zadaj je.

Thasper pokiwał głową i odwrócił się, by odejść.

Wtedy Chrestomanci pochylił się ku niemu i wyszeptał z twarzą skrytą za chusteczką: – Zapytaj też, czy bogowie mogą złapać grypę. Bo chyba ich zaraziłem. No, dowiedz się i daj mi znać.

*Ci z was, którzy czytali redagowane przeze mnie antologie fantastyki humorystycznej, z pewnością pamiętają **Johna Morressy'ego** (ur. 1930) dzięki jego lekkim opowiadaniom o Kedrigernie Czarodzieju, z których wiele zostało zebranych w formę książkową, poczynając od *A Voicefor Princess* (1986). *Morressy* napisał jednakże o wiele więcej. Jest autorem *Iron Angel*, epickiej serii fantasy, która rozpoczyna się tomem *Ironbrand* (1980), oraz powieści science-fiction, wśród których znajduje się intrygująca *The Mansions of Space* (1983). Do tego dochodzi mnóstwo opowiadań, z których poniższe subtelnie, acz skutecznie przedstawia czarodzieja być może najpotężniejszego ze wszystkich.*

## **John Morressy**

### **ZEGARMISTRZ**

Jedynym źródłem światła w sklepie była samotna latarenka. W centrum pomieszczenia stało dwóch mężczyzn, a ich szerokie cienie rozlewały się po podłodze, ładzie i nagich ścianach.

Niższy lepiej zbudowany, ten, który trzymał latarkę drgnął. Cienie zakołysały się, deski podłogi zaskrzypiały. Mężczyzna popchnął jakąś skrzynię i wszedł na nią, by zawiesić latarnię na haku wystającym z sufitu. Następnie podszedł do kontuaru. Dmuchnął na szklany blat, wzbijając tumany kurzu, a potem zaczął go pucować wyciągniętą z kieszeni chusteczką.

– To tylko kurz, panie Bell – powiedział. – Jeśli zdecyduje się pan wziąć ten sklep, wypucujemy szkło na połysk.

Wyższy mężczyzna nie odezwał się słowem. Teraz, gdy latarnia wisiała tuż nad jego głową, lecz nieco z tyłu, jego twarz ginęła w półmroku i za nic nie dało się dostrzec jej wyrazu.

– Lepszego miejsca nie znajdzie pan w całym mieście, panie Bell –

ciągnął niższy. – Na górze dwa schludne pokoiki do mieszkania, a z tyłu spore pomieszczenie na magazyn lub warsztat, co pan zechce. No i spora witryna od ulicy.

– Wezmę go, panie Lockyer.

– Mądra decyzja, panie Bell. W całym mieście nie ma lokalu bardziej odpowiedniego na sklep jubilerski.

– Nie jestem jubilerem, panie Lockyer – poprawił go Bell.

Lockyer energicznie pokręcił głową i machnął dłonią, jakby chciał w ten sposób przegnać popełniony błąd.

– Racja, oczywiście, że nie. Przecież pan jest zegarmistrzem. Mówił pan, jakżeby inaczej. Przepraszam pana, panie Bell.

– Robię i naprawiam zegary. Nie zajmuję się świecidełkami.

– Jest pan tu niezmiernie potrzebny, panie Bell. Zdaje pan sobie sprawę, że każdy, kto chce kupić czy naprawić zegar, musi się udać aż do Bostonu? To długa podróż, która na domiar złego nierzadko okazuje się marnotrawstwem czasu.

– Ja nigdy nie marnotrawię czasu, panie Lockyer.

– Ludzie nie będą się posiadać z radości, że pan tu przybył. Panu też się będzie tu podobać. Interes będzie się kręcił, panie Bell – ciągnął Lockyer. Zamilkł na moment, z uśmiechem wpatrując się w ciemną sylwetkę rozmówcy, by zaraz potem podjąć: – W rzeczy samej, mam pewien zegarek, na który mógłby pan rzucić okiem, gdy się pan już zdomowi. Należał do mego dziadka. Przez prawie sto lat bezbłędnie wskazywał czas, ale w zeszłym roku upuściłem go na kamienną podłogę na dworcu kolejowym. Zabrałem go do najlepszego jubilera w Bostonie, gdzie trzymali go przez prawie sześć miesięcy, a potem powiedzieli mi, że nic nie są w stanie zrobić. Ich zdaniem zegarek nie nadaje się do naprawy.

– Proszę mi go przynieść.

– Sądzi pan, że uda się panu wymienić mechanizm?

– Naprawię go, panie Lockyer. Proszę go jutro przynieść do swojego biura.

– Tak zrobię, panie Bell. Będę miał już akt dzierżawy dla pana do podpisu. Moi ludzie z samego rana zabiorą się do sprzątnięcia. Będzie pan mógł wprowadzić się do końca tygodnia.



– Sam posprzątam, a wprowadzę się już jutro. Poproszę tylko o klucze. Lockyer wyglądał na zatroskanego.

– Cóż, jak dotąd przestrzegaliśmy zasady, by oddawać lokal tylko w idealnym stanie. – Rozejrzał się po zakurzonych kątach pełnych pajęczyn. – Doceniam i szanuję pański pośpiech, ale po prostu źle bym się czuł, oddając to miejsce w takim stanie. Trzeba tu porządnie posprzątać.

– Zawsze sprzątam sam – rzekł Bell. – Proszę mi dać klucze, a otworzę już jutro.

– Nie da pan sobie z tym wszystkim rady, panie Bell. Za dużo roboty.

– Wiem, jak najlepiej wykorzystywać czas, panie Lockyer. Proszę przyjść jutro o szóstej, a pański zegarek znów zacznie chodzić.

Lockyer wszedł do sklepu następnego dnia kilka minut przed szóstą wieczór. Był zdumiony zmianami, które tu zaszły zaledwie od wczoraj. Okna, szklana lada i witryna aż błyszczały, podłogi i drewniane elementy wnętrza lśniły świeżo wypolerowane, a na półkach stały dziesiątki najrozmaitszych zegarów. Niektóre wydawały się całkiem zwyczajne, ale były i takie, które nie przypominały Lockyerowi nic, co dotąd widział.

Nie zastał Bella w sklepie. Podszedł do witryny i pochylił się, by dokładniej obejrzeć zegary za szybą. Wybiła pełna godzina i niespodziewanie rozległy się dźwięki dziesiątek najrozmaitszych pozytywek. Malutkie kuranty dźwięczały niczym rżnięty kryształ, a niskie dudnienie i mocne, rozbrzmiewające echem gongi mieszały się z ćwierkaniem, pogwizdywaniem i ptasimi trelami, na chwilę przenosząc widza w świat fantazji. Niezliczone drobne figurki wyłaniały się z dziwacznych czasomierzy, każda po to, by na swój sposób podkreślić upływ godziny.

Lockyer uświadomił sobie, że nie może oderwać oczu od ludzików dokazujących na jednym z zegarów niczym w komedii dellarte. Za każdym razem, gdy rozbrzmiał malutki, srebrny dzwoneczek na czubku zegara, któraś z nich wykonywała gwiazdę. Figurki były mniejsze od kciuka, a mimo to poruszały się zwinnie i gładko, wolne od mechanicznych, nieharmonijnych szarpnięć figurek zegarowych, które Lockyer tak często widywał. Przy szóstym uderzeniu arlekin wykonał gwiazdę, uklonił się i schował za parą barwnie pomalowanych drzwiczek, które zatrzasnęły się

tuż za nim. Lockyer przyklęknął, zafascynowany gracją drobnych imitacji ludzi. Aż podskoczył, słysząc głos zegarmistrza, i wyprostował się pospiesznie. Bell stał tuż za witryną.

– Przepraszam, że pana wystraszyłem – powiedział.

– Ja oglądałem właśnie... Wie pan, to fascynujące! – Lockyer uciekł wzrokiem ku zegarowi, który ze spokojem odmierzał czas do kolejnej pełnej godziny i kolejnego przedstawienia. – Nigdy nie widziałem takiego zegara jak ten! Ani jak te!

– Proszę tu wrócić o pełnej godzinie i przyjrzeć się innym. Niektóre są doprawdy niezwykle.

– I pewnie sporo kosztują.

– Niektóre są wprost bezcenne. Pozostałe jednak kosztują mniej, niż się panu wydaje.

Lockyer pochylił się ku zegarowi z arlekinem. Dziecinnym gestem dotknął szyby sklepowej serdelkowatymi palcami i cofnął je szybko, zażenowany. Spoglądając na Bella, zapytał: – Ile kosztuje ten tutaj?

– Ten nie jest na sprzedaż, panie Lockyer. Oferowano mi za niego fortunę, ale ja po prostu nie jestem gotów na rozstanie z moim małym arlekinem.

– To doprawdy dzieło sztuki. Wszystkie towary w tym sklepie to dzieła sztuki... A jak szybko udało się panu posprzątać! – mówił Lockyer ze szczerym, prostodusznym uśmiechem. – To niezwykle, że zdołał pan to wszystko osiągnąć w niecały dzień.

– Chce pan odebrać swój zegarek, panie Lockyer?

– Niech pan nie żartuje, przecież na pewno nie miał pan dość... – Lockyer urwał, widząc, jak Bell wyciąga lśniący zegarek jego dziadka i podsuwa mu go, by posłuchał cichuteńkiego tykania. Chwycił zegarek, przyjrzał mu się ze zdumieniem i przytknął go do ucha.

– Będzie wskazywał czas pana wnukom, panie Lockyer. I wnukom pańskich wnuków. Lockyer spochmurniał, ale tylko na krótką chwilę. – Jak pan to zrobił? Zegarmistrz w Bostonie twierdził, że zegarek jest nie do naprawy. Powiedział, że nikt nie zdoła go zreperować.

– Niewiele jest rzeczy, których nie da się naprawić. Być może po prostu mam więcej doświadczenia niż inni.

Lockyer milczał zadziwiony, to spoglądając na Bella, to na zegarek. Odezwał się dopiero po chwili.

– Muszę przyznać, że wygląda jak nowy. Nie sądziłem, że się panu uda.

– Przyjemność po mojej stronie, panie Lockyer.

Niższy z dwóch mężczyzn spojrział na zegarek raz jeszcze, raz jeszcze zbliżył go do ucha i pokręcił głową w zadumie. Wsunął go do kieszonki kamizelki i sięgnął po portfel.

– Ile jestem panu winien?

Bell uniósł dłonie jak ktoś, kto się poddaje.

– Nie ma o czym mówić.

– Ale przecież włożył pan mnóstwo czasu i wysiłku w naprawę!

– Nigdy nie biorę pieniędzy od pierwszego klienta.

– Jest pan niezmiernie hojny – rzekł Lockyer, spoglądając na półki za witryną. – Być może... Wspomniał pan, że niektóre z tych zegarów nie są zbyt drogie, więc może... Jestem pewien, że mojej żonie spodobałyby się ładny zegar na gzyms kominka.

– A zatem poszukajmy czegoś, co przypadnie jej do gustu.

Bell przespacerował się powoli wzdłuż półek, zatrzymał się, cofnął i w końcu zdjął zegar zamontowany na srebrnym cylindrze, ozdobionym emaliowanymi łabędziami na leśnym jeziorze. Postawił go na ladzie. Zegar nie chodził, wskazówki zatrzymały się na jedenastej pięćdziesiąt dziewięć.

– Czeka na odpowiedniego właściciela – oznajmił zegarmistrz.

Dotknął czegoś z tyłu i mechanizm zaczął tykać. Kiedy wskazówki spotkały się na godzinie dwunastej, przy akompaniamencie słodkiej melodii z cylindra wynurzyła się drobna, ciemnowłosa balerina, która ukloniła się i zaczęła tańczyć. Wpatrzony w figurkę Lockyer zdołał wymamrotać jedno słowo: – Antoinette...

Melodia dobiegła końca, tancerka umknęła do środka, a cylinder się zamknął. Oszołomiony Lockyer wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę. W końcu potarł oczy i spojrział na Bella.

– To było niesamowite – powiedział cichym, ochrypłym nieco głosem. – Mieliśmy kiedyś córkę, uwielbiała tańczyć. Liczyliśmy, że zostanie baleriną, ale nic z tego. Umarła na zapalenie płuc dwa lata temu.

– Jest mi niezmiernie przykro, panie Lockyer. Mam nadzieję, że nie

przysporzyłem panu trosk?

– Nie, och nie, skądże, panie Bell. Ta tancerka wygląda dokładnie tak jak Antoinette, tuż nim zapadła na chorobę!

– A zatem odzyskał pan córkę. Zatańczy dla pana jak niegdyś za każdym razem, gdy wybije pełna godzina.

– Moja żona nie będzie się posiadać ze szczęścia – powiedział Lockyer, nadal wpatrzony w zegar. Mówił jak człowiek, który wyznaje głośno najskrytsze marzenia. – Nigdy się tak naprawdę nie pogodziła ze stratą. Rzadko kiedy wychodzi z domu. Ale ten zegar... Wiem, że musi być bardzo drogi, ale jakoś go spłacę.

Bell wymienił cenę. Lockyer zamarł i wybałuszył oczy, a potem krzyknął: – Ale przecież to śmieszne! Mógłby pan sprzedać ten zegar za sto razy więcej!

– Chcę go sprzedać za taką właśnie cenę, ani mniej, ani więcej. Bierze go pan?

– Biorę.

– A zatem jest pański. – Bell wyregulował zegar, aż wskazówki znieruchomiały w odpowiedniej pozycji, a potem wręczył go Lockyerowi. – Jest już właściwie ustawiony i nie będzie potrzebował dalszego regulowania. Mam nadzieję, że sprawi panu i pańskiej żonie wiele przyjemności.

– Tego akurat jestem pewien. Dziękuję panu, panie Bell!

Lockyer wyszedł ze sklepu, tuląc zegar.

Sklep zegarmistrza wkrótce stał się obiektem zainteresowania całego miasta. Dzieciaki w wieku szkolnym i okoliczni próżniacy gromadzili się przed witryną, by oglądać cegodzinne spektakle. Wzrastała również liczba klientów, z których część przychodziła, by prosić o naprawę czy wyregulowanie zegarów i zegarków, a inni, by kupić jeden z czasomierzów sprzedawanych po tak umiarkowanych cenach. Każdy, kto wszedł do sklepu, zostawał w nim na długo, oczarowany mistrzowskim wykonaniem cacek zalegających na witrynie i półkach.

Lockyer stał się regularnym gościem. Wpadał przynajmniej raz na tydzień, a zazwyczaj częściej, by opowiedzieć Bellowi o niezwykłej punktualności zegara, raz jeszcze podziękować za niego i za małą balerinę

oraz przyjrzeć się najnowszym dziełom. Nie mógł się wprost nadziwić, jak szybko zegarmistrz tworzył cudowne maszyny – co tydzień przybywała następna do kolekcji.

Późną jesienią, gdy Lockyer zajrzał do sklepu w deszczowe popołudnie, Bell akurat umieszczał nowe dzieło na wystawce. Na widok znajomego zegarmistrz uśmiechnął się, postawił zegar na szklanej ladzie i wyciągnął dłoń na powitanie.

– Ma pan ochotę przyjrzeć się, jak działa? – zapytał.

– Oczywiście, panie Bell – skwapliwie odparł Lockyer. Wsunął parasol do stojaka przy drzwiach i podszedł bliżej.

Ujrzał ciemną kulę rozmiarów pocisku armatniego. Była wykonana z matowego kryształu, ciemnoniebieskiego, lecz o barwie tak intensywnej, że zdawał się niemalże czarny. Na szczycie znajdował się niewielki, biało-złoty zegar, nie większy od dziecięcej piąstki. Wskazówki zamarły na godzinie jedenastej pięćdziesiąt osiem.

Lockyer przyjrzał się kryształowi, ale w jego głębi widział jedynie ciemność. Choć zegar był wykonany z mistrzowską precyzją, a kryształ nie miał skaz, cała konstrukcja wydawała się rozczarowująco prosta jak na kogoś, kto potrafi tworzyć tak skomplikowane i delikatne mechanizmy jak te, które wypełniały sklep.

Bell, jakby czytając w myślach Lockyera, powiedział: – Nie jest wcale taki prosty, jak się wydaje.

Zaskoczony Lockyer omiół go spojrzeniem, a Bell uśmiechnął się i uruchomił mechanizm.

Lockyer odniósł wrażenie, że ciemność wewnątrz kryształu lekko pojaśniała, zanim wskazówki spotkały się na godzinie dwunastej. Po pierwszym uderzeniu w środku rozbłysło światło, zaś z każdym następnym zapalało się kolejne i kryształ stawał się coraz jaśniejszy. Zewnętrzne światła zataczały kręgi wokół tego, które zapłonęło w środku, a dookoła nich wirowały drobinki nie większe niż główki od szpilek na tle nasyconego błękitu, który przepelniał teraz kulę. Ciche i kojące, z wdziękiem obracały się wokół centralnego światła, a po wykonaniu dziewiątego obrotu zaczęły przygasać. Po dwunastym obrocie we wnętrzu kryształu pozostał jedynie słaby poblask, który niespodziewanie zniknął,

ustępując miejsca całkowitej ciemności.

– To było cudowne! – wyrzucił z siebie Lockyer. – To przecież... to był wszechświat!

– Zaledwie wyobrażenie jego drobnej części. – Bell umieścił zegar na wystawce.

– To niezwykle, panie Bell, doprawdy niezwykle! Te światła... To, jak się poruszają... Jak pan to robi?

– Mam swoje sekrety. Sądziłem, że to drobne przedstawienie spodoba się panu, panie Lockyer. Jutro już go pan nie zobaczy.

– Sprzedaje pan ten zegar? Naprawdę? Ale kogo stać na taki... – Lockyer nagle urwał, jeszcze bardziej zażenowany niż przed chwilą. Nie miał prawa wtykać nosa w interesy Bella. Jeśli rzeczywiście sprzedawał on wyroby po zaniżonej cenie, nie wydawał się tym ani przejęty, ani pokrzywdzony.

– Zażyczyłem sobie uczciwej, niewysokiej ceny. Poza tym pani, która zamówiła ten specjalny zegar dla swego męża, z pewnością będzie w stanie ją zapłacić.

– Sutterland. Przecież to może być tylko Elizabeth Sutterland!

Bell pokiwał głową, lecz nic nie powiedział.

– Cóż, może nie powinienem tego mówić – ciągnął Lockyer – ale boli mnie, naprawdę boli mnie, panie Bell, że tak cudowne dzieła sztuki trafiają do rąk ludzi pokroju Paula Sutterlanda. Doprawdy, on nie zasługuje na taki prezent!

– Pani Sutterland jest innego zdania.

– Elizabeth przebaczyła mu już sto razy i sto razy przyjęła go z powrotem po tym, jak... – Lockyer znów urwał w pół słowa. Wykonał nieokreślony, gniewny gest, z poczerwieniałą twarzą wpatrując się w kulę.

– Być może go kocha, panie Lockyer.

– Jeśli naprawdę go kocha, znaczy to, że jest głupia! Nie należę do ludzi wścibskich, ale czasem docierają do mnie plotki i powiem panu tak: jeśli tylko część pogłosek na temat Paula Sutterlanda i jego przyjaciół jest prawdziwa, Elizabeth powinna była porzucić go całe wieki temu.

– Zawsze może być lepiej, panie Lockyer. Ludzie się zmieniają.

– Niektórzy ludzie, owszem – odparł gorzko Lockyer. – Ale ja znam

Sutterlanda i wiem, że ten człowiek nigdy się nie zmieni, nawet gdyby przyszło mu dożyć stu lat.

– Musimy mieć nadzieję.

Lockyer niecierpliwie pokręcił głową i ruszył ku drzwiom. Chwycił parasol i położył dłoń na klamce, a potem odwrócił się do Bella: – Proszę posłuchać, panie Bell, przepraszam za to, co powiedziałem. Nie miałem prawa mówić takich rzeczy, ale się zdenerwowałem. Elizabeth jest moją przyjaciółką od lat. Wielu ludzi w naszym mieście bardzo ją szanuje.

– Nic się nie stało, panie Lockyer. Zupełnie nic.

– Stało się, i owszem. Nie przestaje mnie to gryźć. Sutterland jest bardzo okrutny dla dzieci i żony, brutalnie obchodzi się też ze służącymi. Sama myśl, że mógłby otrzymać coś tak pięknego...

Znów machnął dłońmi z bezsilności. – Jak już powiedziałem, musimy mieć nadzieję – stwierdził Bell. – Być może dzięki temu prezentowi ta rocznica ślubu będzie dla pana Sutterlanda czymś w rodzaju punktu zwrotnego.

Pani Sutterland zawitała do sklepu późnym popołudniem. Była piękną kobietą, której uroda niemalże nie poddawała się upływowi czasu, a jej gęste rude włosy płonęły niczym ogień. Lata niedoli odcisnęły jednakże na niej swoje piętno – jej zachowanie było chłodne, a w głosie pobrzmiwało napięcie, które wykluczało rozmowę na tematy wykraczające poza te absolutnie konieczne.

Na widok zegara nastąpiła w niej jednak przemiana. Ściągnęła płaszcz i z autentycznym zachwytem obserwowała małe światy wirujące wewnątrz kuli. Gdy zgasło ostatnie światło, odwróciła się gwałtownie ku zegarmistrzowi z błyszczącymi oczyma i ożywieniem malującym się na twarzy.

– Panie Bell, to istny cud! – wykrzyknęła żarliwie. – Nigdy nie widziałam niczego, co mogłoby się z tym równać! Mój mąż będzie wniebowzięty!

– Cieszę się, że sprawiłem pani tyle przyjemności, pani Sutterland.

– Jestem zachwycona. W najśmielszych marzeniach nie spodziewałam się, że ujrzę coś tak doskonałego, panie Bell!

Z tymi słowami położyła dłonie odziane w rękawiczki na kryształowej kuli i zajrzała w jej ciemną głębię. Gdy tak patrzyła, jej twarz stężała,

wydawało się też, że niczym cień spowija ją znużenie. Po chwili odezwała się ponownie, a w jej głosie znów pobrzmiwał ten sam chłód, co poprzednio.

– Gdyby na skutek jakiegoś nieszczęśliwego zdarzenia zegar uległ zepsuciu, panie Bell... Oczywiście z tak delikatnym mechanizmem będziemy się obchodzić z największą ostrożnością, ale dzieci i służący potrafią być niezdarni... W każdym razie, jeśli coś się stanie...

– Naprawię go – rzekł Bell.

Po tym mieście, podobnie jak po każdym innym, snuło się sporo próżniaków i darmozjadów. Niektórzy regularnie gromadzili się przed wystawą pana Bella, by obejrzeć w południe przedstawienie, ale dla ludzi tego pokroju punktualność była nie tyle cnotą, co raczej przeszkodą, tak więc żaden z nich nie stał się klientem sklepu. Musiał upłynąć niemalże rok od przybycia Bella, by pierwszy z nich zajrzał do sklepu, a uczynił to tylko po to, by zabawić się kosztem zegarmistrza.

Nazywał się Monson i wprost przepadał za tego rodzaju zabawami. Był korpulentnym, rumianym człowiekiem, ujmującym i pewnym siebie, a do tego wygadany i dobrze ubrany. Należał do prominentnej, świetnie prosperującej rodziny, choć sam nigdy nie okazał ani śladu przedsiębiorczości czy troski o reputację. Wszedł do sklepu pewnego poranka, spędził ponad kwadrans, przyglądając się zegarom, a potem przedstawił się Bellowi.

– Ludzie gadają, że naprawia pan uszkodzone zegary i zegarki – zagaił.

– To prawda.

– Słyszałem też, że potrafi pan naprawić każdy zegar, bez względu na to, jak bardzo jest zepsuty.

– Jak dotąd nie ma skarg na moją pracę. Być może przesadzają i tyle.

– Cóż, skoro jest pan taki dobry, jak gadają, to miałbym dla pana drobną robotę. Dla człowieka o pańskim talencie nie powinien być to żaden problem.

Monson wyciągnął brudną chusteczkę, położył ją na ladzie i rozwinął. Oczom Bella ukazała się kupka kółek zębatych, sprężyn oraz drobnych kawałków metalu, a także pęknięty cyferblat i pogięta, sfatygowana obudowa. Wszystkie te elementy pokrywało wyschnięte błoto, a obudowa



była w wielu miejscach porysowana. Bell milczał, więc Monson odezwał się pierwszy: – Nie da rady? – zapytał z uprzejmym uśmiechem.

– Może i da, panie Monson – odparł Bell.

Usłyszawszy tak spokojną odpowiedź, Monson nieco pobladł, szybko jednak odzyskał rezon: – Wyślizgnął mi się i spadł na drogę, koń wbił go kopytem w ziemię i przetoczył się po nim wóz. Uznałem, że nie da się go naprawić, ale ma on dla mnie wartość sentymentalną, więc zdecydowałem się zatrzymać szczątki mechanizmu. Potem usłyszałem w mieście, jak pana wychwalają i natychmiast oznajmiłem wszystkim, że przyniosę ten zegarek i dam panu sposobność, by się pan popisał.

Jego uśmiech był teraz drwiącym wyzwaniem.

– Proszę przyjść jutro o czwartej. – Bell złożył chusteczkę pełną kawałków zepsutego zegarka.

– Tak szybko, panie Bell? Ma pan niezłe tempo.

– Nie marnuję czasu, panie Monson. Ani własnego, ani innych ludzi.

Monson wyszedł i przyłączył się do kolegów, którzy czekali na zewnątrz. Ich głośne śmiechy dolatywały do sklepu. Następnego dnia wszyscy trzej zjawili się o umówionej porze. W środku było też trzech innych mężczyzn, dobrze ubranych i w doskonałych nastrojach, którzy przyszli chwilę wcześniej. Stanęli przy kolegach Monsona, podczas gdy ten ostatni powitał zegarmistrza, oparł dłonie na ladzie i powiedział śmiało: – A więc poproszę mój zegarek, jeśli łaska. – Oto i on, panie Monson. – Bell położył na ladzie niewielkie pudełko. W środku znajdowała się nieskazitelnie czysta chusteczka Monsona, na co wskazywał wyhaftowany monogram, a w nią zawinięty był zegarek w doskonałym wprost stanie. Wskazówki zatrzymały się dwie minuty po czwartej.

– Nie, nie, panie Bell! Chyba źle mnie pan zrozumiał! – Monson pokręcił głową. – Chcę mój zegarek, a nie inny w zamian!

– To pański zegarek.

Monson ujął czasomierz i obejrzał go starannie ze wszystkich stron.

– Być może oprawa w istocie jest moja – to oryginał albo cholernie dobra podróbka – ale reszta... – Z tymi słowami odłożył zegarek i przesadnie mocno pokręcił głową. – Nie upoważniłem pana do wymiany mechanizmu. Kazałem go naprawić, a pan powiedział, że to robi.

– Wymieniłem jedynie brakujące elementy – odparł Bell. – Naprawiłem pana zegarek, panie Monson.

– Nikt nie dałby rady go naprawić – stwierdził Monson stanowczo. – Zostawiłem tu wczoraj zaledwie kupkę szmelcu!

– W rzeczy samej, niemniej naprawiłem pański zegarek. Chce go pan, panie Monson?

– Oczywiście, że tak. Przecież jest mój, czyż nie? Sam pan tak powiedział. Ale jeśli przyszło panu do głowy, by żądać w zamian jakiejś niebotycznej kwoty, niech się pan lepiej dwa razy zastanowi. Dobrze znam takie sztuczki.

Bell podał cenę za naprawę. Towarzysze Monsona wyszczerzyli do siebie zęby, jeden się nawet roześmiał. Nie było jasne, co stanowi źródło ich wesołości – kolega, zegarmistrz czy sytuacja, w której się znaleźli – ale sam Monson nie wydawał się podzielać ich dobrego humoru. Wydobył z kieszeni kilka monet, głośno położył je na szklanej ladzie, a potem wziął zegarek, obrócił się i wyszedł bez słowa.

Jeszcze przed końcem tygodnia dwaj mężczyźni, którzy mu towarzyszyli, przyszli do sklepu. Dokładnie, wręcz krytycznie, obejrzelili zegary na wystawie i w końcu poinformowali Bella, że zamierzają zakupić jeden do sali klubowej w hotelu.

– Na półkach i na wystawie nie znaleźliśmy nic, co idealnie odpowiadałoby naszym wyobrażeniom – objaśnił jeden z nich – ale trzy spośród pańskich wyrobów mogłyby się nadawać, o ile cena okaże się przystępna.

Wskazali trzy zegary, a gdy Bell wymienił ich ceny, aż rozdziawili usta ze zdumienia.

– Co pan sobie myśli, żądając takich cen? – zapytał ostro jeden z nich. – Przecież nikt w mieście nie zapłaci panu tyle za zegar!

– Słyszałem, że jeśli spodoba się panu klient, sprzedaje pan zegar niemalże za bezcen – oznajmił drugi ze złością. – Cóż jest z nami nie tak, że zażyczył pan sobie fortuny? Czy wyglądamy na idiotów?

– Moje ceny się różnią – odparł Bell. – Sami widzieliście, jak niewiele zażądałem od waszego kolegi.

– Powinien nas pan potraktować tak samo jak jego. O ile chce pan

uniknąć kłopotów.

Bell nie odpowiedział od razu, zupełnie jakby nie usłyszał groźby lub zdecydował się puścić ją mimo uszu.

– Wybraliście, panowie, trzy spośród najdroższych zegarów w moim sklepie. Mam na stanie inne, które nie kosztują tak dużo.

– Gdybyśmy chcieli tani zegar, poszlibyśmy do sklepu wielobranżowego. Chcemy zapłacić odpowiednie pieniądze za porządny wyrób, ale nie damy się oszukać.

– Pozwólcie więc, że pokażę panom coś jeszcze. Zegary, które panowie wybrali, są niezwykle delikatne. Wydaje mi się, że mam inne, bardziej odpowiednie do sali w klubie dżentelmenów.

Obaj klienci awanturowali się jeszcze przez chwilę, ale dali się udobruchać, uznawszy słowa zegarmistrza za przeprosiny. Bell poszedł do magazynu, skąd przyniósł masywne zegary z mosiądzu i wypolerowanego mahoni, które mocnym, zdecydowanym biciem oznajmiały upływanie godziny. Ich ceny były z kolei absurdalnie niskie. Mężczyźni przyjrzeni im się uważnie i w końcu dokonali wyboru. Bell ostrożnie przystąpił do pakowania, ale jeden z mężczyzn nie przestawał obrzucać tęsknym spojrzeniem pierwszego wybranego zegara.

– Wciąż najbardziej podoba mi się tamten zegar z małym akrobatą – odezwał się w końcu. – Czy zgodziłby się pan raz jeszcze rozważyć cenę?

– Wyliczam ceny bardzo dokładnie, panowie. Nie uznaję targów.

– Jak ten akrobata się porusza? – zapytał jego towarzysz. – To właśnie fascynuje mnie najbardziej. Nie widziałem żadnych drutów ani sprężyn.

– W żadnym z nich nie ma drutów. Prędeż mnie szlag trafi, niż się pokapuję, jak te ludziki się poruszają. W czym tkwi pański sekret, Bell?

Bell uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

– Pewnie dobrze robimy, kupując porządny zegar, a nie jeden z tamtych – wyznał jeden z dżentelmenów. – Są bardzo ciekawe, ale długo by w naszym klubie nie wytrzymały. Bywa, że bierzemy się za łby, i to ostro.

Drugi zaśmiał się na te słowa i dodał: – Ba, taki porządny, mocny zegar też może nie dać rady. Co pan powie, Bell – jeśli ktoś walnie nim o ścianę, będzie dalej bezbłędnie wskazywał czas?

– Jeśli coś się z nim stanie, przynieście go do mnie – odparł Bell.

Elizabeth Sutterland złożyła w sklepie ponowną wizytę na wiosnę. Bell stał przy drzwiach, czekając na jej przybycie, a ona zamachała do niego, ledwie powóz się zatrzymał. Weszła do sklepu lekkim krokiem małej dziewczynki. Odrzuciła woalkę, rozejrzała się po półkach i rozpromieniona powiedziała do Bella: – Och, panie Bell! Widzę, że przybyłam w dobrym momencie! Ma pan na półkach wiele nowych cacek!

– Tuszę, że zegar, który nabyła pani w zeszłym roku, działa należycie?

– Nie spóźnia się ani o sekundę, a cóż za przyjemność na niego patrzeć! Tylko tyle, że za każdym razem, gdy wybija pełną godzinę, zdaje się zachowywać nieco inaczej. Dzieci go uwielbiają, a pan Sutterland jest nim po prostu zafascynowany. Ciągłe powtarza, że zamierza tu przyjść i osobiście panu powiedzieć, ile przyjemności mu pan sprawił tym zegarem.

– Nie mogę się doczekać jego wizyty, pani Sutterland.

– Cóż, mam nadzieję, że rzeczywiście wkrótce to zrobi. Ostatnimi czasy bywa bardzo zmęczony.

– Nadeszły ciężkie czasy – stwierdził Bell, podprowadzając gościa do lady i wskazując krzesło.

– Och, nie chodzi o przepracowanie. Po prostu wydaje się jakiś znużony. Zupełnie jakby przez ostatnie miesiące mocno się postarzał – wyjaśniła pani Sutterland, oglądając zawartość półek.

Bell nie odpowiedział. Podążył za jej wzrokiem, a potem zdjął zegar, który przyciągnął jej uwagę i postawił go na ladzie. Pani Sutterland pochyliła się, obejrzała go uważnie, a następnie zerknęła na sprzedawcę i niespodziewanie się uśmiechnęła.

– To piękna scena, panie Bell. Jakże sielankowa. Wprost nie mogę sobie wyobrazić, co się wydarzy, gdy zegar wybije pełną godzinę.

Wskazówki pokazywały dwie minuty do trzeciej. Cyferblat zegara umieszczony został w złotej kopule, która wieńczyła scenę leśnej idylli – otoczony wierzbami staw o nieruchomej powierzchni. Prawie na samym jego środku znajdowała się niewielka łódka rozmiarów dziecięcego paluszka, a w niej postać z wędką i w słomkowym kapeluszu. Była to niezwykle urokliwa scena. Gdy kurant uderzył po raz pierwszy, wędkarz wyciągnął malutką rybę, zdjął ją z haczyka i ponownie zarzucił wędkę. Z każdym uderzeniem zegara wyciągał kolejną, aż na dnie łodzi trzepotały

trzy. Wtedy wędkarz wrzucił je z powrotem do wody. Podczas gdy po tafli sunęły drobne fale, ponownie rozsiadł się wygodnie, poprawił kapelusz, by osłaniał mu oczy przed zachodzącym słońcem i powrócił do łowienia.

Pani Sutterland klasnęła w dłonie w niewinnym geście szczerego zachwytu.

– To doprawdy cudowne, panie Bell! – wykrzyknęła.

– Dziękuję, pani Sutterland – odparł zegarmistrz, odstawiając swoje dzieło na półkę. – Czy chciałaby pani obejrzeć jakikolwiek inny?

– Wszystkie je wprost uwielbiam, panie Bell, ale tak naprawdę przyszedłam tu w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego na prezent urodzinowy dla matki.

– Ma pani jakiś szczególny zegar na myśli?

– Miałam nadzieję, że może ma pan jeszcze jeden podobny do tego, który kupiłam mężowi.

– Niestety nie. Każdy zegar jest unikalny i jedyny w swoim rodzaju – odparł Bell. – Niech no jednak pomyślę. Być może mam coś jeszcze bardziej odpowiedniego.

Omiótł półki uważnym spojrzeniem, a potem zastanowił się nad zegarami wystawionymi w witrynie. Przez chwilę stał nieruchomo, marszcząc brwi i przyciskając palec do ust, a potem przeprosił klientkę i zniknął w warsztacie. Wyszedł z niego po kilku minutach z delikatną białą wazą, w której znajdowało się dwanaście czerwonych pąków róż.

– To zegar, panie Bell? – zapytała pani Sutterland.

Bell pokiwał głową, wskazując drobny cyferblat umieszczony blisko spodu. Wskazówki zatrzymały się na jedenastej pięćdziesiąt dziewięć. Nakręcił zegar i postawił go przed klientką. Z każdym uderzeniem kuranta otwierał się kolejny pąk, a powietrze wypełniał coraz mocniejszy aromat róż. Pani Sutterland aż westchnęła z zachwytu i zdumienia.

– Och, panie Bell, przecież to dzieło sztuki! – powiedziała, gdy rozkwitł ostatni kwiat. – Moja matka uwielbia wprost róże. Za nic w świecie nie znalazłabym lepszego prezentu!

– Dopiero co skończyłem ten zegar, pani Sutterland.

– I zdążył pan przed urodzinami mamy!

– Na to wygląda. Dokładnie na czas.

Pod koniec lata Paul Sutterland umarł w zaciszu własnego domu. Niedawno skończył czterdzieści lat i nie wykazywał oznak żadnej choroby, lecz w ostatnich dniach życia był pomarszczonym, siwiuteńkim staruszką, słabym zarówno na ciele, jak i duchu. Wdowa po nim opłakiwała go szczerze, choć wielu ludzi w mieście twierdziło, że powinna być wdzięczna losowi.

Pewnego deszczowego, jesiennego dnia, gdy nad opustoszałymi uliczkami miasta zapadał już zmrok, Monson i dwaj jego kompani przynieśli do sklepu Bella kolejny zepsuty zegar, tym razem przestrelony kulą. Monson położył go na ladzie i cofnął się ze śmiechem. Pozostali zawtórowali mu głośno.

– jeden z moich chłopaków mieni się snajperem. – Wskazał potrzaskany mechanizm. – Ile panu zabierze naprawienie tego grata?

Bell ujął zegar i przyjrzał mu się uważnie, obracając go w dłoniach. Na jego twarzy zastygła powaga.

– No to ile? Chcemy go na jutro. Pan nieźle zasuwa, co nie? – rzekł jeden z kolegów Monsona, spoglądając na pozostałych.

– A może nie da pan sobie z nim rady, co? – ciągnął Monson. – Jeśli nie uda się go panu naprawić, weźmiemy sobie jakiś inny. Któreś z tych pańskich cacek. – Skinął na półki.

– Te zegary nie są na sprzedaż – zastrzegł Bell.

– Niezły z pana człowiek interesu, niech mnie kule biją, Bell. Nie chcesz pan sprzedać najlepszych towarów, a jeśli już się pan na to decydujesz, to żądasz wariackich cen!

– Już wystarczająco zarabia na zegarach, które wciska bogatym damom. Co nie, Bell? – spytał jeden z kumpli Monsona.

– Taaa... – przytaknął Monson. – Co tam umyśliłeś sobie z Liz Sutterland? Ludzie gadają, że spędza tu sporo czasu. Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, Bell. Nawet nie próbuj. Rozumiesz?

– Proszę wyjść z mego sklepu – rzucił Bell.

– Wyjść? Bell, my jesteśmy klientami, a ty tylko sklepikarzem, więc lepiej traktuj nas z szacunkiem. Chcemy dobrze się przyjrzeć tym twoim cennym cackom, wszystkim tym skarbom nie na sprzedaż, które tak pieczołowicie gromadzisz, a ty nam pokażesz wszystko, co sobie zażyczymy.

– Proszę wyjść z mego sklepu – powtórzył Bell tym samym nieporuszonym tonem. Odstawił rupieć na ladę i zrobił pierwszy krok ku Monsonowi i jego obstawie.

– Może ten? – Monson znalazł się już przy półkach i złapał zegar wykonany ze złota, porcelany i lśniącego metalu, na którym uwieczniono stojącego na baczność, hardego strażnika bez munduru. – Nie rób nic, co mogłoby wyprowadzić mnie z równowagi, Bell. Jeszcze go upuszczę.

Głos zegarmistrza był spokojny, ale lodowato zimny: – Odłóż zegar i wyjdź.

Monson spojrzał na kompanów i wyszczerzył zęby, a potem zawołał: – Ups! Uwaga!

Udał, że upuszcza zegar, śmiejąc się przy tym do rozpuku. W tym samym momencie figurka obluzowała się i upadła na podłogę. Monson szybko odstawił zegar na ladę.

– Nie chciałem go zepsuć! Powinieneś po prostu zamknąć gębę, Bell. Nie przyszliśmy tu w złych zamiarach. Nikt z nas nie planował niczego złego.

– Ależ oczywiście, że planowaliśmy. I dopięliśmy swego.

Atmosfera w sklepie zmieniła się w jednej chwili. Nagle wydawało się, że Bell rośnie, potężnieje, aż zaczął górować nad trójką rzekomych klientów, a ci, choć każdy z nich był potężniejszy od Bella i o kilka lat od niego młodszy, teraz kurczyli się przed jego majestatem. Zegarmistrz pochylił się, delikatnie podniósł leżącą na ziemi figurkę i uważnie ją obejrzał.

– Dasz radę to naprawić, Bell – powiedział jeden z kumpli Monsona.

– Tak, dla ciebie to pestka, no nie? – rzekł drugi. – Nie chcieliśmy przecież nikogo skrzywdzić.

– I zapomnij o tym zegarze, który tu przynieśliśmy. To tylko żart. Taki tam żart.

Monson zrobił krok naprzód i wyzywająco zadarł głowę.

– Powoli – rzekł nienaturalnie głośno z fałszywą butą. – Bell da radę naprawić nasz zegar. Nie widzę powodu, dla którego nie miałby się nim zająć. Jeśli rzeczywiście naraziłem go na koszty – jakieś prawdziwe koszty – jestem gotów zapłacić, o ile będzie to rozsądna cena. Nie mamy za co przepraszać. Zapłacimy i tyle.

Bell oderwał wzrok od odłamanej figurki.

– Wyliczę stosowną kwotę – rzekł.

Zniknięcie Austina Monsona i jego dwóch kompanów stanowiło główny temat rozmów i spekulacji przez najbliższych kilka miesięcy. Najrozmaitsze wytłumaczenia, od całkiem bezsensownych, aż po trąące o niesamowitość, krążyły po mieście przez dzień lub dwa, by zaraz potem ustąpić miejsca kolejnym. Czas jednak robił swoje, zainteresowanie sprawą mijało i wkrótce o trzech zaginionych mężczyznach mówili już tylko ich znajomi.

W roku, który nastąpił po tym osobliwym zdarzeniu, niemalże każdy mieszkaniec miasta był już klientem Bella. Wydawało się, że nawet najuboższych stać na zakup zegara z jego sklepu. Co ciekawe, wszystkie jego wyroby, bez względu na cenę czy kunszt wykonania, cechowała perfekcyjna punktualność. Nie było klienta, który wyraziłby w tej materii niezadowolenie.

Bell zawsze chętnie rozmawiał z klientami czy przypadkowymi gośćmi sklepu, zawsze z ochotą demonstrował kolejne wymyślne czasomierze. Lockyer wraz z żoną stali się jego regularnymi klientami i podczas każdej ich cotygodniowej wizyty Bell nieodmiennie prezentował im zegar jeszcze bardziej pomysłowy od poprzedniego, czasem wręcz magiczny. Gdy wybijały pełną godzinę, widać było ptaki wzbijające się do lotu, morświny wyskakujące z miniaturowych mórz, nietoperze wylatujące z dzwonnicy, drwali ścinających drzewa, łyżwiarzy wirujących na lodzie w przedziwnych akrobacjach, treserów ćwiczących malutkie lwy i tygrysy, żonglerów podrzucających maczugi drobniejsze od ziarenek ryżu, łuczników posyłających niemalże niewidzialne strzały w sam środek celów mniejszych od paznokcia, żeglarza tańczącego hornpipe'a, derwisza wirującego w ekstazie czy dystyngowaną parę z godnością tańczącą walca przy akompaniamencie kwintetu muzyków w perukach. Ruchy owych drobnych figurek były płynne i naturalne, pozbawione mechanicznej sztywności. Za nic nie dało się też dostrzec drutów czy dźwigni, nic poza zdyscyplinowaną gracją tańczących figurek.

Wyglądało na to, że Bell sprzedaje zegary w tym samym tempie, co je wytwarza. Ze sklepu znikają nawet te, które nie były przeznaczone na sprzedaż, a na półkach szybko zastępowały je inne. Wydawało się, że



zegarmistrz postanowił zachować tylko kilka. Pierwszym z nich był malutki arlekin, którego akrobacje tak bardzo zachwyciły Lockyera podczas jego pierwszej wizyty w sklepie, drugim – ziejący ogniem smok na górze złota, drogocennych klejnotów oraz szkieletów w zbrojach, stojący w kącie wystawy i buchający płomieniami co godzinę ku uciesze i przerażeniu przyglądających się dzieci. Pozostał również zegar zwieńczony ślicznym, drobnym pawilonem ze złota i porcelany oraz lśnącymi paskami czerwonego i niebieskiego emaliowanego metalu, przed którymi co godzinę maszerował strażnik do rytmu wygrywanego przez dobosza i kobziarza. Lockyer miał wrażenie, że ten ostatni zegar stoi w sklepie co najmniej od roku.

W sezonie świątecznym sklep Bella był zatłoczonym, radosnym i pełnym śmiechu miejscem. Nieliczni mieszkańcy miasta, którzy jak dotąd nie nabyli któregoś z zegarów, w końcu dokonywali wyboru, inni kupowali zegary jako pamiątki czy upominki dla bliskich i przyjaciół. Nikt nie miał pojęcia, jak to w ogóle możliwe, ale Bell był w stanie sprostać rosnącemu popytowi, a nawet powiększył kolekcję o nowy, wspaniały okaz – oświetloną katedrę z kolędnikami na schodach i chórem aniołów ponad wieżami. Ustawił go w gablocie na trzy dni przed Bożym Narodzeniem i nie było przechodnia, który minąłby go obojętnie.

Nastały ciemne, zimne dni nowego roku i nastrój w miasteczku uległ zmianie. Nikt nie krytykował Bella ani jego wyrobów, nikt też nie narzekał na zbyt wygórowane ceny, ale sklep opustoszał. Zdarzało się, że przez dwa, trzy dni pod rząd nie zaglądał do niego żaden klient. Państwo Lockyer wciąż przychodzili regularnie, czasem przyprowadzając malutką córeczkę. Nie zauważyli żadnych zmian w zachowaniu Bella ani nie usłyszeli od niego słowa narzekań, ale wyczuwali pewną różnicę, której nie umieli nikomu opisać.

W sali klubowej, gdzie nadal zbierali się kompani Monsona, znów zaczęto szeptać. Bywalcy pili, dyskutowali i myśleli, a ich puste, nieobarczone żadnymi kłopotami umysły często roztrząsały problem wciąż niewyjaśnionego zaginięcia starych kolegów. Jak to zwykle bywa z plotkami, przenosiły się same z siebie, zlewały z innymi, mieszały przesadę z nieścistościami, podpierając wszystko garścią kłamstw i wymysłów. Nie

trzeba było wiele czasu, żeby bywalcy sali klubowej święcie uwierzyli w to, co sami wydumali.

Winowajcą był Bell. Dlaczego? Z zazdrości, rzecz jasna. To akurat wydawało się oczywiste dla wszystkich obeznanych z faktami. Monson ośmieszył go, sprawił, że wyszedł na głupka. Ten żaloszny zegarmistrz wymyślił sobie, że będzie konkurował o rękę wdowy – wyobraźcie sobie tylko, że zwykły sklepikarz bierze za żonę kobietę taką jak Sutterland! – a gdy się dowiedział, że ta woli Monsona, zazdrość przybrała na sile i pchnęła go do desperackiego czynu. Monson pokazał Bellowi, gdzie jest jego miejsce, a Bell postanowił się zemścić. Nie ulegało to wątpliwości, niejasne było tylko to, co zrobił rywalowi oraz jak i dlaczego zemsta dosięgła również jego towarzyszy. Uznano, że Bell jest zbyt sprytny, by zostawić ślad, który mógłby go zdradzić – nikt przecież nie kwestionował jego przenikliwości ani inteligencji. Jednakże każdy, komu wedle kryteriów klubu zostało trochę oleju w głowie, uznawał go za winnego i wierzył, że sprawiedliwości musi się stać zadość.

Z początku ludzie reagowali śmiechem na te wyssane z palca historyjki, tym bardziej że dobrze wiedziano, skąd pochodziły i podejrzewano, co się za nimi kryje. Słyszeli je jednakże bez przerwy i w końcu drobniutkie ziarenko czegoś, czego nie można nazwać wątpliwością, a raczej niesprecyzowaną i niechętną niepewnością, powolutku zaczęło kiełkować w ich umysłach. Sami sobie powtarzali, że to, co mówiono tak często i z takim przekonaniem, nie może być przecież całkowicie pozbawione podstaw. Nie wierzyli w ani jedno słowo, ale z drugiej strony nikt nie przeczył, że Bell był tajemniczym człowiekiem.

Skąd przybył? I po co? Jak to się działo, że ktoś, kto sprzedaje towary po tak niewiarygodnie niskich cenach, wciąż utrzymuje się w interesie, a nawet prosperuje? Kto kupował te wszystkie drogie zegary? Co się stawało z tymi, które nie były na sprzedaż, a mimo to znikwały z półek? Jak to możliwe, by ktokolwiek tak szybko, a jednocześnie tak precyzyjnie montował mechanizmy tak niezwykle dokładne i delikatne, a przy tym dawał jeszcze radę wykonać zwykłe czasomierze za zwykłą cenę?

Jeśli rzeczywiście Monson i jego kumple zdradzali się z zamiarem odwiedzenia Bella w dniu swego zniknięcia, zegarmistrz był winien

wszystkim wyjaśnienia. Dobrzy obywatele uznali, że ani wielki kunszt, ani nawet geniusz nie zwalniają nikogo od powszechnego osądu. W miarę jak zbliżała się wiosna, szeptano coraz głośniejsze, temat stawał się coraz bardziej problematyczny, a pytania coraz dociekliwsze.

Pewnego wieczoru, gdy sklep był już zamknięty, a ulice wyludnione, Lockyer zastukał do tylnych drzwi. Bell znajdował się w warsztacie, jak zwykle późnym wieczorem, więc otworzył niemal natychmiast.

– Panie Bell, musi się pan zatroszczyć o własne bezpieczeństwo – powiedział Lockyer bez żadnych wstępów.

– Nie potrzebuję się o nic troszczyć.

– Ależ tak! – nalegał Lockyer. – Na pewno słyszał pan opowieści krążące po mieście.

– Słyszałem jedynie głupie plotki.

– Obaj wiemy, że są głupie, ale ludzie zaczynają w nie wierzyć. Chcą przyjść do pańskiego sklepu, by żądać wyjaśnień w kwestii zniknięcia Monsona.

– Mój sklep będzie otwarty o zwykłych godzinach – w głosie Bella nie znać było żadnych emocji. – Bez zbędnej zwłoki odpowiem na wszelkie rozsądne pytania. Wejdzie pan, panie Lockyer?

– Nie, nie, nie mogę! – Lockyer cofnął się. – Ale musi pan coś zrobić, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Za tym wszystkim kryją się znajomi Monsona, którym zależy, by wyrządzić panu krzywdę. Mogą się tu nawet włamać pod osłoną nocy!

– Czy ludność miasta pozwoli na coś takiego?

Lockyer zawahał się, a potem odpowiedział niepewnie: – Nikt nie chce, by cokolwiek się panu stało, ale kompani Monsona namieszali wszystkim w głowach. Mają wpływowych znajomych w mieście, przynajmniej niektórzy z nich. Ludzie zaś słyszeli już tyle historii, że sami nie wiedzą, w co wierzyć.

– A zatem mogę się spodziewać najścia tłuszczy, która nie zawaha się przed niczym.

– Obawiam się, że może do tego dojść. Musi się pan zatroszczyć o swoje zdrowie.

– Tak się stanie, panie Lockyer – rzekł Bell i zamknął drzwi bez słowa.

Lockyer usłyszał tylko szcęk zasuwy.

Przyszli do sklepu jeszcze tej nocy. Było ich jedenastu, ale wokół stali inni. Kilku z nich swego czasu coś u Bella kupiło, paru bywało przed witryną, by przyjrzeć się zegarom wybijającym pełne godziny. Na czele stało trzech mężczyzn, którzy przebywali w sklepie w dniu, kiedy Bell oddał Monsonowi naprawiony zegarek.

– Przyszliśmy tu, by się dowiedzieć, co zrobiłeś naszemu przyjacielowi, Bell, i nie odejdziemy, póki nie uzyskamy satysfakcjonujących wyjaśnień – powiedział jeden z nich, zagradzając drogę zegarmistrzowi.

– Dlaczego mnie winicie? – zapytał Bell, mierząc go spokojnym spojrzeniem.

– Bo mówili, że się do ciebie wybierają. Wszyscy słyszeliśmy, jak to mówili. A potem nigdy ich już nie widzieliśmy. To ty stoisz za ich zniknięciem.

– No, po prostu się przyznaj, Bell. Możemy cię zmusić, byś wszystko wyśpiewał, jeśli zajdzie taka potrzeba – odezwał się drugi. Podniósł laskę i postukał nią w szybę.

– Możemy rozwalić to wszystko na kawałki, ciebie przy tym nie oszczędzając – rzekł pierwszy. – Mów, co zrobiłeś z naszymi przyjaciółmi.

Bell spojrział na niego, potem na jego towarzysza z laseczką i wreszcie na pozostałych, którzy się w niego wpatrywali. Uniósł dłoń i wskazał drzwi.

– Najlepiej będzie, jeśli opuścicie mój sklep.

– Najlepiej dla ciebie, to pewne. Widzisz, my jednak nigdzie się nie wybieramy – powiedział pierwszy, a kilku jego towarzyszy pomrukiem wyraziło aprobatę, gdy zmierzył ich zimnym wzrokiem.

– I nie próbuj nas oszukać, Bell. Zbyt długo oszukujesz całe miasto. Odpowiedz na nasze pytania albo zrobi się nieprzyjemnie. – Drugi z całej siły uderzył laską w szybę. Szkło pękło.

Wtedy niespodziewanie, dokładnie dziewięć minut po godzinie pierwszej, wszystkie zegary odezwały się jednocześnie. Rozległy się głębokie gongi i kryształowe kuranty, malutkie bębenki i trąbeczki, pozytywki i ptasie trele, a do tego gwar niezliczonych dzwonów i dzwoneczków. Wszystkie razem zlały się w istną ścianę dźwięków, która miała obezwładnić intruzów. Uderzała w nich raz po raz, najpierw

dwanaście razy, potem znów dwanaście i jeszcze raz, i jeszcze, z początku szybko, później coraz ciszej i wolniej, jakby się stopniowo wycofywały. Stawały się coraz słabsze i słabsze, aż ucichły całkiem.

Mężczyźni stali całkiem oszołomieni nawalem dźwięków. Nie czuli bólu, nie mieli też wrażenia, że krępuje ich jakaś zewnętrzna siła. Ani jeden nie odniósł fizycznych obrażeń. Oddychali swobodnie, wodzili wokół spojrzzeniami i słyszeli wszelkie dźwięki, ale ich ciała zastygły, zupełnie jakby powietrze stało się kleiste i unieruchamiało ich jak gęste błoto czy głęboki śnieg. Było jednak tysiąc razy trudniejsze do pokonania aniżeli błoto czy śnieg, a do tego niewidzialne i nieodczuwalne. Więziło nie tylko ich stopy, lecz również dłonie, ramiona, głowy i korpusy. Mieli wrażenie, że czas zwolnił i ledwie pełznął naprzód, krzepnąc i więżąc ich w sobie, jak gdyby byli owadami utopionymi w żywicy.

Niewielu ludzi odważyło się kiedykolwiek opowiedzieć o tej nocy, a i oni czynili to niechętnie, po długim milczeniu, obawiając się kpin. W każdym razie ci nieliczni, którzy przełamali ciszę, zgadzali się co do kilku rzeczy: po pierwsze, Bell był obojętny na działanie owego zjawiska. Jeden po drugim zdejmował zegary z półek i zanosił do pracowni, a z każdym obchodził się delikatnie i z czułością. Praca zabrała mu sporo czasu, przynajmniej kilka godzin, ale żaden mężczyzna nie czuł bólu ani skurczów, które wydawały się naturalnymi konsekwencjami tak długiego bezruchu. Twierdzili też, że Bell pracował metodycznie, ignorując intruzów. Skupiał uwagę wyłącznie na zegarach.

Zgodzili się co do tych faktów, choć każdy wyniósł własne wspomnienia z tej nocy. Wedle jednego z nich w sklepie robiło się coraz ciemniej, inny zaś twierdził, że światło nie zmieniło natężenia, ale Bell poruszał się coraz szybciej, aż w końcu nie można było nadążyć za nim wzrokiem i całkiem zniknął. Trzeci utrzymywał, że z każdym wyniesionym zegarem Bell stawał się coraz bardziej niematerialny i w końcu po prostu rozpułnął się w nicość. Jeden wspominał muchę, która przeleciała tuż przed jego twarzą tak wolno, że potrafił policzyć uderzenia skrzydeł. Mucha nie przebyła nawet odległości stopy, ale mężczyzna przysięgał, że zabrało jej to przynajmniej trzy godziny. Jeszcze inny opowiadał o cygarze człowieka stojącego z przodu – strząśnięty popiół spadał tak powoli, że podczas owego

zniewolenia – co rzekomo trwało przynajmniej cztery godziny – do ziemi nie dotarł. Dwaj inni mówili, że czuli każde tyknięcie zegara, które rozdzielały niekończące się przerwy. Wedle jednego przerwa trwała godzinę, inny utrzymywał, że na każde tyknięcie trzeba było „diabelnie długo czekać”.

Nie wiadomo, co się właściwie zdarzyło tej nocy, ale gdy mężczyźni odzyskali swobodę ruchów – a unieruchomienie zakończyło się nagle, bez ostrzeżenia – w sklepie nie było śladu po Bellu i jego zegarach.

Pięciu napastników uciekło ze sklepu w chwili, gdy wróciła im władza w nogach. Ci, którzy zostali, nie uczynili tego z odwagi ani nawet gniewu, lecz raczej ze strachu przed okazaniem strachu. Spoglądali po sobie z niepewnością, oczekując na jakieś rozkazy czy polecenia, aż wreszcie ktoś powiedział: – Musimy pójść tam za nim!

Pracownia była pusta i ciemna. Zrzucili zasuwę z tylnych drzwi, a jeden z nich krzyknął do stojących na zewnątrz: – Widzieliście go?

Z cienia wyłonił się mężczyzna z trzonkiem kilofa w ręku.

– Gdzie tam, nikogo nie było. Tymi drzwiami nikt nie wyszedł.

– Jesteście pewni?

– No jasne, że jesteśmy, do cholery! – zawołał inny człowiek. – Co się tam dzieje? Bell się wam wyrwał?

Nie było odpowiedzi. Wrócili do sklepu, a wtedy zauważyli coś, co z powodu szoku w pierwszej chwili umknęło ich uwadze – sklep wprost tonął w kurzu, a z sufitu i półek zwisały grube pajęczyny. Powietrze pachniało stęchlizną, jak to zwykle bywa w nie odwiedzanym długo pokoju. Gdy się tak rozglądali, zegar na ratuszu wybił kwadrans. Któryś z obecnych spojrział na zegarek i oznajmił cichym głosem: – Piętnaście po pierwszej.

Nikt się nigdy nie dowiedział, co się tak naprawdę stało z zegarmistrzem. Nikt już nigdy nie widział tak doskonałych zegarów, nawet ci, którzy podróżowali i interesowali się podobnymi cackami. Te, które sprzedał Bell, przetrwały trzy, cztery, a nawet pięć pokoleń. Nigdy się nie spóźniały i nigdy nie wymagały napraw.

Mówi się, że **Clark Ashton Smith** (1895–1961) całymi dniami czytywał dla przyjemności słowniki i rozkoszował się każdym tajemniczym i magicznie brzmiącym wyrazem. Nie wiem, czy to prawda, ale nie byłbym zdziwiony, gdyby się tak okazało. Za każdym razem, gdy czyta się cokolwiek pióra Smitha, lepiej mieć bowiem słownik pod ręką. Po co nazywać kogoś czarodziejem, skoro można go nazwać taumaturgiem? Po co mówić cień, skoro można – adumbracja? Przecież to słowa tworzą opowieść, a w odczuciu Smitha, który rozpoczął karierę literacką jako poeta, słowa tworzyły całe światy. Jego kariera pisarska trwała aż pięćdziesiąt lat, ale większość dzieł spod szyldu fantastyki powstała w latach 1928–1937. W jego twórczości nastąpił wówczas niespotykany wylew dziwacznych, egzotycznych opowiadań, które w większości zostały opublikowane w *Weird Tales*, królującym wśród tanich czasopism. Już same nazwy światów, w których rozgrywały się jego opowiadania – Atlantyda, Xiccarph, Zotique, Hyperborea czy Averoine – przywodziły na myśl magię i mistykę. Jego dokonania zostały zebrane w kilku antologiach opublikowanych przez Arkham House: *Out of Space i Time* (1941), *Lost Worlds* (1944), *Genius Loci* (1948) oraz *Tales of Science and Sorcery* (1964), a w latach bardziej nam współczesnych ukazała się kompilacja jego najlepszych utworów pod tytułem *A Rendez-vous in Averoine* (1988).

## **Clark Ashton Smith**

### DRUGI CIEŃ

Ja, ostatni i najzdolniejszy z uczniów mądrego Avyctesa, nie znam miana tego, czym pisane mi jest zostać, nim nadejdzie jutro. Tak więc przy gasnących srebrnych lampach, w domu mego mistrza wzniesionym nad huczącymi falami morza, pospiesznie spisuję tę ostatnią opowieść. Nurzam pióro w czarodziejskim atramencie i w pośpiechu stawiam niewyraźne,

koślawe litery na szarym, bezcennym wprost pradawnym smoczym pergaminie. Gdy ukończę me dzieło, zapieczętuję je w tubie z orychalku i cisnę z najwyższych okien wprost do morza, chyba że to, czym mam się stać, zniszczy pergamin, nim postawię na nim ostatnią kropkę. Może się zdarzyć, że odnajdą cylinder żeglarze z Lephary, zmierzający do Umb i Pneoru w wysokich triremach, może znajdą go rybacy w swych sieciach. Kiedy ludzie przeczytają tę opowieść, poznają prawdę i od tej pory nikt nie poważy się zbliżyć do jasnego, nawiedzonego przez demony domu Avyctesa.

Przez sześć lat terminowałem u sędziwego mistrza, porzuciwszy uroki młodości na rzecz studiów magicznych. Zgłębialiśmy arkaną zakazanej wiedzy o wiele pieczołowiciej niż ktokolwiek przed nami. Przywoływaliśmy mieszkańców zapieczętowanych krypt i przerażających otchłani innych wymiarów. Na palcach jednej ręki zliczyć można śmiertelników, którzy odważyli się nas szukać pośród klifów, między którymi świszczą wiatry, lecz spoza granic czasu i przestrzeni przybywało do nas wielu gości, choć nie znaleźliśmy ich imion.

Dwór, w którym mieszkaliśmy, jest ponury i biały niczym grobowiec. Daleko pod nim północne morze rozbija się z potwornym rykiem o czarne, nagie skały i cofa z trwającym wiecznie pomrukiem niczym armia upokorzonych demonów, przez co pokoje wypełnia przerażające echo owych zmagania. Wokół wysokich wież z potępieńczym jękiem przemyka wiatr, lecz nigdy nie zdołał nimi wstrząsnąć. Od strony morza dom wyrasta prosto z opadającego stromo klifu, zaś po przeciwnej stronie wznoszą się wąskie tarasy obrośnięte karłowatymi, poskręcanyimi cedrami pochylonymi pod naporem wiatrów. Bram od strony lądu strzegą ogromne, marmurowe potwory, a wielkie marmurowe kobiety czuwają nad portykiem, który wzniesiono nad urwiskiem. W komnatach i korytarzach stoją potężne rzeźby oraz mumie. Jednakowoż, poza nimi oraz wezwanymi przez nas istotami nie mieliśmy żadnych towarzyszy, zaś o nasze codzienne potrzeby troszczyły się liczę wraz z cieniami.

Każdy człowiek jest jeno śmiertelnikiem, przeto nie bez obaw wpatrywałem się w przerażające oblicza istot, które służyły Avyctesowi. Ja, neofita, wzdrygałem się na widok czarnych, nieziemskich tworów, które



wiły się w dymie z piecyków. Wrzeszczałem z przerażenia, gdy stanęliśmy wewnątrz siedmiokolorowego kręgu, a wokół nas przetaczała się złowieszczo szara, pozbawiona kształtu, ale zła do szczytu istota, która groziła w każdej chwili przerwaniem magicznej zapory. Ze szczyptą obrzydzenia piłem wino lane do pucharów przez ożywione trupy i jadłem chleb przyniesiony do stołu przez zjawy. Rutyna sprawiła, że poczucie niesamowitości osłabło, a strach zniknął, a ja z czasem uwierzyłem święcie, że Avyctes poznał wszelkie inkantacje i egzorcyzmy, a jego niezawodna moc jest w stanie odegnać każdą przyzwaną przezeń istotę.

Wszystko dobrze by się skończyło dla mego mistrza – oraz dla mnie – gdyby ów zadowolił się mądrością Atlantydy i Thule oraz tą przywiezioną z Mu. Z pewnością by mu to wystarczyło – w opracionych w kość słoniową księgach z Thule zapisano krwią runy, dzięki którym można przywołać demony z piątej i szóstej planety, o ile wypowie się zakęcie na głos w godzinie ich wschodu. Czarownicy z Mu z kolei pozostawili po sobie opis procesu umożliwiającego otwarcie wrót do odległej przyszłości. Nasi ojcowie, Atlantydzi, nie byli gorsi – znali drogę między atomami oraz ścieżkę wiodącą ku odległym gwiazdom. Avyctes jednakże pożył jeszcze mroczniejszej wiedzy i jeszcze większej potęgi... I tak oto w trzecim roku mego nowicjatu w jego ręce wpadła lśniąca niczym lustro tablica, stworzona przez dawno wymarłych węzóludzi.

O określonych porach, gdy przyplływ cofał się ze stromych skał, schodziliśmy skrytymi w jaskini schodami na niewielką plażę w kształcie półksiężyca, leżącą u stóp stromego klifu za cyplem, na którym wznosił się dom Avyctesa. Tam, na wilgotnych, ciemnobrązowych piaskach, za kręgiem pianistego oddechu przyboju zalegały zniszczone, osobliwe przedmioty, przyniesione przez fale z obcych wybrzeży bądź skarby wydarte przez huragany niezmiernym głębinom morza. Znajdowaliśmy tam fioletowe, poskręcane muszle, nieforemne bryły ambry i białe kwiaty nieustannie kwitnącego koralu. Raz natknęliśmy się na barbarzyńskiego bożka z zielonego mosiądzu, który kiedyś był galionem galery z odległej hiperboreańskiej wyspy.

Pewnego razu na klif natarł potężny sztorm, który zapewne wstrząsnął morzem aż po samo dno, lecz burza ucichła nad ranem i owego feralnego

dnia niebo było bezchmurne. Demoniczne wiatry ucichły wśród czarnych skał i przepaści, a delikatne szepty morskich fal przypominały szelest szat ciągnących się za biegnącymi po piasku dziewczętami. Tuż za linią fal dostrzegliśmy jakiś przedmiot, który, choć opleciony siecią wodorostów, oślepił wprost swym niby-słonecznym blaskiem.

Podbiegłem i poderwałem ów przedmiot z piasku, nim fala wróciła, a następnie wręczyłem go mistrzowi.

Tablica była wykonana z jakiegoś nieznanego metalu przypominającego nierdzewne żelazo, ale cięższego. Miała kształt trójkąta, a najdłuższy bok przekraczał nieco długością średnicę ludzkiego serca. Z jednej strony lśniła niczym lustro, z drugiej z kolei znajdowały się rzędy drobnych, pochylonych znaków, wyrytych głęboko w metalu jakby na skutek działania żrącego kwasu. Nie były to hieroglify ani też znaki jakiegokolwiek alfabetu znanego mnie czy memu mistrzowi.

Wiek i pochodzenia tajemniczego przedmiotu mogliśmy się jedynie domyśleć, gdyż nasza wiedza nie podsuwała żadnych wskazówek. Studiowaliśmy napisy przez wiele dni i toczyliśmy spory, które nie przynosiły żadnych rozwiązań. Co noc zamykaliśmy się w komnacie na piętrze, gdzie, chronieni przed nieprzemijającymi wiatrami, ślęczeliśmy nad zagadką tablicy przy świetle wysokich płomieni srebrnych lamp. Zdaniem Avyctesa owe nieznane, pochylone znaki kryły w sobie niezwykle cenną mądrość, tajemnicę magii zapomnianych, starszych od nas ludów. Ponieważ cała nasza wiedza nie na wiele się zdawała, mój mistrz uciekał się do innych sposobów rozwikłania tajemnicy, jak choćby czarnoksięstwa i nekromancji. Z początku żaden z przyzywanych przez nas diabłów ani duchów nie potrafił nic powiedzieć o zagadkowej tablicy. Każdy człowiek uległby w końcu rozpacz, ale nie Avyctes. Niczego nie żałuję bardziej od tego, że się nie poddał i nie zarzucił prób rozszyfrowania tekstu.

Miesiące i lata płynęły do wtóru powolnego huku fal roztrzaskujących się o skały i wycia wiatrów wokół białych wież, a my przywoływaliśmy kolejne istoty i kontynuowaliśmy badania, zagłębiając się coraz dalej w ciemne, pozbawione światła królestwa zjaw. Z wolna opanowywaliśmy sekrety przenikania do najbliższych wymiarów nieskończoności. Czasami Avyctes wracał do badania tablicy i wypytywał któregoś z przybyszów o

znaczenie jej treści.

Wreszcie, skorzystawszy z jakiegoś przypadkowego zaklęcia czy może dzięki pozbawionemu znaczenia eksperymentowi, zdołał przywołać ciemnego, ledwie widocznego ducha z czasów prehistorycznych. Ów duch ledwie słyszalnym szeptem opowiedział nam w prymitywnym, dawno zapomnianym języku, że znaki na tablicy pochodzą z alfabetu węzóludzi, których kontynent pogrążył się w głębinach na długie eony przed tym, jak Hiperborea wzniosła się ponad szlam i muł. Duch jednakże nie potrafił nam niczego powiedzieć o jej znaczeniu, gdyż nawet w jego czasach węzóludzie byli tylko legendą, w którą mało kto wierzył, a ich nieludzka wiedza i magia stały się nieosiągalne dla człowieka.

W księgach Avyctesa nie było ani jednego czaru, pozwalającego przywoływać zapomnianych węzóludzi z ich prześwietnej epoki. Istniała jednakże stara formuła z Lemurii, mało zrozumiała i wielce niepewna, dzięki której cień człowieka mógł zostać wysłany całe wieki w przeszłość, a później sprowadzony do czasów obecnych. Cień, jako istota całkowicie niematerialna, nie mógł doznać żadnej krzywdy na skutek owej tymczasowej wymiany, a co więcej, był w stanie zapamiętać wszelkie informacje, które czarownik nakazał mu zdobyć.

Tak więc ponownie wezwaliśmy ducha prehistorycznego czarownika, którego imię brzmiało Ybith. Następnie Avyctes rozпалиł ogień z kilku kawałków niezmiernie starej żywicy oraz garści łatwopalnego, kopalnego węgla. Wspólnie wyrecytowaliśmy formułę i wysłaliśmy ledwie widocznego ducha Ybitha daleko w przeszłość, do czasów węzóludzi.

Po upływie czasu, który mój mistrz uznał za odpowiedni, przeprowadziliśmy osobliwy rytuał, by przywołać Ybitha do naszych czasów. Rytuał się powiódł – Ybith znów stanął przed nami, wąty niczym rozwiewający się obłok pary i słowami niewyraźnymi niczym echo gasnących wspomnień opowiedział nam, jak należy rozumieć litery zaginionego alfabetu. Nie zadawaliśmy już Ybithowi dalszych pytań i odesłaliśmy go w niepamięć.

Poznawszy tajniki malutkich, niewyraźnych liter, odczytaliśmy napisy na tablicy i dokonaliśmy transliteracji. Praca ta kosztowała nas wiele wysiłku i nie obyła się bez trudności, gdyż sama fonetyka węzóludzkiego

języka, a także symbole i kryjące się za nimi wyobrażenia były nam w większej części obce. Gdy opanowaliśmy ten trudny język, odkryliśmy, że napis na tablicy zawiera formułę specjalnego czaru, z którego bez wątplenia korzystali węzóludzie. Przeznaczenie owego czaru nie zostało wyjaśnione, nie było też żadnych uwag co do jego natury lub tożsamości osoby, która go stworzyła. Co więcej, nie odnaleźliśmy również stosownych egzorcyzmów bądź czarów rozpraszających.

Avyctes nie posiadał się z radości, przeświadczony, że dotarł do wiedzy niedostępnej żadnemu innemu człowiekowi. Pomimo moich protestów zdecydował się wypróbować zaklęcie, perorując, iż nasze odkrycie nie było kwestią przypadku, lecz od samego początku rzeczą nam pisaną, fragmentem przeznaczenia. Nie wydawał się również przejmować zagrożeniem, jakie pociągała za sobą magia, której pochodzenie i właściwości były nam zupełnie obce.

– Przez te wszystkie lata, gdy zajmowałem się czarami – tłumaczył – nigdy nie przywołałem boga ani diabła, demona ani liczą, którego nie potrafiłbym okiełznać i swobodnie odesłać. Nie chce więc mi się wierzyć, by rasa węży, bez względu na ich biegłość w nekromancji czy demonologii, potrafiła przywołać jakąkolwiek moc czy istotę zdolną oprzeć się moim czaram.

Pojałem, że Avyctes nie wyrzeknie się raz powziętych zamiarów, a że widziałem w nim swego mistrza, zgodziłem się pomóc w przeprowadzeniu eksperymentu, choć przez cały czas trapiły mnie złe przeczucia. Spotkaliśmy się więc w komnacie wezwań o określonej godzinie, przy odpowiedniej konfiguracji gwiazd, przynosząc ze sobą rozmaite składniki, zgodnie z instrukcją na tablicy.

Lepiej nie wspominać o większości tych rzeczy, które musieliśmy zrobić, i o składnikach, których musieliśmy użyć. Nie zapiszę też przenikliwie brzmiących, syczących słów, trudnych do wymówienia dla nas, ludzi, których intonacja stanowiła istotną część rytuału. Pod koniec świeżą ptasią krwią wyrysowaliśmy trójkąt na marmurowej podłodze. Avyctes stanął na jednym z jego rogów, ja na drugim, a na trzecim mumia wymizerowanego wojownika z Atlantydy, zwanego Oigosem. Dzierżyliśmy świece z łoju utoczonego z ludzkich zwłok tak długo, aż zaczął nam przeciekać między

palcami na posadzkę. Wyciągnięte dłonie Oigosa, niczym płytkie kadzielnice, nagle zajęły się osobliwym ogniem, którego się spodziewaliśmy. Z boku trójkąta znajdowała się elipsa, która powstała na skutek nieskończonego powtarzania dwunastu niewymawialnych Znaków Oumoru, gdzie mogliśmy się schronić, gdyby nasz gość okazał się nieprzyjazny bądź nieposłuszny. Czekaliśmy, aż przejdą gwiazdy krążące wokół biegunów, jak to zostało opisane. Wtedy, gdy świece dopaliły się między naszymi poparzonymi palcami, a talk i azbest pokrywające dłonie mumii spłonęły do reszty, Avyctes wykrzyknął pojedyncze słowo o nieznanym mi znaczeniu. Oigos, który został ożywiony magią, a przez to był całkiem podległy naszej woli, powtórzył je w odpowiednim momencie głosem głuchym niczym echo w głębi pustego grobowca. Ja również je powtórzyłem, gdy nadeszła moja kolej.

Przed rozpoczęciem rytuału otworzyliśmy w komnacie wezwań niewielkie okno od strony morza. Zostawiliśmy również otwarte drzwi wychodzące na stronę lądową, gdyby przyzywana przez nas istota zwykła chodzić w sposób podobny nam, ludziom. W trakcie ceremonii morze się uspokoiło, a wiatr ucichł niemalże całkowicie. Wyglądało na to, że cały świat zamarł w oczekiwaniu na nieznanego gościa. Gdy rytuał dobiegł końca, a Oigos i ja wypowiedzieliśmy ostatnie słowa, nic się jednak nie stało. Na próżno staliśmy i czekaliśmy na jakikolwiek zauważalny znak manifestacji. Lampy nadal płonęły, ale jedyne cienie na ścianach należały do nas, do Oigosa oraz do ogromnych, marmurowych posągów kobiet rozstawionych wzdłuż ścian. Spoglądaliśmy w rozstawione zawczasu magiczne lustra, zdolne odbić istoty z natury niewidzialne, lecz i w nich nie dostrzegliśmy śladu niczyjej obecności.

Avyctes doszedł do wniosku, że zaklęcie okazało się nieskuteczne, co wprawilo go w ogromne rozczarowanie. Ja odniosłem podobne wrażenie, choć odkrycie to napełniło mnie wielką ulgą, którą skrzętnie ukrywałem przed mistrzem. Obaj wypytaliśmy mumię Oigosa, czy aby nie dostrzegł w komnacie czegoś, co tylko zmysły zmarłej istoty mogły wychwycić, ale mumia utrzymywała, że nic się nie pojawiło.

– Doprawdy, nie ma sensu stać tu dłużej i czekać – stwierdził Avyctes. – Jestem pewien, że gdzieś popełniliśmy błąd w interpretacji inskrypcji. Być

może źle dobraliśmy ingrediencje lub zastosowaliśmy niewłaściwą interpretację słów. Istnieje też możliwość, że po upływie tylu eonów owa rzecz, która miała odpowiedzieć na nasze wezwanie, po prostu przestała istnieć lub uległa jakimś przemianom, przez co czar stał się bezużyteczny.

Przytaknąłem gorliwie, licząc na to, że sprawa zakończy się w tym miejscu. Podjęliśmy zwykłe studia i nie wspominaliśmy już ani owej tajemniczej tablicy, ani pustej formuły. Dni płynęły jak dawniej, spienione fale z rykiem szturmowały skały, a wichry żalonym wyciem oznajmiały swój gniew. Cedry pochylały się pod ich naporem niczym wiedźmy kłaniające się przed oddechem Taarana, boga Zła. Zachwycony nowymi czarami i rytuałami, które poznawałem, niemalże zapomniałem o zakończonej fiaskiem ceremonii. Sądziłem, że i Avyctes o niej zapomniał.

Nasze życie powróciło do dawnej rutyny. Nic nie wstrzymywało nas przed pogłębianiem wiedzy i powiększaniem mocy, nic nie zakłócało spokoju, który wydawał się pewniejszy od królewskiej suwerenności. Czytane przez nas horoskopy nie zwiastowały żadnej niepomyślnej przyszłości, geomancja oraz inne magiczne sztuki także nie ujawniły śladów oczekujących nas nieszczęść. Nasze chowańce, choć w oczach śmiertelników obrzydliwe i odstraszające, były nadal całkowicie posłuszne naszej woli.

Pewnego pogodnego letniego popołudnia wyszliśmy, jak to mieliśmy w zwyczaju, na marmurowy taras za domem. W szatach koloru oceanu barwionego zachodem słońca kroczyliśmy wśród poskręcanych od wiatru drzew i ich równie groteskowych cieni. Widziałem błękitny cień Avyctesa oraz mój własny na jasnym marmurze tarasu, lecz między nimi znajdowała się jeszcze jedna adumbracja, której na pewno nie rzucał żaden z cedrów. Byłem wielce poruszony, lecz przemilczałem tę sprawę. Nie wspomniałem o niej mistrzowi słowem, a miast tego śledziłem ów nieznaną fenomen z ostrożną czujnością.

Zauważyłem między innymi, że ten osobliwy cień podąża za cieniem mego mistrza, przez cały czas zachowując tę samą odległość. Nie dygotał od wiatru, lecz snuł się niczym warstwa ciężkiego, gęstego, ropnego płynu. Jego barwy również nie określiłbym błękitną, purpurową czy czarną, nie była to z pewnością żadna z barw, do której przyzwyczajone są ludzkie

oczy – był to kolor mrocznego rozkładu, mroczniejszego od samej śmierci. Kształt, w jaki układało się owo zjawisko, przerażał sam w sobie. Wyglądało bowiem na to, że jest to cień rzucany przez istotę wyprostowaną, ale z pękatą głową i długim, falującym ciałem. Przypominał stworzenie, które powinno raczej pełzać, niż chodzić.

Avyctes nie zwrócił na niego uwagi, a ja nadal obawiałem się przemówić, choć wydawało mi się, że taki towarzysz nie wróży dobrze memu mistrzowi. Podszedłem bliżej, chcąc dotknąć lub określić jakimkolwiek innym zmysłem istnienie niewidzialnego stworzenia, które rzucało ową adumbrację. Patrząc od strony słońca, nie dostrzegłem niczego, podobnie z przeciwnej strony i z jakiegokolwiek innego kierunku, a sprawdzałem sumiennie, wiedząc, że podobne istoty nierzadko rzucały cienie na najrozmaitsze sposoby.

Nasz spacer dobiegł końca po upływie zwyczajowej godziny i skierowaliśmy się w stronę spiralnie skręconych schodów i strzeżonych przez rzeźby portali wiodących do domu. Zauważyłem, że dziwna adumbracja podąża w ślad za Avyctesem, idzie za nim po schodach, a następnie wlewa się przez portal, doskonale widoczna pomimo cienia rzucanego przez potwory. Gdy znaleźliśmy się w mrocznych korytarzach, gdzie nie docierały promienie światła, a przez to cieni nie było, z przerażeniem skonstatowałem, że ohydna, monstrualna plama o bezimiennej, morowej barwie nadal sunie za Avyctesem, jakby zastąpiła jego własny cień, teraz niewidoczny. Przez cały dzień, obojętne, dokąd się udaliśmy – czy do jadalni, gdzie usługiwały nam duchy, czy do strzeżonej przez mumie biblioteki – straszna istota wlokła się za moim mistrzem, nie odstępując go niczym trąd trędowatego. On zaś nadal jej nie zauważał, a ja powstrzymałem się przed ostrzeżeniem go w nadziei, iż nieznany gość zniknie równie niespostrzeżenie, jak się pojawił.

O północy, gdy siedzieliśmy przy świetle srebrnych lamp nad wypisanymi krwią runami z Hiperborei, zauważyłem, że osobliwy cień przybliżył się do cienia Avyctesa i rozlał na ścianie nad krzesłem. Ociekał trupimi sokami, co było jeszcze ohydniejsze od czarnego pomoru piekielnego. Nie mogłem dłużej tłumić przerażenia i krzyknąłem głośno ze zgrozą, wskazując memu mistrzowi owo indywiduum.

Avyctes przyjrzał się blisko swemu drugiemu cieniowi. Na jego poznaczonej głębokimi zmarszczkami twarzy nie dostrzegłem śladu strachu, grozy czy obrzydzenia. W końcu rzekł do mnie: – Moja wiedza nie wystarczy, by odgadnąć, czym jest ta istota. Powiem ci jednak, że odkąd praktykuję magię, żaden cień ni upiór nie zbliżył się do mnie nieproszony. Skoro wszystkie nasze wcześniejsze zaklęcia i rytuały zakończyły się w przewidywalny sposób, zgaduję, że ów cień jest istotą bądź śladem istoty, która przybyła w odpowiedzi na zaklęcie czarowników węzóludzi, uznane przez nas za nieskuteczne. Sądzę też, że powinniśmy się teraz udać do komnaty wezwań i spróbować nawiązać z owym cieniem kontakt.

Udaliśmy się więc do komnaty wezwań i poczyniliśmy wszelkie przygotowania, które uznaliśmy za konieczne oraz możliwe. Gdy byliśmy już przygotowani do zadania pierwszych pytań, nieznany cień jeszcze bardziej przybliżył się do cienia Avyctesa. Znajdowały się już bardzo blisko siebie, dzieliła je zaledwie grubość różdżki nekromanckiej.

Wypytywaliśmy cień na wszelkie możliwe sposoby, przemawiając zarówno własnymi ustami, jak i przez mumie czy rzeźby, lecz nie uzyskaliśmy żadnej odpowiedzi. Przyzwaliśmy niektóre diabły i upiory podległe naszej woli i kazaliśmy im robić to samo – również bez rezultatu. Przez cały ten czas zwierciadła nie ukazały ani śladu tworu, który mógłby rzucać cień. Istoty, które zmusiliśmy do zadawania pytań, również go nie widziały. Co gorsza, wyglądało na to, że nie działa na niego żaden ze znanych nam czarów. Avyctes był wielce zafrasowany. Wyrysowawszy na podłodze za pomocą krwi i popiołu elipsę Oumor, której barier nie mógł przekroczyć żaden demon czy duch, schronił się w jej środku, lecz nowy cień podążył tam za jego własnym niczym płynna plama zepsucia. Odległość między nimi nie była większa od średnicy pióra czarownika.

Przerażenie poznało twarz Avyctesa nowymi zmarszczkami, na jego rzęsach zawisły paciorki potu. Podobnie jak ja, doskonale wiedział, że nieznana nam istota nie jest posłuszna żadnym prawom i zwiastuje jedynie niewypowiedziane zło i zniszczenie. Wykrzyknął drżącym głosem: – Nie znam tej istoty, nie wiem nic o niej ani o jej zamiarach, a moja moc nie jest w stanie jej powstrzymać! Uciekaj stąd, zostaw mnie. Nie życzę sobie, by ktokolwiek był świadkiem klęski mego czarnoksięstwa i zguby, którą ona



za sobą pociągnie. Dobrze będzie, jeśli odejdziesz teraz, póki jeszcze czas, chyba że sam również chcesz się stać ofiarą.

Groza dusiła mą duszę, ale mimo to nie chciałem opuścić Avyctesa. Przysięgałem jednak, by zawsze i wszędzie być posłusznym jego woli, a ponadto zdawałem sobie sprawę z własnej bezsilności wobec tajemniczej adumbracji. Cóż ja mogłem uczynić, skoro sam Avyctes uznał swą porażkę?

Pożegnałem go i z drżącymi kolanami wyszedłem z przekłętej, nawiedzanej komnaty. Stojąc w progu, obejrzałem się i ujrzałem, jak ów obcy cień, pełznący po posadzce niczym plama zarazy, dotyka cienia mego mistrza. Avyctes wrzasnął przeraźliwie jak człowiek zbudzony przez koszmar senny, a jego twarz zmieniła się błyskawicznie. Wykrzywiły ją grymasy i konwulsje szaleńca, który toczy rozpaczliwą, z góry skazaną na porażkę walkę z niewidzialnym sukubem. Nie patrzyłem już dłużej, puściłem się biegiem przez ciemny korytarz ku portalom wychodzącym na tarasy.

Nad graniami zawisnął czerwony, złowieszczy półksiężyc, wydłużając cienie poskręcanych cedrów, które miotają się pod naporem wiatru niczym szaty czarowników. Pochyliłem się, by zmóc napór wichru, i popędziłem tarasem w kierunku schodów prowadzących do wąskiej ścieżki wśród skał i przepaści otaczających dom Avyctesa. Gnany strachem, znalazłem się blisko skraju tarasu, ale do schodów nie dotarłem. Z każdym krokiem marmur usuwał mi się spod stóp i umykał niczym horyzont przed poszukiwaczem szczęścia. Pędziłem coraz szybciej, dysząc ciężko, ale nadal znajdowałem się w tym samym miejscu.

W końcu poddałem się, wiedząc już, że nieznana magia przekształciła otoczenie domu Avyctesa, by nikt nie mógł z niego uciec. Pogodziłem się z przeznaczeniem, obojętne, jakie miałyby być, i postanowiłem wrócić. Wchodząc po białych schodach skąpanych w świetle księżyca, ujrzałem postać oczekującą mnie w portalu. Powłóczysta szata w kolorze purpury słońca zachodzącego za morskim horyzontem sugerowała, że to Avyctes, lecz poza szatą nie wskazywało na to nic innego. Jego twarz nie przypominała już twarzy ludzkiej – stała się przerażającym, płynnym amalgamatem cech człowieka oraz istoty, która nie miała sobie podobnych. Owa transfiguracja przerażała bardziej od śmierci i rozkładu: oblicze

nasycone było nienazwaną, plugawą barwą cienia, który ścigał mego mistrza, a czaszka kształtem upodobniła się do pękatego łba istoty, która ów cień rzucała. Dłonie także nie przypominały ludzkich, zaś skryte pod szatą ciało wydłużyło się i stało gibkie.

W blasku księżyca twarz i palce zdawały się ociekać płynnym, lepkiem zepsuciem. Długi cień, przypominający falującą śniedź, już zalał i wypaczył cień Avyctesa, który stał się podwójny na sposób, którego opisać nie jestem zdolny.

Przerażenie odebrało mi mowę, nie zdołałem nawet krzyknąć. Istota, która niedawno była Avyctesem, skinęła na mnie w ciszy. Spomiędzy gnijących warg nie wydostało się ani słowo. Oczy niebędące już oczami, a ohydny, ociekającymi śluzem otworami, wpatrywały się we mnie uparcie. Palce miękkie jak u trędowatego ścisnęły mnie za ramię i ślaniającego się z obrzydzenia, poprowadziły ku komnacie, w której znajdowały się mumie, zaś między nimi Oigos, ten sam, który asystował nam przy odprawianiu rytuału węzóludzi.

W świetle lamp płonących wiecznym, bladym światłem ujrzałem rząd mumii znieruchomiałych w pozbawionym życia spoczynku. Każda stała w przeznaczonym sobie miejscu, rzucając długi cień na ścianę, lecz ogromnej, wychudzonej mumii Oigosa towarzyszyła adumbracja podobna ze wszech miar do owej przesiąkniętej złem istoty, jaką podążała za mym mistrzem. Przypomniałem sobie, że Oigos również wypełnił swą część rytuału i powtórzył nieznanne słowa w ślad za Avyctesem. Uświadomiłem sobie więc, że przerażająca istota, którą w swej bezczelności przyzwaliśmy, nawiedziła także i jego, gotowa pochłonąć martwy organizm, jak to już uczyniła z żywym. Wyglądało bowiem na to, że nie potrafi zmanifestować się śmiertelnikom w inny sposób, jak tylko przez pochłonięcie czyjegoś ciała. Wykorzystując w niewiedzy nieznaną formułę, przyzwaliśmy ją z bezdennych otchłani czasu i przestrzeni, a ona przybyła w wybranej przez siebie chwili i ujawniła się, budząc przerażenie nawet wśród tych, którzy ją zaprosili.

Noc dobiegła końca, a następujący po niej dzień włókł się niczym szlam, którym ociekał ohydny gość. Byłem świadkiem, jak w pełni zlał się z ciałem i cieniem Avyctesa, widziałem też powolny postęp drugiego cienia, który w

końcu zmieszał się z długim cieniem mumii, a następnie wgryzł się w zwiędłe ciało, by przeobrazić je w sposób podobny temu, który przemienił Avyctesa. Usłyszałem, jak mumia wrzeszczy niczym żywy człowiek, którego ogarnął strach i przeszył straszliwy ból. Miałem wrażenie, że opanowana przez obcy cień mumia wije się w konwulsjach swej kolejnej śmierci. A potem nastąpiła cisza – istota milczała, podobnie jak jej towarzysz i nie miałem pojęcia, co knuje i zamierza. Nie wiedziałem, czy przybyła do naszego świata jako całość, czy może w towarzystwie kilku sobie podobnych, nie wiedziałem też, czy zaspokoi się nami trzema, którzy przeprowadziliśmy rytuał, czy niebawem sięgnie po innych.

Dowiem się tego wkrótce, podobnie jak i innych rzeczy, gdyż i mnie ściga drugi cień, z każdą chwilą będąc coraz bliżej. Powietrze krzepnie i gęstnieje strachem, wszystkie chowańce uciekły, a wielkie marmurowe kobiety rozstawione wzdłuż ścian drżą zauważalnie. Oba potwory – jeden, który był Avyctesem, i drugi, który był Oigosem – nie opuściły mnie jednak, nie wydają się też drzeć bądź dygotać. Wpatrują się we mnie oczyma nieprzypominającymi oczu i czekają, aż stanę się im podobny. Ich bezruch przeraża jeszcze bardziej, niż gdyby rozdzierały mnie kawałek po kawałku. Wiatr zaś niesie dziwne głosy, fale huczą w obcy sposób, ściany domu drżą niczym cienka tkanina poruszana mrocznym oddechem bezdennych głębi.

Świadom, że nie zostało mi wiele czasu, zamknąłem się w bibliotece i spisałem tę oto opowieść. Odnalazłem również ową błyszczącą trójkątną płytę, która zesłała na nas zgubę, i wyrzuciłem ją przez okno do morza w nadziei, że nikt jej po nas nie odnajdzie. Muszę już kończyć i zapieczętować mą historię w tubie z orychalku, a potem i ją cisnę na pastwę fal. Obcy cień już niemalże zetknął się z moim, a dzieli je niewiele więcej ponad grubość pióra czarownika.

Wystąpiwszy jako postać w *The Butterfly Kid* Chestera Andersona, **Michael Kurland** zabrał się za pisanie drugiej części tej książki. W roku 1969 ukazała się powieść *The Unicorn Girl*, która przyniosła mu rozgłos. W międzyczasie był redaktorem czasopisma muzycznego *Crawdaddy*. Choć zdarza mu się wydać powieść science fiction, jak na przykład wybryk z rzeczywistością alternatywną *The Whenabouts of Burr* (1975) czy międzyplanetarną opowieść *Star Griffin* (1987), ostatnimi czasy głównie pociąga go tworzenie historii detektywistycznych. Na szczęście Kurland potrafi zamazać różnice między powieścią fantasy a kryminałem. Dzięki temu jego powieści o Jamesie Moriartym, nemezis Sherlocka Holmesa, które rozpoczyna *The Infernal Device* (1979), oraz kontynuacja historii *Randalla Garretta* o lordzie Darcym, jak *Ten Little Wizards* (1988) i *A Study in Sorcery* (1989), przypadną do gustu fanom obu tych gatunków. To samo tyczy się tego właśnie opowiadania. W tym nieskończonym kontinuum z jego ogromną ilością światów i wymiarów są rzeczy, które tylko z pozoru wydają się niemożliwe. Oto jedna z nich.

## Michael Kurland

### CZEGO POTRZEBA DO RYTUAŁU

Deszcz chłodny, jak to często bywa na początku marca. Napływająca była się wśród zachodnich wzgórz niczym ogromne, przygnębione trolle. Jej cieniutkie pasma snuły się w moim kierunku, gdy szedłem Polk Street w kierunku starego domu w stylu wiktoriańskim, gdzie mieszkał i pracował Jonathan Stryk.

Żywopłot z bukszpanu zadrżał pod naporem wiatru, gdy przechodziłem obok, gdzieś w oddali przywitała mnie melodyjnie muzyka trącanych wiatrem dzwoneczków zawieszonych nad drzwiami, lecz wokół powietrze nawet nie drgnęło. Daleko przede mną zaszeleściła gazeta, drzewa na

California Pine poruszyły gałęziami. Czyżby śledził mnie żywioł wiatru? Takie rzeczy nie dzieją się same z siebie. Kogo może interesować, dokąd chadzam? Nazywam się inspektor Peter Frey, jestem detektywem Sekcji Spraw Nieprawdopodobnych z Wydziału Policji San Francisco i nie życzę sobie, by sprawdzała mnie jakaś obca agencja. Nawet nie wspominał, że wcale nie czuję się przez to bezpieczniej.

Skręciłem w California Street, gdzie wznosi się kwadratowy gmach klasztoru Braci Wiecznego Potępienia z brunatnego piaskowca, a po jego przekątnej czarna, betonowa budowla Braci Nieustającego Cierpienia. Przed furtką Potępionych Braci stała cierpliwie kolejka mężczyzn. Niektórzy kulili się pod miazdzącym spojrzeniem wielkiego, kamiennego oblicza T. Leseauxa, którego posąg wystawał ponad mur okalający klasztor. Wszyscy oni czekali na dzwon oznajmiający godzinę trzecią, kiedy furтка otworzy się na chwilę wystarczająco długą, by zdążyli wejść do środka, gdzie zostaną podzieleni względem umiejętności i pragnień. Większość z nich zapewne wyjdzie stąd już następnego ranka, rozczarowana i zawiedziona, ale jeden czy drugi być może się dowie, że odkryto u niego ślad Mocy, którą warto rozwijać. Będą wówczas musieli zdecydować, czy gra jest warta świeczki – czy opłaca się ogolić głowę i spędzić najbliższe dziesięć lat w ubóstwie i skrajnym posłuszeństwie wobec szeregu dość przypadkowych, umownych reguł, nosząc zabawne mnisie wdzianko, jedząc papkę kukurydzianą z termitami (tak mi mówiono!) i modląc się do jakichś bogów, których nazw lepiej nie wypowiadać głośno, by na koniec otrzymać wyspecjalizowaną umiejętność korzystania z sekretnej, magicznej sztuki.

Kiedy w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku T. Leseaux spisywał zasady rządzące magią, z pewnością nie miał bladego pojęcia, jak ogromny wpływ wywrze jego odkrycie na dzieje ludzkich społeczeństw. Wielki polski matematyk Thomasoni utrzymuje, że nikt nie odkrył magii wcześniej tylko dlatego, że mniej więcej do połowy dziewiętnastego wieku nie działała, a jeśli tak, to sporadycznie. Twierdzi, że zmianie uległy jakieś podstawowe fizyczne stałe naszego wszechświata, Słońce przesunęło się w sektor, którym rządzą nieco inne zasady czy coś w tym stylu. Ma nawet matematyczne równania, które tę teorię potwierdzają.

Co ciekawe, wielu ludzi wciąż nie chce uwierzyć w magię nawet pomimo tego, że otacza ich tyle dowodów jej istnienia. Widzą na przykład czarodzieja, który przenosi się z miejsca na miejsce bez pomocy żadnej maszyny i krzyczą głośno: „To jakaś sztuczka!”. Czarodziejka zmienia mężczyznę w świnię, a oni na to: „To sprawka luster!”. Nekromanta przewiduje przyszłość z dokładnością do osiemdziesięciu procent, a ci pytają: „Czemu nie do stu?”. Ale czy są w czymś gorsi od tych, którzy wierzą, że magia rozwiąże każdy problem? „Mojemu bratu młockarnia urwała nogę pod kolanem! Dalej, przyczarujcie mu ją z powrotem!”. Jasne. Słyszałem co prawda o kilku niby-czarodziejach w Niemczech, co potrafiliby czegoś takiego dokonać, ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Wreszcie dostrzegłem dom Stryka. Ostatnio Stryk wynajął ekipę, która pomalowała ściany na soczystą leśną zieleń, a elementy dekoracyjne na ciemny brąz, przez co budynek lepiej pasuje do pozostałych, których rząd ciągnie się wzdłuż przecznic. Malowanie nie załatwiło jednak wszystkiego – pomimo odświeżonego wyglądu dom wciąż przyciąga uwagę, nadal przypomina o tajemniczych schadzках i sekretach, o których lepiej nie mówić. Mosiężna tabliczka na drzwiach została ostatnio wypolerowana na połysk:

*Jonathan Stryk Doktor Teologii Magiczne Dochodzenia*

Wcisnąłem dzwonek. Ze środka nie dobiegł żaden dźwięk, ale już po chwili ciężkie dębowe drzwi bezszelestnie się otworzyły, ukazując kiepsko oświetlony korytarz z boazerią z ciemnego drewna. Ani na progu, ani w głębi korytarza nie było żywej duszy.

– Nie znoszę tego! – burknąłem. – Pokaż no się!

Rozległ się radosny, dziewczęcy śmiech i tuż przede mną zmaterializowała się Melisa. Nie oznajmił tego grzmot błyskawicy ani nawet najcichszy szelest – po prostu w jednej chwili jej nie było, a potem już stała w progu. W jednej sekundzie człowiek widzi pusty korytarz, a w drugiej smukłą, ciemnoskórą, jasnowłosą i bosą dziewczynę w zielonej sukni, która ze splecionymi na piersi rękoma śmieje się do rozpuku.

– Witaj, Peter, miłości moja! Jego wysokość przyjmie cię wkrótce, właśnie coś kończy – niewykluczone, że jakieś zaklęcie, ale równie dobrze muffinkę na śniadanie.

– Ach, Meliso, ile ja bym oddał, żeby to nie był tylko żart.

Wszedłszy do środka, odwiesiłem płaszcz i kapelusz na stojak tuż przy drzwiach.

– Żeby co nie było żartem, zakłęcie czy muffinka? – zapytała, spoglądając na mnie żartobliwie.

– Ta domniemana miłość.

– Zapominasz o Siódmym Prawie Magii – powiedziała, płasając.

– Nie jestem czarodziejem – przypomniałem jej. – Nigdy nie nauczyłem się Siódmego Prawa Magii.

– Siódme Prawo mówi, by snuć marzenia bardzo, bardzo ostrożnie. – A pozostałe sześć? – Teraz jest ich pewnie ze sto – poinformowała mnie z powagą malującą się na elfiej twarzyczce. I ciągle wymieniają się miejscami.

Weszliśmy do pierwszego pokoju po lewej, czyli do saloniku.

– Usiądź, napij się kawy – zaproponowała Melisa, wskazując kanapę. – Jonathan zaraz zejdzie, spodziewa się ciebie.

– Ale ja nikomu nie mówiłem, że wybieram się z wizytą.

– Tak czy owak, spodziewa się ciebie. Kawa stoi na kredensie. Mam coś do zrobienia, wrócę, gdy się z tym uporam.

Skierowała się ku drzwiom, które kiedyś zapewne prowadziły do pokoju gościnnego bądź muzycznego, lecz teraz przesłonięte były ciemnymi zasłonami, zza których wypływało światło czerwonych świec.

– Dwadzieścia minut, nie więcej – powiedziała. – Jak mi się pofarci, to nawet mniej.

Nalałem sobie ogromną filiżankę gęstej, czarnej, słodkiej cieczy, którą Stryk nazywa kawą, i usadowiłem się na kanapie. Na stole leżał numer Dżina, czasopisma o magii i czarodziejach, więc podniosłem go i zacząłem czytać. Był to ten numer, w którym opublikowano artykuł Hara Janifa, czarodzieja ze Wschodniego Wybrzeża, który nie zostawił suchej nitki na magii dochodzeniowej, a ludzi, którzy ją praktykowali, wyzwał od naiwnych imbecyli bądź oszustów, rezerwując kilka najsoczystszych obelg dla Jonathana Stryka. Autentyczność jego licencji była zdaniem Janifa bardzo podejrzana, a wszystkie dokonania dało się wytłumaczyć użyciem dymu i kilku luster. Cytuję: „Usługi tego typu stanowią pogwałcenie

wszelkich zasad korzystania z magii i najlepiej zostawić je oszustom i szarlatanom pokroju Stryka i jemu podobnych”.

Pytałem Stryka o ten artykuł zaraz po tym, jak się ukazał, ale on tylko się uśmiechnął i powiedział: – Któż tam może wiedzieć... Może ten cały Janif ma rację?

Oto cały Stryk. Tylko on, przy swym ogromnym poczuciu własnej wartości i jeszcze większym poczuciu humoru, potrafiłby położyć Dżina z takim właśnie artykułem na stoliku w salonie.

Po chwili zaciekało mnie melodyjne nucenie dobiegające zza drzwi, w których znikła Melisa. Odłożyłem więc gazetę i poszedłem tam zajrzeć.

Elfi podrzutek siedział ze skrzyżowanymi nogami na miękkim, pokrytym osobliwymi znakami dywanie wyściełającym całą podłogę. W prawej dłoni trzymała na wysokości twarzy spory kryształ wykonany z jakiejś osobliwej mlecznej substancji, a w lewej coś, co okazało się dziecięcą, sztruksową kurteczką, którą powoli przepuszczała między palcami, wyginając materiał na różne sposoby. Nuciała coś cichutko, lecz nie zrozumiałem ani słowa, nie udało mi się nawet ustalić, z jakiego języka pochodzą.

Niespodziewanie kryształ zaczął się stawać przejrzysty, a potem zapłonął wewnętrznym światłem. Mogłem dostrzec poruszające się w jego wnętrzu postacie, a raz jakąś rękę czy szponiastą łapę, która wydawała się sięgać ku mnie, lecz została ostro odciągnięta na bok. Nie ukrywam, że poczułem ulgę.

Melisa nawet nie drgnęła, jeśli nie liczyć palców lewej dłoni, które nadal znęcały się nad kawałkiem materiału. Mniej więcej po pięciu minutach krzyknęła cichutko, być może z bólu. Opuściła rękę, kryształ wypadł z jej dłoni i poturlał się po dywanie, a światło w jego wnętrzu zgasło. Przez kilka sekund nie ruszała się ani nie wydawała żadnego dźwięku, a potem objęła kolana, pochyliła głowę i zaczęła się kołysać do przodu i tyłu, szlochając cichutko.

– Co się stało? – zapytałem, podchodząc bliżej. Nie miałem odwagi jej dotknąć, bo nie wiedziałem, czy pomogę jej w ten sposób, czy raczej wyrządę krzywdę.

Melisa uniosła głowę.

– Dlaczego ten kryształ nigdy nie pokazuje mi przyjemnych,



sympatycznych scen pełnych szczęścia i światła? – Trzęsa się niczym nagi człowiek zaskoczony przez śnieżycę.

Nie miałem pojęcia, co ujrzała wewnątrz kryształu.

– Ponieważ nie tego od niego chcemy – odpowiedział ktoś niskim, ponurym głosem. Odwróciłem się i ujrzałem wysoką, wychudłą postać Jonathana Stryka, który wszedł do pokoju innymi drzwiami. Miał na sobie czerwoną szatę. Podniósł Melisę, chwycił w ramiona i trzymał, póki nie przestała drżeć.

– Przecież byłeś w swoim gabinecie! – krzyknęła.

– Usłyszałem cię, więc przyszedłem.

Zaprowadził ją do salonu i łagodnie posadził na kanapie, z której dopiero co wstałem.

– Usłyszałeś? Z trzeciego piętra, przez te wszystkie podłogi i meble? – zapytała z nieśmiałym uśmiechem.

– Usłyszałbym cię przez dziesięć kilometrów ciężkiego granitu Góry Smutku, gdyby trzeba było – odparł ciepło.

Westchnąłem ciężko, a może nawet się skrzywiłem. Dlaczego ja nie potrafię tak rozmawiać z kobietami? A jeśli już o to chodzi, to dlaczego nie mam kobiety, do której mógłbym tak mówić? I czy rzeczywiście Stryk usłyszałby ją przez dziesięć kilometrów skał? No i gdzie w ogóle leży Góra Smutku? Choć z drugiej strony, domaganie się odpowiedzi na to ostatnie pytanie nie byłoby chyba najmądrzejszym pomysłem.

Stryk zerknął w kryształ i pozbierał leżące na dywanie szmaty.

– Co widziałaś? – zapytał.

– To kurteczka tego dzieciaka Langfordów. Próbowałam go odnaleźć przy pomocy zaklęcia, które opracowałam.

– Chodzi o porwanie młodej Langford? – wtrąciłem się. – Pracujesz nad tym?

Z pewnością oboje zauważyli moje zdumienie. Stryk pokiwał głową.

– Senator Langford prosił mnie o pomoc. Nie chciał, by sprawa zyskała rozgłos.

– Raczej nie chciał, by dotarła do policji – powiedziałem cierpko. – Czy to dziwne, że nie możemy rozwikłać żadnej zagadki, skoro nikt nie wierzy, że potrafimy to zrobić?

– Daj już spokój. Wszystko rozegrało się w Chicago, więc policję w San Francisco niewiele powinno to obchodzić. Poza tym wydaje mi się, że chicagowska policja współpracuje z senatorem. Było nie było, porwano jego córkę.

– A co ty jesteś w stanie zrobić w San Francisco, czego nie potrafi policja w Chicago? Machniesz magiczną różdżką i dziecko pojawi się z powrotem?

Stryk uśmiechnął się ponuro.

– Jestem czarodziejem, a nie cudotwórcą. Senator wysłał do mnie telegram z prośbą, bym pomógł mu zlokalizować dziecko lub przynajmniej udowodnił, że żyje. Odpowiedziałem, że będę potrzebował jakichś ubrań małej Deborah lub chociaż jej ulubionej zabawki. Wczoraj wysłał paczkę kurierem Sandusky & Western, a w niej zarówno kurtkę, jak i zabawkę: – Aha. No i?

– Obmyśliłem zaklęcie, dzięki któremu Melisa mogłaby rozpocząć poszukiwania przy pomocy pomniejszego kryształu. Jeszcze nie znam rezultatów.

Z tymi słowami odwrócił się do Melisy.

– Widziałam to dziecko – powiedziała cicho elfka. – Aż do trzeciej recytacji wypatrzyłam tylko niespokojne duchy i jednego wściekłego dzina, gdy nagle mgła zmieniła barwę na srebrnoszarą, a materiał kurtki stał się zimny. Wtedy ją ujrzałam. Kilka jakichś... jakichś istot wcisnęło się między mnie a nią, zupełnie jak gdyby wiedziały, że jej szukam, ale mimo to udało mi się ją dostrzec. Jest w Piekło.

– Nie żyje? Cóż za pech – westchnął Stryk. – Ale dlaczego taka młodziutka, niewinna dziewczyna miałaby zostać...

– Nie, nie! – zawołała Melisa. – Ona żyje! Widziałam wyraźnie, ona żyje! Lecz mimo to znajduje się w Piekło.

– Co to oznacza? – zapytałem.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi brązowymi oczami.

– Nie mam pojęcia. Obrazy, które widzę, to nie rzeczywistość, a jedynie wizje zamazane mgłami i zniekształcone oddziaływaniem istot nieziemskich.

Profilaktycznie wykonałem gest ochronny lewą ręką. Nie zaszkodzi podczas rozmowy o takich rzeczach.

– I co teraz? – zwróciłem się do Stryka.

– Skorzystam z większego kryształu, by potwierdzić wizję Melisy i być może poznać więcej szczegółów, a potem powiadomię senatora Langforda. Na tym się kończy nasze zadanie.

– Tak naprawdę... – zacząłem, ale Stryk wszedł mi w słowo, jakby mnie w ogóle nie słuchał: – A co z tobą, Peter? Co możemy dla ciebie zrobić?

– Podobno wiedziałaś, że się do ciebie wybieram.

– Tak – zgodził się Stryk. – Nie wiem jednak, co cię tu sprowadza.

– Aha! – zawołałem, celując w niego palcem. – A więc on był od ciebie!

– Kto taki?

– Ten żywiołek wiatru, który szwenda się za mną po mieście.

– Śmieszne – stwierdził Stryk.

– Głupie – dodała Melisa.

– Niewykluczone – przytaknąłem – ale jakiś za mną łązi. Przypuszczalnie właśnie znajduje się przed domem. Macie jakieś zaklęcia ochronne, by nie dostał się do środka?

– Czasami wiatr jest tylko wiatrem.

– Wiatry za nikim nie chodzą – przypomniałem.

– Ciekawe. No cóż, zobaczymy.

Stryk wyszedł z saloniku i wrócił po chwili, niosąc niewielkie, polakierowane pudełko. Owinął się jeszcze ciaśniej czerwoną szatą i podszedł do drzwi wejściowych. Podążałem za nim w odpowiedniej odległości, nie chcąc go wyprzedzić bez względu na to, co zamierzał, Melisa natomiast trzymała się tuż za mną.

Stryk otworzył drzwi i wymamrotał kilka krótkich fraz – wydawało mi się, że między innymi „Balonówa Umjum”, choć nie mam pewności – a potem uniósł wieko pudełka. Trzymając je ostrożnie palcem wskazującym i kciukiem, wyciągnął pudełko na długość ramienia i delikatnie nim potrząsnął. Czerwony proszek wzbił się w powietrze niczym smużka dymu nad dogasającym ogniem, by zaraz potem spłynąć w dół wzgórza, sięgając coraz dalej na boki. Chwilę później został – jakby to ująć? – pochwycony przez niewidzialne stworzenie zbudowane z samego powietrza. W okamgnieniu przeniknęła całą jego postać i tak oto naszym oczom ukazał się mierzący ponad pół metra żywiołek wiatru.

– Widzisz? Czasami wiatr jest wiatrem, a czasami tym! – Wskazałem rozdętego, niematerialnego stwora, który wirował i bulgotał, przyjmując nowe, coraz to bardziej groteskowe formy.

Stryk wyciągnął z rękawa krótką, ostro zakończoną różdżkę i machnął nią w kierunku żywiołaka, znów coś mamrocząc pod nosem. Potem zawołał głośno rozkazującym tonem: – Wytlumacz się!

W odpowiedzi doleciał nas cichy szept: – Jestem tym, czym jestem.

– Dlaczego śledzisz inspektora Freya?

– Bo... tak – nadbiegła po chwili odpowiedź.

– Bo tak? – zapytałem. Wiedziałem, że nie należy spodziewać się zbyt wiele po obłoku powietrza, chociaż...

Melisa zmarszczyła brwi i zasznurowała usta, ale już po kilku sekundach jej elfią twarz rozjaśnił uśmiech. Z trudem stłumiła chichot.

– To takie zabawne? – mruknąłem.

Wspięła się na czubki palców i szepnęła mi do ucha: – To była dwuczęściowa odpowiedź!

– Dwuczęściowa?

– Tak! „Dlaczego?”. „Bo”. „Śledzisz inspektora Freya?”. „Tak”.

Stryk nakreślił w powietrzu jakiś znak różdżką. Oddaloną istotę przeszyły niebieskie iskry, które w jakiś sposób ją zespoliły. Żywiołak był teraz mniejszy, ale zauważalnie gęstszy i bardziej skondensowany.

– Kto cię powołał do życia?

– Jaaaa – odpowiedziało stworzenie, rozciągając sylabę na podobieństwo zawodzenia wiatru. – Ja jestem zarejestrowanym żywiołakiem Daily Cali Bulletin.

– Do licha! – podniosłem głos. – Dziennikarski szpicel!

Ruszyłem ku żywiołakowi, potrząsając pięścią, co wobec istoty składającej się z powietrza stanowiło ze wszech miar pusty gest.

– Zjeżdżaj stąd! – rozkazałem stanowczo. – Nie mogę! – poskarżyła się istota jęklwym, wietrznym głosem. – Jestem do ciebie przywiązany urokiem rzuconym przez redaktora naczelnego!

– Zaraz się przekonamy – rzekł Stryk. Pchnął powietrze różdżką, jakby była to miniaturowa szpada pojedynkowa, i zaintonował: – Przecinam wszelkie więzi, które łączą tę oto moc żywiołów natury, i przyzywam

potęgę Paracelsusa!

Z czubka różdżki wystrzeliła czerwona błyskawica, rozejrzała się w poszukiwaniu celu, a potem runęła w kierunku lampy ulicznej stojącej jakieś dwadzieścia metrów dalej.

Żywiolak zaczął pulsować światłem.

– Jestem wolny? – zapytał. – Tak, wolny – odpowiedział sam sobie.

I pognał w dół ulicy, podrywając za sobą kłęby liści, gałęzie krzaków i pokrywy z kilku koszy na śmieci.

– Zadziałało! – stwierdził odrobinę zdziwiony Stryk.

– A miało nie zadziałać? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Dziwna istota. Zbyt niematerialna, żeby ją uwięzić czarem, ale z drugiej strony zbyt głupia, by wiedzieć, że właściwie przez cały czas jest wolna, więc robi to, co jej się każe.

– A o co chodziło z tym Paracelsusem? Zwykła zmyłka?

– Tak. To jedno z Imion Mocy, potoczne miano pewnego szwajcarskiego alchemika, który żył jakieś pięćset lat temu. Szczerze wątpię, by jakikolwiek żywiolak wiatru kiedykolwiek je słyszał. Ten tu nie znał go na pewno.

– A gdyby nie zadziałało?

– Miałem w odwodzie prawdziwe imię Paracelsusa – uśmiechnął się Stryk.

– Czyli?

– Phillippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim.

– Tak, to zadziałałoby bez wątpienia. – Pokiwałem głową.

– Zwłaszcza ten Bombastus – dodała Melisa.

– Dobrze – Stryk przerwał nasze rozważania. – Wejdźmy do środka i opowiedz mi wreszcie, co cię trapi.

– To dziwne – zacząłem, raz jeszcze rozparłszy się wygodnie na miękkiej kanapie w salonie. – Nie wiedziałem, że pracujesz nad sprawą małej Langford.

– A co w tym dziwnego? – Stryk zmarszczył czoło.

– Bo przyszedłem tutaj prosić cię, byś się tym zajął.

Wyprostował się na krześle. Uzmysłowiłem sobie, że właśnie go

zaskoczyłem i ta świadomość bardzo mnie ucieszyła.

– A co ma wspólnego policja San Francisco z porwaniem w Chicago? – zapytał. – Porywacze skontaktowali się z senatorem Langfordem wczoraj późnym wieczorem. Poinstruowali go, by wsiadł do nocnego ekspresu do San Francisco, zameldował się u Świętego Barnaby i poczekał na telefon. Otrzymaliśmy telegraf od policji w Chicago, a mój przełożony wysłał mnie do ciebie.

– Jestem zaszczycony – powiedział Stryk.

– Senator poprosił o twoją pomoc. Nie sądzę, by czytywał gazety.

– Peter! – z wyrzutem zawołała Melisa.

Stryk rozciągnął szerzej usta, najwyraźniej nieporuszony, a jego ramiona drgnęły, jakby tłumił śmiech.

– Przepraszam. – Chrząknąłem. – Najprawdopodobniej i tak byśmy do ciebie zadzwonili. Sam dobrze wiesz. O co chodzi temu całemu Janifowi? Co on ma do ciebie?

– Jeśli kiedykolwiek spotkasz doktora Janifa – rzekł Stryk – lepiej nie podawaj mu ręki, a jeśli do tego dojdzie, przelicz palce i natychmiast umyj dłonie jakimś silnym środkiem dezynfekującym. Ten człowiek wydziela trującą ropę.

– Cóż... A więc raczej nie jesteście bliskimi przyjaciółmi?

– Janif wcześniej odkrył swoją Moc – odparł ponuro Stryk. – Dzięki niej zyskał umiejętność zmuszania niektórych rodzajów owadów do maszerowania w szeregu. Otworzył cyrk z karaluchami, ale nie odniósł wielkiego sukcesu.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknąłem.

– Tak, to żart. Dobrze, zobaczmy, co się uda zdziałać w sprawie senatora Langforda. Przybędzie tu dziś około czwartej, więc lepiej dostać się do hotelu na długo przed nim. Dajcie mi dwadzieścia minut, zerknę w wielki kryształ. Sprawdzimy, ile zobaczę ponad to, co ujrzała już Melisa, a potem ruszamy.

– Wykorzystam ten czas, żeby się przebrać – rzuciła Melisa i odbiegła.

Zgodnie z tym, co powiedział Stryk, nie minęło nawet dwadzieścia minut, gdy całą trójką wyszliśmy z domu i wskoczyliśmy do jednego z wszędobylskich wagoników kolejki linowej z podwójnym pokładem, które

wyruszały z California Street w kierunku centrum. Stryk, co u niego było raczej osobliwe, wpadł w ponury nastrój i nie chciał rozmawiać o tym, co ujrzał w kryształach, o ile ujrzał cokolwiek. Miał na sobie ubranie, które zwykł nazywać „przebraniem dżentelmena”: lekki dwurzędowy garnitur z wełny w różowym kolorze z szerokim, fularowym krawatem, w ręku walizeczka ze smoczej skóry, a w niej wszystko to, bez czego żaden czarodziej nie wychodzi z domu (choć nasz drogi Stryk wyglądał raczej na bankowca bądź dyplomatę).

Melisa założyła ciemnoniebieską spódniczkę typową dla uczennic liceum, a do tego plisowaną białą bluzeczkę i czarne buty. Jej białe włosy jakimś cudem były teraz ciemnobrązowe – jak zwykle, gdy chciała się stopić z otoczeniem. Nie miałem pojęcia, czy pomagał jej w tym jakiś magiczny artefakt, czy też proszek bądź eliksir, ale wiedziałem, że jakieś pięć minut po powrocie do domu jej włosy znów będą białe.

Gdy dotarliśmy do hotelu, Stryk i Melisa opuścili mnie, by przyjrzeć się wszystkim tym szczegółom budynku, na które czarodzieje powinni zwracać uwagę. Czekałem na nich w Herbaciarni Webstera – ozdobionej pozłacanymi ornamentami, obwieszanej lustrami komnacie w stylu wiktoriańskim, w której ponoć rzeczywiście gościł kiedyś prezydent Daniel Webster. Sądzę, że większość tych lusterek została wymieniona po wielkim trzęsieniu ziemi, ale reszta umeblowania była oryginalna. W takim miejscu, które z zasady jest ponadczasowe, łatwo stracić poczucie czasu. Wyobrażałem sobie kobiety w sukniach wąskich w talii, wchodzące przez te drzwi w towarzystwie mężczyzn w czarnych frakach i z krawatami, wyobrażałem sobie ich, jak toczą przyciszone rozmowy o Rebeliantach ostrzeliwujących Fort Sumter, o spaleniu Nowego Jorku czy balonowym ataku na Atlantę, wyobrażałem sobie w końcu, jak zamawiają poncz rumowy, brandy i gorącą wodę.

Gdy Stryk i Melisa znaleźli mnie pół godziny później, opowiedziałem im o moich fantazjach. Stryk zamyślił się, gładząc krótką brodę.

– Podróż w czasie przez Prawo Podobieństwa – powiedział. – Ciekawa idea.

– Ależ to była tylko luźna myśl! – zaprotestowałem.

Poklepał mnie po plecach i przysunął sobie krzesło.

– Naucz się więc pielęgnować w sobie takie myśli. Jedna z nich może cię uczynić nieśmiertelnym.

Podszedł do nas kelner. Zamówiłem szkocką z wodą źródlaną, Stryk kawę, a Melisa babeczkę z lemoniadą. Lokal zwał się Herbaciarnią, ale poza turystami z Kanady nikt tu herbaty nie pił.

– Zamieszanie! – powiedziała nagle Melisa.

Spojrzeliliśmy na nią.

– Co? – spytał Stryk.

– Zamieszanie! – powtórzyła, wykonując dłonią nieokreślony gest. – Gdzieś dookoła nas! Mam w głowie oślepiające żółte światło!

– Skierowane na nas? – dociekał.

Melisa zamknęła oczy na dłuższą chwilę. – Nie – stwierdziła w końcu. – Poczekajmy więc na to, co ma się stać... – A skoro już o tym mowa, co mamy zrobić, by przygotować się na przybycie senatora? – zapytałem.

– A co jest już robione? – odpowiedział pytaniem Stryk.

– Nic. Otrzymaliśmy zgodę, by go bronić, ale nie mamy się mieszać w żaden inny sposób. Tak brzmi życzenie senatora. Obawia się, że nasza „niezdarna interwencja” może zagrozić życiu jego dziecka.

Najwidoczniej nie zdołałem ukryć goryczy w głosie, bo Stryk zmierzył mnie ostrym spojrzeniem.

– Pogódź się z tym – poradził mi. – I nie próbuj brać na plecy tego, co cię otacza.

– To kolejna mądrość z filozofii czarodziejskiej? – burknąłem kwaśno.

– Cytat z *Mądrości Yi*.

– Kim jest Yi?

– No właśnie, to jest dopiero pytanie.

Ponuro wyglądający człowiek w ciemnoczerwonym garniturze wbiegł do herbaciarni. Rozejrzał się, wyszeptał coś do szefa sali i za jego wskazówką błyskawicznie przypadł do naszego stolika, witając nas uprzejmym spojrzeniem.

– Inspektor Frey? – zapytał, zerkając to na mnie, to na Stryka.

– To ja. – Skinąłem głową. – Co mogę dla pana zrobić?

– Nazywam się Pierson, jestem kierownikiem hotelu Święty Barnaba. – Pochylił się, by mówić szeptem. – Na trzecim piętrze miało miejsce pewne,



cóż... pewne zajście. Gdyby nie miał pan nic przeciwko i pozwolił się tam zaprowadzić...

– Jakie zajście?

– Cóż... – urwał, a gdy znów się odezwał, wyszeptał jeszcze ciszej: – Morderstwo.

– Zajście jak się patrzy – przyznałem. – Zawiadomiliście policję?

– Pan jest z policji.

Machnąłem dłonią z irytacją.

– Miałem na myśli najbliższy posterunek! To oni będą się zajmować sprawą, przynajmniej na początku. Proszę im wysłać miastogram.

– Miejski telegraf akurat nie działa. Wysłałem boya na najbliższy posterunek. Wołałem nie wybiegać na ulicę, nawołując wszystkich gliniarzy w okolicy. Co pomyśleliby goście?

– No tak, rozumiem. Morderstwo w hotelu źle wpływa na interesy. – Otóż to – przytaknął mi kierownik. – Zwłaszcza tajemnicze zabójstwo, którego nie da się logicznie wytłumaczyć.

– Doprawdy? A cóż takiego się stało?

– Denat był gościem hotelowym. Nosił nazwisko... zaraz... – Wyjął kartkę z kieszeni na piersi. – Nazywał się LUNDT. – Przeliterował nazwisko. – Paul Lundt z Chicago. Mój człowiek odpowiedzialny za piętro usłyszał strzał w jego pokoju i postanowił sprawdzić, co się stało, drzwi były jednak zamknięte od środka. Zawołał kilka razy, a że ze środka nie dobiegła żadna odpowiedź, posłał po funkcjonariusza ochrony, który wyłamał drzwi. Pan Lundt leżał martwy na łóżku, lecz poza nim w pokoju nikogo nie było. Osobiście brałem udział w przeszukaniu i nie znalazłem nikogo, kto by się tam ukrywał. Pozostawiłem przy drzwiach człowieka z ochrony, żeby nikt niczego nie ruszał.

Obróciłem się i spojrzałem ku górze na pulchnego kierownika hotelu.

– Niech mi pan nie mówi, że tam nie ma drugiego wyjścia.

– Nie ma – odparł Pierson. – Nie ma innych drzwi, a okno wychodzi na zaplecze gospodarcze z tyłu hotelu, z tym że od ziemi dzieli je wysokość trzech pięter.

Westchnąłem i podniosłem się z krzesła.

– Wygląda na to, że to i tak będzie moja sprawa – powiedziałem do

Stryka i Melisy. – Jeśli nie macie nic przeciwko, chciałbym was prosić o pomoc.

– Oczywiście – zgodził się Stryk, wstając.

Melisa poderwała się płynnym ruchem.

– Morderstwo. Chaos.

– Przypuszczalnie o to chodziło. – Stryk kiwnął głową.

W kilku słowach wyjaśniłem Piersonowi, kim są moi towarzysze, a potem dodałem, że będę potrzebował ich pomocy.

Następnie skierowaliśmy się ku windom.

– Kto wykonuje dla pana czary ochronne? – spytał Stryk, gdy boy hotelowy wduśli właściwy przycisk i winda ruszyła ku trzeciemu piętru.

– PMZRKZW – odparł Pierson.

– Są wydajni i mają sensowne ceny. Pobożny Mistyczny Zakon Różanego Krzyża z Zachodniego Wybrzeża, czyli miejscowa gildia różokrzyżowców. Wiedzą, co robią.

Kierownik przytaknął.

– Swego czasu korzystaliśmy z usług Stowarzyszenia Teozofistów, ale ci robią wokół wszystkiego zbyt wiele zamieszania.

Korytarz na trzecim piętrze był pusty, znajdował się tam jedynie potężny mężczyzna w białym garniturze i panamskim kapeluszu, który strzegł otwartych drzwi do pokoju 312. Z kącika jego ust sterczało cygaro. Otaczała go aura bezbrzeżnej pogardy do całego świata, a w szczególności do trupa w pokoju za plecami.

– Gores – powiedziałem.

Olbrzymi wyjął cygaro z ust.

– Frey. Szybko tu dotarłeś.

– Akurat byłem w pobliżu. Dobrze, rozejrzyjmy się.

– Stryk, Melisa. – Gores przywitał się z resztą i wcisnął cygaro z powrotem w przynależne mu miejsce. – Schadzkę sobie urządziliście?

– Dotykałeś czegokolwiek? – Zajrzałem do pokoju.

– Tylko drzwi. Otworzyłem kopniakiem.

Jako hotelowy detektyw lub dyrektor do spraw bezpieczeństwa, jak go lubił tytułować zarząd hotelu, Gores należał do tej nielicznej grupy ludzi, na których nie działał czar ochronny drzwi. Każda inna osoba, która

próbowałyby je wyłamać, poczułaby narastające zawroty głowy i nudności i pewnie zemdlałaby przed osiągnięciem celu.

Czar w jakiś sposób wiedział, że Gores powinien znajdować się w tym miejscu. Nie pytajcie mnie, jak nieożywiona płatanina sił może wiedzieć cokolwiek. Tak mi to wyjaśniono i nie dodaję nic od siebie.

Pierson włożył głowę do pokoju. Na widok trupa zareagował nerwową czkawką.

– Cóż, zostawię was z waszymi obowiązkami – oznajmił i skierował się do windy.

Trup, zadbane białe mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, leżał na łóżku w białej koszuli, z krawatem nadal zawiązanym, ale luźno zwisającym. Wyglądało na to, że przed śmiercią pochylał się nad walizką, która znajdowała się tuż obok. Marynarka wisiała na krześle, starannie ułożona. W kołnierzu koszuli, tuż pod gardłem denata, ziała krwawa dziura, a zarówno walizka, jak i ściany dookoła wraz z podłogą były zbryzgane krwią. Czar ochronny musiał przestać działać z chwilą wyważenia drzwi, gdyż od momentu wejścia do pokoju odczułem jedynie lekkie mdłości. Uważając, by samemu również niczego nie dotknąć, przykucnąłem przy trupie.

– Zamknął się od środka? – zapytałem Goresa.

– Zaciągnął zasuwę. Sam zobacz.

Wskazał mi strzaskaną listwę oraz fragmenty zamka wciąż zwisające na ostatnich gwoździach, a potem elementy mechanizmu oraz kawałki drewna na podłodze przy drzwiach.

– Może lepiej przeprowadźmy rekonstrukcję – zaproponowałem. – Choćby po to, by było co napisać w oficjalnym raporcie.

– Proszę bardzo – parsknął Gores. – Tylko że ja dobrze wiem, kiedy drzwi są zamknięte, a kiedy nie.

– Tak czy owak...

W międzyczasie do pokoju weszła Melisa, która rozczapierzyła palce i z zamkniętymi oczami zaczęła badać powietrze.

– Zabawne – powiedziała. – W aurze tego pokoju nie ma ani śladu złych intencji czy strachu.

– A zatem zabił go ktoś bez złych intencji – wywnioskowałem. – Być

może morderca profesjonalista, który całkiem go zaskoczył. Denat nie miał nawet kiedy się przestraszyć.

Stryk szybko rozłożył narzędzia pracy: niewielki, trójnożny kosz na węgiel drzewny, pokrytą skórą skrzyneczkę zawierającą dwa rzędy fiolek pełnych typowych czarnoksięskich substancji oraz różdżkę długości około pół metra, u nasady grubą niczym zwitek banknotów i spiczastą przy końcu – wyglądała jak miniaturowy kij bilardowy. Następnie nalał odrobinę jakiegoś płynu do kosza z węglem i podpalił całość pojedynczym gestem.

Gores wycofał się z progu. Nie na darmo stare porzekadło mówi: nigdy nie mieszaj się w sprawy czarodziejów. Szczególnie gdy bawią się ogniem.

Stryk wyjął z teczki niewielką oprawioną w skórę książeczkę i zaczął ją kartkować w zadumie. Odnalazłszy odpowiednią stronę, wyrwał ją z przesadną ostrożnością, złożył na czworo i podsycił nią ogień. Z kosza buchnął kłęb dymu, który zmienił kolor z czarnego na zielony, ledwie się uniosł. Stryk nakreślił w dymie znak różdżką, a potem przytknął jej czubek do miejsca, w którym znajdował się zamek, zanim do pokoju wparował Gores.

Drzazgi na drzwiach zaczęły wibrować, a kawałki drewna porzrucane na podłodze drgać. Potem, powolutku, wszystkie drewniane elementy zamka przesunęły się lub uniosły, by w końcu wskoczyć na miejsce. Niespodziewanie uszkodzone drzwi wyglądały identycznie jak przed całym zajściem.

Gdy dym się rozwiął, podszedłem i przyjrzałem się im uważnie. Zasuwa bez wątpienia była zaciągnięta, wystawała niczym język z bryły zamka.

– Tak to wyglądało? – zapytałem.

– Nie inaczej – oznajmił Stryk, przyduszając ogień w kociołku mosiężną pokrywką.

– Dobrze, a zatem jedno nie ulega wątpliwości – mamy do czynienia z zagadką zamkniętego pokoju.

– Niech to diabli – oznajmił Gores, przyglądając się zamkowi. – No i drzwi naprawione, no nie?

– Nie – zaprzeczył Stryk. – Efekt przyciągnięcia rozrzuconych elementów jest tymczasowy. Za kilka godzin zamek będzie wyglądać tak jak przed

chwilą...

– Niech to diabli... – powtórzył Gores, kręcąc głową.

– W tej akurat sytuacji to chyba nie jest najszcześniejsze wyrażenie. – Stryk wyprostował się i podszedł do łóżka. – Mogę? – Wskazał na trupa.

– Ależ proszę – odparłem.

Pochyliwszy się nad ofiarą, zaczął nakłuwać i badać powietrze zarówno dłonią, jak i różdżką, choć ani razu nie dotknął ciała.

– Hmm... Ha!

Wyjął coś, co przypominało kryształ zawieszony na sznurku. Chwycił za sznurek i przez chwilę trzymał ciężarek nad różnymi częściami ciała denata. W niektórych miejscach kryształ wirował, nad innymi wychylał się do przodu i tyłu, a w jednym szarpnął, jakby chciał się zerwać i ruszyć samotnie w świat.

– A więc...

– Co takiego?

– Został zastrzelony – zawyrokował Stryk.

– To już wiemy.

– Ale lepiej się upewnić. Kula weszła tuż pod szyję i rozpadła się na kawałki, które utkwily wszędzie między mózgiem a żołądkiem. Obrzydliwość.

– Coś jeszcze?

– Spójrz. – Skinął w stronę otwartej walizki.

Podszedłem bliżej. Walizka była pusta, a jej spód i boki zwęglone. Wyglądało to tak, jakby jej wnętrze zostało wypalone, a zawartość, cokolwiek się na nią składało, zamieniła się w garstkę popiołu i zwęglonych skrawków.

– Niech to wszyscy diabli! – parsknąłem.

Stryk pokręcił głową.

– Przestań, proszę. Istnieją pewne, hmm... byty, które nawet teraz mogą być blisko nas i potraktować takie sformułowania całkiem poważnie.

– Tak – zgodziłem się, zwalczywszy odruch nakrycia głowy ręką i wyszeptania czaru ochronnego. – Chodzi ci o to, że wnętrze tej walizki mógł pochłonąć ogień demoniczny? – zapytałem ochryłym szeptem.

– Zwróć uwagę, że łóżko pod walizką nie jest nawet osmalone. Jak to

wytłumaczysz?

– Tak zwany zimny ogień teleportacji? – zaproponowałem. – Zostawia chyba podobne ślady, tak mi się przynajmniej wydaje.

– A co twoim zdaniem zostało teleportowane? – Nie mam bladego pojęcia, ale to chyba ten moment, kiedy wkraczasz ty z Melisą. Stryk przeszedł się powoli po pokoju, dotykając to tego, to tamtego. Melisa stała w kącie z zamkniętymi oczami, muskając powietrze smukłymi paluszkami. Ja przeszukałem kieszenie denata i wszystko, co w nich znalazłem, ułożyłem w stosik na biurku naprzeciwko łóżka: trochę drobnych, zużyty bilet na mecz Chicago Hurlers, scyzoryk z dwoma ostrzami, obydwoma bardzo tępymi, wykałaczkę z kości słoniowej w skórzanej pochewce, niewielką fiolkę wody pobłogosławionej przez biskupa Langeurta z Zakonu Obrządku Starszego Cycerona, należącego do Północnoamerykańskiego Stowarzyszenia Druidycznego, nie dający się otworzyć portfel i trzy klucze na złotym breloczku w kształcie piramidy. Na każdej z jej czterech ścian widniała pojedyncza litera nieznanego mi alfabetu.

– Czy ktokolwiek z was wie, co to oznacza? – spytałem, unosząc piramidę.

Melisa otworzyła oczy i skupiła uwagę na breloczku.

– Poszukiwacze prawdziwego Mu. To cztery różne litery z alfabetu Mu – Akka, Pokka, Tikka i Hum – a oznaczają kolejno: wewnętrzny rozwój, harmonię, wielkiego czarnego żuka i całkowitą świadomość.

– Żuk?

– Żuk oznacza...

– Dobrze, mniejsza o to – wszedłem jej w słowo. – Czy z tymi poszukiwaczami związane jest coś, co powinienem wiedzieć?

– Co minutę pojawia się nowy – rzucił Stryk od okna, przez które właśnie się wychylał.

– To jakiś osobliwy zbieg okoliczności czy ma to może jakieś znaczenie? – dobiegł od progu śmiertelnie poważny głos. Stał tam z dłońmi opartymi na biodrach chudy, łysy jegomość o imieniu Godfrey – szef wydziału śledczego San Francisco.

– O wilku mowa, a wilk tuż–tuż – mruknął Stryk, wsuwając głowę z powrotem do pokoju i zamykając okno.

– Dzień dobry, szefie – powiedziałem. – Co pan tu porabia?

– Senator Langford ma tu przybyć lada chwila – odparł Godfrey. – Przyszedłem do hotelu, by się upewnić, czy zostanie należycie przyjęty. Chciałem też rozstawić kilku ludzi w odpowiednich miejscach i przekonać się, co sobie zaplanowałaś wraz ze swoimi magicznymi przyjaciółmi. A tymczasem wchodzę do lobby i pierwsze, co słyszę, to że na trzecim piętrze mamy sztywniaka.

– Zabawne – stwierdził w zamyśleniu Stryk.

– W morderstwie nie ma nic śmiesznego. Nawet jeśli denat pochodzi z Chicago.

– Nie o to mi chodzi – ciągnął. – Czy senator nie prosił, żebyś trzymał pan swoich ludzi z daleka, a przynajmniej poza zasięgiem wzroku?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– A zatem wygląda na to, że porywacz nie przejmuje się tym, że cała policja San Francisco skrzyknie się, żeby go dorwać.

– Chociaż chwila, jak się tak dobrze zastanowić... – zamyślił się Godfrey. Stryk zatknął różdżkę za pasek.

– Nic tu po nas. Chodźmy na dół.

– Już dał pan sobie spokój z zagadką zamkniętego pokoju? – rzucił do niego Godfrey, chociaż wzrok wbijał we mnie. Nie wierzył w skuteczność popularnej ostatnio metody rozwiązywania spraw kryminalnych, jaką było zatrudnianie magów dochodzeniowych. Och, zgadzał się, że potrafili co nieco zmierzyć, wyczarować i stwierdzić, że morderca nosił białe buty i brązowy wąs, ale według niego do ostatecznego rozwiązania sprawy trzeba tradycyjnego, policyjnego rozumowania. Tak przynajmniej twierdził podczas kilku naszych ostatnich rozmów.

– Ależ skąd! – odparł Stryk, przerywając na moment pakowanie ekwipunku. – Wiem, jak popełniono tę zbrodnię. Sprytna metoda, lecz dość oczywista. Tak naprawdę zastanawiam się... – przerwał i pokręcił głową. – Nieważne, w każdym razie trzeba ustalić, kto to zrobił i dlaczego. Sądzę, że dzięki odpowiedzi na pytanie dlaczego, dowiemy się również kto. Niemniej odpowiedzi trzeba szukać poza tym pokojem.

– Wie pan jak? – zapytał zdumiony Godfrey.

– Ruszajmy na dół. – Stryk zapiął walizeczkę i wyprostował się.

– Zanim wyjdziemy... – Podniosłem portfel z biurka. – Czy mógłbyś go dla mnie otworzyć? Jest zabezpieczony jakimś czarem ochronnym.

– Weź go ze sobą – rzucił.

Wróciliśmy do windy i nacisnęliśmy przycisk.

– Ja muszę to wiedzieć! – nalegał Godfrey. – Muszę wiedzieć, czy ta sprawa ma coś wspólnego z senatorem Langfordem i porwaniem!

– Oczywiście, że tak! – odpowiedział Stryk.

– Czasami wiatr jest tylko wiatrem – przypomniałem mu.

– Nie, kiedy wieje z Chicago.

Drzwi windy otworzyły się i ze środka wyszło trzech mundurowych z lokalnego posterunku. Godfrey polecił im pilnować pokoju 312 aż do otrzymania kolejnych wytycznych, co pozwoliło Goresowi powrócić do codziennych obowiązków, polegających na polowaniu na złodziei, kieszonkowców i dziwki. Następnie weszliśmy do windy i ktoś rzucił: – Lobby! – Do licha! – mruknął młody windziarz. – A ja planowałem poszwendać się dziś po mieście.

– Skąd to wszystko wiesz? – Godfrey szturchnął Stryka w pierś. – Skąd wiesz, że to nie było zwykłe włamanie?

Czarodziej pokręcił głową.

– Po pierwsze, czar ochronny jest nienaruszony. Ktokolwiek popełnił morderstwo, został zaproszony do środka, a gdy wyszedł, Lundt wciąż żył.

Godfrey wpatrywał się w Stryka z napięciem, jak człowiek usiłujący zrozumieć sens dowcipu.

– Żył?

– Tak. Można by rzec, że zabił Lundta dopiero po wyjściu z pokoju.

– Małpia łapa! – wykrzyknąłem, strzeliwszy palcami.

Spojrzenia wszystkich, nie wyłączając windziarza, skierowały się na mnie.

– Czytałem o tym – wyjaśniłem. – Dotyczyło to pewnej sprawy w Niemczech. Morderca ożywił małpią łapę i zostawił ją w domu ofiary, a następnie wyszedł, by zapewnić sobie niezbite alibi. Wtedy małpia łapa podpełzła do ofiary i ją udusiła.

Nadal się na mnie gapili.

– Lundt został zastrzelony – przypomniał mi Godfrey.



– Ta małpia łapa miała pistolet – podsunąłem mu rozwiązanie.

Drzwi windy rozsunęły się i wypadliśmy do lobby. Szef podszedł do niewielkiej grupki mężczyzn w brązowych płaszczach, których od razu rozpoznałem jako grupę ochronną w cywilu. Stryk ruszył w kierunku recepcji, a ja podążyłem za nim.

– Chciałbym zobaczyć waszą książkę meldunkową – powiedział do recepcjonisty, młodego człowieka z potężnym nosem i wodnistymi, błękitnymi oczami. Ten obejrzał się na kierownika, a na widok jego skinięcia wyciągnął spod lady ogromną księgę. Stryk otworzył ją i przejrzał kilka ostatnich stron.

– Interesują mnie wszyscy goście, którzy niedawno przybyli tu z Chicago.

Recepcjonista pomógł mu odnaleźć odpowiednie wpisy. Przez ostatnie trzy dni hotel odwiedziło czterech gości z Chicago. Denat, Lundt, zameldował się wczoraj. Kusilo mnie, by spytać, kiedy się wymeldował, ale w porę ugryzłem się w język. Poza tym w skład interesującej nas grupy wchodziło jeszcze małżeństwo o nazwisku Gilgum, które przybyło do San Francisco na konferencję nauczycielską, oraz niejaki pan Bianchi od salamander.

– To jeden z naszych stałych gości – wyjaśnił młody recepcjonista. – Zajmuje się salamandrami, ropuchami rogatymi, żmijami i paroma rodzajami owadów. Oczywiście nie pozwalamy mu trzymać tutaj swojego inwentarza.

– Oczywiście – mruknąłem.

Recepcjonista pokiwał głową.

– Może tu trzymać jedynie próbki.

Stryk przytknął palec do niewielkiego znaczka na prawo od podpisu Lundta.

– A to co?

Chłopak spojrzał uważnie we wskazane miejsce.

– Ach! Pan Lundt zdeponował bagaż w naszej przechowalni.

– Doprawdy? A gdzie jest ta przechowalnia?

– Cóż, działa to w ten sposób, że deponuje pan tu bagaż, a ja go zanoszę gdzie trzeba.

– Czy przyniesie nam pan bagaż pana Lundta?

– W tych okolicznościach... Oczywiście. Proszę poczekać! – Młodzieniec wykonał serię drobnych ukłonów i popędził na zaplecze, gdzie mógł wchodzić jedynie personel hotelu.

Gdy zniknął, wyciągnąłem z kieszeni portfel Lundta i zamachałem nim przed twarzą Stryka.

– Otwórz go, proszę!

Czarodziej westchnął. Wymamrotał kilka magicznych słów, a potem spróbował otworzyć portfel, ale palce mu się ślizgały, zupełnie jakby go nasmarowano tłuszczem.

– Ha! Już wiem, o co chodzi!

Położył portfel na ladzie. Przyglądał mu się przez chwilę, a potem wyszarpnął różdżkę zza pasa, zaintonował kilka słów i zastukał w niego dwukrotnie grubszym końcem artefaktu. Następnie podrzucił różdżkę w taki sposób, by opadła grubszym końcem w jego dłoń i głośno powiedział: – *Exaulter magnificat!*

Wreszcie puknął portfel cienką końcówką, a ten natychmiast się otworzył, obsypując ladę i podłogę rojem papierków, kart i monet. Pozbierałem je najszybciej, jak mogłem, i przystąpiłem do przeglądania.

Wśród znalezionych rzeczy było kilka banknotów jedno, trzy – i dziesięciodolarowych, a także banknot o wartości dwudziestu pięciu dolarów, bilet powrotny do Chicago, ważny rok od chwili wystawienia (zeszły piątek), prawo jazdy wydane przez władze stanu Illinois na pojazdy elektryczne i parowe oraz legitymacja członkostwa Amerykańskiego Towarzystwa Magów Amatorów.

– Jeden z was. – Pokazałem ją Strykowi. Ten obrócił legitymację w dłoni i pstryknięciem odesłał mi po blacie. – Prestidigitatorzy. Sztuczki z kartkami, monetami, pudłami i tak dalej. – Z pudłami? Wzruszył ramionami. – No wiesz, dziewczyna wchodzi do pudła, magik je zamyka, przewraca wszystkie ścianki, a dziewczyny nie ma. Żadna tam magia, zwykła sprytna iluzja.

– Takie sztuczki z wodewilów?

– Otóż to. Niektóre z nich naśladowują prawdziwą Moc, ale tak naprawdę wszystkie są tylko sztuczkami.

Podszedł do nas Godfrey.

– Senator będzie tu lada chwila – oznajmił. – Co miał pan na myśli, mówiąc: „Tylko sztuczki”?

Uprzejmie wyjaśniłem.

– A zatem ci „magicy” nie dysponują prawdziwą Mocą?

– Niektórzy tak – odparł Stryk. – Jak sam pan dobrze wie, Moc objawia się pod wieloma postaciami, co po części zależy od wewnętrznego ducha każdego z nas, istoty którego nie poznaliśmy jeszcze zbyt dobrze, a po części od ćwiczeń i praktyki adepta zgromadzenia, do którego ów adept przynależy. Czasami czarodziej z ograniczoną Mocą wykorzysta kilka zwykłych, kuglarskich sztuczek, by zyskać reputację i wydać się potężniejszym, niż jest w rzeczywistości.

Godfrey pokręcił głową.

– Co za oszustwo!

– Tak, to w istocie smutne – zgodził się Stryk. – Chciałby pan zobaczyć sztuczkę karcianą?

– Niezbyt.

Recepcjonista wypadł z zaplecza, a ledwie kilka kroków za nim pędził Pierson, kierownik hotelu.

– Nie mają pojęcia, jak do tego mogło dojść! – wypalił urzędnik. – To doprawdy dziwne, bardzo dziwne!

– Co takiego? – zapytałem.

– Bagaż pana Lundta! Nie ma go!

– Naprawdę? – zapytał Stryk. – Fascynujące! Kto go zabrał?

– Nikt tego nie wie – oznajmił kierownik, ze znużeniem opierając się o ladę. – Gościom, którzy coś u nas zostawiają, wydajemy niewielkie metalowe krążki. Krążek pana Lundta leży na miejscu, ale nikt sobie nie przypomina, by przyjmował lub wydawał sam bagaż.

– A jak on wyglądał? – zapytałem.

– Nic szczególnego – odparł recepcjonista. – Niewielki mosiężny krążek z numerem.

– Bagaż! – wypalił Stryk. – Jak wyglądał bagaż?

– Och! – Młody człowiek rozłożył ręce. – Mniej więcej taki duży. Kufer lub coś w tym stylu, z tego co pamiętam. Prostokątny z mosiężnymi tymi, wie pan... No, uchwytami i innymi takimi.

– Kufer tej wielkości – Stryk również rozłożył ręce, by unaocznic sobie i wszystkim dookoła rozmiar bagażu – ginie bez śladu?

– Może nocny stróż... – zaczął Pierson, ale wtedy zadźwięczał niewielki dzwonek nad recepcją i kierownik aż podskoczył. – To portier! Zajechała taksówka senatora Langforda! Muszę się wszystkim zająć! – Na jego twarzy zagościły troska i powaga. Odwrócił się i wybiegł z za kontuaru.

Jakieś pięć minut później do lobby wkroczył senator wraz z żoną, trzema lub czterema doradcami oraz grupką policjantów. Przed nimi szedł tyłem Pierson, który rozmawiał z senatorem, gestykulując nerwowo, a za nim toczył się wielki wózek bagażowy, na którym piętrzył się stos walizek. Pchało go z wysiłkiem dwóch boyów, którym towarzyszył potężny mężczyzna wyglądający na gliniarza. Jego płaszcz wskazywał na to, że właśnie przybył z Chicago wraz z senatorem.

Pierwsza winda zabrała połowę grupy, druga resztę, a trzecia wózek z eskortą.

– Sądzę, że przygotowują się do wypłaty okupu – powiedziałem. – Pieniądze są w bagażu.

– Z pewnością na tym wózku znajduje się coś bardzo cennego – zgodził się Stryk.

Niespodziewanie doleciał nas cichy szloch Melisy. Stryk położył jej dłoń na ramieniu.

– Bądź dzielna.

– Za... za tymi ludźmi idzie ciemność. Nigdy czegoś takiego nie czułam.

– Czy owa ciemność emanuje z wózka?

– Niewykluczone, choć nie jestem pewna. To było bardzo dziwne uczucie, coś przypominającego pustkę. Nie, nie wiem, jak to ująć. W każdym razie przyjemne to nie było.

– Senator będzie chciał się z panem widzieć – powiedział szef Godfrey do Stryka. – Chodźmy na górę.

– Dajmy im parę minut, niech się rozgoszczą.

– Wątpię, czy senator Langford w ogóle o tym myśli – stwierdziłem. – Masz rację, jasne – westchnął Stryk. – Obawiam się jednak, że nie skończy się to niczym przyjemnym.

Szef Godfrey zmierzył go ostrym spojrzeniem.

– Słuchaj no pan, jeśli pan zawiedziesz, to trudno!

– Och, ale kto tu mówi o porażce?

Senator zatrzymał się w Apartamencie Prezydenta Hueya Longa na piątym piętrze. Każdego wejścia na korytarz pilnowali uzbrojeni funkcjonariusze, a między ich posterunkami sнуło się jeszcze kilku innych. Gdy wchodzili do apartamentu, wysoki, dostojnie wyglądający mężczyzna ze zmierzwioną, brązowosiwą grzywą włosów wrzeszczał ze wszystkich sił na swych doradców, pomocników i totumfackich: – Zostawcie wszystko jak jest! Jak będę chciał, żebyście coś rozpakowali, to wam powiem!

Towarzysze senatora bez słowa rozpierzchli się po kątach apartamentu, skąd manifestowali niezadowolenie na najróżniejsze sposoby lub siadali na czym popadnie. Wielki stos nie rozpakowanych bagaży piętrzył się na samym środku pomieszczenia, a przy drzwiach stało dwóch boyów w oczekiwaniu na napiwek. Pierson odpędził ich machnięciem dłoni i obaj zmyli się jak niepyszni, wlokąc za sobą wózek.

Mary, żona senatora, była atrakcyjną kobietą nawet pomimo znaczących jej twarz bruzd smutku i przygarbionej rozpaczą sylwetki. Wpatrzona w pustkę, siedziała na białej kanapie na prawo od drzwi z dłońmi złożonymi na torebce, którą trzymała na kolanach. Langford usiadł obok i delikatnie ją objął.

– Wkrótce odzyskamy naszą małą córeczkę – obiecał, lecz w tej samej chwili Mary wybuchła szlochem. Szybko wyjęła chusteczkę z torebki i zasłoniła twarz.

Na spotkanie wyszedł nam przeświadczony o swej ważności łysiejący dżentelmen ze szczeciniastym wąsem. Wyciągnął dłoń tak, by każdy mógł ją uścisnąć.

– Nazywam się Harold Fenster, jestem doradcą prawnym pana senatora. Czy któryś z panów to doktor Stryk?

– To ja.

Fenster przesunął dłoń w kierunku czarodzieja.

– Cieszę się ze spotkania. Zapraszam, senator czeka.

Langford powstał, gdy podeszliśmy.

– Stryk? – zapytał. – Odkrył pan już coś?

– Deborah żyje – poinformował go czarodziej. – Lub przynajmniej żyła

parę godzin temu.

– Gdzie ona jest?! – Senator już wyciągnął ręce, jakby chciał pochwycić Stryka za klapy marynarki, ale w porę się zreflektował. – Może mi pan powiedzieć, gdzie teraz jest? Wszystko z nią w porządku? Co jej zrobili?

– Żyła i nie wyglądało na to, by stała jej się krzywda. Otaczają ją jednak mroczne siły. Działają tam jakieś czary, które zakłócają moje widzenie.

– Ale żyła?

– Tak.

– Dzięki Bogu! – Langford odwrócił się do żony. – Mary, ona żyje!

Mary pokiwała głową.

– No to sprowadź ją tutaj! – wyszlochała.

– Sprowadzę ją, sprowadzę! Gdy tylko otrzymamy kolejne instrukcje. – Spojrzał na Stryka. – Oni – obojętnie, kim są – zażądali dwóch milionów w banknotach dwudziestopięciodolarowych. Mam całą sumę przy sobie. Powiadomią mnie, w jaki sposób ją przekazać.

Dokonałem krótkich obliczeń.

– To przecież osiemdziesiąt tysięcy banknotów. Całkiem niezły stos.

– Całkiem niezły kufer – odparł Langford, wskazując bagaż. – Ten tam, czarny. Dwa miliony. Zostanę bez grosza przy duszy, ale to bez znaczenia. Obyśmy tylko odzyskali Deborah...

Oczywiście nie mógł sobie podarować uwagi o rychłym ubóstwie. Nasze dochodzenie wykazało, że wartość jego majątku wahała się pomiędzy dziesięcioma a piętnastoma milionami dolarów, a w tamtych czasach czteroosobowa rodzina mogła żyć zasobnie z dwójką, służących i samochodem elektrycznym – lub nawet koniem i powozikiem – za jakieś sześćdziesiąt dolarów tygodniowo. Można by pomyśleć, że dla człowieka dysponującego majątkiem o wartości przynajmniej dziesięciu milionów utrata dwóch to plama na honorze, a w finansowym aspekcie jedynie drobna przykrość, ale to nieprawda. Takie coś boli. Człowiek w sytuacji Langforda naprawdę mógł mieć wrażenie, że traci niemal wszystko. Ktoś taki mógł przeżywać i opłakiwać stratę dziesięciu procent majątku o wiele dłużej niż ktoś znacznie uboższy stratę oszczędności całego życia czy śmierć ulubionego psa myśliwskiego. Podczas kryzysu w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku plutokraci skakali z okien biur, ponieważ

zostały im ledwie dwa, trzy miliony. Wybaczcie tę dygresję.

Fenster zdjął bagaże, którymi przywalono czarny kufer, a potem wyciągnął z kieszeni marynarki złożony na czworo pergamin. Trzymając go w lewej dłoni, położył prawą na kufrze i zaczął coś mamrotać po łacinie. Rozpoznałem kilka słów i uświadomiłem sobie, że to zaklęcie zwalniające czar ochronny – coś na kształt klucza przeznaczonego dla specyficznego zamka. Gdyby nie takie zaklęcia, osoba korzystająca z podobnych środków ostrożności musiałaby wołać czarodzieja za każdym razem, gdy chciałaby otworzyć zabezpieczony pojemnik.

Kiedy Fenster skończył mamrotać, złożył pergamin i wsunął go z powrotem do kieszeni. Następnie wyciągnął z innej ciężki klucz mosiężny, przekręcił go w zamku i podniósł wieko.

Stryk i Melisa wymienili spojrzenia, ale nie miałem pojęcia, co one znaczyły.

– Dwa miliony dolarów – oznajmił Fenster. – W używanych banknotach dwudziestopięciodolarowych o unikalnych numerach. Tego właśnie chcą porywacze i to dostaną. Oby każdy z tych banknotów parzył im palce, gdy będą ich dotykać.

Przyjrzelśmy się zawartości kufra. Ze środka odpowiedziała nam wzrokiem pani prezydent Roosevelt, której podobizny znajdowały się na ułożonych w stosy banknotach. Eleonor Roosevelt, przywódczyni jednego z najbardziej wpływowych ugrupowań wiccańskich na Wschodnim Wybrzeżu oraz pierwsza kobieta pełniąca urząd prezydenta – za jej rządów wprowadzono jak dotąd najbardziej rewolucyjne zmiany w prawie społecznym. Ona oraz jej dokonania stanowiły bezpośrednią przyczynę, dla której kongres wprowadził surowe prawa przeciwko piastowaniu urzędów publicznych przez jakiegokolwiek czarodzieja, czarnoksiężnika, maga czy wiedźmę. Ugrupowanie torysów doszło bowiem do wniosku, że za przeforsowaniem tych zmian musiała stać magia i że nikt nie ma zamiaru po raz kolejny borykać się z rządami kapryśnej pani prezydent.

Fenster zamknął wieko i zaryglował magicznie kufer. Była to decyzja ze wszech miar słuszna, gdyż widok takiej ilości pieniędzy w jednym miejscu obudził we mnie pulsujący ból głowy, tuż nad szyją.

– W jaki sposób chce pan przekazać pieniądze? – odezwał się Godfrey.

– Dopiero się tego dowiemy – odparł senator. – Mają się skontaktować  
lada chwila.

– W jaki sposób? – zapytałem.

– Nie powiedzieli.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i wszyscy aż podskoczyli. No, w  
każdym razie ja podskoczyłem, nie przyglądałem się innym i nie wiem, co  
robili. Pod drzwiami pojawiła się biała koperta. Pierson, który stał  
najbliżej, otworzył je jednym szarpnięciem i wyskoczył na zewnątrz  
niczym wielki szary królik.

– Nikogo tu nie ma! – zawołał, odwracając się do nas. – Korytarz jest  
pusty!

Kilku ludzi wybiegło w ślad za nim, by potwierdzić prawdziwość jego  
słów. Pierson się nie mylił, po tajemniczym posłańcu nie było śladu.

– Na kopercie jest nazwisko senatora.

– Proszę mi to dać, niech no się temu przyjrzę – rzekł Godfrey,  
wyciągając mu kopertę z ręki. Postukał w nią palcem, obejrzał uważnie,  
obmacał, obwąchał, obsłuchał, zmarszczył i w końcu przekazał senatorowi.

Langford zaczerpnął głęboko tchu i rozerwał jej brzeg. W środku  
znajdowały się dwie kartki papieru. Kiedy rozkładał pierwszą, za jego  
plecami stłoczyło się kilku ludzi, by zajrzeć mu przez ramię. Kartka  
zawierała informację zapisaną drukowanymi literami: poniżej znajduje się  
zapis chaldejskiego rytuału przeniesienia. proszę go wyrecytować,  
wymawiając słowa jak gdyby były napisane po angielsku. wszyscy w  
pokoju muszą powtórzyć refren. Następnie proszę umieścić kartkę na  
kufrze z pieniędzmi i ją podpalić. Pańska córka zostanie panu natychmiast  
zwrócona.

Langford rozłożył drugą kartkę, na której znajdowało się około  
czterdziestu linijek po „chaldejsku”. Dla oddania nastroju chwili, zacytuję  
cztery pierwsze:

*manay tikey fondo din prate org kando mu refren: tondo lu timmit tissa  
yubit stippa roog bista mem kookra bim refren: tondo lu timmit*

Senator przekazał kartkę Strykowi.

– Co pan o tym sądzi? – zapytał. – Dla mnie to jakiś bełkot.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – przyznał Stryk. – Z drugiej strony



nie specjalizuję się w antycznym chaldejskim. Dodam też, że laik uzna wiele magicznych inkantacji i rytuałów za całkowity bełkot.

Langford wziął kartkę i wpatrywał się w nią przez długi czas. Wydawał się zbity z tropu.

– Dalej, Tom, zróbże to! – ponagliła go z kanapy żona. – Zrób to, obojętnie, co to jest!

– Nie ma się co wahać, sir – poparł ją Fenster. – Proszę spojrzeć, refren się powtarza. Zrobię kilka kopii i rozdram wszystkim w pokoju, byśmy mogli wspólnie go wyrecytować.

– I co się wydarzy? – zapytał senator.

– Nie mam pojęcia – oznajmił Stryk.

Langford wzruszył ramionami.

– Niech to wszystko szlag trafi! Nigdy w życiu nie czułem się równie bezsilny. Zróbże te kopie – rzucił do Fensterera.

– Oczywiście, sir – odpowiedział prawnik. Zebrał kilka luźnych kartek i na każdej napisał: tondo lu timmit, a potem rozdał je obecnym.

Senator wstał i odkaszlnął.

– Nawet nie próbujcie się śmiać. Nie wiem, co to wszystko oznacza, ale na pewno nie jest zabawne.

Wyrecytował rzekomy bełkot głośno i wyraźnie, a my w odpowiednich chwilach odczytywaliśmy refren. Następnie Fenster wziął od niego kartkę, położył ją na kufrze i zapalił zapalniczkę.

Ledwie przytknął płomień do kartki, ku sufitowi wystrzeliła strużka czarnego dymu, która nagle zaczęła się rozrastać do rozmiarów chmury. Niespodziewanie powietrze zaczęło skrzyć. Fenster odskoczył przestraszony, a wtedy dym błysnął jaskrawym, niebieskim światłem, które wypełniło pokój na kilka sekund, a potem znikło z głośnym plaśnięciem.

– To wszystko? – zainteresował się Godfrey.

– Co się stało? – zapytał Langford.

Fenster wyjął mosiężny klucz, przekręcił go w zamku i uniósł wieko. Ze środka buchnął dym, ktoś zakaszłał.

– Pieniądze znikły! – zaraportował Fenster.

– Jak to znikły?! – wykrzyknął senator, podchodząc do kufra.

– Po prostu znikły!

Zajrzałem do kufra i na własne oczy stwierdziłem, że zapamiętany przeze mnie stos banknotów wyparował. Zamiast pieniędzy ujrzałem jedynie zwęglone wnętrze, a pod nim...

– Och, dobry Panie... – wymamrotał Fenster, gdy tylko dym się rozwiął. Sięgnął do kufra i wyjął drobną, nieprzytomną dziewczynkę.

– Deborah! – wykrzyknęła jej matka i przypadła do prawnika, by wyszarpnąć mu dziecko. Langford objął ich i stali tak, podczas gdy wokół zebrał się tłum roześmianych, płaczących i wygadujących głupoty ludzi.

– Nie chce się obudzić! – odezwała się po chwili Mary Langford i raptem wszyscy zamilkli. Spojrzenia skierowały się na nieruchomą dziewczynkę.

– Spójrzcie tylko na jej twarz! – ktoś zawołał.

Buzię Deborah wykrzywił ból i strach, a zaraz potem w jej nagle otwartych oczach zalśniło dzikie przerażenie. Równie niespodziewanie dziewczynka zamknęła oczy, jej ciało znieruchomiało, a oddech uspokoił się i stał płytki.

– Czy można? – Stryk wziął dziecko na ręce i ułożył je na kanapie. Przez minutę przyglądał się uważnie twarzy Deborah, trzymając palec na jej szyi, by sprawdzić puls. Unosił też co chwilę powiekę i wpatrywał się w oko, w którym nie było życia. W końcu odwrócił głowę ku Melisie.

– Wydaje mi się, że to zadanie dla ciebie.

Elfka uklękła przy kanapie, położyła jedną dłoń na czole dziewczynki, a drugą na kolanie, a potem sama zamknęła oczy. Przez dłuższy moment nie poruszała się, choć odniosłem wrażenie – nie mam pojęcia skąd – że na ciało dziecka spływa z niej jakaś forma energii. Potem Deborah zaczęła się lekko wznosić, tak powoli, że z początku wszyscy uznaliśmy to za złudzenie. Wkrótce unosiła się jednak jakieś pół metra nad kanapą, aż znów wylądowała na miękkich poduszkach.

Melisa wstała. Widać było, że jest fizycznie wyczerpana.

– Śpi – stwierdziła. – Obudzi się za jakąś godzinę.

Jonathan Stryk odwrócił się ku senatorowi i jego żonie.

– Sugerowałbym, żeby Melisa została przy dziecku co najmniej przez tydzień. Dziewczynka będzie potrzebować pomocy psychiatrycznej i wszelkiej możliwej opieki.

– Czy to jakaś sztuczka, by wyłudzić większe wynagrodzenie? – zapytał ostro Langford. – Coś mi się nie wydaje, żebyście się na wiele przydali. Nie potrafił pan nawet zrozumieć magii porywaczy.

– Proszę nie wyładowywać na mnie złości – upomniał go łagodnie Stryk. – Tak naprawdę magii pojawiło się tutaj niewiele. Na małą Deborah rzucono czar jeszcze w Chicago, by odebrać jej Ka – innymi słowy jej duszę – i cisnąć ją do któregoś z zaświatów pełnych upiorów i demonów, przypuszczalnie do jedyne go zaświata znanego czarodziejowi, który się tego podjął. Znajdowała się tam przez kilka ostatnich dni, a nie jest to przyjemne miejsce, zapewniam pana. Gdyby obecna tu Melisa, najsilniejsza znana mi empatyczka, nie wyciągnęła jej natychmiast z oddziaływania czaru, jej umysł mógłby uwięznąć na zawsze w labiryncie koszmarów.

– Dlaczego ktoś postanowił wprowadzić w życie tak potworny plan? – zapytałem.

– By uniemożliwić nam odnalezienie dziecka za pomocą magicznego skanowania bądź innych czarów. Co więcej, porywacze musieli mieć naprawdę dobry powód, by tak postąpić, gdyż próby odszukania kogokolwiek dzięki magii rzadko kończą się powodzeniem.

– Co pan miał na myśli, mówiąc, że nie było tu magii? – zapytał Langford. – Na własne oczy widzieliśmy...

– Widzieliście to, co mieliście zobaczyć – przerwał mu Stryk. – Kufer pełen pieniędzy, podczas gdy tak naprawdę nie było ich wcale lub bardzo niewiele, oraz małą dziewczynkę, która rzekomo pojawiła się w obłoku dymu, a tak naprawdę cały czas tu była.

Langford wpatrywał się w niego z wyraźnym sceptycyzmem. – Proszę mi to wytłumaczyć – zażądał. Stryk rozejrzał się po pokoju. – Siadajcie – oznajmił nie znoszącym sprzeciwu tonem. – Wszyscy. Powiem wam, co tu się tak naprawdę zdarzyło i dlaczego.

Godfrey opadł na krzesło. Kilka obecnych w pokoju osób rozsiadło się po turecku na podłodze.

– Byliśmy świadkami doskonale przemyślanego planu – zaczął Stryk, przybierając pozę nieomylnego nauczyciela i stosownie gestykulując. – Jego wykonania podjęło się troje ludzi, być może więcej. Najpierw dziewczynka została uprowadzona. W drodze powrotnej ze szkoły, jak sądzę?

Spojrzał pytająco na panią Langford, która potwierdziła skinieniem głowy.

– Następnie jakiś kompetentny, ale całkowicie pozbawiony serca i wszelkich zasad moralnych czarodziej rzucił na nią czar, wysyłając jej Ka do jakiegoś limbo. Uczyniono to z dwóch powodów: po pierwsze, by przez cały ten czas pozostała nieprzytomna, i po drugie, by mag dochodzeniowy – czyli ja – nie był w stanie śledzić jej posunięć nawet w najbardziej ogólnym sensie.

– Dlaczego? – zapytał senator.

– Dla najważniejszego z powodów – by się pan nie dowiedział, że została przewieziona z Chicago do San Francisco dwa dni temu, a przetransportowano ją w tej właśnie skrzyni – ciągnął dramatycznym tonem Stryk, wskazując otwarty kufer.

– Człowiek, który przywiózł kufer, mężczyzna o nazwisku Lundt, zostawił go w przechowalni hotelowej z nieprzytomną Deborah w środku, a sam poszedł do pokoju na trzecim piętrze, gdzie został niebawem zamordowany.

Szef Godfrey wychylił się na krześle, wpatrzony intensywnie w Stryka. Nie był jeszcze przekonany, ale chciał być.

– Jak? – zapytał. – I dlaczego?

Stryk pokiwał głową.

– Mała dygresja, jeśli można. Pozwoli mi ona wyjaśnić to morderstwo doskonale.

Czy było to złudzenie optyczne, czy też jego oczy rzeczywiście lekko błyszczały, gdy wodził nimi po pokoju?

– Przyczyny mogę jedynie zgadywać. Być może pozostali spiskowcy doszli do wniosku, że nie mają z niego pożytku, gdy już dostarczył kufer na miejsce. Być może nie znał prawdziwego planu i obawiali się, że kiedy go pozna, wygada się policji. Co do sposobu, w jaki go zabito, to nie stoi za tym magia, choć dopięto wszelkich starań, by wyglądało to na morderstwo doskonale i żebyśmy nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. Miało nas to utwierdzić w przekonaniu, że w przestępstwie wykorzystano magię, przez co zakończenie sprawy również przypisalibyśmy magii.

– Ale jeśli to nie była magia... – zaczął Godfrey.

– Lundt został zastrzelony z czegoś, co znajdowało się w walizce na łóżku – przerwał mu Stryk. – Najprawdopodobniej z mechanicznej strzelby skonstruowanej tak, by wypaliła w chwili otwarcia walizki.

– A co się stało z tą strzelbą?

Stryk wycelował długi palec w Piersona, dyrektora hotelu.

– On ją wziął.

Pierson podskoczył na równe nogi.

– Co takiego?!

– Wnętrze walizki było osmalone, byśmy od razu pomyśleli o teleportacji – wyjął Stryk. – Tymczasem osmalono je wcześniej. Osad był skruszały, co oznaczało, że walizkę przenoszono. A zatem broń została usunięta ludzkimi rękami, a nie przy pomocy magii. Jedynym człowiekiem, który wszedł do pokoju po zabójstwie, był zaś pan, co zresztą sam pan przyznał.

– To nonsens! – warknął Pierson. – Nonsens, skrajny nonsens! Protestuję!

Protest skierowany był do dwóch policjantów w cywilnym ubraniu, którzy stanęli za Piersonem i popchnęli go, żeby usiadł.

– Dobrze, wróćmy do historii z kufrem – ciągnął Stryk. – W którymś momencie kufer z dziewczynką podrzucono w miejsce kufra z pieniędzmi. W jego górnej części umieszczono papierową ramę, na której ułożono cienką warstwę banknotów. Zarówno banknoty, jak i ramę nasączono płynem, dzięki któremu miały błyskawicznie zapłonąć po przytknięciu zapalki. Brzegi kufra również zostały osmalone, by podkreślić efekt „zimnego ognia teleportacji”. Bez wątplenia tak byśmy to zinterpretowali, mając w pamięci walizkę z pokoju zamordowanego.

– Na co komu tak skomplikowany plan? – spytał szef Godfrey.

– By naprowadzić nas na fałszywy trop. Gdy ktoś sam siebie przekona, że za wszystko odpowiedzialna jest magia, nie pomyśli nawet o prostej, zupełnie nie magicznej podmianie. To właśnie dlatego zostałem zaangażowany do tego zadania.

– Przecież to ja pana zaangażowałem – zdziwił się senator.

– Pan? A z czyjego polecenia? – No tak. Fenster, to byłeś ty, no nie? To ty mi powiedziałaś o tym artykule i... – Nie wydaje mi się, szefie – rzekł Fenster. – Ale tak właśnie było – oznajmił Stryk. – A zaciekawi pana to, senatorze, że wedle owego artykułu, który przeczytał pan Fenster, jestem

szarlatanem i oszustem? Dokładnie tego przestępcom brakowało, by ich plan zadziałał w stu procentach – niekompetentnego czarodzieja dochodzeniowego, którego przerazi rzekome wykorzystanie Mocy znacznie większej niż jego własna.

Senator wbił wzrok w doradcę od kwestii prawnych, a ten odwrócił spojrzenie.

– Jak tego dokonano? Mam na myśli podmianę.

– Nie jestem pewien – odparł Stryk. – Ale idealnym momentem wydaje się chwila, kiedy pański bagaż został wyładowany przed hotelem, a potem umieszczony w wózku hotelowym.

– Tak! – odezwała się pani Langford. – Pamiętam! Fenster pomógł w wyładowaniu bagażu, co dało mi trochę do myślenia. Chyba po raz pierwszy pozwolił sobie do tego stopnia zapomnieć o własnej godności osobistej, żeby cokolwiek dźwigać.

– A zatem Fenster i Pierson – rzekł Godfrey. – Idealna para łajdaków.

– Za nic w świecie nie skrzywdziłbym tej dziewczynki – załkał Pierson.

– Jasne, że nie – zgodził się Stryk. – Musiała żyć, w przeciwnym razie podstęp by się nie udał. Nie da rady zorganizować lipnego rytuału przeniesienia bez kogoś, kogo można przenieść. Ale to, w jakim jest stanie, nie obchodziło cię już wcale.

Fenster nagle skoczył ku drzwiom. Stryk wyciągnął różdżkę z rękawa i zamachnął nią niczym biczem. Doradca prawny niespodziewanie zeszytniał w połowie kroku.

– Brać go – rozkazał czarodziej.

Dwóch barczystych gliniarzy ujęło niedoszęłego uciekiniera i Stryk raz jeszcze machnął różdżką. Fenster opadł bezsilnie w ramiona sprawiedliwości.

– Szarlatan, co? – mruknął Stryk i odwrócił się ku Godfreyowi. – Ten kufer z dwoma milionami dolarów jest gdzieś w hotelu. Sugeruję, by wyznaczył pan kilku ludzi do poszukiwań, zanim ktoś przez przypadek się o niego potknie.

– Dobry pomysł – odparł szef wydziału.

– Idziemy? – rzucił Stryk w stronę Melisy.

– Zostanę jeszcze przez chwilę z dziewczynką. Chcę dopilnować, by

obudziła się bez lęku.

– Dobry pomysł – stwierdził.

**Michael Moorcock** (ur. 1939) jest jednym z największych mistrzów fantasy. Od lat sześćdziesiątych napisał ogromną ilość powieści i opowiadań, które budzą podziw zarówno z powodu oryginalności i pomysłowości, jak i samej liczebności. Przez pewien czas Moorcock pisał mniej więcej jedną książkę na miesiąc, ale jego talent snucia opowieści był tak ogromny, że pomimo zabójczego tempa żadna z tych powieści nie straciła na jakości. W sferze fantasy jest najbardziej znany z cyklu o Wiecznym Czempionie, który rozpoczął na początku lat sześćdziesiątych opowiadaniem o czarodzieju albinosie Elricu z Melnibone i który wkrótce rozrósł się i wchłonął pozostałe postacie stworzone przez Moorcocka – Coruma, Doriana Hawkmoona czy nawet szalonego, nieprzewidywalnego Jerry’ego Corneliusa. Nawet poniższe opowiadanie, z początku niezależna historia, która powstała w roku 1964, została później wpleciona w ponadczasową, wieczną tkaninę. Mimo to jest to tekst mało znany, przez co ogromnie się cieszę, że mogę przedstawić jedno z dalszych odbić Wiecznego Czempiona, earla Aubeca z Maladoru.

## **Michael Moorcock**

### **WŁADCA CHAOSU**

Spoza szyby okna kamiennej wieży rozciągał się widok na szeroką rzekę, wijącą się wzdłuż brzegów porośniętych zielonymi czuprynami, które zlewały się z bezmiarem lasu. Z lasu wyrastało zaś urwisko, szare i jasnozielone. Wznosiło się ku górze coraz ciemniejsze, pokryte porostami, aż łączyło się z jeszcze masywniejszymi głazami tworzącymi niższe partie zamku. Zamek ów dominował nad okolicą i wystarczyło raz na niego spojrzeć, by zapomnieć o lesie, skałach czy rzece. Granitowe mury były wysokie, zbrojne w wieże, dziesiątki wież, które zdawały się roić w oczach.

Aubec z Maladoru wpatrywał się w tę twierdzę z podziwem, zadając



sobie pytanie, w jaki sposób ludzcy budowniczowie zdołali ją wznieść bez pomocy magii. Uśpiona i tajemnicza, emanowała jakby aurą niezniszczalności choćby z tego względu, że wzniesiono ją na skraju świata.

Zmierzające w stronę horyzontu słońce opromieniało zachodnie wieżyce osobliwym, ciemnożółtym blaskiem, przez co czerń rzucanych przez nie cieni wydawała się jeszcze intensywniejsza. Ogromne plamy błękitu prześwitywały przez szare masy rozpędzonych chmur, podczas gdy inne, czerwone, podpływały, by mieszać się i tworzyć kolejne, jeszcze subtelniejsze barwy. Niebo zaiste przedstawiało sobą oszałamiający widok, ale nie przyciągało wzroku tak bardzo, jak monumentalne, przypominające górski łańcuch, lecz wzniesione przez człowieka formacje skalne noszące nazwę zamku Kaneloon.

Earl Aubec z Maladoru wyglądał przez okno, aż zapadł zmrok, a puszcza, zamek i urwisko stały się ledwie widocznymi kształtami na tle całkowitej czerni. Przeczesał ciężką, węzlastą dłonią niemalże łąsą czaszkę i w zadumie ruszył ku stogowi siana, na którym zamierzał się przespać.

Siano rozrzucono w niszy między przyporą a ścianą zewnętrzną, a pokój był dobrze oświetlony pojedynczą latarnią, lecz w powietrzu panował chłód. Aubec ułożył się do snu, kładąc obok siebie ogromny dwuręczny miecz, swą jedyną broń. Z ciężkim jelcem, rękojeścią wyłożoną kamieniem i gładkim, szerokim ostrzem długości pięciu stóp wyglądała, jak gdyby wykuto ją dla giganta, choć Aubec w istocie przypominał z postury olbrzymia. Tuż obok leżała ciężka, stara zbroja, a na niej hełm. Sterczące z niego czarne, nieco postrzępione pióra unosiły się lekko, muskane przeciągiem.

Aubec zapadł w sen.

Sny miał jak zwykle burzliwe i gwałtowane. Śnił o armiach sunących po ziemiach krain ogarniętych ogniem, łopoczących na wietrze proporcach setek narodów, lśniących lasach włóczni i morzach drgających hełmów, śnił o śmiałych, dzikich rykach rogów wojennych, łomocie kopyt, o chóralnych śpiewach i krzykach nacierających żołnierzy. Te sny pochodziły z dawnych lat, z czasów młodości, kiedy służył królowej Eluardzie z Lormyr i podbijał dla niej wszystkie południowe kraje, aż po kres świata. Jedynie wzniesiony na samej jego granicy Kaneloon nie został

podówczas zdobyty, a to dlatego, że żadna armia nie pozwoliłaby się tam poprowadzić.

Mimo że Aubec wyglądał na wojownika z krwi i kości, sny te były dlań zaskakująco nieprzyjemne. Budził się kilkakrotnie i potrzasał gwałtownie głową, usiłując się ich pozbyć.

Wolałby raczej śnić o Eluardzie. Choć to ona stanowiła przyczynę jego niepokoju, nie ujrzał jej pośród majaków. Nie ujrzał miękkich czarnych włosów, których loki okalały bladą twarz, nie ujrzał zielonych oczu, czerwonych ust ani smukłej postaci, od której biła duma i pogarda do świata. Eluarda nałożyła na niego to zadanie, a on podjął się go niechętnie, choć w zasadzie nie miał wyboru. Była co prawda jego kochanką, ale była również jego królową. Tak stanowiła tradycja i dla earla Aubeca inny układ wydarzeń nie wchodził w rachubę. Mienił się Czempionem Lormyru, a zatem właśnie on, nikt inny, powinien posłuchać rozkazu, opuścić pałac i w pojedynkę zdobyć zamek Kaneloon, by go ogłosić częścią Imperium.

Dzięki niemu kronikarze będą pisać, że Imperium królowej Eluardy rozciągało się od Smoczego Morza aż po Kraniec Świata.

Za Krańcem Świata nie było już nic – nic prócz bezkształtnego Chaosu, kotłującego się od Klifów Kaneloon aż po wieczność, wirującego i mieniącego się niezliczonymi kolorami, formującego potworne kształty. Albowiem tylko Ziemia, która dryfowała w morzu Chaosu od wielu eonów, była tworem Porządku złożonym z materii zorganizowanej.

Rankiem earl Aubec z Maladoru wygasił latarnię, nałożył kolczugę i hełm strojny w czarne pióra, przypasał szeroki miecz, a następnie opuścił kamienną wieżę, pozostałość po jakiejś starożytnej budowli.

Stopy odziane w skórzane buty co rusz potykały się o kamienie, które sprawiały wrażenie częściowo rozpuszczonych, zupełnie jak gdyby niegdyś Chaos sięgał aż tu, miast rozbijać się o Klify Kaneloon. Było to oczywiście całkiem niemożliwe, gdyż granice Ziemi od zawsze uważano za stałe i niezmiennie.

Zeszłej nocy Aubec mógłby przysiąc, że zamek znajduje się nieco bliżej. Po chwili zrozumiał, że za owo wrażenie odpowiadały ogromne rozmiary budowli. Szedł ku klifom wzdłuż rzeki – stopy grzęzły mu w podmokłej glebie, a masywne konary drzew osłaniały go przed coraz gorętszymi

promieniami słońca. Kaneloon, który wyrastał teraz wysoko nad nim, chwilowo znikł z pola widzenia. Aubec wiele razy musiał używać miecza w charakterze siekiery, by wyrąbać sobie drogę w miejscach, gdzie zarośla stawały się szczególnie gęste.

Kilkakrotnie przystawał na odpoczynek. Pił wówczas zimną wodę z rzeki, obmywał twarz i głowę. Nie spieszyło mu się, bo nie miał najmniejszej ochoty na wizytę w Kaneloon. Irytowała go ta przerwa w jakże zasłużonym, spokojnym życiu u boku Eluardy. Co więcej, podzielał przesądny lęk przed tajemniczym zamczyskiem, w którym wedle opowieści mieszkała jedna tylko osoba – Mroczna Pani, czarodziejka bez litości, dowodząca legionem demonów i stworów Chaosu.

Dotarłszy w południe do klifów, z mieszaniną ulgi i niepokoju przyjrzał się wiodącej na górę ścieżce. Zakładał, że będzie musiał się wspinać, ale nie należał do ludzi, którzy obierają trudniejszą drogę, gdy pojawia się łatwa. Zarzucił więc pętlę na miecz, zbyt długi i niewygodny, by w tych warunkach nosić go u pasa, przytroczył go do pleców i, nadal w złym humorze, rozpoczął wędrówkę wijącą się ścieżką.

Kryte porostami skały na pewno były niezmiernie stare, co przeczyło spekulacjom tych lormyriańskich filozofów, którzy pytali, dlaczego pierwsze wzmianki o Kaneloon pojawiły się dopiero kilka pokoleń temu. Aubec podzielał powszechne przekonanie, w myśl którego odkrywcy nigdy wcześniej nie zapuszczali się w te rejony. Spojrzał za siebie i ujrzał daleko w dole wierzchołki drzew i ich gałęzie lekko rozkołysane na wietrze. Wieża, w której spędził noc, była ledwie widoczna. Za nią nie było już cywilizacji, żadnych posterunków ludzi przez wiele, wiele dni podróży na północ, wschód bądź zachód – na południu bowiem rozciągał się Chaos. Nigdy dotąd Aubec nie dotarł tak blisko skraju świata i zastanawiał się teraz, jaki wpływ na jego umysł wywrze widok bezkształtnej materii.

Gdy wreszcie dotarł na szczyt, skrzyżował ręce na piersi i wbił wzrok w zamek Kaneloon, wznoszący się ku niebu w odległości mili. Najwyższe wieże niknęły w chmurach, a masywne mury, głęboko osadzone w skale, ograniczały tylko skraj przepaści. Po drugiej stronie dojrzał falującą substancję Chaosu, która rozbijała się o klif niczym morskie fale zaledwie kilka stóp od zamku. Teraz mieniła się szarością, błękitem, brązem i żółcią,

choć kolory bez przerwy się zmieniały.

Widok niemożliwego do opisania bezmiaru był tak przytłaczający, że Aubec zamarł w bezruchu na długą chwilę, oszołomiony własną maleńkością. Uświadomił sobie, że jeśli ktokolwiek naprawdę mieszka w zamku Kaneloon, musi to być osoba o żelaznej, nieprzejednanej woli, gdyż w przeciwnym razie z pewnością ogarnęłoby ją szaleństwo. Westchnął i ruszył w kierunku celu wędrówki, zauważając po drodze, że ziemia jest całkowicie płaska, bez najmniejszych wypaczeń. Zielona, obsydianowa powierzchnia odbijała płąsy substancji Chaosu, od których z takim uporem odwracał spojrzenie.

Do Kaneloon prowadziło wiele bram, wszystkie ciemne i w równym stopniu niegościnne. Gdyby nie to, że wykonano je z zachowaniem regularnych proporcji, przypominałyby raczej wejścia do jaskiń.

Aubec zatrzymał się, próbując zdecydować, które wejście wybrać, a potem z całą stanowczością ruszył w kierunku jednego z nich. Wkroczył w ciemność, która wydawała się rozciągać w nieskończoność. Otoczyły go zimno i pustka. Był sam.

Szybko się zgubił. Odgłos jego kroków nie rozbrzmiewał w przejściu echem, co całkiem go zaskoczyło. Wkrótce zaczął dostrzegać jakieś kształty, zupełnie jakby się znalazł między ścianami krętego korytarza. Miał wrażenie, że owe ściany nie dotykają sufitu, którego obecności zresztą nie wyczuwał, ale kończą się kilkanaście jardów ponad jego głową. Znalazł się w labiryncie. Zatrzymał się, obejrzał i uświadomił sobie z przerażeniem, że ścieżka za jego plecami rozbiega się w wielu kierunkach, choć był pewien, że jak dotąd szedł prosto.

Na krótką chwilę poczuł się całkiem wyprowadzony z równowagi. Miał wrażenie, że szaleństwo jest już o krok od niego, ale odegnał je, zdusił i drżąc na całym ciele, wyszarpnął miecz z pochwy. Którędy? Szedł, nie potrafiąc stwierdzić, czy posuwa się naprzód, czy cofa ku wyjściu.

Zepchnięte do głębokich zakamarków umysłu szaleństwo z wolna przeradzało się w strach, a gdy ten wypłynął na wierzch, pojawiły się kształty – szybko przemykające ze wszystkich stron, bełkoczące, potworne, przerażające.

Jeden z nich skoczył, a Aubec zamachnął się mieczem. Istota umknęła,

najwyraźniej niedraśnięta. Potem pojawiła się kolejna i jeszcze jedna. Wojownik szybko zapomniał o lęku, tnąc naokoło, aż wszystkie obce stwory rzuciły się do ucieczki. Wtedy zatrzymał się i oparł na mieczu, ciężko dysząc, lecz wówczas strach począł na nowo przepęlniać jego ciało.

Aubec dostrzegł kolejne istoty, z szerokimi, płonącymi oczyma i ostrymi szponami. Szydziły z niego, a ich oblicza przypominały twarze starych przyjaciół i krewnych wykrzywione jakby w okrutnej parodii. Zaszarżował z krzykiem, zataczając kręgi ogromnym mieczem, tnąc i rąbiąc, przedzierając się przez jedną grupę tylko po to, by za zakrętem labiryntu napotkać kolejną.

Biegł, aż doścignął go złośliwy, grzmiący śmiech, zwielokrotniony echem w krętych korytarzach. Potknął się i wpadł na ścianę. W pierwszej chwili wydała mu się solidną, twardą konstrukcją, lecz zaraz potem zaczął w nią wnikać, aż w końcu jego ciało leżało częściowo w jednej odnodze labiryntu, a częściowo w drugiej. Przepęlnął na drugą stronę, a tam, wciąż na kolanach, ujrzał Eluardę. Gdy utkwiał w niej spojrzenie, jej twarz zaczęła się starzeć.

Oszalałem, pomyślał. Czy to rzeczywistość, czy tylko fantazje? A może i jedno, i drugie?

– Eluardo! – krzyknął, wyciągając rękę.

Znikła, a w jej miejsce pojawiła się horda demonów. Poderwał się, zatoczył mieczem łuk, lecz stworzenia odskoczyły poza zasięg klingi. Aubec ryknął, rzucając się do natarcia. Wysiłek sprawił, że strach znów go opuścił, a wraz z nim znikły wizje. Uświadomił sobie wówczas, że to właśnie trwoga je rodzi i postanowił w duchu, że nie pozwoli jej więcej dojść do głosu.

Ogromnym wysiłkiem woli niemalże zdołał wymusić na sobie spokój, lecz już w chwilę później strach eksplodował ponownie. Jednocześnie ściany zaczęły wypluwać kolejne potwory, a ich przeraźliwe, pełne upiornej złośliwości wrzaski wypełniły echem korytarz.

Tym razem Aubec nie zaatakował mieczem. Stał w miejscu najspokojniej, jak potrafił i skupił się na swym wnętrzu. Niespodziewanie stwory zaczęły blednąć, a ściany labiryntu znikać. Przeniósł się w sam środek pięknej, cichej, wręcz idyllicznej doliny, ale wystarczyło, by tego

zapraǳnął, a znów widział nikły zarys korytarza i ohydne postacie przemyskające w ciemności.

Doszedł wówczas do wniosku, że wizja doliny to iluzja w takim samym stopniu, co labirynt. Z chwilą, gdy to zrozumiał, zarówno dolina, jak i labirynt rozplynęły się, zastąpione przez ogromną, pięknie umeblowaną salę, która mogła się znajdować jedynie w zamku Kaneloon.

Nie dostrzegał wokół żywej duszy, nie widział też źródła światła, choć było jasno. Ruszył w kierunku stołu, na którym piętrzyły się zwoje. Ku jego uldze kroki rozbrzmiały echem. Wzdłuż ścian widział kilka obitych żelazem drzwi, lecz póki co nie chciał badać, dokąd prowadzą. Bardziej ciekawiły go stosy papierów, gdyż miał przecucie, że pomogą mu one rozwikłać tajemnicę Kaneloon.

Oparł miecz o stół i ujął pierwszy zwój z brzegu.

Jego oczom ukazały się czarne litery, kunsztownie wykaligrafowane na czerwonym papierze welinowym, ale z zaskoczeniem odkrył, że nie potrafi ich odczytać. Zdziwiło go to niepomiernie, bo chociaż w różnych krainach Ziemi mówiono inaczej, wszystko to były dialekty tego samego języka. Na kolejnym zwoju zobaczył jeszcze inne znaki, a na trzecim serię stylizowanych obrazków, które powtarzały się z taką regularnością, jakby były znakami jakiegoś alfabetu. Zniechęcony, Aubec odrzucił zwój, ujął miecz, nabrał tchu w płuca i wykrzyknął: – Niech ci, którzy mieszkają w tym miejscu, wiedzą, że Aubec, earl Maladoru, Czempion Lormyru i Zdobywca Południa, obejmuje ten zamek w posiadanie w imię królowej Eluardy, Cesarzowej Południa!

Gdy wybrzmiały tak dobrze mu znane słowa, niespodziewanie poczuł się raźniej, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Uniósł nieco hełm i podrapał się po szyi, a potem oparł miecz o ramię i ruszył ku największym drzwiom.

Otworzyły się, nim zdążył do nich dotrzeć. Od progu szczyrzył do niego zęby ogromny, człekokształtny potwór ze szponami przypominającymi kotwiczki abordażowe. Aubec cofnął się o krok, a potem o kolejny, widząc jednak, że przerażająca istota nawet nie drgnęła, zamarł i zaczął jej się przyglądać.

Wzrostem przewyższała go o stopę lub nawet nieco więcej. Miała owalne oczy złożone z niezliczonej ilości sześciokątów, które ze względu na swą

konstrukcję wydawały się puste. Skóra kanciastej twarzy była szara, lecz połyskiwała metalicznie. Ciało tworzyły płyty z wypolerowanego metalu połączone na podobieństwo zbroi. Na głowie nosiła ciasno dopasowany kaptur nabijany mosiężnymi ćwiekami. Otaczała ją aura niezmierzonej, niepokonanej mocy, choć dotychczas przerażająca istota nie zrobiła ani kroku.

– Golem! – wykrzyknął Aubec. Wydawało mu się, że przypomina sobie podobne, wykonane przez człowieka stwory z legend. – Cóż za moc cię zrodziła?

Golem nie odpowiedział, ale jego ręce – a każda miała postać czterech metalowych kolców – zaczęły się wolno unosić, jakby w przygotowaniu do walki. Przez cały ten czas potwór nie przestawał się złowieszczo uśmiechać.

Aubec wiedział, że to stworzenie nie było nierealne i amorficzne jak owe wizje, z którymi walczył wcześniej. Tym razem stał twarzą w twarz z prawdziwym, materialnym przeciwnikiem o potęgę tak ogromną, że nie mógłby go pokonać bez względu na to, jak bardzo by się starał. O odwrocie również nie było już mowy.

Metalowe stawy zazgrzytały i golem wszedł do sali. Wyciągnął lśniące członki w kierunku człowieka. Aubec mógł się rzucić do ataku lub ucieczki. Ucieczka mijała się z celem, pozostał więc tylko atak.

Zacisnął miecz w obu dłoniach i natarł. Ciął z boku w tors, który wydawał się najsłabszym elementem bezmyślnej istoty. Golem zastawił się jednak ręką, miecz szczęknął głośno w zderzeniu z metalem, a Aubec aż zadygotał. Cofnął się na miękkich kolanach, a pozbawiony emocji stwór niewzruszenie postępował w ślad za nim.

Aubec omiół salę wzrokiem w poszukiwaniu broni potężniejszej od miecza, lecz dostrzegł jedynie ozdobione ornamentami tarcze na ścianie po prawej. Odwrócił się, podbiegł do ściany, ściągnął podłużną tarczę o nierównych brzegach i wsunął w nią rękę. Składała się z kilku warstw drewna i była niezmiernie lekka. Choć wyglądała krucho i delikatnie, poczuł się dzięki niej nieco raźniej.

Tymczasem golem atakował. Aubec odniósł wrażenie, że widzi w nim coś znajomego, podobnie jak w demonach w labiryncie, lecz było to

niezwykle ulotne uczucie. Doszedł do wniosku, że osobliwa magia Kaneloon zaczyna oddziaływać na jego umysł.

Potwór uniósł prawą rękę zbrojną w kolce i wymierzył szybki cios w głowę przeciwnika. Aubec uniknął uderzenia, zasłaniając się mieczem. Kolce zaiskrzyły na klindze, a wtedy lewe ramię potwora wystrzeliło w kierunku jego brzucha. Powstrzymał atak tarczą, choć kolce przebiły ją w kilku miejscach. Wyrwał ją jednym szarpnięciem, tnąc jednocześnie w nogi golema.

Odwrócił się i wskoczył na stół, roztrzając zwoje, a golem ruszył za nim. Nie patrzył na człowieka – nadal obserwował jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni, wydawać by się mogło, że wręcz nie jest zainteresowany przeciwnikiem. Aubec z Maladoru spuścił mu ostrze na głowę, roztrzaskując mosiężną opaskę wraz z kapturem i nacinając czaszkę. Golem zachwiał się i złapał brzegu stołu, próbując uniknąć upadku. Stół runął i Aubec zmuszony był zeskoczyć na podłogę. Przypadł do drzwi i szarpnął za pierścień pełniący rolę klamki. Drzwi ani drgnęły.

W trakcie walki miecz się stępił i wyszczerbił. Aubec przywarł plecami do drzwi, a w tej samej chwili golem znalazł się tuż przy nim i spuścił najeżoną kolcami pięść na wzniesioną tarczę, rozbijając ją w drzazgi. Ramieniem Aubeca targnął okropny ból. Zaatakował, ale nie nawykł do zadawania ciosów ogromnym mieczem z tak bliskiego dystansu i cięcie okazało się niezdarne.

Wiedział, że jego los jest przesądzony. Siła i umiejętności szermiercze nie zdawały się na wiele w starciu z niezniszczalną istotą. Gdy opadał na niego kolejny cios, zdążył uskoczyć w bok, ale jeden z kolców zahaczył go i przebił zbroję, choć nie towarzyszył temu ból.

Odzyskał równowagę i odrzucił resztki tarczy, ponownie mocno ujmując miecz.

Ten pozbawiony duszy demon nie ma żadnej słabości, pomyślał. Nie kieruje się także inteligencją, a więc nie można wykorzystać przeciwko niemu jego własnego sprytu. Czego więc może bać się golem?

Odpowiedź była prosta: golem odczuwa strach tylko przed czymś równie silnym lub silniejszym od niego samego.

Aubec musiał skorzystać z fortelu.



Z golemem następującym mu na pięty podbiegł do przewróconego stołu, przeskoczył przez niego i gwałtownie skręcił. Golem potknął się, ale nie upadł, na co Aubec liczył. Zwolniło go to jednak na chwilę i wojownik błyskawicznie wykorzystał moment, by doskoczyć do drzwi, przez które wszedł jego oprawca. Otworzyły się. Wybiegł w tonący pośród cieni przypominający labirynt korytarz pełen zakrętów, w którym się znalazł po wejściu do Kaneloon. Drzwi zamknęły się za nim, ale nie miał nic, czym mógłby je podeprzeć lub zabarykadować. Rzucił się do biegu, a za jego plecami golem roztrzaskał przeszkodę i ruszył szybko jego śladem. Dudnienie ciężkich kroków odbijało się echem od ścian.

Korytarz rozgałęział się i skręcał w najróżniejsze strony. Aubec co rusz tracił golema z oczu, lecz cały czas go słyszał. Co więcej, nieustannie trawił go lęk, że skręci w niewłaściwym kierunku i wpadnie prosto na potwora. Udawało mu się tego uniknąć, aż w końcu natrafił na jakieś drzwi. Otworzył je, a wtedy uświadomił sobie, że znów znalazł się w sali zamku Kaneloon.

Na widok znajomych ścian niemalże odetchnął z ulgą, wtedy jednak usłyszał w oddali metaliczny zgrzyt stawów golema, który znów podjął pościg. Potrzebował kolejnej tarczy, lecz w tej komnacie ściany były nagie. Dostrzegł jedynie ogromne, okrągłe lustro wykonane z lśniącego, gładko wypolerowanego metalu, o wiele za ciężkie, by mógł się nim sprawnie bronić. Mimo to zdjął je z haka. Upadło z brzękiem, lecz pochwycił je za łańcuch, na którym wisiało i powłókł za sobą, usiłując uciec przez golemem, który w międzyczasie dotarł do sali.

Gdy potwór nabrał tempa, Aubec podźwignął lustro niczym prowizoryczną tarczę.

Golem wrzasnął przeraźliwie.

Zdumienie Aubeca z Maladoru nie miało granic. Nieulekła istota stanęła jak wryta i skuliła się. Wojownik postąpił ku niej, nie puszczając lustra, a wtedy odwróciła się i uciekła z metalicznym wyciem, by zaraz potem zniknąć za drzwiami.

Aubec poczuł, jak ogarnia go ulga. Usiadł ciężko na podłodze i przyjrzał się zwierciadłu. Z pewnością nie miało żadnych właściwości magicznych, choć było solidnie wykonane. Uśmiechnął się krzywo i powiedział: – A więc

ten potwór jednak czegoś się boi. Boi się siebie samego!

Odrzucił głowę i wybuchnął głośnym śmiechem. Potem zmarszczył brwi.

– A teraz pora odnaleźć czarowników, którzy go stworzyli, i wyrzucić na nich zemstę.

Dźwignął się na nogi, szczelniej owinął łańcuch lustra wokół przedramienia i podszedł do innych drzwi. Obawiał się, że ogarnięty przerażeniem golem zatoczy łuk w labiryncie i powróci do sali okrężną drogą. Drzwi ani drgnęły, więc uniósł miecz i uderzył kilkakrotnie w klamkę, aż ustąpiły. Wkroczył do jasno oświetlonego korytarza, na końcu którego znajdował się kolejny pokój. Drzwi do niego stały otwarte.

Gdy szedł przed siebie, wyczuł w powietrzu zapach kojarzący się z piżmem – zapach, który przypomniał mu o Eluardzie i wygodach Lormyru.

Komnata, do której trafił, była okrągła i pełniła funkcję sypialni – kobiecej sypialni przepełnionej zapachami perfum, które wyczuł w korytarzu. Poskromił swe pragnienia, przypomniał sobie o lojalności oraz o Lormyrze, a potem podszedł do drugich drzwi. Gdy otworzył je gwałtownie, jego oczom ukazały się kamienne schody biegnące ku górze. Bez wahania podjął wspinaczkę. Mijał po drodze okna, które wydawały się oszklone szmaragdami bądź rubinami. Za nimi przemykały zamazane kształty, dzięki czemu doszedł do wniosku, że znalazł się w części zamku sąsiadującej z falami Chaosu.

Wyglądało na to, że schody wiodą na samą górę jakiejś wieży i gdy w końcu dotarł do niewielkich drzwi na szczycie, był zdyszany i wyczerpany do cna. Zrobił sobie chwilę przerwy, a potem pchnął drzwiczki i wkroczył do środka.

W jednej ze ścian znajdowało się ogromne okno wykonane z przejrzystego szkła, przez które widać było kotłującą się złowieszczą substancję Chaosu. Przy oknie stała kobieta. Nie wyglądała na zaskoczoną wtargnięciem wojownika.

– W istocie jesteś Czempionem, earlu Aubecu – powiedziała z uśmiechem, który mógł zostać wzięty za ironiczny.

– Skąd znasz moje imię?

– Nie musiałam uciekać się do magii, by je poznać, earlu Maladoru. Sam je głośno oznajmiłeś, gdy po raz pierwszy ujrzałeś salę w jej prawdziwym

kształcie.

– Nie musiałaś uciekać się do magii? – zapytał Aubec opryskliwie. – A ten labirynt, demony, a nawet dolina... Czy to wszystko nie magia? Czy ten golem nie został stworzony w magiczny sposób? Czy cały ten przeklęty zamek nie jest dziełem sztuki czarnoksiężskiej?

Kobieta wzruszyła ramionami. – Jeśli chcesz, możesz wszystko nazywać magią, bo prawdy raczej nie poznasz. To, co ty nazywasz magią, jest zaledwie prymitywną sztuką, mdłym odbiciem prawdziwych mocy, które istnieją we wszechświecie.

Nie odpowiedział, bo nie znosił dysput tego rodzaju. Przysłuchując się filozofom Lormyru, już dawno doszedł do wniosku, że tajemnicze, skomplikowane słowa nierzadko odnoszą się do prostych, codziennych rzeczy. Miast tego przyjrzał się kobiecie posępnym wzrokiem.

Miała jasne włosy, jasną cerę, zielononiebieskie oczy i długą szatę tego samego koloru. Na swój własny, tajemniczy sposób była bardzo piękna i podobnie jak wszystkie istoty, które napotkał w Kaneloon, wydawała się odrobinę znajoma.

– Rozpoznajesz Kaneloon? – zwróciła się nagle do niego.

Zignorował jej pytanie.

– Dość tego – rzekł. – Zaprowadź mnie do pana tego zamku.

– Nie ma tu nikogo prócz mnie. Nazywam się Micella i jestem Mroczną Panią, a przy tym również władczynią Kaneloon.

Aubec poczuł się rozczarowany.

– Pokonałem tyle niebezpieczeństw tylko po to, by spotkać ciebie?

– Tak. A owe niebezpieczeństwa były o wiele groźniejsze, niż ci się wydaje, earlu Aubecu. Napotkałeś bowiem potwory z własnej wyobraźni.

– Nie nadużywaj mej cierpliwości, pani.

Micella zaśmiała się.

– Przecież powiedziałam to w dobrej wierze. Zamek wykorzystuje do obrony wszystko to, co zrodzi twój umysł. Rzadko się zdarza spotkać człowieka, który potrafi pokonać własną wyobraźnię. Od ponad dwustu lat nie dotarł tu nikt taki, każdego ze śmiazków pokonywał strach. Aż do tej pory.

Uśmiechnęła się do niego, a był to ciepły uśmiech.

– Co jest nagrodą za tak wielki wyczyn? – zapytał zgryźliwie.

Micella znów wybuchła śmiechem i wskazała okno wychodzące na skraj świata i morze Chaosu.

– Tam, wśród fal Chaosu, nic nie istnieje. Jeśli ośmielisz się tam wejść, nie zastaniesz tam nic materialnego ani prawdziwego. Przyjdzie ci znów mierzyć się z potworami zrodzonymi przez twe własne skryte fantazje.

Wpatrywała się w niego z zachwytem, aż Aubec odkaslnął z zażenowaniem. – Raz na jakiś czas – ciągnęła – pojawia się tu człowiek, który potrafi sprostać takiej próbie. A wtedy granice świata się poszerzają, bo kiedy człowiek zmierzy się z Chaosem, ten musi ustąpić i rodzą się wówczas nowe krainy!

– A więc tak wygląda przeznaczenie, które dla mnie obmyśliłaś, czarodziejko!

Zerknęła na niego z przesadną nieśmiałością. W miarę, jak się jej przyglądał, jej uroda i wdzięk zdawały się przybierać na sile. Podeszła do niego lekkim krokiem i dotknęła niby przez przypadek. Aubec w obronnym geście złapał kurczowo za rękojeść miecza.

– Lecz twa odwaga zostanie wynagrodzona – powiedziała.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nie powiedziała nic więcej o nagrodzie, gdyż nagle stało się oczywiste, na czym będzie ona polegać.

– A potem... potem usłuchaj mych słów i wyrusz w Chaos.

– Pani, zalibyś nie znała rytualnych praw, wedle których Czempion Lormyru ma pozostać wierny i lojalny swej królowej? Nie złamię przysięgi, nie zdradzę zaufania, którym mnie darzy!

Micella roześmiała się głucho.

– Przybyłem tu zniszczyć to, co zagraża królestwu mej władczyni, a nie po to, by stać się twym sługą i kochankiem!

– Nie ma tu żadnego zagrożenia.

– To wydaje się prawdą...

Micella cofnęła się o krok, jakby chciała raz jeszcze ocenić mężczyznę. To, co się przed chwilą stało, było wydarzeniem bez precedensu – nigdy wcześniej nikt nie odrzucił jej propozycji. Podobał jej się ten niewzruszony, obojętny wojownik, który łączył w sobie odwagę z wyobraźnią.

To doprawdy niezwykle, że przez marne kilka stuleci mogą powstać

takie tradycje, pomyślała. Tradycje, które wiążą mężczyznę z kobietą, której ten pewnie nawet nie kocha.

Znów otaksowała go wzrokiem. Stał przed nią sztywny i wyprostowany, lecz znać było po nim zdenerwowanie.

– Zapomnij o Lormyrze – powiedziała. – Pomyśl o mocy, którą mógłbyś zdobyć, o mocy prawdziwego tworzenia!

– Pani, ogłosiłem ten zamek częścią Lormyru. Po to tu przybyłem i nie mam zamiaru o tym zapominać. Jeśli wyjdę stąd żywy, zostanę uznany za jego zdobywcę, a ty będziesz musiała się z tym pogodzić.

Ledwie zarejestrowała te słowa, myśląc gorączkowo, jak przekonać upartego gościa, że jej cel jest o wiele istotniejszy od jego. Może wciąż była w stanie go uwieść? A może trzeba użyć jakichś eliksirów? Nie, wyglądał na takiego, co oparłby się zarówno zalotom, jak i magii. Musiała skorzystać z innego fortelu.

Wpatrując się w niego, czuła, jak piersi wbrew jej woli zaczynają falować. Tak, o wiele bardziej wolałaby go uwieść. Była to nagroda nie tylko dla bohaterów, którym udawało się przewyciężyć niebezpieczeństwa Kaneloon, ale również i dla niej. I nagle uświadomiła sobie, że wie, co należy powiedzieć.

– Pomyśl tylko, earlu Aubecu. Pomyśl o nowych krainach dla swej królowej!

Na czole czempiona wystąpiły zmarszczki.

– Dlaczego nie rozszerzyć granic Imperium? – ciągnęła. – Dlaczego nie zdobyć nowych terytoriów?

Przyglądała się z niepokojem, jak earl ściąga hełm i drapie się po niemalże łysej czaszce.

– Wreszcie powiedziałaś coś, co ma sens – oznajmił niepewnie, z wahaniem.

– Pomyśl o zaszczytach, którymi powitano by cię w Lormyrze, gdyby udało ci się podbić nie tylko Kaneloon, ale i ziemie leżące jeszcze dalej!

Aubec potarł podbródek.

– Dobrze – powiedział, marszcząc wielkie, krzaczaste brwi. – Dobrze.

– Kolejne równiny, kolejne góry i morza... Może nawet kolejne narody! Całe miasta pełne ludzi, którzy dopiero co powstały, a mimo to pamiętają

swych przodków i wcześniejsze pokolenia! Wszystko to może być twoim dziełem, earlu Maladoru! Twoim dziełem dla chwały królowej Eluardy i Lormyru!

Uśmiechnął się blado. Jego wyobraźnia wreszcie zaczęła działać.

– Dobrze! Skoro potrafiłem pokonać wszystkie te niebezpieczeństwa tutaj, dam sobie radę również i na zewnątrz! Będzie to największa przygoda w historii! Moje imię stanie się legendą! Aubec z Maladoru, Władca Chaosu!

Micella spojrzała na niego z czułością, choć właśnie częściowo go oszukała.

Uniósł miecz i oparł go o ramię.

– Podejmę to wyzwanie, pani – powiedział.

Stanęli oboje przy oknie i spojrzeli na substancję Chaosu, falującą, przewalającą się i kształtującą od zarania dziejów. Micella nigdy nie zdołała całkiem się przyzwyczaić do tego widoku, gdyż substancja ulegała ustawicznym zmianom. Obecnie przeważała tam czerwień przemieszana z czernią, z której co rusz wystrzeliwały wijące się bladofioletowe i pomarańczowe strużki. Wszędzie przemykały dziwaczne kształty o niewyraźnych konturach, niemożliwe do rozpoznania czy nazwania.

– Tymi obszarami rządzą Panowie Chaosu – powiedział Aubec. – Cóż oni na to powiedzą?

– Oni nic nie mówią, rzadko też działają. Nawet oni muszą przestrzegać Prawa Kosmicznej Równowagi, które głosi, że jeśli człowiek rzuci wyzwanie Chaosowi, ten ma przyjąć jego zwierzchność i stać się Porządkiem. W ten sposób Ziemia powoli rośnie.

– Jak mam tam wejść?

Micella skorzystała z okazji i złapała go za umięśnioną rękę, by ją unieść i wskazać coś za oknem.

– Widzisz? Tam znajduje się grobla, która wiedzie z wieży w dół klifu. Widzisz?

– Ach, tak. Już widzę. Tak, jest tam grobla.

Uśmiechnęła się lekko do siebie, wciąż stojąc za jego plecami.

– A zatem usunę barierę – powiedziała.

Poprawił hełm na głowie.

– Za Lormyr i Eluardę, gdyż jedynie dla nich podejmuję to wyzwanie.

Czarodziejka otworzyła okno. Nawet na nią nie spojrział, schodząc po grobli w sam środek wielokolorowej mgły.

Patrzyła, jak znika, nadal uśmiechnięta. Jakże łatwo omamić nawet najsilniejszych mężczyzn, udając, że im się ustępuje! Z pewnością przyłączy nowe ziemie do swego Imperium, ale było wielce prawdopodobne, że zamieszkujące je ludy nie będą skore uznać Eluardy za swą władczynię. O tak, jeśli Aubec dobrze wypełni zadanie, stworzy dla Lormyru wielkie zagrożenie, o wiele poważniejsze niż kiedykolwiek przedstawiał sam Kaneloon.

Mimo to czuła dla niego podziw. Co więcej, bardzo ją pociągał, być może przez to, że niełatwo ulegał jej wdziękom i odnosił się do niej z chłodem. Ostatniego bohatera, który ledwie dwa stulecia temu wydarł Chaosowi ziemie, na których znajdowała się teraz ojczyzna Aubeca, nie potraktowała aż tak chłodno. Och, to dopiero był mężczyzna! Ale podobnie jak większość przed nim, nie potrzebował żadnej zachęty poza urokami jej ciała.

Słabością earla Aubeca jest jego siła, doszła do wniosku.

Lecz wojownik zniknął już w falujących mgłach.

Poczuła ukłucie smutku na myśl, że tym razem wypełnienie zadania przydzielonego jej przez Panów Porządku nie przyniesie jej ani odrobiny przyjemności, jak to dotąd bywało. Po chwili uświadomiła sobie jednak, że odczuwa nieco subtelnej rozkoszy, a to dzięki nieprzejednaniu gościa i sposobowi, w jaki go przekonała.

Panowie Porządku powierzyli jej władzę nad Kaneloon i jego sekretami całe wieki temu, ale Ziemia rozrastała się powoli. Nie istniało bowiem wielu bohaterów, którzy potrafiliby pokonać niebezpieczeństwa Kaneloon – niebezpieczeństwa, które tworzyły ich własne umysły. Mimo to z delikatnym uśmiechem na ustach Micella stwierdziła, że powierzona jej misja niesie ze sobą wiele korzyści. Poszła do innej komnaty, by przygotować się do przeniesienia zamku na nowy kraniec świata.

**Robert Weinberg** (ur. 1946) jest posiadaczem jednej z największych na świecie kolekcji starych czasopism, co budzi we mnie ogromną zazdrość. Reputację wyrobił sobie najpierw jako księgarz i zbieracz – jest również właścicielem jedynej w swoim rodzaju kolekcji oryginalnej sztuki, prezentowanej w starych czasopismach – ale rozpoczął publikowanie krótkich form fantastycznych dopiero w 1969 roku. Ci z was, którzy pamiętają stare czasopismo *World of If*, publikujące dzieła debutantów, być może pamiętają również, że Weinberg zdobył bardzo ceniony tytuł Pierwszego w *If*, co zostało ogłoszone w numerze z maja 1969 roku. Zanim pojawiły się jego pierwsze powieści, zredagował kilka godnych uwagi kompilacji, między innymi niezastąpioną *A Biographical Dictionary of Science Fiction and Fantasy Artists (1988)* oraz kilka antologii. Znalazła się wśród nich cała seria opowiadań detektywistyczno-okultystycznych, którą otwierał tekst *The Devils' Auction (1988)*. Opowiadanie to dało początek wielu innym o Sidneyu Taine, detektywie badającym sprawy okultystyczne. W poniższym Taine wpada na trop świętego Graala.

## **Robert Weinberg**

### **SIEDEM KROPLI KRWI**

Sidney Taine, znany w całym Chicago jako „detektyw New Age”, wyciągnął się w fotelu i wbił wzrok w klienta. Jego rozmówcą był niski, przysadzisty mężczyzna w szarym, nieskazitelnie prezentującym się prążkowanym garniturze uzupełnionym ciemnoszarym krawatem. Jego twarz miała ostre, niemalże kanciaste rysy, przez co wyglądała, jakby wycięto ją z bloku granitu, a większą część podbródka porastała ciemna broda.

Gęste brwi nieznajomego zeszły się nagle nad okularami, co przydało mu złowieszczego wyglądu. Szeroki nos przypominał teraz ostry dziób



gigantycznego ptaka drapieżnego. Ten człowiek wyglądał i mówił jak ktoś, kto jest przyzwyczajony do stawiania na swoim.

Przedstawił się jako Ashmedai, nie dając jednak do zrozumienia, czy to imię, czy nazwisko. Z jego płynnych ruchów biła pewność siebie, dzięki czemu Taine od razu się zorientował, że zasłonięte ciemnymi okularami oczy nie są oczami ślepeca. Nie wiedział jednakże, czy chce poznać sekret, który skrywały. Wedle starożytnej hebrajskiej tradycji Ashmedai rządził królestwem demonów.

– Nie jestem królem Arturem – odpowiedział powoli. – Ani rycerzem Okrągłego Stołu. – Nie znoszę bajek. – Przez usta brodacza przemknął blady uśmiech. – Graal, którego szukam, to nie żadna ludowa opowieść. On istnieje naprawdę, a co więcej, zgubiono go gdzieś w Chicago.

– W Chicago? – Taine wstał zza biurka. Czuł się nieswojo, patrząc w ciemne okulary klienta. Twarz Ashmedaia pozostawała tajemnicą. Taine mocno wierzył, że oczy człowieka są odbiciem jego duszy, a tymczasem z jakiegoś powodu Ashmedai postanowił swoje ukryć. Detektyw spojrzał przez okno na taflę jeziora Michigan. Był wysokim, muskularnym mężczyzną zbudowanym niczym rugbista, a każdy jego ruch przywołał na myśl grację skradającego się kota. Irytowali go klienci, którzy mówili zagadkami.

Nad spokojnymi wodami jeziora zbierały się ciemne, groźne chmury. Popołudniowe niebo przecinały migotliwe zygzaki błyskawic idealnie oddające niepokój, który obudził się w sercu Taine'a.

– Zna pan oczywiście teorię – powiedział – wedle której święty Graal nie jest wcale pucharem z Ostatniej Wieczerzy, a naczyniem, w którym schowano płótno okrywające martwego Jezusa? Ci sami uczeni, którzy głoszą tę teorię, twierdzą, że owo płótno należy identyfikować z Całunem Turyńskim.

Ashmedai wzruszył ramionami.

– Czytałem *Całun i Graal* Noela Currera-Briggsa. Rzeczywiście porusza on kilka ciekawych kwestii, ale znaczna część tej książki to jedynie jałowe spekulacje. Zbyt często manipuluje przekładem wczesnych legend, by pasowały do jego hipotez. Co gorsza, wygląda na to, że zupełnie nie domyśla się prawdziwego celu działań Józefa z Arymatei w trakcie

ukrzyżowania i po nim.

Ashmedai zawahał się przy tych słowach.

– A co takiego mu przyświecało? – zapytał Taine, wykorzystując chwilę ciszy. Nieznajomy mówił z głębokim przekonaniem o najbardziej tajemniczej ze wszystkich tradycji okultystycznych.

– Currer–Briggs uznał za całkowity nonsens legendę, wedle której Józef nadstawił Graala, by złapać do niego krople krwi Jezusa ściekające z rany zadanej Włóczęgą Przeznaczenia – odparł Ashmedai. – Pozwolił innymi słowy, by nowoczesny zdrowy rozsądek przeważał nad naukową ciekawością. Zamiast spróbować odnaleźć powód tak osobliwego zachowania Józefa, autor uznał cały ten epizod za oburzający i pozbawiony smaku. Poszukując innego wyjaśnienia dla historii łączących Graala z krwią Chrystusa, Currer–Briggs zaczął rozwodzić się nad poplamionym krwią płótnem wykorzystanym przez Józefa i Nikodema. Naczynie, które zawierało owo płótno, a poplamione było tą samą krwią, uznał za prawdziwego Graala. Ciągnąc swój wywód, nazwał to płótno Całunem Turyńskim.

Ashmedai zachichotał.

– Znakomite ćwiczenie umysłowe, ale w przełożeniu na realia kompletna bzdura. Józef z Arymatei doskonale wiedział, co robi, gdy zbierał krew Zbawiciela do Graala. Currer–Briggs przedstawił wiele faktów, ale prawdziwości rytuału nie uznał.

Taine gwałtownie wciągnął powietrze. Niespodziewanie dotarło do niego, co Ashmedai ma na myśli.

– Czarna magia opiera się na wykorzystaniu krwi. Zaś krew Chrystusa...

– ...będzie mogła działać cuda – dokończył Ashmedai. – Zwłaszcza w Kielichu Setha.

Taine zwęził oczy. Niewielu ludzi wiedziało o istnieniu owianego tajemnicą Kielicha. On sam dowiedział się o nim po wielu latach badania najciemniejszych sekretów nadprzyrodzonej strony życia. Znów zadał sobie w myślach pytanie, kim tak naprawdę jest Ashmedai i jakimi dysponuje źródłami informacji.

– Wedle Zaginionych Apokryfów Seth, trzeci syn Adama i Ewy, udał się w podróż do rajskiego ogrodu – powiedział. – Otrzymał wtedy od Pana

kielich na znak tego, że Bóg nie opuścił ludzkości.

– Pańska reputacja jest doprawdy zasłużona, co niezmiernie mnie cieszy  
– stwierdził Ashmedai. – Trudno przypuszczać, by zwykły detektyw wiedział takie rzeczy.

– Nie jestem zwykłym detektywem.

– Gdyby pan był, nawet by mnie pan tu nie zobaczył, Taine – zachichotał cicho Ashmedai. – Kielich, ów talizman niezmierzonej mocy, przechodził z pokolenia na pokolenie w ręce największych magów przez całe wieki, aż został ofiarowany Jezusowi przez jednego z jego uczniów. Ten sam Kielich zyskał później rozgłos jako święty Graal.

– Który pana zdaniem znajduje się teraz w Chicago – w głos Taine’a wkradła się nutka sceptycyzmu.

– Mam całkowitą pewność, że tak jest. – Ashmedai sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wyciągnął zwitek banknotów ciasno związany gumką. Niedbałym gestem rzucił pieniądze na biurko. – Zapłacę panu pięć tysięcy dolarów za znalezienie Kielicha. Stanowi moją własność i chcę go odzyskać. Proszę nie zadawać żadnych pytań. Jeśli chce pan więcej pieniędzy, proszę tylko dać znać.

Taine spojrział na zwitek, a potem na Ashmedaia. Przenosił wzrok z pieniędzy na klienta i z powrotem, nie odzywając się słowem.

– Nie ma się pan czego obawiać – ciągnął brodac. – To legalnie zarobione pieniądze. Przez lata inwestowałem w obligacje długoterminowe i sporo na tym zyskałem. Pieniądze to dla mnie tylko środek do osiągnięcia celu.

Taine wciąż nie wyciągał ręki po zwitek. Wykonując zlecenia dla swoich klientów, raczej nie miał nic przeciwko naginaniu prawa, gdy zachodziła taka konieczność, ale trzymał się też surowego kodeksu etycznego, którego nie chciał łamać. Zajmowanie się kradzionymi relikwiami zdecydowanie poza ten kodeks wykraczało.

– Jeśli mam przyjąć to zlecenie, muszę poznać kilka szczegółów – zastrzegł. – Utrzymuje pan, że Kielich do pana należy. Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? W jaki sposób Kielich został panu skradziony?

– Robi się pan podejrzliwy, Taine? – w głosie Ashmedaia pobrzmiwało rozbawienie. – Zapewniam pana, że moje prawa do Kielicha są bardziej

uzasadnione od praw większości tych, którzy je sobie przypisują.

Zawahał się, jakby próbował zdecydować, co jeszcze powiedzieć.

– Szczegóły wydarzeń związanych z Kielichem po Ukrzyżowaniu są owiane tajemnicą. Wedle legendy arturiańskiej Józef przywiózł go do Anglii, kilka źródeł okultystycznych utrzymuje, że trafił w ręce Szymona Czarodzieja. Czytałem nawet pewne opracowanie, wedle którego naczynie znalazło się na dworze Karola Wielkiego. – Pokręcił głową niemalże z konsternacją. – Nikt nie zna całej prawdy, choć ja przypuszczam, że historia Kielicha jest o wiele mniej barwna, niż głoszą to opowieści.

– Zarówno Graal, jak i Józef z Arymatei zniknęli niedługo po pogrzebie Chrystusa i ich dalsze losy spowił mrok dziejów – ciągnął. – W międzyczasie zarówno Józef, jak i samo naczynie urosły do rozmiarów legendy. W 1907 roku archeolodzy prowadzący wykopaliska niedaleko Damaszku odnaleźli wspaniałą srebrny kielich, na którym umieszczono niezmiernie szczegółowe sceny z Ostatniej Wieczerzy. Po analizie porównawczej z innymi tego typu naczyniami ustalono, że znalezisko pochodzi z piątego wieku naszej ery.

– Po zawarciu kilku dyskretnych porozumień finansowych z kilkoma przedstawicielami rządowymi, odkrywcy Kielicha z Damaszku wystawili go na aukcji, gotowi sprzedać go temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. Pewien syryjski handlarz antyków, reprezentujący bliżej nieznanego amerykańskiego milionera, zakupił go wówczas za sumę siedmiuset tysięcy dolarów. Podobnie jak setki innych znalezisk, Kielich został ukryty gdzieś na terenie ogromnej kalifornijskiej posiadłości tajemniczego Amerykanina.

– Kielich z Damaszku i święty Graal... – zaczął Taine.

– ...to jedno i to samo – dokończył Ashmedai. – Jakiś zdolny kowal powłókł Kielich Seta cienką warstwą pięknie zdobionego metalu, jednocześnie chroniąc go i maskując jego tożsamość. Prawda wyszła na jaw dopiero po długich, drobiazgowych badaniach naukowych przeprowadzonych w posiadłości milionera. Pod srebrną powłoką krył się prawdziwy Kielich z Ostatniej Wieczerzy. Przez kilka dekad bez sukcesu próbowałem odkupić ten artefakt, ale nowy właściciel nie chciał się z nim rozstać. Im więcej oferowałem, tym bardziej obstawał przy swoim. Po jego śmierci spadkobiercy kontynuowali tę politykę. Wreszcie w tym roku

wzrost podatków i malejące zyski na skutek kilku nietrafionych inwestycji spowodowały, że zdecydowali się ustąpić. Zażądali bajońskiej sumy, ale w końcu Graal stał się moją własnością.

– I zaraz po tym został skradziony.

– Tak naprawdę to nawet nie ujrzałem go na oczy – z goryczą odparł Ashmedai. – Zeszłej nocy dwóch konwojentów przyleciało z Graalem na lotnisko O’Hare. Wyjechali tuż po dziewiątej wieczorem w wynajętej limuzynie, kierując się do mojej posiadłości w Illinois. Od tego czasu nikt o nich nie słyszał.

– A policja? – zapytał Taine.

– Czekają na żądanie okupu. Banda głupców, traktują to zdarzenie jak kradzież dzieła sztuki.

– A pan nie?

– Graal jest najbardziej pożądanym talizmanem magicznym na świecie. Sądziłem, że nikt poza mną nie wiedział, gdzie się znajduje. Okazało się, że nie miałem racji. Ktoś ukradł Kielich, a teraz planuje wykorzystać go do własnych celów. Nie mam pojęcia, cóż takiego mu przyświeca, ale znając moc, która drzemie w Graalu, drzę na samą myśl o możliwych konsekwencjach.

Taine pokiwał głową. Zmartwienie przebijające z głosu Ashmedaia z pewnością nie było udawane, ale ten człowiek wciąż budził w nim pewne wątpliwości.

– A pańskie plany związane z Graalem?

– Gdybym zamierzał wykorzystać Graala do szerzenia zła, ukradłbym go całe lata temu. Zamiast tego odczekałem swoje i nabyłem go legalnie. Nigdy nie planowałem popełniać przy jego pomocy przestępstw. – Ashmedai na chwilę zamilkł. – Moja kolekcja rzadkich artefaktów okultystycznych nie ma sobie równych. Powód, dla którego je zbieram, to tylko i wyłącznie moja sprawa. Graal powinien znaleźć się wśród nich, powinien być dobrze strzeżony i chroniony przed zakusami małoszkowatych ludzi.

Jego głos nagle stał się lodowato zimny.

– Niełatwo mnie rozdrażnić, panie Taine, ale ten, kto ukradł Graala, pożałuje tego. Gorzko tego pożałuje.

Uwadze Taine’a nie umknął fakt, że Ashmedai nawet jednym słowem nie

okazał troski o los dwóch konwojentów – jedyną rzeczą, której pragnął, był Graal, nie liczyło się dla niego nic więcej.

– Mam kilka pomysłów – rzekł, rozpierając się w fotelu. – Mam też kilku ludzi do obdzwonienia.

Podsunał klientowi kartkę papieru i długopis.

– Proszę mi zostawić numer, pod którym będę mógł pana złapać.

– Niech pan dzwoni w dzień lub w nocy – polecił mu Ashmedai, zapisując numer. – Niech się pan odezwie, gdy tylko zlokalizuje pan Kielich. Pojawię się bezzwłocznie.

– Jeśli można go znaleźć, to go znajdę.

– To właśnie o panu mówią i właśnie dlatego pana zatrudniłem. Życzę szczęśliwych poszukiwań.

Ni z tego, ni z owego Taine poczuł, że co jak co, ale szczęście bardzo mu się przyda.

Siedem godzin później ze znużeniem pchnął drzwi prowadzące do „Pajęczyny” w północnozachodnim Chicago. Jak dotąd żaden kontakt, z usług którego zazwyczaj korzystał, nie miał nic do powiedzenia na temat zaginionej relikwii. Jego własne dochodzenie przeprowadzane na terenie lotniska również nie przyniosło rezultatów. Taine z niechęcią przyznał, że w tej sytuacji ostatnią deską ratunku była „Pajęczyna”. Musiał zasięgnąć języka u właściciela lokalu, Sala „Pajaka” Albańczyka.

Według innych przestępców Albańczyk zawdzięczał przezwisko temu, że maczał palce w praktycznie każdym rodzaju działalności kryminalnej na terenie Chicago. Kradzieże, handel bronią, prostytutka, rozprowadzanie narkotyków i morderstwa stanowiły dla niego chleb powszedni. Niczym śmiercionośny pająk, szef wielkiej szajki przestępczej rozpinał swe sieci po całym Wietrznym Mieście.

Inni twierdzili, że przydomek wziął się z jego wyglądu, był to bowiem niezmiernie gruby, podstarzały mężczyzna, który zawsze ubierał się na czarno, przez co przywodził na myśl gigantycznego pajęczaka. Wizerunku dopełniały stalowe spojrzenie oraz czarne jak noc oczy.

Tylko nieliczni wybrańcy wiedzieli o kontaktach Albańczyka z mroczną stroną świata. Mieli oni okazję ujrzeć straszliwe blizny na plecach grubasa i znali prawdziwe znaczenie jego pseudonimu. Do tej grupy zaliczał się

Sidney Taine. Detektyw bynajmniej nie uważał się za wielbiciela gangstera, ale obaj należeli do bractwa wtajemniczonych okultystów. Z tego też powodu mógł bez zbędnych ceregieli wchodzić do jego biura.

– O, Taine – burknął Albańczyk, machając ogromną, tłustą dłonią. W drugiej trzymał prawie półmetrową bułkę z kotлетem. Pająk nigdy nie przestawał jeść, nieustannie faszerował swoje rozdęte, ważące sto pięćdziesiąt kilo cielsko. – Kopę lat. Wrzucisz coś na ruszt?

– Nie, dzięki. – Taine skinął głową w kierunku Tony’ego Bracco i Lea Scaglii, dwóch nieodłącznych ochroniarzy Albańczyka. Tony, niski, ale zbudowany jak buldożer, zmrużył lekko oczy, Leo, jego wysoki, chudy partner, który posługiwał się nożem ze zręcznością chirurga, wyszczerzył zęby i również skinął. Ćwiczył w tej samej siłowni co Taine i nieraz już rozgrywali bokserskie sparingi na tamtejszym ringu.

Albańczyk pożarł kanapkę w mgnieniu oka. Sięgając po leżącą na biurku tacę, wychylił kufel piwa, a następnie uniósł do ust kolejną, równie wielką bułkę z mięchem. Dopiero trzecia lub czwarta była w stanie zaspokoić jego głód.

Gawędzili przez parę minut, głównie na temat Chicago Bulls i Bears & Cubs. Albańczyk żywo interesował się sportem – było nie było, dzięki zakładom bukmacherskim łatwiej płacić rachunki. W końcu gangster przeszedł do rzeczy.

– Co sprowadza do mnie twoje dupsko, Taine? – zapytał, wbijając zęby w trzecią kanapkę. Ostrożnie starł plamki tłuszczu z koszuli. – Z tego, co gadałeś przez telefon, wykumałem, że to raczej nie wizyta towarzyska. Dla Bractwa robisz?

– Nie dziś – odparł Taine. – Prowadzę dochodzenie w sprawie kradzieży. Mój klient jest gotów zapłacić sporo szmalu za zwrócenie mu pewnego przedmiotu. Tylko żadnych pytań. No i pomyślałem sobie, że poproszę cię o pomoc. Masz w końcu sporo użytecznych kontaktów.

– Kumplowi zawsze chętnie pomogę. – Albańczyk ugryzł kolejny kęs. – Co się zapodziało?

– Srebrny puchar. Bardzo stary przedmiot o religijnym znaczeniu, zwany też Kielichem z Damaszku.

Albańczyk zamarł z szeroko rozdziawionymi ustami, z zębami niemalże

dotykającymi kanapki. Musiało minąć kilka sekund, nim powoli i ostrożnie odłożył ją na biurko.

– Zamotana sprawa – stwierdził, lecz nie zabrzmiał przekonująco.

– Co, sprawa Kielicha?

– Nic nie wiem o żadnym pieprzonym Kielichu – warknął. – Moi ludzie nie zajmują się podwędzaniem relikwii, Taine. To nie w moim stylu.

Wielki gangster wydawał się rozgniewany. Wpatrywał się wyzywająco czarnymi oczami w detektywa, zupełnie jakby się spodziewał kontrataku. Taine wyczuł jednakże coś innego w jego zachowaniu – strach.

Gawędzili przez parę minut, głównie na temat Chicago Bulls i Bears & Cubs. Albańczyk żywo interesował się sportem – było nie było, dzięki zakładom bukmacherskim łatwiej płacić rachunki. W końcu gangster przeszedł do rzeczy.

– Co sprowadza do mnie twoje dupsko, Taine? – zapytał, wbijając zęby w trzecią kanapkę. Ostrożnie starł plamki tłuszczu z koszuli. – Z tego, co gadałeś przez telefon, wykumałem, że to raczej nie wizyta towarzyska. Dla Bractwa robisz?

– Nie dziś – odparł Taine. – Prowadzę dochodzenie w sprawie kradzieży. Mój klient jest gotów zapłacić sporo szmalu za zwrócenie mu pewnego przedmiotu. Tylko żadnych pytań. No i pomyślałem sobie, że poproszę cię o pomoc. Masz w końcu sporo użytecznych kontaktów.

– Kumplowi zawsze chętnie pomogę. – Albańczyk ugryzł kolejny kęs. – Co się zapodziało?

– Srebrny puchar. Bardzo stary przedmiot o religijnym znaczeniu, zwany też Kielichem z Damaszku.

Albańczyk zamarł z szeroko rozdziawionymi ustami, z zębami niemalże dotykającymi kanapki. Musiało minąć kilka sekund, nim powoli i ostrożnie odłożył ją na biurko.

– Zamotana sprawa – stwierdził, lecz nie zabrzmiał przekonująco.

– Co, sprawa Kielicha?

– Nic nie wiem o żadnym pieprzonym Kielichu – warknął. – Moi ludzie nie zajmują się podwędzaniem relikwii, Taine. To nie w moim stylu.

Wielki gangster wydawał się rozgniewany. Wpatrywał się wyzywająco czarnymi oczami w detektywa, zupełnie jakby się spodziewał kontrataku.



Taine wyczuł jednakże coś innego w jego zachowaniu – strach.

– Jesteś pewien? – spróbował raz jeszcze.

– Nie wierzysz w to, co mówię? – Mięiste dłonie Albańczyka zacisnęły się w pięści. – Nie lubię, jak mnie kto nazywa kłamcą.

– Nie obrażaj się, Sal – Taine próbował załagodzić sytuację. Robienie sobie wroga z gangstera miało się z celem. – Po prostu założyłem, że mając tyle kontaktów, będziesz znał szczegóły kradzieży.

– Nic do mnie nie dotarło – odparł Albańczyk, nadal nieprzekonująco. – No, a teraz zbieraj się, Taine. Mam kilka spraw do obgadania z chłopakami. Nie marnuj mojego czasu na pieprzenie o głupotach.

Taine odwrócił się w stronę drzwi, a wtedy kątem oka dostrzegł drobny gest wykonany przez Lea Scaglię. Wysoki ochroniarz odwrócony tak, by tylko detektyw mógł dostrzec jego sygnał, poruszył dłonią, jakby chciał powiedzieć: później. Taine skinął lekko głową i wyszedł.

Gdy godzinę później w jego biurze odezwał się telefon, złapał za słuchawkę, nim przebrzmiał pierwszy sygnał. Dzwonił Scaglia. Głos miał tak stłumiony, że trudno było go rozpoznać.

– Chcesz informacji o Kielichu? – zapytał prosto z mostu. – Wiem, gdzie jest.

– Sal go ma? – Taine nie wiedział już, w co wierzyć.

– Gdzie tam, przecież on nie tknie niczego, co ma związek z religią. Znasz go. Wie o wszystkim, co się dzieje w interesie, ale wtedy w klubie był za bardzo spękany, żeby ci powiedzieć. Podejrzewa, że ktoś sprzedaje wszystkie nasze sekrety tym pieprzniętym Jamajczykom. Bracco od jakiegoś czasu dziwnie się zachowuje, szasta forszą na prawo i lewo, a mordą mu się nie zamyka. Szef kazał mi zadzwonić później, niby prywatnie. Twierdzi, że pewnie będziesz chciał znać prawdę. Kielich podwędził ten popapraniec, Król Wedo.

– Król Wedo? – powtórzył Taine, całkiem zaskoczony. Nigdy nie spotkał tajemniczego szefa jamajskiej mafii, ale sporo o nim słyszał. W niecały rok od pojawienia się w Chicago Jamajczyk wyrobił sobie reputację bezlitosnego zabójcy–sadysty ze skłonnością do dziwactw.

– Sal trzęsie portkami i ma ku temu powody – ciągnął Scaglia. – Ci Jamajczycy, którzy pracują dla Króla Wedo, są kurewsko porąbani.

Wyrywanie flaków to dla nich pestka. Życie ludzkie jest tanie, stary, a oni mają je gdzieś. Jak tym gnojkom ktoś się nie spodoba, to go z mety przerabiają na mielonkę.

Głos Scaglii lekko zadrżał.

– Joey Ventura popełnił błąd i nadepnął Królowi na odcisk. Coś go naszło, gdy wioził dla niego kokę, no i postanowił uszczknąć trochę dla siebie. Debilny pomysł. Jamajce wyciągnęły kołesia z restauracji w porze lunchu i przy okazji rozwalily trzech przypadkowych gapiów. Jak ci mówiłem, Taine, dla tych cholernych diabłów ludzkie życie jest gównem warte.

Scaglia ściszył głos, mówił już szeptem.

– Król Wedo zaplanował dla Joeya coś specjalnego. Nazwał to demonstracją. Czubas odcinał mu palce rąk i nóg, jeden po drugim, i kazał mu je połykać. Trzy dni trwało, zanim ten żaloszny palant wreszcie wywinął kitę. Kapujesz już, czemu Sal jest ostrożny?

– Doskonale – powiedział Taine. – A skąd pewność, że to Wedo podwędził Kielich? Zażądał okupu?

– Nie, nie ma pewności. Ale Król Wedo nie potrzebuje kasy, nie przy dochodach, które ściąga z handlu prochami. Na ulicach ludzie gadają, że wsiąknął w czarną magię. Może wykombinował sobie, że ten twój kielich da mu jakieś mistyczne moce czy coś. Kto tam wie, o co lata tym popierdoleńcom.

– Jasne – mruknął Taine. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Król Wedo i święty Graal tworzyli razem wybuchową mieszankę, a on musiał w jakiś sposób odzyskać relikwię. – Może powinienem porozmawiać z Królem o zwróceniu Kielicha. Wiesz, gdzie teraz przebywa?

– Odbiło ci, facet? Powiesz jedno słowo, które mu się nie spodoba, a ten gad wytnie ci serce. Własnymi paznokciami.

– To już moje zmartwienie. Wiesz, gdzie się zadekował?

– Na południu miasta, niedaleko Dwudziestej Szóstej i torów kolejowych – odparł Scaglia. Milczał przez chwilę, a potem zaklął. – Słuchaj, Jamajce może i pozwolą ci wejść do środka, ale za cholere nie pozwolą wyjść. Może byś sobie odpuścił, co?

– Nie da rady – stwierdził zdecydowanie Taine. – Taka robota.

– Ech, w takim razie przyda ci się jakieś wsparcie. Czyli ja. Spotkajmy się tam za godzinę. Róg Dwudziestej Szóstej i Rand. Lepiej się nie spóźnij, bo mi nerwy puszcza...

– Będę na czas – zapewnił i odłożył słuchawkę.

Zjawił się w umówionym miejscu kilka minut po północy. W alei oświetlonej bursztynowym blaskiem latarni nie było żywego ducha. Wzdłuż ulicy stały ogromne, stare magazyny, wznoszące się ku nocnemu niebu niczym starożytne grobowce. Leo Scaglia wychynął bezgłośnie z klatki schodowej pobliskiego budynku i przywołał Taine'a ręką. Detektyw szybko zlustrował wzrokiem okolicę, po czym wysiadł z samochodu i podszedł do gangstera.

– Co się dzieje? – wyszeptał.

– Mamy fuksa. – Scaglia wyszczerzył zęby. – Król Wedo i jego chłoptasie balują na mieście. Jeden z kontaktów Sala przy filował ich jakieś pół godziny temu w „Cozy Clubie”. Powinniśmy bez problemu znaleźć ten Kielich i zmyć się, zanim wrócą. Ten pieprzony skurwysyn jest tak pewny siebie, że pewnie nawet nie zostawia nikogo na straży.

– Coś zbyt łatwo nam idzie. – Taine przyjrzał się Scaglii podejrzliwie. – Skąd ten nagły zapal do pomocy, Leo? Od kiedy tak chętnie bierzesz na siebie zbędne ryzyko?

– Wyluzuj, Taine. – Scaglia rozejrzał się pospiesznie wzdłuż opustoszałej ulicy. – Sal próbuje podłożyć Królowi nogę i powiedział, że mam ci pomóc. Każda porażka Króla to zwycięstwo Sala. Wypełniam polecenia szefa. Poza tym jesteśmy kumplami.

Z tymi słowami pchnął drzwi magazynu.

– Idź za mną i nie rób hałasu. W środku może się ktoś szwendać. Biuro Króla Wedo jest na zapleczu, pewnie tam trzyma ten twój antyk.

Obaj mężczyźni skradali się w milczeniu. Jak na człowieka tak słusznej postury, Taine zaskakiwał płynnością ruchów, a Scaglia prześlizgiwał się przez ciemne zakamarki niczym gigantyczny wąż skupiony wyłącznie na ofierze. Mijali nieprzeliczone rzędy skrzyń wypełnionych nieznanymi towarami, a absolutną ciszę zakłócał jedynie odgłos ich cichych oddechów w zatęchłym powietrzu. W końcu dotarli na zaplecze budynku.

– To tu – Leo szepnął Taine owi do ucha i wskazał palcem kantorek

brygadzysty, usytuowany w kącie między dwoma ścianami. – Nie ma światła. Chyba pusto.

Obaj ostrożnie wyciągnęli broń.

– Idź pierwszy – szepnął Scaglia. – Wiesz, czego szukać. Będę cię osłaniał.

Taine ostrożnie przekręcił gałkę w drzwiach. Poddała mu się bez oporu, drzwi nie były zamknięte na klucz. Uchylił je lekko i zajrzał do środka – panowała tam taka sama nieprzenikniona ciemność jak na zewnątrz. Powoli, z zachowaniem największej czujności, Sidney Taine wślizgnął się do środka.

I nagle stanął twarzą w twarz ze szczupłym, ciemnoskórym mężczyzną siedzącym za szerokim biurkiem. Król Wedo. Po obu stronach gangstera stał potężnie zbudowany Jamajczyk, każdy z pistoletem maszynowym Skorpion wycelowanym prosto w brzuch detektywa.

– Panie Taine. – Król Wedo uśmiechnął się pod nosem. – Miło, że wpadł pan z wizytą.

Taine usłyszał, jak za jego plecami ktoś z rozmachem otwiera drzwi.

– *Sorry*, stary – dobiegł go głos Leo Scaglii. – Rozkaz to rozkaz.

Potem coś ciężkiego i twardego rąbnęło go w czaszkę. Otoczyła go ciemność.

Gdy Taine odzyskał przytomność, uświadomił sobie, że jest przywiązany do ciężkiego, drewnianego krzesła. Znajdował się w tym samym pomieszczeniu, lecz teraz jasno oświetlonym. Król Wedo siedział za biurkiem, zwrócony twarzą w jego kierunku, a obaj masywnie zbudowani ochroniarze nadal zajmowali te same miejsca za plecami szefa. Leo Scaglia stał w nonszalanckiej pozie z ramionami skrzyżowanymi na piersi, opierając się o metalową szafkę z dokumentami.

– A więc to ty sypiesz Albańczyka! – warknął Taine, nie mogąc uwierzyć we własną głupotę. – Nie Bracco!

– Szybko kapujesz – zachichotał Scaglia. – Kiedy zadzwoniłem do Króla i powiedziałem mu, że wieszysz za Kielichem, kazał mi cię tu zwabić. Stary, najłatwiejsza fucha, jaka mi się w życiu trafiła. Nie miałaś cienia podejrzenia!

– Moja wrodzona naiwność czasami okazuje się zgubna – odparł Taine. Ludzie, którzy przywiązali go do krzesła, odebrali mu pistolet i

przytwierdzony do łydki nóż, ale przeoczyli żyłkę zaszytą w rękawie koszuli. Ostrożnie zaczął przecinać sznury krępujące nadgarstki. – Z jakichś powodów po prostu ufam kumplom.

– To złe przyzwyczajenie, panie Taine, zwłaszcza u prywatnego detektywa. – Król Wedo mówił cicho, ale wyraźnie i zrozumiale, a w jego głosie pobrzmiewał delikatny brytyjski akcent. – Lecz pan oczywiście nie jest zwyczajnym detektywem. Dlatego właśnie poleciłem Leo, by tu pana sprowadził. Wyświadczy mi pan wielką przysługę, panie Taine. Wielką, ogromną przysługę.

Król Wedo sięgnął do szuflady biurka, skąd wyciągnął zwykły drewniany kielich. Taine wiedział, że naczynie liczy tysiące lat, a tymczasem nie było na nim śladu zadrapania.

– Święty Graal – powiedział Jamajczyk, nie kierując słów do żadnej konkretnej osoby. – Po odarciu z tych idiotycznych srebrnych dekoracji okazuje się, że wygląda całkiem zwyczajnie. Ale, jak wszyscy dobrze wiemy, wygląd może mylić.

Wstał z krzesła, beztrąsko wymachując Kielichem. Był niskim, szczupłym człowiekiem z miłą twarzą o harmonijnych rysach. Dopiero wąskie, lśniące obłędem oczy zdradzały, że w jego sercu czai się okrucieństwo.

– Jak choćby ja, na ten przykład. – Okrążył biurko, by stanąć ledwie kilka stóp przed skrępowanym Taine'em. – Ciągnie się za mną reputacja szalonego gangstera, a ja dokładam wszelkich starań, by ten wizerunek podtrzymać. Strach dobrze mi służy, panie Taine. Tymczasem nikt z moich wrogów ani nawet przyjaciół, jeśli już o to chodzi, nawet nie przypuszcza, że jestem też mistrzem czarnej magii. Na palcach jednej ręki można wyliczyć wszystkich tych, którzy uznają, że magia w ogóle istnieje.

Zachichotał przy tych słowach.

– Za młodu uczęszczałem do szkoły w Anglii. Mój ojciec, zamożny plantator, marzył, bym przejął i rozwinął rodzinny biznes, ale ja miałem inne plany. Może pan sobie tylko wyobrazić moje zaskoczenie, gdy całkiem przez przypadek odkryłem, że mój profesor historii jest praktykującym czarnoksiężnikiem. Przywiozłem mu kiedyś pracę semestralną do domu i przyłapałem go na rzucaniu klątwy na jakiegoś kolegę z wydziału.

Natychmiast wykrył u mnie zainteresowanie mroczną sztuką i zaproponował mi, żebym został jego uczniem.

Niespodziewanie Jamajczyk zwęził oczy.

– Oczywiście, nie za darmo.

Taine skrzywił się. Czarnoksiężnicy zawsze domagali się zapłaty za swoje usługi, a walutą nierzadko była krew.

– Sporo się nauczyłem od profesora Harveya w ciągu trzech lat studiów u jego boku. Nauczył mnie raczej niekonwencjonalnych metod prowadzenia interesów, które zresztą z powodzeniem wprowadziłem w życie. Rozstaliśmy się w przyjaźni jakieś dziesięć lat temu i przez cały ten czas ani razu się ze mną nie skontaktował.

Taine milczał, pracowicie przerzynając krępujące go liny. Gangsterzy uwielbiali się chełpić swoimi dokonaniem, a Król Wedo najwyraźniej był ogarnięty obsesją rozprawiania o własnym geniuszu. Otoczony na co dzień oprychami i mętami społecznymi, Jamajczyk skwapliwie korzystał z okazji, by się popisać, co stanowiło dla Taine'a wyraźny sygnał, że według planu powinien zostać później zamordowany. Martwi nigdy nie zdradzają sekretów.

– Stąd też moje zaskoczenie, gdy jakiś tydzień temu profesor nieoczekiwanie do mnie zadzwonił. Nie było w tym nic sentymentalnego, staruszek Harvey miał na myśli tylko i wyłącznie interes – opowiedział mi, w jaki sposób święty Graal trafi do Chicago. Poprosił o pomoc w przechwyceniu relikwii, obiecując w zamian niewyobrażalne bogactwa. Zgodziłem się pomóc, ale postanowiłem skupić się na własnych korzyściach. Moi ludzie wykorzystali informacje podane przez Harveya, przechwycili transport, zabili obu konwojentów i ruszyli z powrotem z Kielichem, a ja zatrzymałem go dla siebie. Stary głupiec Harvey powinien był poszukać sobie kogoś bardziej zaufanego. Mam swoje plany co do Graala, plany, które dotyczą również pana.

Taine poczuł, jak przeszywa go zimny dreszcz. Coraz mniej mu się to wszystko podobało.

– Dlaczego mnie? – zapytał. Zrobiłby teraz wszystko, by zyskać jeszcze trochę czasu. Przecięcie więzów było trudniejsze, niż sądził. – Co we mnie takiego szczególnego?

– Sidney Taine, detektyw jasnowidz. – Król Wedo powoli rozchylił usta w krzywym uśmiechu. – Wiem o panu wszystko. Ci, którzy w naszych czasach uprawiają czarną magię, powinni mieć oko na potencjalnych adwersarzy, a do pana, jak sądzę, to określenie pasuje jak ulał. Adwersarz.

Delikatnie postawił Kielich Setha na biurku. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, pokręcił głową w udawanym przerażeniu.

– Skoro ja jestem złą duszą, to czy pan z definicji nie jest tą dobrą? Tą prawą?

Taine zadrżał. Słowa Króla wstrząsnęły nim do głębi, bowiem nagle zrozumiał, co Jamajczyk planuje – zamierzał odprawić starożytny rytuał czarnej magii, rytuał magii krwi. Strach musiał się wyraźnie odcisnąć na jego twarzy, gdyż przywódca gangu zachichotał.

– Siedem kropli krwi człowieka prawego – wyrecytował słowa o przerażającej mocy – jeśli Kielicha Czystości pożądasz jedyne.

Król Wedo powrócił na drugą stronę biurka. Uśmiechając się, znów sięgnął do szuflady i wyciągnął plastikowy woreczek wypełniony białym proszkiem. – Koka – powiedział, potwierdzając przypuszczenia Taine’a. – Niezły towar, ale do perfekcji trochę mu brakuje. Nie jest czysty.

Pochylił się, wbijając spojrzenie w więźnia.

– Im czystszy towar, tym lepszy odłot – tak brzmi cała prawda o kokainie. Wie o tym nawet najdurniejszy ćpun. Problem w tym, że nie ma sposobu na stuprocentowe oczyszczenie koki. Możesz sobie żyły wypruć, a towar nie będzie całkiem czysty. Nigdy nie jest idealnie czysty.

– Ty chyba nie zamierzasz... – zaczął Taine, zszokowany pomysłem Jamajczyka.

– Ależ zamierzam, panie Taine. Zamierzam, a jakże. Wedle wszystkich średniowiecznych legend, święty Graal oczyszcza wszystko, co się w nim znajdzie. Wystarczy wlać do niego wodę, by uzyskać wino, a nędzny kawałek chleba zamienia się w placek. Cóż, sprawdzimy, czy te historie mają sens.

Wedo otworzył woreczek.

– Niech pan tylko pomyśli o popycie, jaki dzięki temu wywołam, Taine. Niech pan sobie wyobrazi najczystszą kokę na świecie – dostępną tylko u mnie. Będę mógł dyktować ceny!

Skinął palcem na Scaglię.

– Masz nóż pod ręką, Leo? – zapytał.

– Jasne. – Scaglia wydobyl z kieszeni sześciocalowy nóż sprężynowy. Rozległ się cichutki zgrzyt, metalowe ostrze zamigotało w blasku żarówki. – Nigdzie się bez niego nie ruszam.

– Weź Kielich – rozkazał Król – i ochrzczij go siedmioma kroplami krwi pana Taine’a.

– Się robi – odpowiedział Scaglia, delikatnie ważąc sprężynowca w jednej dłoni, a drewniany kielich w drugiej. – Mam mu poderznąć gardziółko?

– Leo, Leo, Leo! – krzyknął Jamajczyk, szczerze zaskoczony pomysłem nożownika. – Przecież to byłoby marnotrawstwo! Według formuły siedem kropli krwi prawego człowieka jest potrzebne za każdym razem, gdy odprawiamy rytuał, a Chicago nie może się poszczycić nieskończonymi zasobami prawych ludzi.

Głos gangstera stał się ponury i złowieszczy.

– Tak, pan Taine musi nam starczyć na długo, bardzo długo.

– Ty jesteś szefem. – Scaglia wzruszył ramionami. Nonszalanckim ruchem wsunął zimną stal pod pierwszy guzik koszuli Taine’a, a potem jednym pociągnięciem rozciął cienki materiał aż po szyję detektywa. – Kiepska sprawa, stary – mruknął, nachylając się nad nim z Kielichem Setha w dłoni – ale rozkaz to rozkaz.

Pociągnął nożem po raz drugi i na piersi Taine’a wykwitła czerwona strużka. Scaglia ostrożnie zbierał krew do naczynia.

– Siedem kropli! – przypomniał Wedo. – Ani jedna więcej, ani jedna mniej.

– Mam. – Nożownik wyprostował się, trzymając Kielich przed sobą. – Co teraz?

Przywódca gangu otworzył plastikowy woreczek z kokainą. Wsunął do środka mały palec i zamieszał zawartość.

– Z tego, co czytałem, wynika, że krew natychmiast uaktywnia magiczne właściwości Kielicha. Zobaczymy, jak zadziała na kokę.

Naraz rozległo się głucho, zwierzęce warknięcie, zrodzone głęboko w ludzkich trzewiach, przepojony szaleństwem dźwięk, który zaskoczył



wszystkich. Scaglia. Wstrząśnięty Taine spojrział na niego i ujrzał, jak jego twarz zniekształca straszliwa furia.

– Ty nędzny skurwysynu! – wrzasnął gangster i sięgnął po broń.

Lufy zajaśniały ogniem, pomieszczenie wypełnił huk kanonady i smród kordytu. Rozszarpywane kulami ciało Scaglii eksplodowało krwią. Niczym groteskowa, pijana marionetka, gangster zataczał się pod wpływem uderzeń kul masakrujących jego klatkę piersiową.

– Uważajcie na Kielich! – wrzasnął Król Wedo. Tylko jego głos zdradzał objawy paniki. – Uważajcie, by nie trafić w Kielich!

Ciało Scaglii tryskało gorącą krwią z tuzina ran. Powinien już dawno paść trupem, ale ognista determinacja nadal trzymała go przy życiu. W jakiś niepojęty sposób wyciągnął pistolet i odpowiedział ogniem. Taine, nie mając pojęcia, czy rozumie cokolwiek z tego, co się rozgrywało przed jego oczami, ciął żyłką ostatnie włókna krępującej go linki. Sznur puścił, a detektyw padł na ziemię. Nie miał broni, a nie był na tyle szalony, żeby rzucać się z gołymi pięściami na Scaglię czy chłopaków Wedo.

Strzelanina ustała równie gwałtownie, jak się zaczęła, i w kantorku zapadła kłująca w uszy cisza. Obaj ochroniarze byli martwi – jednemu kula Scaglii rozerwała serce, drugiemu przeszła przez nos, zamieniając go w krwawą ruinę, i wbiła się w mózg.

Scaglia zaś leżał bezwładnie na biurku, zaciskając Graala w dłoni. O dziwo, w jego oczach nadal migotały iskierki życia.

– Nie lubię zdrajców, Leo – powiedział Jamajczyk, wstając z podłogi po przeciwnej stronie biurka. W garści mocno ścisnął sztylet. Mówił spokojnie, w jego głosie próżno byłoby doszukiwać się wściekłości. – Wziąłeś ode mnie forszę, by wystawić swojego szefa. Wygląda jednak na to, że zapłacił ci o wiele więcej za wystawienie mnie. Fatalna decyzja, Leo.

Scaglia uniósł głowę.

– Ty szumowino – wydyszał. Jego szalone oczy płonęły nienawiścią. – Nikt nie zapłacił...

– Dość tych kłamstw – warknął Król Wedo i szybkim ruchem rozplątał Leo gardło. Ciało gangstera zadygotało w agonii, gdy krew buchnęła na drewniany blat biurka. Z kolejnym oddechem uszły z niego resztki życia.

– Niech pan niczego nie próbuje, Taine. – W dłoni Króla Wedo, który nie

zaszczycił trupa nawet jednym spojrzeniem, jak za dotknięciem czarnoksiężskiej różdżki pojawił się pistolet kalibru .45. – Proszę się powoli, bardzo powoli podnieść z podłogi. I niech pan trzyma dłonie tak, żebym je widział.

Taine wstał. Z tej odległości Król nie mógł spudłować. Poza tym wyglądał na zupełnie niewzruszonego morderczą strzelaniną, która zakończyła się ledwie chwilę temu.

– Ja nigdy nie panikuję – powiedział, jakby czytał Taine’owi w myślach. Nie spuszczać z niego oczu, sięgnął po Graala. – To właśnie dlatego zawsze wychodzę obronną ręką z każdej sytuacji. To dlatego jestem Królem.

Zacisnął palce na drewnianym Kielichu i wyrwał go z garści martwego Scaglii.

– Wydawało mi się, że mogę zaufać Leo, ale chyba się pomyliłem. Cóż, mniejsza o to.

Lufa pistoletu nawet nie drgnęła.

– Dwoje ludzi dochowa tajemnicy tylko wtedy, gdy jedno z nich nie żyje, panie Taine. Żegnam.

W przypiływie desperacji detektyw rzucił się w bok. Zastrzelony ochroniarz wciąż ścisnął broń. Szansa była nikła, ale za to jedyna. Pełzał w kierunku pistoletu, spodziewając się, że lada chwila usłyszy strzał i eksplozję bólu, gdy kula wedrze mu się w plecy. Tymczasem, ku jego zaskoczeniu, nadal panowała cisza.

Taine wyszarpnął broń z dłoni trupa i odwrócił się. I wtedy zamarł, zaskoczony jak nigdy dotąd w całym swoim życiu.

Król Wedo stał w miejscu z czołem lśniącym od potu. Ściągnięta potwornym bólem twarz przypominała oblicze szaleńca. Jamajczyk nie celował już w Taine’a. Zamiast tego przytknął lufę do swojej skroni. Jego obłąkany wzrok spotkał się ze spojrzeniem detektywa w milczącym błaganiu. Ale nawet jeśli Taine chciałby ruszyć mu z pomocą, nie było już na to czasu. Król Wedo zdecydowanie pociągnął za spust. Broń wypaliła raz, a potem nastąpiła cisza.

– To doprawdy ciekawa, a nawet zaskakująca opowieść – przyznał człowiek zwany Ashmedaiem. – Wiele legend określa Graala jako Kielich

Zdrady.

Zamilkł na chwilę i pokręcił głową, jakby rozczarowany.

– Bardzo zasłużona nazwa. Zbyt wielu ludzi zostało zdradzonych. Ciekaw jestem, czy ten cały Król Wedo zrozumiał prawdę.

– Chyba tak – powiedział Taine, spoglądając na świętego Graala stojącego na biurku między nimi. – W ostatniej chwili chyba zrozumiał, w jaką wpadł pułapkę, ale gdy już trzymał Kielich, nie był w stanie nic zrobić. I tak oto dopadła go ponura sprawiedliwość.

Ashmedai wzruszył ramionami i sięgnął po Kielich.

– Głupcy nigdy nie rozumieją, że Graal oczyszcza absolutnie wszystko, z czym tylko się zetknie, wliczając w to ludzi głupich na tyle, by za niego chwycić.

Taine pokiwał głową, nie mogąc oderwać wzroku od naczynia.

– Po dotknięciu Graala w duszy każdego z nich wybuchł konflikt, który następnie ich zniszczył. Sama skrucha czy żal nie wystarczyły. Scaglia nie mógł dłużej służyć złu, więc próbował je zgładzić. Król Wedo zaś, uświadomiwszy sobie rozmiary swych potwornych zbrodni, uciekł się do samobójstwa.

Detektyw zamilkł.

– Odważy się pan go zabrać? Ja przyniosłem go w pudełku, które znalazłem w kantorku Wedo. Sam nie dotknąłem ani razu.

– Czar szybko się rozprasza – powiedział pewnie Ashmedai, unosząc Graala. – Józef mądrze postąpił, pokrywając Kielich srebrem. Żaden śmiertelnik nie byłby w stanie go dotknąć i powrócić później do poprzedniego, normalnego życia. Żaden człowiek nie jest aż tak czysty.

Przyjrzał się Kielichowi dokładnie, a przez jego usta przemknął smutny uśmiech.

– Minęło tyle czasu... Tyle lat...

– Teraz, gdy go pan odzyskał... – zaczął Taine.

– Graal znajdzie się w moim zbiorze – przerwał mu Ashmedai, nie spuszczając wzroku z relikwii. – Zostanie ukryty z dala od ludzkich spojrzeń aż do chwili, gdy okaże się potrzebny.

– Nazwał go pan Kielichem Zdrady? – zapytał zamyślony Taine. W trakcie studiów nad okultyzmem nigdy nie natrafił na to określenie.

Ashmedai opuścił naczynie na biurko i wbił w detektywa spojrzenie oczu skrytych za ciemnymi okularami.

– Kielich był darem dla Chrystusa od jednego z jego uczniów. – Jego głos świadczył teraz o skrajnym znużeniu. – Tego, który w niego wątpił i chciał użyć Graala, by przeprowadzić ostateczny sprawdzian. Tak rozpoczyna się opowieść o zdradzie i wiecznym potępieniu.

Ashmedai westchnął.

– Rozumie pan?

– Tak – powiedział Taine.

Nie był już ciekaw oczu, które kryły się za tymi okularami.